

**„BIĆ SIĘ, CZY SIĘ NIE BIĆ?”
DYLEMATY POLSKIE 1944–1989**

VIII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

7–9 CZERWCA 2019 ROKU

**Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego nn
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Warszawa, 2020 roku**

Opracował i zredagował Mirosław Lewandowski

© Copyright by Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Wydawca – Wydawnictwo Polskie IHOO

Wydanie I
Warszawa, 2020

ISBN 978-83-957901-3-3

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES Sukces Sport

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia w jego organizm...”. Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców.
Dziękujemy!

Ta pozycja została dofinansowana przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



W imieniu Instytutu gorąco dziękujemy!

SPIS TREŚCI

I DZIEŃ (7 CZERWCA 2019 ROKU)

Piotr Wójcik

Powstanie 1944. Czy decyzja o walce w Warszawie była racjonalna?	7
Dyskusja	64

Dr Wojciech Frazik

Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość – czy próba akcji politycznej w Polsce po II wojnie światowej była skazana na porażkę?	118
Dyskusja	145

II DZIEŃ (8 CZERWCA 2019 ROKU)

Prof. Wiesław Wysocki

Koncepcja działania zbrojnego podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej. Wybór drogi czy konieczność	186
Dyskusja	194

Dr Bohdan Urbankowski, dr Andrzej Anusz, Zbigniew Jackiewicz

Okragły stół. Koncepcja polityczna, założenia i rezultaty. Realistyczna droga czy niepotrzebna ugoda?	206
Dyskusja	238

III DZIEŃ (9 CZERWCA 2019 ROKU)

Dr Andrzej Anusz

Nielegalna polityka. Zjawisko drugiego obiegu politycznego
w PRL (1976–1989). Na czym polegała walka Solidarności
bez użycia przemocy?..... 261

INDEKS NAZWISK..... 281

W roku 2019 odbyła się już VIII Konferencja Świętokrzyska. Jej organizatorem jest, jak co roku, Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Konferencje tradycyjnie odbywają się w Centrum Edukacyjnym w Wólce Milanowskiej koło Kielc. W spotkaniach bierze udział kilkadziesiąt osób – członków Instytutu i zaproszonych gości.

Materiały pokonferencyjne zawierają teksty wszystkich referatów wygłoszonych w czasie konferencji w wersji przygotowanej przez autorów. Referaty faktycznie wygłoszone z reguły nieco różniły się od referatów przygotowanych i przedstawionych do druku.

Po każdym referacie była dyskusja, której zapis został przedstawiony na podstawie nagrania. Niestety, nie wszystko się nagrało, stąd niektóre fragmenty zostały pominięte. Przy spisywaniu głosów w dyskusji zostały one poddane redakcji, ale starano się zachować ich oryginalny i spontaniczny charakter wypowiedzi.

Długość dyskusji zależała z reguły od porządku konferencji (jeżeli po danym referacie był posiłek, dyskusję trzeba było przerwać), od planów referentów (niektórzy goście dysponowali ograniczonym czasem i o określonej godzinie musieli opuścić konferencję). Najdłuższa dyskusja była – tradycyjnie – po referacie wieczornym w piątek (po kolacji) i zakończyła się po północy.

I DZIEŃ (7 CZERWCA 2019 ROKU)

PIOTR WÓJCIK

POWSTANIE 1944. CZY DECYZJA W WARSZAWIE BYŁA RACJONALNA?



Od wielu lat śledzę debatę publiczną na temat sensu Powstania Warszawskiego, cały czas studiując też temat Powstania w wielu jego aspektach. Z rosnącym zawodem/niesmakiem obserwuję postępujące, niestety, merytoryczne spływanie, polityczną, niekiedy nawet spowodowaną merkantylnymi przesłankami, instrumentalizację tematu. Po-

wstanie Warszawskie dziejąc się, pokazało fenomen jednoczącej Wolności. Zbiorowej pamięci o Powstaniu, jak dotąd, można było przypisać znaczenie, przede wszystkim budujące poczucie wspólnoty. Dzisiejsza wulgaryzacja debaty polega w dużym stopniu na prostackich: instrumentalizacji symboli, rewizji historii oraz ożywianiu peerelowskich stereotypów – na użytek doraźny.

Istotą sporu o ocenę i znaczenie Powstania Warszawskiego jest dziś według mnie kwestią rozumienia pojęcia Wolności, jako wartości nadrzędnej i jej realne miejsce w hierarchii imponderabiliów – w wymiarze narodowym i państwowym, jak i obywatelskim – indywidualnym. Ważne jest jasne uświadomienie sobie tego, jakie było rozumienie roli i znaczenia pojęcia Wolności (zawierającej w sobie i pojęcie Honoru i Ojczyzny) w II RP i stanowiącym jej wojenną kontynuację w Państwie Podziemnym (obejmującym też drugą konspirację i walkę zbrojną z najeźdźcą sowieckim po wojnie), a jakie jest jej pojmowanie dziś. Upraszczając, można to ująć tak – ważne jest to, czy fundamentem Państwa i praw jednostki jest realnie Wolność, czyli „nie podległość” (tu pisane rozdzielnie), czy milcząco godzimy się na możliwość takiego ograniczenia Wolności, które jest już zgodą na „podległość”.

Współcześnie nie jest to spór typu prostej dychotomii – idealizm versus realizm. Jest to spór o obronę istnienia w życiu społecznym i wymiarze państwowym wartości jednoczących – stanowiących dotąd o naszym poczuciu wspólnoty i tożsamości. Postulat obrony naszej wspólnoty i tożsamości rozumianej poprzez Wolność należy zdecydowanie postawić w kontrze do tezy, że są to wartości anachroniczne i szkodliwe we współczesnej Europie, która potrzebuje ponoć jakiejś fantasmagorycznej, „nowej tożsamości” – antynarodowej i abortującej tradycję – dotychczasową tożsamość.

Chodzi o sprzeciw wobec takiej wizji Europy i świata, gdzie po cichu „przy okazji” – na przykład dla zachowania dobrobytu, wygody lub rzekomego zwiększenia bezpieczeństwa państwowego i indywidualnego, Wolność nieuchronnie spada na kolejne, niższe miejsca w hierarchii tego, co ważne – narodom i ludziom potrzebne.

Od razu na początku muszę podkreślić, że jest to tekst publicystycz-

ny i polityczny, w którym prezentuję swój pogląd, bez ambicji akademickiego wyważania racji. Stoję bardzo wyraźnie po jednej stronie sporu i dlatego też nie ukrywam, że najbliższe mi są na temat Powstania Warszawskiego poglądy takich autorów jak Tadeusz Żenczykowski, Andrzej Pomian, prof. Janusz Zawodny, prof. Jerzy Kłoczowski, Jan Nowak-Jeziorański czy Norman Davies.

Rozumiem negatywne oceny uczestników Powstania – takie jak Tadeusza Pobóg-Malinowskiego czy ambasadora Jana Ciechanowskiego, którzy uważają, że dowódcy AK popełnili błąd decydując się na walkę, której nie można było samodzielnie wygrać. Zwłaszcza jest to zrozumiałe w przypadku byłego dowódcy (takiego jak por. „Pobóg”) 150 osobowej kompanii, która, ze względu na ogromną przewagę niemiecką podczas szturmów na Powiśle, ginie prawie w całości, a dowódca mimo najlepszych chęci, nie jest w stanie nic na to poradzić i musi przez całe życie nosić w sobie obraz hekatomb podwładnych, kolegów i przyjaciół. Mogę zrozumieć też krytyczny pogląd tych żołnierzy AK, którzy mają prawo oceniać negatywnie decyzje swoich najwyższych dowódców, bo są wiarygodni, dlatego że do końca, mimo stałego ryzyka śmierci, mimo ran, śmierci najbliższych przyjaciół i kolegów, wytrwali, wykonując rozkazy w najtrudniejszych warunkach. Ich krytyka jest w „dobrej wierze”, a nie po to, by niszczyć polską tradycję i tożsamość.

CZEŚĆ I. SPÓR O OCENĘ DECYZJI O PODJĘCIU WALKI O WARSZAWĘ

Bezpośrednią inspiracją do tego, by pisać na temat debaty o walce o Warszawę w sierpniu 1944 była dla mnie rozmowa z krakowskim historykiem Mirosławem Lewandowskim pracującym nad monografiami poświęconymi pułkownikom – członkom KG Armii Krajowej: Ludwikowi Muzyczce i Kazimierzowi Plucie-Czachowskiemu. Monografie te pokazują między innymi niezwykle istotną i niestety zapomnianą, rolę tych ludzi w kształtowaniu się powojennej opozycji demokratycznej w PRL. Tematem rozmowy był też artykuł Mirka omawiający książkę

Marcina Furdyny i Marka Rodzika *Czytaliśmy Piłsudskiego. Rozmowy z Leszkiem Moczulskim*. W artykule Mirek przypomina zwłaszcza kilka tez Moczulskiego dotyczących Powstania Warszawskiego, a ściślej, oceny decyzji Rządu Polskiego i KG AK o włączeniu Warszawy do planu „Burza” i podjęciu walki 1 sierpnia 1944. Polecam lekturę tego tekstu w numerze 13. Opinii (zima 2016) nie tyle dlatego, że stanowi on kontekst moich rozważań, ale dlatego, że pokazuje, w jaki sposób można twórczo przełożyć dorobek myśli niepodległościowej na trafny opis tego, czym żyjemy współcześnie i na poszukiwanie odpowiedzi na przyszłe wyzwania.

I.1. Poglądy Leszka Moczulskiego

Za istotne szczególnie uważam te argumenty Moczulskiego, które negują powielane do dziś przez krytyków decyzji o walce o Warszawę uproszczenia, stanowiące niejako ich życzeniowe „myślenie magiczne”:

Fałszywe stereotypy peerelowskie nieco tylko przestrojone, ciągle są w obiegu (...). Traktowanie powstania w sterylnej izolacji. Nie tylko od wydarzeń rozgrywających się wówczas w Polsce i w Europie, lecz przede wszystkim od możliwych alternatyw. Formuła jest prosta. Wybuch powstania – to nieszczęście, nie ma powstania – nie dochodzi do nieszczęścia. (M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego. Rozmowy z Leszkiem Moczulskim*, Warszawa 2016, s. 317).

Moczulski podważa podstawową, w opinii krytyków decyzji powstańczej stanowiącą dogmat, tezę o tym, że wybuch Powstania był decyzją nieodpowiedzialną i przyczyną całkowitego zniszczenia zabudowy Warszawy. Również zdecydowanie neguje, jako nieuprawnione i sprzeczne z faktami, formułowane wobec przywódców AK, w różnych typach i odcieniach ideowych, zarzuty sprowadzające się do tego, że jakoby wszczęli oni Powstanie pomyślane jako celowo wywołana katastrofa. Podnosi też, jako szczególnie ważną, okoliczność decyzji kierownictwa AK i Rządu RP – bardzo realne zagrożenie przekształcenia przez Niemców miasta w *Festung Warschau*, co musiało skutkować jednocześnie: niszczeniem i zagładą miasta, anihila-

cją największego Okręgu Armii Krajowej i niebezpieczeństwem chaotycznego, pozostającego poza kontrolą wybuchu walk, do których nawoływała warszawiaków w drugiej połowie lipca 1944 propaganda komunistów. Dalej Moczulski pokazuje bardzo wąskie pole manewru, jakie mieli przywódcy polscy w końcu lipca 1944. Chodzi o sytuację, w której powstrzymanie się od walki oznaczałoby jednocześnie bezwarunkową kapitulację – zupełną rezygnację AK – największej części polskich sił zbrojnych – z realnej walki o obronę niepodległości Polski oraz potwierdzenie sowieckich tez: o „staniu z bronią u nogi”, o braku poparcia społeczeństwa polskiego dla „rządu londyńskiego” i o kolaboracji AK z Niemcami. Ponadto ważna jest tu interpretacja istotnego wpływu zamachu na Hitlera na gwałtowne przyspieszenie zmian sytuacji na froncie niemiecko-sowieckim, w tym wpływu na oceny strategicznego znaczenia Warszawy dokonywane przez strony konfliktu.

Moczulski przeciwstawia się też tezie definiującej budowaną od 200 lat polską doktrynę powstańczą, jako wizję Polski „Chrystusa narodów”, jej „zgonu” pokazującego światu jak „zań cierpiała”, a więc groteskowej wizji apoteozy klęski. Przeciwstawia owej apoteozie klęski bardzo wysoką ocenę jakości moralnej i intelektualnej pokolenia Kolumbów i ich przesłania:

Zapamiętajmy również – a może przede wszystkim – wysoką klasę organizacji, zdolność do konstruktywnego, twórczego działania, kompetencję i odpowiedzialność administratorów i dowódców, determinację, dyscyplinę i skuteczność w walce, gotowość ogółu podziemnego państwa i armii do czynnej, przemyślanej akcji w najbardziej nawet niesprzyjających warunkach”. (Ibidem s. 260–261).

W końcu Moczulski popiera tezę niezwykle istotną, o tym, że Stalin bardzo serio traktował opcję wcielenia Polski do Sowietów jako 17. republiki. Inaczej niż kilku polskich historyków, uważa on też, że powstanie PKWN 22 lipca stanowiło element realizacji tej koncepcji. Jednakże właśnie z powodu wybuchu Powstania i długotrwałości zaciętych walk Stalin musiał z tych planów zrezygnować. Stało się to też dlatego, że mimo uległości wobec niego w sprawach polskich, Bry-

tyjczy i Amerykanie uznali, w wyniku Powstania, że ich warunkiem minimum musi być zachowanie przez powojenną Polskę jakiejś formy własnej państwowości.

W kwestii oceny politycznej decyzji o podjęciu walki o Warszawę Moczulski uważa, że była ona słuszna gdyż:

Polacy postawili Stalina przed alternatywą: albo uznać polską suwerenną władzę nad zajmowanymi obszarami, albo zdusić ją siłą. To drugie rozwiązanie dowodziło, że Sowieci są agresorem, prowadzą wojnę z jednym z krajów „Wielkiej Koalicji”. (Ibidem, s. 263)

Przytaczam tu dość obszernie zwłaszcza te poglądy Leszka Moczulskiego, które dotyczą znaczenia i skutków Powstania, ponieważ z tą częścią jego wyводу zasadniczo się zgadzam, lecz przywołuję je też z tego powodu, że są one dla mnie swoistą „mapą”, na której zarysowana jest istotna część najważniejszych kwestii dotyczących sporu. Dlatego będę jeszcze do nich wracał bardziej szczegółowo, także zestawiając te poglądy z opiniami innych historyków.

To, co przemawia do mnie najbardziej w myśleniu Moczulskiego, polega na jego sposobie analizy historii i polityki, w którym odrzuca się dyktat „historycznych nieuchronności” – czyli odrzuca się takie myślenie, w którym nie ma miejsca na rozważanie alternatyw, stanu świadomości i wiedzy polityków i wojskowych, jaką realnie posiadali w chwili podejmowania decyzji, wpływu przypadku czy jednostkowo i gremialnie popełnianych błędów, uwzględniania wielu zmiennych istniejących w przeszłości. Moczulski odrzuca myślenie i ocenianie historii i polityki „ahistorycznie”, czyli z perspektywy współczesnej wiedzy, której nie mieli aktorzy historii.

Na koniec dla jasności – dużo bardziej przemawia do mnie dziś Leszek Moczulski historyk i polityk opozycji demokratycznej, niż Moczulski w swoim późnym wcieleniu i praktyce politycznej w III RP.

I.2. Świadek płk Ludwika Muzyczki

Teraz zacytuję w całości dokument, o którego istnieniu wiadomo było już od dawna, a który Mirek Lewandowski przesłał mi w związku

ze swoją pracą na temat płk. Muzyczki, i to w formie ubeckiej notatki znajdującej się obecnie w archiwach IPN. Należy zaznaczyć dla porządku, że Benedykt to płk Muzyczka.

TW „Jan Chojecki”:

Otrzymałem informację, że płk Benedykt będąc ostatnio w Warszawie, skontaktował się z Gen. Bukojemskim. Bukojemski, jako pptk dyplm. był prócz płk Berlinga drugim zawodowym oficerem armii przedwrzesniowej, który tworzył 1 DP im. T. Kościuszki a następnie 1 AWP w ZSRR. Jan Bukojemski jest dobrym znajomym płk. Pluty-Czachowskiego ze służby w wojsku przedwrzesniowym i ze studiów w Wyższej Szkole Wojskowej. Jan [Leon] Bukojemski w wielkiej tajemnicy powiedział, że gdyby nie Powstanie Warszawskie Polska byłaby 17 Republiką Radziecką.

Działacze komunistyczni polscy w ZSRR, jak Wanda Wasilewska i Alfred Lampe widzieli stworzenie socjalistycznej Polski przy boku ZSRR i w ścisłym z nim związku, jako 17 Republikę Socjalistyczną. Stalin, jako realista i mądry polityk nie był w pełni przekonany co do słuszności tego postulatu. Lampe i Wasilewska, licząc się z oporem ogółu narodu do wprowadzenia socjalizmu w Polsce, widzieli jego budowę poprzez włączenie Polski jako jednej z republik do ZSRR i przy pomocy radzieckich bagnetów stłumienia opozycji, podobnie jak stało się to na Litwie, Łotwie i Estonii. Wystąpienia oddziałów AK w Wilnie i na Wileńszczyźnie, na Wołyniu, we Lwowie, w Lubelskiem i Rzeszowskiem w ramach akcji „Burza” zaczęły skłaniać Stalina do zaniechania koncepcji Lampego i Wasilewskiej. Nie chciał się narażać na zbyt wielkie komplikacje dyplomatyczne z aliantami, jak również narażać ZSRR na niepopularność w społeczeństwach zachodnich, tym bardziej, że ruchy lewicowe silnie się tam rozwijały. Aneksja Polski mogła osłabić rozwój tych ruchów, depopularyzując Związek Radziecki wśród szerokich mas ludności.

Niemniej w momencie ogłoszenia powstania PKWN koncepcja Lampego i Wasilewskiej była nadal aktualna. Dopiero rozmiar i długotrwałość Powstania Warszawskiego ujawniły siłę podziemia londyńskiego i jego popularność wśród szerokich mas społeczeństwa. Wówczas to we wrześniu 1944 r. Stalin wezwał Wasilewską i Lampego i powiadomił ich, że Polska powstaje jako państwo zupełnie niepodległe, zaprzyjaźnione z ZSRR. Kon-

cepcja włączenia Polski do ZSRR jako jednej z republik nie wchodzi w rachubę. Polacy muszą swoje sprawy załatwić we własnym zakresie. ZSRR stworzy im do tego najdogodniejsze warunki. ZSRR nie pójdzie na to, aby bezpośrednio uczestniczyć w polskiej wojnie domowej.

Płk Benedykt spisał notatkę z tej rozmowy i traktuje ją jako dokument tajny do czasu śmierci gen. Bukojemskiego, z uwagi na konieczność ochrony jego osoby, gdyż zdradził bardzo poważną tajemnicę. Bukojemski powiedział również Benedyktowi, że gen. Berling na polecenie Stalina został aresztowany przez NKWD, za pomoc udzieloną Warszawie.

(Miroslaw Lewandowski, *Ludwik Muzyczka „Benedykt”*, Warszawa 2019, s. 209–211).

Trzeba dodać, że rozmowa ta miała miejsce w połowie lat sześćdziesiątych, odbyła się podobno obok al. Ujazdowskich, na ławeczce w parku, pomiędzy „Pałacykiem PRON” a dzisiejszą ambasadą kanadyjską.

Często bywa tak, że najciekawsze jest to, co w danym dokumencie nie zostało wyrażone wprost, ale stanowi ważny jego kontekst, nadając mu szczególne znaczenie. Istotnym uzupełnieniem tej notatki jest wiedza przekazana Muzycze przez Bukojemskiego w trakcie tegoż spotkania – informacja o tym, że przygotowane przez Sowieców dokumenty musieli podpisać bez poprawek Berling i Bukojemski (oczywiście tak jak pozostali wojskowi i członkowie ZPP) jeszcze przed sformowaniem 1 Dywizji Kościuszkowskiej. Zawierały one zgodę i stanowiły zobowiązanie do realizacji scenariusza włączenia Polski do Sowieców, jako 17 republiki.

Politycy i historycy krytyczni wobec decyzji o walce o Warszawę próbują deprecjonować znaczenie powyżej opisanych zdarzeń i świadectw, nie przedstawiając jednak logicznych i przekonujących argumentów. Tymczasem wielu historyków o uznanym autorytecie, żeby wymienić tylko: T. Żenczykowskiego, A. Pomiana, prof. N. Daviesa, prof. J. Zawodnego, czy prof. P. Wieczorkiewicza stwierdza, że taka opcja była przez Stalina traktowana serio:

Jak się wydaje, Stalin aż do końca lata 1944 wahał się, czy aneksja Polski będzie integralna, to znaczy polegająca na jej inkorporacji do ZSRS w postaci 17 republiki, czy też kontrola nad nią będzie miała charakter pośredni.

*Alternatywa była wciąż otwarta: Związek Patriotów Polskich można było przekształcić w rząd polskiej republiki sowieckiej (warto zwrócić uwagę na fakt postawienia na czele ZPP pułkownika armii Czerwonej i obywateli ZSRS Wandy Wasilewskiej i na rotę przysięgi wojska); w wariantcie rezerwowym z gen. Zygmunta Berlinga dawało się, w razie potrzeby, zgodnie z jego nieskrywanymi ambicjami, uczynić przywódcę Rzeczypospolitej Polskiej, formalnie niepodległej i niekomunistycznej, ale i niesuwerennej. (Paweł Wieczorkiewicz, *Stalin a Powstanie Warszawskie. Próba interpretacji* [w:] *Powstanie Warszawskie fakty i mity*. Konferencje IPN. Warszawa 2006, s. 15).*

Jest jasne, że Stalin cały czas miał w zanadru, jeszcze w lipcu 1944, dwie równorzędne koncepcje zdyskontowania swojego sukcesu teherańskiego w sprawach Polski. Były to koncepcje wyrastające zresztą wprost z imperialnej tradycji rosyjskiej i jej podejścia do spraw polskich – pierwszą – podboju i inkorporacji – realizowaną przez Katarzynę i drugą – uzależnienia i wasalizacji, realizowaną przez Piotra I.

I.3. Przed walką o Warszawę. Powstanie powszechne a plan „Burza”.

Te powyżej przedstawione kwestie prowadzą do konieczności zmierzania się z podstawowym, co do oceny decyzji walki o Warszawę, zagadnieniem – z tym, czy Rząd RP i KG AK właściwie/trafnie ocenili polityczne zamiary Stalina i całość sytuacji strategicznej i militarnej w lipcu 1944, po kolosalnym sukcesie operacji „Bagration” i unicestwieniu 30 dywizji grupy Armii Środek oraz po zamachu na Hitlera. W następnej kolejności podjąć należy także pozostałe ważne kwestie dotyczące istoty omawianego sporu, wykraczające nawet poza nazwijmy to – „mapę Moczulskiego” – przedstawioną wcześniej.

Zanim jednak o tym, trzeba wyjaśnić kilka istotnych kwestii, dotyczących znaczenia używanych tu pojęć i ich znaczenia historycznego i politycznego.

Po pierwsze: chodzi o używane przeze mnie sformułowanie „walka o Warszawę w sierpniu 1944” oraz rozróżnienie pojęcia „powstanie po-

wszechnie” – tak jak było ono rozumiane w dokumentach Rządu RP, Naczelnego Wodza i KG AK od roku 1941 przez 1942 aż po rok 1943 i 1944 – od określenia „Powstanie Warszawskie”.

To ostatnie użyte zostało po raz pierwszy zapewne przez premiera Mikołajczyka, jako swoisty neologizm w depeszy do Delegata Rządu z 26 lipca, przed lipcowo-sierpniową wizytą premiera w Moskwie. Zostało ono utrwalone, tak potocznie jak i w literaturze przedmiotu. I jest to termin niewątpliwie właściwy z tego powodu, że bój o Warszawę był walką powszechną, na którą oczekiwała i z której podjęciem utożsamiała się zdecydowana większość mieszkańców Warszawy – w tym rozumieniu niewojskowym było to Powstanie powszechne warszawiaków. Nie oznacza ono jednak realizacji „powstania powszechnego”, a w sensie militarnym i politycznym stanowi rozszerzenie realizacji planu „Burza” na Warszawę.

Używam sformułowania „walka o Warszawę” w tym samym znaczeniu, w jakim użyli go oficerowie KG AK podejmując 21 lipca 1944 roku słynną decyzję o konieczności podjęcia tej walki oraz w jakim użył go gen. Bór-Komorowski w swej depeszy z 25 lipca wysłanej do Londynu po uzgodnieniach z Radą Jedności Narodowej. Uwagi te zdawać się mogą, na pierwszy rzut oka, nieco akademickimi dywagacjami. Omawiane wyżej pojęcia mają jednak moim zdaniem istotne znaczenie dla oceny warunków, sposobu i politycznego umocowania decyzji ostatecznie podjętych przez KG AK, podobnie jak i oceny wewnętrznej polskiej gry politycznej władz emigracyjnych i krajowych RP przed i po Powstaniu. Wreszcie dotyczą także kwestii bardzo konkretnych – jak termin podjęcia walki, sposób jej rozpoczęcia i plan, według którego była prowadzona.

Okolicznościami świadczącymi o tym, że decyzja o walce o Warszawę w ramach Planu „Burza” nie była decyzją o powstaniu powszechnym, do którego ZWZ i Armia Krajowa były od 1940 roku stale przygotowywane, są też dwie decyzje gen. Bora-Komorowskiego z 7 sierpnia i 14 sierpnia. Pierwsza to decyzja o odwołaniu „stanu czujności” do powstania powszechnego, druga, to spóźniona decyzja o wezwaniu do marszu na pomoc dla Warszawy oddziałów okręgów „Barka” – Łódź, „Jodła” – Kielce i Obszaru warszawskiego – „Rzeka” AK.

W tym sensie, nie tylko formalnie, ale i politycznie, zachowano główne założenie – o braku warunków do podjęcia walki, jako powstania powszechnego realizowanego jednocześnie przez wszystkie struktury AK, które wyrażał Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski.

Powstanie Warszawskie było więc walką o i za całą Polskę, ale było działaniem świadomie ograniczonym, w celu zmniejszenia i tak wielkiego ryzyka biologicznych i kulturowych strat, ponieważ nie zostało pomyślane ani zrealizowane jako element powstania powszechnego w całym kraju.

Krytycy KG AK podnoszą często i cytują generałów Sosnkowskiego i Andersa, jako głównych przeciwników decyzji o podjęciu walki w Warszawie, co jest, przynajmniej w odniesieniu do Sosnkowskiego, nadinterpretacją. Pomija bowiem zupełnie fakt, że gen. Sosnkowski wyraźnie sprzeciwiając się powstaniu powszechnemu, jednocześnie odróżniał je od realizacji „Burzy”. I nie chodziło tu wcale o semantykę. Analiza różnych dokumentów i wypowiedzi gen. Sosnkowskiego, na przykład z lipca 1944, zdaje się wskazywać na to, że stanowisko Naczelnego Wodza nie było bardzo jednoznaczne w kwestii walki o miasta w ramach „Burzy”.

7 lipca w depeszy do dowódcy AK gen. K. Sosnkowski pisał:

*Jeśli przez szczęśliwy zbieg okoliczności w ostatnich chwilach odwrotu niemieckiego, a przed wkroczeniem oddziałów czerwonych, powstaną szanse, choćby przejściowego i krótkotrwałego opanowania przez nas Wilna, Lwowa, innego większego centrum (...) należy to uczynić i wystąpić w roli pełnoprawnego gospodarza. (Tadeusz Żenczykowski, *Samotny bój Warszawy, Pisma historyczne 2*. Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2005, s. 52).*

Tadeusz Żenczykowski, pisząc też dalej o depeszy Naczelnego Wodza do gen. Bora-Komorowskiego wysłanej z Włoch 25 lipca podaje, że Sosnkowski w zaleceniach dla dowódcy AK na wypadek zamiaru zajęcia Warszawy przez Armię Czerwoną przewiduje też możliwość opanowania stolicy przez AK przed wkroczeniem wojsk sowieckich (*Ibidem*, s. 52).

Warto też wspomnieć, że gen. Sosnkowski, uznając, że nie ma moż-

liwości i sensu jakichkolwiek porozumień z Sowietami, był szczególnie poruszony, nie tyle kwestią walk o miasto w ramach „Burzy”, co rozpoczęciem 27 lipca, nieuzgodnionej z nim, wizyty premiera Mikołajczyka w Moskwie, w której pośredniczył premier Wielkiej Brytanii W. Churchill. Moim zdaniem trzeba w tej kwestii brać pod uwagę, jako mający duże znaczenie, czynnik rywalizacji i politycznego konfliktu na linii Sosnkowski – Mikołajczyk.

Jeśli chodzi o stanowisko i oceny gen W. Andersa podobnie – należy wziąć pod uwagę to, że jego krytyka nasiloną była już post factum, tj. po zakończeniu walk w Warszawie, a generał w nimbie zwycięzcy spod Monte Cassino krytykował jako winnych klęski swoich politycznych konkurentów.

Warto tu odesłać do opracowania Marka Ney-Krwawicza na temat planu powstania powszechnego zawartego w pracy zbiorowej „Operacja »Burza« i Powstanie Warszawskie 1944” pod redakcją Krzysztofa Komorowskiego, wydanego przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Oficynę Wydawniczą Rytm (wydanie I Warszawa, strony 64–96).

Autor przedstawia historię, polityczne oraz wojskowe tło przygotowania planów powstania powszechnego opracowanych w latach: 1941 (raport operacyjny nr 54) i 1942 (raport operacyjny nr 154) oraz ich modyfikacji i rozwinięć wynikających z zasadniczych zmian najważniejszych okoliczności geopolitycznych i strategicznych. Chodzi tu o:

– radiogram KG AK do Londynu z lutego 1943, zawierający projekt koncepcji powstania strefowego, czyli walki planowo rozpoczynanej przez wyznaczone w kolejnych strefach Okręgi, który był pierwotną wersją „Burzy” i zmieniał zasadniczo koncepcję równoczesnego w całym kraju powstania powszechnego zawartą w raporcie operacyjnym 154;

– „Instrukcję dla Kraju” przygotowaną przez Rząd i Naczelnego Wodza gen. K. Sosnkowskiego z października 1943, skutkiem której było prowadzenie już od końca 1943 i w 1944 roku przez KG AK równoległych prac nad „powstaniem powszechnym” i planem „Burza”.

Ta dwutorowość prac i analiz sztabowych służyła temu, aby w mak-

symalnym stopniu przewidzieć różne warianty rozwoju sytuacji wojennej i zmiany geopolitycznego położenia Polski, i zaplanować możliwość elastycznego działania, nie rezygnując z góry z żadnej z opcji. Przy tym w kategoriach politycznych i wojskowych opierano się na niezmiennym założeniu – że decyzje w sprawie niepodległości Polski będą podejmowane przez legalne władze polskie suwerennie i że niepodległość broniona będzie nawet w najtrudniejszych warunkach, tzn. także w takich, w których następuje coraz większa rozbieżność ocen sytuacji i rozbieżność interesów Państwa Polskiego i aliantów zachodnich.

Po drugie: uważam, że dla oceny decyzji o podjęciu walki o Warszawę bardzo istotne znaczenie ma to, że mimo pośpiechu i presji czasu wynikającej z bardzo dynamicznej sytuacji na froncie niemiecko-sowieckim w Polsce, decyzja zapoczątkowana „naradą generałów” z 21 lipca, została przygotowana nie tylko w gronie KG AK, lecz również uzgodniona ze wszystkimi czynnikami krajowymi – z Delegatem Rządu na Kraj, uzyskała jednomyślne poparcie Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej oraz Rządu RP. Oczywiście trzeba też pamiętać, że premier Mikołajczyk potrzebował jej i nie tyle ją poparł, co raczej był jednym z jej współsprawców. Znamienna jest treść depezy Mikołajczyka do Delegata Rządu z 26 lipca:

Na posiedzeniu Rządu RP zgodnie zapadła uchwała upoważniająca Was do ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranym. Jeżeli możliwe – uwiadomcie nas przed tym. (Ibidem s. 54).

Choć słynna depeza została nadana na dzień przed rozpoczęciem rozmów premiera w Moskwie i jej treść pokazuje istotne przesunięcie ciężaru odpowiedzialności za sprawy polskie na ośrodek władz krajowych, to niezależnie od różnych jej politycznych kontekstów, jednomyślność Rządu RP i władz krajowych cywilnych i wojskowych wzmacnia siłę wyrażonego umocowania. Świadczy też o tym, że była to decyzja suwerennego, demokratycznego Państwa Polskiego, przygotowana i podjęta świadomie i odpowiedzialnie, zakładająca też podjęcie wszelkich możliwych starań i wykorzystania wszelkich dostępnych instrumentów politycznych i wojskowych do walki o wpływ na kwestie istnienia, obrony niepodległości i kształtu Państwa Polskiego po wojnie.

Jest też ważne to, że mimo obserwowanych (zwłaszcza po śmierci gen. W. Sikorskiego) przez Rząd RP i Sztab Naczelnego Wodza negatywnych zmian w stanowisku aliantów zachodnich w zakresie oceny roli i zadań AK w ramach działania sił koalicji oraz braku zwiększenia skali jej zaopatrywania w środki walki, wszystkie władze polskie w 1943 i 1944 roku solidarnie prowadziły systematyczne działania zmierzające do korzystnych dla AK korekt praktyki działania aliantów. Władze Polski na emigracji nasiliły te działania w okresie czerwiec–lipiec 1944, tak w kwestiach wsparcia wojskowego dla AK, jak i w zakresie stworzenia politycznej osłony planowanych działań w ramach „Burzy”, poprzez uzyskanie realnego wsparcia Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wobec Stalina w określeniu niezbędnego minimum politycznego kompromisu i koordynacji działań wojskowych z Sowietami.

W początku czerwca 1944 premier Mikołajczyk na zaproszenie prezydenta Roosevelta odbył wizytę w Stanach Zjednoczonych. Po rozmowach z polskim premierem Roosevelt pisał 17 czerwca do Stalina:

Jego zasadniczą i najpilniejszą troską jest życiowa konieczność ustalenia jak najpełniejszej współpracy pomiędzy Armią Czerwoną i siłami zbrojnymi polskiego podziemia we wspólnej walce przeciwko naszemu wrogowi. Uważa on, że koordynacja między Pańskimi armiami i zorganizowanym podziemiem jest czynnikiem wojskowym o najwyższym znaczeniu nie tylko dla Pana armii na wschodzie, ale również dla głównego zadania, jakim jest dobitcie naszymi połączonymi siłami hitlerowskiej bestii w jej legowisku. (Ibidem, s.13 i 14).

Polski premier pozostawał też w stałym kontakcie z Churchillem. Odpowiedź odmowna Stalina udzielona Rooseveltowi spowodowała bezpośrednio zaangażowanie Churchilla, który podjął kolejną próbę nakłonienia Stalina do rozmów z Polakami. 13 lipca w depeszy do Stalina pisał:

Jest to jedyny sposób, by akcje wojskowe przeciw Niemcom prowadzone przez siły zbrojne polskiego ruchu podziemnego mogły być całkowicie skoordynowane z działaniami posuwających się naprzód armii rosyjskich. Jak rozumiem, p. Mikołajczyk ma do przedstawienia Panu bardzo ważne plany natychmiastowej szerokiej akcji? (Ibidem, s. 15).

Uważam, że w świetle znanych nam dziś dokumentów i relacji uczestników wydarzeń, zarówno premier Mikołajczyk, jak i dowództwo AK nie miały złudzeń, co do prawdziwych zamiarów Stalina wobec Polski i prowadzonej przez Sowieców gry wobec aliantów. Jeśli takie złudzenia miały miejsce, to po doświadczeniu realizacji „Burzy” na Wołyniu, we Lwowie i na Wileńszczyźnie, ostatecznie straciły rację bytu. Bardzo wymowne jest to, co powiedział do żony gen. Bór-Komorowski tuż przed Powstaniem – stwierdził, że ona powinna teraz wiedzieć, że jeśli on nie zginie, to na pewno czeka go sowieckie więzienie.

Mając świadomość nadchodzącej katastrofy, polscy przywódcy działali po to, by uzyskać jak największe możliwości przeszkodzenia Sowiecom i osłabienia skutków realizacji polityki Stalina. Właśnie realizm w ocenie polityki Sowieców nie pozwalał na rezygnację z udziału w działaniach dyplomatycznych wobec nich, w których to działaniach realistycznym celem strony polskiej było wpływanie na korzystne zmiany stanowiska aliantów zachodnich i zwiększenie ich siły nacisku na Stalina w sprawie Polski.

Po trzecie: formalnie rzecz biorąc, alternatywą wojskową dla podjęcia walki o Warszawę (wysoco wątpliwą w kontekście niezwykle szybkiego tempa prowadzonej sowieckiej ofensywy znad Bugu na Warszawę), były zawarte w planie powstania powszechnego, sformułowane jedynie jako wstępny zarys, elementy planu ochrony przez siły okręgu warszawskiego ludności cywilnej w przypadku prób jej wysiedlenia i eksterminacji oraz wycofanie około 4 tys. najlepiej uzbrojonych ludzi (zapewne Kedywu Komendy Głównej i Kedywu Okręgu Warszawa) do lasów skierniewickich i prowadzenie działań dywersyjnych.

Takich działań (ich echem było rozważane już w trakcie Powstania wyjście do Kampinosu grupy Kedywu „Radosława”) jednak nie podjęto w obliczu tempa ofensywy sowieckiej, a przede wszystkim wobec niemieckich przygotowań do obrony Warszawy i realnego zagrożenia przekształceniem miasta w *Festung Warschau*. (Słynny nakaz Fischera z 27 lipca stawienia się 100 tys. mężczyzn do budowy fortyfikacji, musiał mieć oczywisty związek ze znanym tylko Niemcom rozkazem Hitlera wydanym tego samego dnia, że Warszawa ma być twierdzą

i ma być broniona przez Niemców za wszelką cenę). Stało się jasne, że w warunkach toczącej się bitwy sowiecko-niemieckiej w mieście nie tylko wykonanie zadań ochrony ludności, ale i jakiegokolwiek dowodzenie, a nawet przeprowadzenie mobilizacji okręgu AK byłoby po prostu niewykonalne. Próba realizacji takiej alternatywy równałaby się samounicestwieniu największego zgrupowania AK w kraju.

I.4. Czy Rząd RP i KG AK trafnie ocenili polityczne i militarne zamiary Stalina i sytuację strategiczną na froncie w lipcu 1944. Okoliczności podjęcia decyzji.

Jak wcześniej wspomniałem, uważam, że odpowiedź na to pytanie jest kluczowa dla oceny słuszności decyzji podjęcia walki o Warszawę. Należy w związku z tym także i w pierwszej kolejności odpowiedzieć na pytanie, jakie były zamiary polityczne i militarne Sowietów w lipcu 1944 roku. Ważny jest tu przede wszystkim głos historyków i analiza źródeł.

Tadeusz Żenczykowski pisze, że 5 lipca 1944 odbyła się rozmowa ambasadora USA w Moskwie W.A. Harrimana z Mołotowem.

Ambasador amerykański relacjonując ją, stwierdził:

Minister spraw zagranicznych powiedział mi, że dowództwo sowieckie zamierza przeprowadzić uderzenie na Królewiec armiami z Białorusi, a następnie skierować natarcie na południowy zachód dla okrążenia Warszawy. Mołotow dodał, że uwolnienie stolicy będzie prawdopodobnie pozostawione polskim partyzantom i wojskowym dowodzonym przez generała Berlinga. (Ibidem. s. 21)

Żenczykowski podaje dalej:

Trzy dni później, 9 lipca 1944r. (...) w podmoskiewskiej daczce Stalina odbywało się zebranie Państwowego Komitetu Obrony z udziałem Mołotowa, marszałka Żukowa i zastępcy szefa Sztabu Generalnego, generała Antonowa. W pewnej chwili Stalin zapytał Żukowa, czy wojska rosyjskie mogą rozpocząć oswobodzanie Polsk bez zatrzymania dojsć do Wisły i na jakim odcinku będzie można wprowadzić do akcji I Armię Polską. Odpowiedź Żukowa brzmiała:

„Wojska nasze nie tylko mogą dojechać do Wisły, ale powinny uchwycić na niej mocne przyczółki dla zabezpieczenia dalszej operacji ofensywnej na berlińskim kierunku strategicznym. Co się tyczy Pierwszej Armii Polskiej, to należy ją skierować na Warszawę?”. (Ibidem, s.21)

Stalinowi oczywiście zależało na zajęciu Warszawy jak najszybciej, dlatego 21 lipca rozkazał Rokossowskiemu przyspieszenie ofensywy rozpoczętej 18 lipca. Politycznie najważniejszą kwestią było odegranie przez niego roli oswobodziciela stolicy Polski, szybkie zainstalowanie w Warszawie PKWN i wykazanie aliantom, że AK i legalne władze polskie są efemerydą i nie stanowią żadnej siły.

Dokumenty PPR i AL z końca lipca pokazują wyraźnie aktualność planu zajęcia Warszawy przez armię sowiecką oraz przewidywanie wybuchu walk powstańczych prowadzonych przez AK. Rozkaz mobilizacji sił AL w Warszawie został wydany tuż przed wybuchem Powstania.

W tym miejscu warto przypomnieć sobie o tym, jakiej oceny sytuacji dokonali oficerowie KG AK, generałowie Bór-Komorowski, Okulicki, Pełczyński i pułkownik Szostak także 21 lipca 1944 w Warszawie. Właśnie wtedy doszli oni do wniosku, że rozwój sytuacji politycznej i wojennej, a w szczególności działania Sowietów wymuszają konieczność podjęcia walki o Warszawę. Ujawnione wiele lat później dokumenty sowieckie to potwierdzają. Rosyjski historyk Nikołaj Iwanow stwierdza, że:

Dopiero po rozpadzie Związku Sowieckiego częściowo zostały ujawnione fakty świadczące o istnieniu nie jednego, lecz dwóch planów opanowania Warszawy. Jeden przewidywał zajęcie polskiej stolicy już na początku sierpnia, drugi – w pierwszej połowie września. (...) Pierwszy plan opanowania polskiej stolicy pojawił się w wyniku błyskawicznych sukcesów (które przeszły najśmielsze oczekiwania Stalina i Stawki) wojsk sowieckich na Białorusi w czerwcu i lipcu 1944 roku. Natarcie głównych sił I Frontu Białoruskiego w kierunku Lublin – Warszawa rozpoczęło się 18 lipca. (Nikołaj Iwanow – *Powstanie warszawskie widziane z Moskwy*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2010, s. 97).

Dalej Iwanow, podobnie jak Żenczykowski i inni polscy historycy, powołuje jako bardzo istotną decyzję sztabu generalnego Armii Czer-

wonej z 28 lipca 1944, który ustalił zadanie dla I Frontu Białoruskiego, rozkazem nr 220162:

Prawym skrzydłem frontu rozwijać natarcie w ogólnym kierunku na Warszawę, by nie później niż 5–8 sierpnia zająć Pragę i uchwycić przyczółek na zachodnim brzegu rzeki Narew w rejonie Pułtuska i Serocka. Lewym skrzydłem frontu uchwycić przyczółek na zachodnim brzegu Wisły w rejonie Dęblina, Zwolenia, Solca. Uchwyczone przyczółki wykorzystać do uderzenia w kierunku północno-zachodnim w taki sposób, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi obronę wzdłuż rzeki Narwi i Wisły i tym samym ułatwić forsowanie Narwi lewemu skrzydłu II Frontu Białoruskiego. Później rozwijać natarcie w ogólnym kierunku na Toruń i Łódź. (Ibidem. s. 97)

Komentując ten rozkaz Iwanow podkreśla, że choć rozkaz ten tylko raz odnosił się wprost do Warszawy, to był on niewątpliwie planem przeprowadzenia operacji warszawskiej, której głównym celem było opanowanie polskiej stolicy. Dalej autor opisuje militarne możliwości i działania sowieckie od 18 do końca lipca. Wskazuje on m.in. na to, że dowódca 2 Armii Pancernej gen. Radziejewski był bardzo optymistycznie nastawiony co do szans zajęcia Warszawy, gdyż 30 lipca 3. i 8. Korpusy Pancerne Gwardii znajdowały się w odległości od ośmiu do kilkunastu kilometrów od Warszawy, osiągając okolice Radzymina, Wołomina, Okuniewa i Radości.

Autor odnosi się do stanu sił niemieckich, które okazały się tak słabe, że wszystkie zadania ofensywy sowieckiej rozpoczętej 18 lipca, wykonane zostały siłami związków taktycznych pierwszego rzutu – obu pancernych korpusów gwardyjskich. Za to trzon 2 Armii Pancernej (m.in. 16 Korpus Pancerny) był praktycznie nienaruszony, w trakcie marszu był wyposażony w samobieżny amerykański sprzęt przeprawowy oraz uzupełniany brygadą inżynierską – wszystko to zapewniało 2 Armii Pancernej zdolność przeprowadzenia pełnej skali operacji przeprawowej na Wiśle. Istniały w tym czasie także wystarczające odwody, w tym m.in. I frontu Białoruskiego – 2 korpusy Kawalerii Gwardii, dywizja artylerii dysponująca pułkami artylerii ciężkiej i najcięższej, zwane artylerią przełamania, posiadały one też gotowe środki przeprawowe

w wystarczającej ilości i jakości do przeprawienia przez Wisłę każdego typu jednostek, włącznie z pułkami czołgów ciężkich IS-2.

Kolejną okolicznością podnoszoną przez badaczy, uprawdopodobniającą możliwość szybkiego zajęcia Warszawy przez Rosjan, były oznaki rozkładu sił niemieckich, czego wyrazistym przykładem był odwrót niemieckiej 73 Dywizji Piechoty odpowiedzialnej za obronę praskiego przedmościa.

Niemieckie źródła – dokumenty OKH, jak i 9 Armii gen. Nikolauśa von Vormanna, również pokazują olbrzymią przewagę Sowieców – szacowaną nawet w stosunku od 4–1 do 7–1, w zależności od rodzaju wojsk.

Wreszcie opisując okoliczności, w których zapadła decyzja walki o Warszawę warto też przywołać cytowane przez Żencyzkowskiego opinie z omawianego okresu, zawarte w dzienniku niemieckiej 9 Armii odnoszące się do zamiarów strony sowieckiej:

W (...) Dzienniku 9 Armii wyrażano przekonanie, że tak duża przewaga sił, jaką dysponuje I Front Białoruski „wskazuje, że nieprzyjaciół przywiązuje dużą wagę do pokonania Wisły i zdobycia Warszawy, tym bardziej, że Wisła przedstawia ostatnią poważną barierę przed właściwą granicą Niemiec”. (Tadeusz Żencyzkowski *Samotny bój Warszawy*, s.24).

Należy tu także uwzględnić wydarzenia następujące po dokonaniu przez Niemców ogromnego wysiłku przetrzucenia na przełomie lipca i sierpnia do walki o Warszawę 5 dywizji pancernych. Dywizje te (Herman Goering, 3 SS Tottenkopf, 5 SS Viking, 19 Dolnosaksońska i 3 Dywizja Pancerna), które mimo mocno zaniżonych stanów ludzi i sprzętu zatrzymały 3 i 8 Korpusy Pancerne Gwardii, zadając im straty w bitwie pancerniej pod Warszawą. Nie były one jednak w stanie trwale, w sensie strategicznym, ustabilizować frontu. Nawet po tej bitwie 2 Armia Pancerna Radziejewskiego zachowała zdolności ofensywne i nadal posiadała ponad 2-krotną (350 vs 170) przewagę w liczbie czołgów nad dywizjami niemieckimi.

Jednocześnie stało się zupełnie jasne, że Niemcy muszą starać się utrzymać za wszelką cenę w lipcu i sierpniu front na Wiśle i wykorzy-

stanie Warszawy jako twierdzy, i objęcie jej terenu bitwą jest zagrożeniem bardzo realnym, jest praktycznie pewne.

Trzeba zauważyć, że, jak pisze na przykład gen. Bór-Komorowski w swoich wspomnieniach, informacje o błyskawicznych postępach Sowietów jak i słabości Niemców były już także w lipcu dzięki pracy Oddziału II (wywiad) w posiadaniu KG AK. Były to m.in. tak istotne wiadomości jak depesze Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu o rozpoczęciu generalnego natarcia sowieckiego na Warszawę oraz o ujęciu przez Sowietów dowódcy 73 dyw. piech. gen. Franka z końca lipca. Docierały do KG AK jedna po drugiej, budując obraz, który można było uznać za sytuację bliską apogeum bitwy o Warszawę. Dowódcy AK znaleźli się pod ogromną presją, w swego rodzaju sowiecko-niemiecko-polskim morderczym wyścigu o kontrolę nad Warszawą.

T. Żencykowski przytacza w swym cytowanym wyżej opracowaniu opinie płk LWP Kazimierza Sobczaka, komendanta Wojskowej Akademii Politycznej, który publikując w 1967 roku swe opracowania dotyczące Powstania, podkreśla szczególnie istotne znaczenie omawianego tu wcześniej rozkazu sztabu Generalnego Armii Czerwonej z 28 lipca dla I Frontu Białoruskiego.

Płk Sobczak przyznaje też słuszność ocenom KG AK, co do zamiarów sowieckich w stosunku do Warszawy. (Patrz. T. Żencykowski *op. cit.* s. 23)

Na koniec tej części rozważań pozostaje do uwzględnienia jeszcze kilka okoliczności stanowiących istotny kontekst podjęcia decyzji o walce o Warszawę.

W połowie lipca 1944 roku Rząd RP i KG AK nie miały wystarczającej wiedzy o decyzjach teherańskich, choć Polska była wciąż związana układami sojuszniczymi z głównymi aliantami zachodnimi, AK stanowiła istotną część wymiernej siły, jaką było Wojsko Polskie, a legalne władze jako uczestnik Wielkiej Koalicji miały prawo oczekiwać i obowiązek domagać się od sojuszników wsparcia politycznego i militarnego dla zachowania niepodległości Polski i dla prowadzonej nieprzerwanie od początku wojny walki z Niemcami.

Rozmowy Mikołajczyka w Moskwie, które spowodowane pośred-

nictwem Churchilla rozpoczęły się w końcu lipca, toczyły się jeszcze kilka dni w trakcie Powstania.

To, że zakończyły się niepowodzeniem, nie wynikało z winy strony polskiej, lecz stąd, że nie uległa ona dyktatowi Stalina, którego przyjęcie oznaczałoby zgodę na utratę suwerenności Polski, tak samo jak przyjęcie ultimatum Hitlera z 1939 roku. Stało się tak również dlatego, że zarówno Roosevelt jak i Churchill domagając się od rządu polskiego nawiązania rozmów z Sowietami oraz nasilenia akcji zbrojnej AK przeciwko Niemcom dla wsparcia Sowietów, nie podjęli jednocześnie działań, które w wystarczającym stopniu wsparłyby AK militarnie, jak i rząd polski politycznie wobec Stalina. Tak charakteryzuje tę sytuację Norman Davies:

W 1944 roku zachodnie siły wciąż działały w wierze, że wszystkie problemy zostaną uzgodnione podczas wielkiej międzynarodowej konferencji pokojowej zbliżonej do tej, która rozstrzygnęła Pierwszą Wojnę Światową w 1919 roku. Do tego momentu uważano decyzje podjęte na konferencji w Teheranie za tymczasowe. O Jaltcie jeszcze nikt nie myślał. Natomiast Rządowi na uchodźstwie powiedziano bez ogródek, że przyszłość Polski będzie zagrożona, jeśli Armia Krajowa NIE będzie walczyła. (<http://natemat.pl/70183,profesor-norman-davies-dla-natemat-osiem-tez-o-powstaniu-warszawskim>).

Podjęcie takich działań militarnych było możliwe – czego dowodem jest skala pomocy, którą uruchomiono dopiero we wrześniu (lotnicza wyprawa amerykańska 18 września). Zgoda Stalina na przeprowadzenie tej operacji została wymuszona przez aliantów dopiero 9 września.

Kilka tysięcy sztuk broni strzeleckiej, granatów, kilkaset sztuk piątów i lekkiej broni maszynowej zrzucone na Warszawę w sierpniu zmieniło istotnie układ sił i możliwości bojowe AK. Nie zostało to zrobione, dlatego że Amerykanie uzależniali swoje działanie od zgody Stalina. Co ciekawe, ten godził się na lądowanie samolotów alianckich realizujących operację „Frantic” na lotniskach na Ukrainie (Połtawa, Mirogród) w trakcie trwania Powstania, po wyprawach bombowych na niemieckie miasta (na przykład bombardowanie Chemnitz). Powstaje kwestia, dlaczego nie wykorzystano możliwości, by jednocześnie bom-

bardując niemieckie miasto dokonać zrzutów nad Warszawą w dużo większej skali niż to miało miejsce w sierpniu, a nie pozostawać biernie wobec sowieckiej odmowy lądowania po zrzutach dla Warszawy („Frantic”6).

Jak wiadomo, szerokie starania dyplomatyczne władz polskich w perspektywie doraźnej uzyskały tylko ograniczone rezultaty w zakresie pomocy wojskowej dla AK, a w kluczowych sprawach politycznych uzyskano niezwykle ważne, choć spóźnione, bo przyznane dopiero 30.08.1944, nadanie AK i władzom krajowym statusu kombatantów-żołnierzy koalicji antyhitlerowskiej. Nawet taką, zdawałoby się oczywistą decyzję sojuszników ratującą ludność cywilną i żołnierzy AK przed wymordowaniem, trzeba było wywalczyć! Waga tej decyzji polegała moim zdaniem też na tym, że dawała szansę na skrócenie walki w Warszawie. W praktyce pomogła wynegocjować godne warunki układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie 2 października 1944 roku.

W przedstawionym kontekście uznaję także, że najważniejszym uzyskanym rezultatem wszystkich działań dyplomatycznych władz RP oraz walki o Warszawę było wywarcie istotnego wpływu na niezrealizowanie najgorszego scenariusza, to jest inkorporacji Polski do Związku Sowieckiego.

Stało się tak również dlatego, że niezwykle brutalna postawa Stalina wobec Polski skłoniła aliantów zachodnich w końcu do uznania, że ich minimum w sprawie polskiej jest zachowanie przez nasz kraj jakiejś formy własnej państwowości.

Nie można więc godzić się z twierdzeniami, że podjęcie decyzji walki o Warszawę było nieodpowiedzialne z powodu braku uzgodnień z Sowietami czy ograniczonych szans militarnego wsparcia AK przez aliantów.

Zarzut taki oznacza w gruncie rzeczy postawienie tezy, że z powodu przewagi Sowietów, którzy w sojuszu z Hitlerem napadli na Polskę w 1939, należało przed Stalinem bezwarunkowo kapitulować i to w takim stadium wojny, w którym było już jasne, że Niemcy będą pokonane.

Taka kapitulacja oznaczałaby zakwestionowanie sensu walki podjętej w 1939 roku i trwającej przez pięć lat okupacji, a także rezygnację z podejmowania możliwych przecież w lipcu 1944 suwerennych decyzji politycznych i militarnych, mogących jeszcze wywrzeć realny wpływ na sprawę niepodległości i przyszłego kształtu Polski. Podobną opinię prezentuje Jan Nowak-Jeziorański:

Warszawę i Polskę można było uratować przed straszliwym upływem krwi tylko w jeden sposób. Było nim szukanie porozumienia ze Stalinem w latach 1943–1944 na warunkach przez niego podyktowanych. Taka bezwarunkowa kapitulacja wystawiłaby polską metrykę rządowi komunistycznym osadzonemu w Lublinie, a później w Warszawie przez sowiecką przemoc. (...)

Byłoby to równoznaczne z poddaniem się nieprzyjacielowi (...) w znaczeniu moralnym i politycznym. Obróciłoby to w nonsens całą, tak drogo okupioną pięcioletnią walkę z Niemcami. Nie po to przecież Polska prowadziła kosztem olbrzymich ofiar walkę z jednym okupantem, by rezygnując z wszelkiego oporu poddać się bez walki, nawet w sensie moralno-politycznym, drugiemu.

Odrzucenie tej drogi wyphywało z instynktu związanego z właściwościami polskiej natury. Dzięki temu ocalało poczucie spójni i jedności. Nigdy przedtem w całej naszej historii naród nie osiągnął takiego zespolenia jak w czasie wojny. Poza jej nawiasem pozostała nieliczna, rządząca grupa komunistów. Ich stosunek do Powstania Warszawskiego i AK, a także całkowita uległość wobec wrogiej polityki Moskwy doprowadziły do jeszcze większej izolacji rządzących. Linia podziatu (...) znalazła swój wyraz w owym przeciwstawieniu „my” i „oni”. Ta niewidoczna spójnia wiązała się z obecnością w zbiorowej świadomości (...) walki podziemnej, Powstania Warszawskiego i walki na wszystkich frontach świata. Pomimo pozorów przetrwała na dnie duszy nawet najgorsze czasy stalinowskie i odradzała się w chwilach wielkich zrywów 1956 i 1980 roku. „Solidarność” miała swój rodowód wywodzący się z czasów wojny. (Jan Nowak Jeziorański, Powstanie Warszawskie – refleksje po latach, [w:] Operacja „Burza” i Powstanie Warszawskie 1944 pod redakcją Krzysztofa Komo-

rowskiego, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa, s. 576–577).

Jak wynika nawet z tej części dokumentów sowieckich, które są ujawnione, Stalin zaplanował zajęcie Warszawy w sierpniu 1944. Znałe są konkretne terminy – 5–8 sierpnia, według cytowanego wyżej rozkazu nr 220162 z 28 lipca oraz 25 sierpnia według planu przygotowanego 8 sierpnia przez Żukowa.

Polskojęzyczna sowiecka agentura – komuniści (co wynika z ich dokumentów) wiedzieli o tych planach i przygotowywali się do demonstracji i przejęcia władzy, a cały czas aktualny był scenariusz proklamowania Polski 17. republiką sowiecką.

KG AK i Rząd – strona polska nie znała dat i konkretnych rozkazów, lecz trafnie interpretowała działania sowieckie, a także racjonalnie oceniała sytuację i zamiary Niemców.

Z punktu widzenia Niemców, ze względów wojskowo-strategicznych, a także politycznych, Warszawa w ogóle, a w lipcu i sierpniu 1944 po zniszczeniu przez Sowietów Grupy Armii Środek, w szczególności, musiała być broniona.

Po pierwsze dlatego, że była bardzo ważnym strategicznie punktem zajętego kraju. Leżała w jego centrum, nad brzegiem dużej rzeki, która w znaczący sposób ułatwia obronę.

Po drugie, wraz z Gdańskiem i Wrocławiem Warszawa tworzyła trzy punkty w linii, trzy ważne punkty, na których oprzeć można było obronę.

Po trzecie, Warszawa była stolicą okupowanego kraju. Stracić ją, znaczyło stracić Polskę. Politycznie i propagandowo miało to ogromne znaczenie.

W świetle przeprowadzonej analizy uważam, że odpowiedź na pytanie o prawidłowość dokonanej w lipcu przez Rząd RP i KG AK oceny politycznych i militarnych zamierzeń Stalina, oraz oceny sytuacji strategicznej na froncie, które były podstawową przesłanką decyzji o konieczności podjęcia walki o Warszawę, powinna być twierdząca.

I.5. Decyzja o podjęciu walki o Warszawę a wybór momentu rozpoczęcia walki. „Mapa Moczulskiego” – plan i efekty prowadzonej walki, rachunek strat stron, alternatywy, błędy popełnione przez strony. Skutki wewnętrzne i międzynarodowe.

Jestem zdania, że podstawowym nadużyciem tych historyków i publicystów, którzy krytykują decyzję o wybuchu Powstania jest to, że nie próbują nawet odpowiedzieć na pytanie, jakie realne opcje mieli wtedy Rząd RP i dowódcy Powstania. Prezentują argumentację przeciw decyzji o walce o Warszawę wyłącznie z pozycji oceny ex post i epatowania tragedią zniszczonego przez Niemców (dzięki Sowietom) miasta i ofiar ludności cywilnej. Jedyną przyczyną tragedii miasta jest dla nich decyzja dowódców AK, a planów i zamiarów niemieckich i sowieckich wobec miasta, aktualnych przed wybuchem Powstania i kontynuowanych po jego zakończeniu, nie warto w ogóle rozważać.

Moim zdaniem, wbrew „historycznej konieczności” nigdy nie jest tak, że wszystkie skutki mogły być zakładane lub w pełni przewidziane. To komunistyczny dogmat, jak to wyżej cytowany Leszek Moczulski określił, powtarzany milion razy i bezrefleksyjnie wbijany do głowy perelowski propagandowy stereotyp: wybuch Powstania – tragedia, nie ma wybuchu powstania – nie ma tragedii – to taki prosty, łatwy do zrozumienia dla każdego schemat.

Czy ów brak Powstania ma więc oznaczać automatycznie, że: nikt nic nie burzy, ludzie nie giną, Rosjanie wkraczają do miasta a Niemcy szybko uciekają – Warszawa jest uratowana? Żeby sprowadzić to do absurdu, można jeszcze dodać, że wszystko przebiega ze szczególną dbałością obu okupacyjnych stron o bezpieczeństwo ludności cywilnej, zachowanie zasad konwencji genewskiej i zabezpieczenie dóbr kultury. Warto w tym miejscu zacytować Władysława Bartoszewskiego, który w jednym z wywiadów mówił:

Dla nas Powstanie było oczywiste – my albo oni. Wóz albo przewóz. Czy pan sobie wyobraża, że Niemcy mogliby ścierpieć na bezpośrednim zapleczu frontu Warszawę najeżoną ukrytą bronią i dyszącą chęcią od-

wetu? *Takie bajki można opowiadać dzieciom.* (Cytat z wypowiedzi W. Bartoszewskiego, patrz Mariusz Jarosiński. Dzieje.pl artykuł *Powstanie Warszawskie 1944*. 31.07.2017).

Tak zwani „realiści” nie pokazują faktów dotyczących skutków bitew miejskich tej samej wojny w kontekście bitwy o Warszawę w 1944 roku. Zaczynając od absurdalnego wojskowo, podyktowanego głównie względami propagandowymi a nie militarno-strategicznymi oblężenia Stalingradu – ci sami „realiści” nie zarzucają stronom tego konfliktu błędów politycznych, militarnych, nie liczenia się z ludnością cywilną, celowego wywołania katastrofy i tragedii miasta. Można by pomyśleć, że uważają, że cena życia ofiar jest różna w zależności od położenia geograficznego i przynależności narodowej...

Nie warto, zdaniem „realistów” ożywiających komunistyczne stereotypy i tworzących ich „nowoczesną” i „słuszną” wersję, brać pod uwagę na przykład skutków bitwy o Mińsk na Białorusi gdzie w wyniku działań zniszczone zostało 60% zabudowy, a ofiar wśród ludności nikt nawet dokładnie nie liczył. Podobnie nie jest dla nich ważne, w kontekście strat Powstania Warszawskiego, porównanie z wielomiesięczną historią oblężenia Wrocławia (Festung Breslau), gdzie nie mogło być oczywiście żadnego powstania, a w trakcie bitwy zniszczone zostało 40% zabudowy i gdzie walki pochłonęły 160 tys. ofiar na 650 tys. przedwojennej populacji miasta.

Brak jest refleksji porównawczej dotyczącej na przykład oceny politycznych szans i skutków Powstania Węgierskiego z 1956 roku, także w kontekście ofiar węgierskich – około 3 tys. zabitych i 27 tys. rannych, kilkudziesięciu tysięcy uwięzionych oraz deportowanych do Sowietów i exodusu nawet 200 tys. Węgrów na Zachód. Nie słyszałem, żeby oprócz sowieckich oprawców i sowieckiej agentury węgierskiej, ktoś poważny twierdził, że Imre Nagy, czy Pál Maléter to zbrodniarze, którzy wysłali młodzież z koktajlami Mołotowa na sowieckie czołgi, w walce, którą nieodpowiedzialnie rozpoczęli z potężnym Związkiem Radzieckim, nie będąc członkiem żadnej koalicji, nie mając szans na jakąkolwiek realną pomoc, z wyjątkiem (m.in. polskiej) humanitarnej.

Nie chodzi o to, by prowadzić debatę „co by było gdyby”, ale o to, by dokonywać ocen politycznych i militarnych w kontekście faktów – tego, co się stało i stanowi ewidentnie istotny kontekst podejmowanych w ówczesnych warunkach decyzji politycznych i wojskowych, dotyczących nie tylko samego Powstania, ale także sposobu i celów prowadzenia wojny, sukcesów i porażek jej głównych aktorów.

Tak pisze na ten temat Norman Davies:

To nieprawda, że dowództwo Armii Krajowej pozostawało obojętne na los cywilów. Orientowali się, że niektórzy cywile byli przeciwni Powstaniu. Równocześnie mieli dobre powody ku temu, by uważać, że NIE rozpoczęcie Powstania może przynieść skutki katastrofalne. Najgorszym scenariuszem dla cywili byłaby długa bitwa frontowa pomiędzy Wehrmachtem a Armią Czerwoną, która toczyłaby się w obrębie miasta. (Nieco wcześniej dziesiątki tysięcy mieszkańców Mińska białoruskiego zginęło w taki sposób). (<http://natemat.pl/70183,profesor-norman-davies-dla-natematosiem-tez-o-powstaniu-warszawskim>).

Uważam, że twierdzenie o winie Dowództwa AK za zniszczenie Warszawy i tragedii ludności cywilnej, to teza wyłącznie polityczna, ignorująca odpowiedzialność Sowietów, Niemców i aliantów zachodnich, wygodna szczególnie w czasie trwania wojny, choć też po jej zakończeniu dla wszystkich głównych, poza Polakami, aktorów politycznych i militarnych wydarzeń.

W szczególności jednak teza ta pokutująca i odgrzewana do dziś, jest chyba jedynym argumentem, na którym PPR, czyli sowiecka agencja w Polsce, mogła budować jakiegoś rodzaju legitymację do rządzenia. Dlatego dowództwo AK i Rząd RP musiały okazać się co najmniej nieodpowiedzialnymi politycznymi bankrutami, których na szczęście zastąpiła „realistyczna” władza „demokratów” z PPR.

Wobec ciężaru traumy po tragedii Powstania, był to praktycznie jedyny dający pozory wiarygodności kierunek krytyki wobec legalnych władz RP. Bo w to, że, tak jak opowiadał publicznie dziennikarzom zachodnich mediów niejaki „marszałek” Żymierski, Bór-Komorowski uciekł z Warszawy i negocjował z Hitlerem, a także w to, że AK kolaborowało z Niemcami przez całą okupację, dzięki walce

Polskiego Państwa Podziemnego, nie wierzył wtedy w Polsce ani na zachodzie nikt.

W świetle faktów potwierdzanych dokumentami, należałoby także, wbrew teozom „realistów” o tym, że zniszczenie Warszawy to wina dowódców AK, przypomnieć, że: zabudowa Warszawy została zniszczona przez Niemców w około 10–15% we wrześniu 1939 roku. Następnie planowe wyburzenie dużej części lewobrzeżnej Warszawy związane jest z likwidacją przez Niemców getta w 1943 roku po kwietniowym Powstaniu Żydów (którym jednak na szczęście nikt nie zarzuca, że zniszczenia te są ich winą). W wyniku walk powstańczych w sierpniu i wrześniu 1944 zniszczone zostało około 25–30% zabudowy miasta. Reszta – tj. do poziomu łącznie i średnio, w zależności od typu budynków – około 80%, jest wynikiem planowej działalności wyburzeniowej wojsk niemieckich po Powstaniu, przede wszystkim w odniesieniu do lewobrzeżnej Warszawy.

Żaden z „realistów” twierdzących, że wyburzenie miasta po Powstaniu było podyktowane chęcią zemsty za jego wywołanie, nie wykazał, że Niemcy nie dokonywali planowych wyburzeń w związku z przygotowaniem do obrony i realizacją koncepcji Festung Warschau już pod koniec 1944 roku.

Należy też pamiętać, że plany wyburzenia Warszawy istniały od 1940, rozwijane były w 1941 i 1942 roku, a po klęsce „Barbarossy”, także w 1944 roku wiązały się z:

po pierwsze – niemieckimi koncepcjami tzw. Planu Pabsta (redukcją miasta do aglomeracji 130 tysięcznej niemieckiej ludności mieszkających na około 7 km² powierzchni);

po drugie – z realizacją planów Festung Warschau;

wreszcie, po trzecie, z działaniami eksterminacyjnymi wobec mieszkańców Warszawy (około 45 tys. warszawiaków, oprócz ludności żydowskiej, wywiezionych zostało do obozów koncentracyjnych), również pozostającymi w związku z istnieniem od 1943 roku obozu koncentracyjnego, obejmującego sąsiadujące ze sobą Pawiak i Gęsiówkę i tereny Woli na zapleczu Dworca Zachodniego, pod nazwą KL Warschau.

To właśnie wybuch Powstania zakłócił i przerwał realizację tych wszystkich działań. Trzeba też w tym miejscu przypomnieć fakty, które miały miejsce po Powstaniu, gdy mimo uzyskania przez członków AK praw kombatanckich i uznania ich przez Niemców oraz zagwarantowania humanitarnego traktowania wysiedlanej ludności cywilnej, nawet do 60 tys. warszawiaków trafiło do obozów koncentracyjnych lub na roboty przymusowe, a nie do obozów jenieckich. To *à propos* tezy: nie ma Powstania – nie ma nieszczęścia. Wydaje się, że także wobec istnienia KL Warschau, nawet w przypadku niepodjęcia walki w Warszawie przez AK, w obliczu nieuchronnej bitwy o miasto w sierpniu 1944 oraz potrzeb kontroli sytuacji w pasie frontowym, działania eksterminacyjne Niemców i wywózki do obozów koncentracyjnych były aż nadto prawdopodobne.

Warto w tym miejscu przytoczyć słowa gen. Tadeusz Bora-Komorowskiego:

Gdybyśmy zachowali się zupełnie biernie, Warszawa nie uniknęłaby zniszczeń i strat. Musieliśmy się liczyć z tym, że jeśli stolica stanie się polem bitwy i walk ulicznych między Niemcami i Sowiecami, może ją czekać los Stalingradu. Wiedzieliśmy o przygotowaniach niemieckich do masowej ewakuacji ludności. (Władysław Bartoszewski *Dni walczącej Stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego*. Świat Książki Warszawa 2004. Muzeum Powstania Warszawskiego, s. 462).

Zainteresowani powinni sięgnąć do pracy dr. hab. Andrzeja Leszka Szczęśniaka *Plan zagłady Warszawy, KL Warschau* oraz do przygotowanego jesienią 2004 roku przez zespół prof. Wojciecha Fałkowskiego na zlecenie prezydenta Warszawy prof. Lecha Kaczyńskiego *Raportu o stratach wojennych Warszawy*, wiosną 2005 roku uzupełnionego o aneks dokumentacyjny.

Dowódcy AK w lipcu 1944 działali przy bardzo ograniczonym polu manewru, także w tym sensie, że oprócz nacisku dołów AK i ludności Warszawy, dla których walka o miasto była oczywistością niecierpliwie wyczekiwaną, mieli więcej niż uzasadnione podstawy, aby zakładać, że Warszawa stanie się polem bitwy. Wynikało to z dokonanej przez KG AK analizy działań wojskowych Sowieców i (zgodnego akurat z nie-

mieckim) przekonania, że Warszawa będzie uporczywie broniona. Mogli i powinni byli więc zakładać, że są jedyną siłą, która ma obowiązek i możliwości, aby wystąpić w obronie miasta i jego mieszkańców. Jako jedna z ważnych przesłanek decyzji o konieczności podjęcia walki o Warszawę, było to jedyne realistyczne założenie. Tylko tak mogli realnie bronić warszawiaków.

Tak odpowiadał krytykom Powstania jego uczestnik, szef Oddziału II KG AK, płk. Kazimierz Iranek-Osmecki.

Trzeba było przeżyć 5 lat okupacji w Warszawie w cieniu Pawiaka, trzeba było słyszeć codziennie odgłosy salw, tak że przestawało się je słyszeć, trzeba było asystować na rogu ulicy przy egzekucji dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu przyjaciół, braci lub nieznanym z ustami zaklejonymi gipsem i oczami wyrażającymi rozpacz lub dumę. Trzeba było to wszystko przeżyć, aby zrozumieć, że Warszawa nie mogła się nie bić. (Polmedia.pl, *Powstanie Warszawskie, czyli hybris contra fatum* – Jan Kołakowski. 31.07.2015).

Trzeba dodać, że sowiecko-niemiecka bitwa o Warszawę w sierpniu 1944, mogła, jak wynika z sowieckich planów operacji warszawskiej, mieć także taki przebieg, że oskrzydłone z przyczółków na południu i na północ od Warszawy wojska niemieckie, tylko częściowo zdołałyby pośpiesznie opuścić linię Wisły. Część wojsk frontowych i niemiecki garnizon warszawski mógł być dość łatwo zamknięty w okrążeniu i bronić się tak, jak chciał Hitler „za wszelką cenę”, jak najdłużej, tak jak Wrocław czy Poznań, a gros sił sowieckich I Frontu Białoruskiego parłaby dalej, jak określa to powoływany wyżej rozkaz Stawki z 28 lipca 1944, w „(...) kierunku na Toruń i Łódź”.

Krytycy decyzji dowództwa AK nie próbują odpowiedzieć na przykład na pytanie, w jaki sposób, nie ogłaszając przed wejściem Sowietów mobilizacji Okręgu, miałyby Komenda Główna i warszawska AK, wykonać alternatywne wobec walki o miasto (czyli Powstania) zadanie zawarte w planie powstania powszechnego, czyli założenie wykonania ochrony ludności cywilnej przed wywózką i eksterminacją oraz jak miałoby dokonać wyprowadzenia z miasta około 4000 żołnierzy Kedywu na terenie frontowym i przyfrontowym ogromnie nasyconym wojskiem niemieckim?

Zakładając, że nie podejmują walki o Warszawę, czekając na zajęcie miasta przez Sowieców, jak w trakcie mobilizacji garnizonu niemieckiego i w trakcie toczącej się już walki w mieście mieliby w ogóle dowodzić oraz dokonać sztuki utrzymania kontroli i zapobiegania chaotycznemu włączaniu się do walki zdyscyplinowanej, ale jednak podziemnej, ochotniczej armii, która miałaby pełne prawo czuć, że została zdradzona przez dowódców? Analogia z wrześniem 1939 roku i powszechną negatywną oceną przekroczenia granicy rumuńskiej przez Naczelnego Wodza nasuwa się nieodparcie. To są oczywiście pytania retoryczne.

Chciałbym jednak usłyszeć, dowiedzieć się od „realistów”, czym ów „odpowiedzialny realizm”, polegający na niepodjęciu walki, różniłby się tak naprawdę od jedynej realnej – wykonalnej alternatywy tj. porzucenia przez dowództwo AK obowiązków dowódczych i żołnierzy, zupełnego unicestwienia jako zorganizowanej siły Okręgu Warszawskiego, pełnej kapitulacji wobec obu agresorów oznaczającej po prostu dezercję w obliczu wroga, w imię tzw. „zachowania substancji”.

Jak ktokolwiek o zdrowych zmysłach, wtedy i dziś może odpowiedzialnie twierdzić, że można było wymagać i realistycznie oczekiwać takiego zachowania od wysokich rangą oficerów Wojska Polskiego i w ogóle jakichkolwiek odpowiedzialnych i posiadających oficerski honor dowódców. Wtedy w lipcu 1944 roku mogli tylko walczyć lub uciec, rezygnując z Wolności i Honoru, oddając „rząd dusz” w Polsce Stalinowi i agenturze PPR-owskiej, występującym wtedy jako jedyni, którzy „walczyli o Polskę i ją oswobodzili”.

Tak ocenia tę sytuację profesor Jerzy Kłoczowski – historyk, weteran Powstania Warszawskiego, który walcząc w pułku Baszta, stracił rękę w walkach o Królikarnię. Odznaczony m.in. Orderem Orła Białego, Orderem Wojennym Virtuti Militari i Orderem Polonia Restituta, zmarł niedawno, 2 grudnia 2017 roku w wieku 93 lat.

Dla „beczki prochu”, jaką była podziemna Warszawa na przełomie lipca i sierpnia i jej armii mocno wspartej o całą społeczność miasta, nie było właściwie dobrego wyjścia bez największego ryzyka. Można było, teoretycznie, kapitulować wobec Berlina czy Moskwy, wyprowadzić wojsko z miasta, zostawiając je bez osłony, siedzieć cicho ze strachem, że ktoś tę

beczkę prochu podpali (wojsko i tak z największym wysiłkiem trzymane było w ryzach). Te alternatywy związane przecież z nieobliczalnymi stratami na bliską i daleką metę, od złamania kręgosłupa moralnego walczącego i jakże zaangażowanego w sprawę pokolenia poczynając, trzeba mieć mocno w pamięci. Wybór Powstania, niezależnie od wszelkich kalkulacji politycznych decydentów, miał akceptację wojska i miasta w stopniu – wszystko na to wskazuje – dużo większym od poprzednich wielkich powstań polskich. (Jerzy Kłoczowski, Powstanie Warszawskie w pamięci i historiografii [w:] Operacja „Burza” i Powstanie Warszawskie 1944 pod redakcją Krzysztofa Komorowskiego, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa, s. 592).

Teza, że Rząd RP i dowództwo AK mieli jakkolwiek inny wybór jest tak samo uczciwa i słuszna, jak wygłaszane przez byłych lokatorów ministerialnych gabinetów i jednocześnie niedoszłych unijnych „luminary” kabotyńskie wpisy na forach internetowych o nieodpowiedzialnych dowódcach rzucających AK do walki z 1900 sztukami broni, albo dokonujących „realistycznej rewizji” szkodliwego mitu Powstania, intelektualnych troglodytach odkrywających jakieś „opcje niemieckie” czy rewelacje o bezsensie Powstania, ze względu na zabicie tylko 1900 Niemców.

Ma to z rzetelną oceną i prawdą także tyle wspólnego, co słynne twierdzenia o AK jako organizacji mordującej Żydów oraz o tym, że w drugiej wojnie światowej Polacy zabili 20 tys. Niemców i 200 tys. Żydów, więc, w domyśle, trzeba na nowo ustalić, z kim w ogóle Polacy tę wojnę prowadzili.

Bardzo ciekawe jest to, jak niezwykle bliscy sobie są w niektórych „ponadczasowych” celach i konkluzjach „słusznie” rewidujący historię panowie – żydowski „historyk” Jan Tomasz Gross i hitlerowski, a później zachodnioniemiecki generał Reinhard Gehlen. Generał, który był autorem raportu przygotowanego dla Himmlera w 1945 roku, wysoko oceniającego m.in. Polskie Państwo Podziemne i jednocześnie powojenny twórca i dowódca wywiadu RFN – BND oraz autor znanego, stanowiącego kanon dla wielu postępowych europejskich „realistów” terminu „polskie obozy koncentracyjne”. Do niektórych wątków dotyczących Gehlena powrócę jeszcze nieco później.

Kolejnym przykładem komunistycznej, lecz także uprawianej dziś dość trywialnej manipulacji opartej na goebbelsowskiej zasadzie powielania i wdrukowywania w świadomość bzdury, która staje się w końcu prawdą, jest granie wielkością strat, zarówno w odniesieniu do strat wojska, jak i ludności cywilnej, dla wykazania rzekomej zbrodniczej działalności dowódców AK.

28 sierpnia 1944 r., a więc pod koniec czwartego tygodnia warszawskich walk, odbyła się w Lublinie konferencja prasowa nowych władz ludowych, czyli Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Oficjalny dziennik „Rzeczpospolita” relacjonował: „Jeden z korespondentów: Ilu ludzi straciła Warszawa od chwili wybuchu Powstania? Generał Żymierski: W przybliżeniu cyfrę tę określamy na 200 tys. zabitych”. Skąd Żymierski to wiedział, skoro PKWN nie miało kontaktu ze stolicą, a liczba poległych była w tym czasie nieznana nawet dowództwu AK? (Żonglowanie stratami Powstania, Rafał Jabłoński, „Życie Warszawy” 1.10.2009).

„Klasyk” – agent NKWD – w peerlowskiej propagandzie „legendarny generał Rola”, czyli wcześniej wspomniany autor tezy o ucieczce Bora-Komorowskiego z Warszawy, przyjechał do Lublina z głębi sowieckiej Rosji i po prostu, tak zresztą jak wszyscy lubelscy PPR-owcy, nie miał pojęcia o tym, co się w Warszawie dzieje. Powiedziano mu, że jest około 100 tys. ofiar, bo Niemcy masowo mordowali na Woli i Ochocie. To wydało mu się zdecydowanie za mało dla potrzeb budowania wobec prasy sugestywnego obrazu odpowiedzialnych za tragedię Warszawy przywódców „faszystowskich band Sosnkowskiego”, dlatego rzucił owe wzięte z sufitu 200 tys.

Oczywiście jakakolwiek konkretnie jest ta wielkość – pokazuje ona ogromna tragedię.

Warto byłoby jednak odwołać się do historyków, którzy zamiast powielania propagandowych bzdur, podjęli rzetelne badania agregujące dane z kilku źródeł – dokumentacji Czerwonego Krzyża, dokumentacji AK, dokumentacji niemieckiej i wreszcie danych ekshumacyjnych. W ramach m.in. publikacji IPN dotyczących strat osobowych w Powstaniu, dr hab. Andrzej K. Kunert podaje ich wysokość na 120 do

130 tys. ofiar wśród ludności cywilnej, do czego należy doliczyć ponad 16 tys. zabitych i około 20 tys. rannych żołnierzy Powstania.

Kolejny element manipulacji danymi, w duchu realizmu i słuszności weryfikującej rzekome mity dotyczące walki AK o Warszawę, to najnowsza teza o tym, że w Warszawie przez 63 dni walk Powstańcy wyeliminowali trwale, czyli zabili, tylko „mniej niż 2000 Niemców”, z czego ma znów wynikać, że ich walka była zupełnie bezsensowna, a najbardziej „absurdalna i zbrodnicza” była decyzja o jej podjęciu.

Trzeba tu zacząć od tego, że owe 2 tys. zabitych i około 8 tys. rannych, są to najniższe dane o stratach niemieckich, występujące w literaturze przedmiotu. Nawet przyjmując je, na razie bez dyskusji, należy uzmysłwić sobie, że oznacza to wyeliminowanie fizyczne praktycznie całej wielkiej jednostki szczebla taktycznego, czyli dywizji, dokonane siłami armii ochotniczej, nieposiadającej prawie w ogóle ciężkiego sprzętu bojowego, tj. artylerii, czołgów i lotnictwa. Należy przy tym pamiętać, że broń palną, biorąc pod uwagę wszystkie jednostki powstańcze, miało, co najwyżej około 7–7,5 tys. powstańców, z czego bronią strzelecką piechoty (ciężkie, lekkie i ręczne karabiny maszynowe, pistolety maszynowe i karabiny) dysponowało najwyżej około 4–4,5 tys. żołnierzy AK. Wszystkie siły powstańcze dysponowały więc uzbrojeniem dorównującym najwyżej brygadzie piechoty niedysponującej prawie wcale ciężkim sprzętem bojowym.

Ciekawa byłaby odpowiedź „realistów” na pytanie, jakim cudem taka ochotnicza zbieranina, dowodzona przez „nieodpowiedzialnych politycznych bankrutów i wojskowych dyletantów” popełniających same błędy, była w stanie przez ponad dwa miesiące, blokować normalne funkcjonowanie niezbędnego dla Niemców warszawskiego węzła komunikacyjnego. Jak to możliwe, by w większości nieuzbrojeni powstańcy wzięli walkę przez 63 dni uzbrojonych „po zęby”, dysponujących bronią ciężką i lotnictwem około 18 tysięcy żołnierzy Wehrmachtu, lotników i policji stanowiących garnizon Warszawy, okupujących budynki w otoczonych przez powstańcze oddziały częściach miasta oraz walczący od 4 sierpnia korpus gen. Ericha von dem Bacha, którego najwyższy stan osobowy to około 21 tys. żołnierzy?

Ponadto należy do nich doliczyć jeszcze wchodzące do walki w sierpniu oddziały 25 Dywizji Pancerniej, walczące w sierpniu i wrześniu poszczególne oddziały i grupy bojowe z Dywizji Pancerno-Spadochronowej Herman Goering, 19 Dolnosaksońskiej Dywizji Pancerniej, 5 Dywizji Grenadierów Pancernych SS-Viking, we wrześniu także oddziały 3 i 5 Dywizji Pancernych. Łącznie przeciwko powstańcom Niemcy angażowali stale od 30 tys. do sporo ponad 40 tys. żołnierzy. Stanowi to, nawet po odliczeniu formacji policyjnych i wschodnich, równowartość zgrupowania skali operacyjnej, czyli korpusu w sile trzech, posiadających prawie pełny stan, dywizji regularnej armii. Wydaje się oczywiste, że samo poświęcenie i męstwo Powstańców nie jest tu wystarczającą odpowiedzią.

Teraz jeszcze o manipulacjach wokół strat niemieckich. Von dem Bach podaje, że w walce z Powstaniem zginęło 10 tys., zaginęło 7 tys. i rannych zostało 9 tys. Niemców. Praktycznie identyczne dane podaje wspomniany wyżej raport gen. Reinharda Gehlena. Od razu należy tu ponownie zaznaczyć, że Gehlen to jeden z najzdolniejszych i najbardziej kompetentnych wyższych oficerów Wehrmachtu. Również wysoko ceniony, powojenny współpracownik Amerykanów, twórca zachodniemieckiego wywiadu BND i jego szef do 1968 roku.

Zwolennicy pisania „nowej historii” twierdzą, że nie należy wiązać strat podawanych w raporcie Gehlena tylko z walkami w Powstaniu, że mają to być straty wszystkich niemieckich jednostek w rejonie Warszawy w okresie od końca lipca do końca września. Otóż nawet jeśli przyjmiemy jak wyżej, że najniższe straty w walkach z Powstaniem to zabitych i rannych było odpowiednio 2 tys. plus 8 tys. ludzi, to w walkach na przedpolu Pragi zakończonych w początku sierpnia i w sowieckim szturmie Pragi we wrześniu, musiałyby zginąć i odnieść rany co najmniej 16 tysięcy żołnierzy niemieckich, aby wyczerpać poziom strat podanych w raporcie. Trzeba pamiętać, że w lipcu przeciętna liczebność zarówno niemieckich, jak i sowieckich dywizji była bardzo daleka od stanów etatowych i wynosiła przeciętnie od 4 tys. do 7 tys. żołnierzy. Niemcy użyli w lipcu bezpośrednio pod Warszawą oddziałów pięciu dywizji pancernych i 73 dywizji piechoty, która nie zdołała obronić we

wrześniu Pragi. Taka wysokość strat nieodwracalnych – około 16 tys. oznaczać musiałaby fizyczną anihilację co najmniej trzech dywizji, co jak wiadomo nie miało miejsca.

Otóż myślę, że Gehlen, mimo że wymyślił termin „polskie obozy koncentracyjne” tak skwapliwie podchwytywany m.in. przez pseudo-historyków typu T. Grossa, wraz z jego oddziałem Fremde Heere Ost w niemieckim Sztabie Generalnym Wojsk Lądowych, akurat w sprawach militarnych wydają się być dużo bardziej kompetentni i wiarygodni niż jacykolwiek teoretycy, zwłaszcza demistyfikujący historię na doraźny użytek polityczny i propagandowy.

Podsumowując, wysokość strat niemieckich w walkach z Powstańcami musiała być znacząco wyższa niż te „nowo odkryte” rewelacje o 2 tys. zabitych.

Wystarczy skonfrontować z tymi „odkryciami” poziom strat tylko dwóch jednostek walczących z Powstańcami. Chodzi o słynną bandyczką brygadę Dirlewangera i pułk RONA Kamińskiego.

Po pierwsze – oddział Dirlewangera według danych niemieckich – rozpoczął walkę 4 sierpnia, w liczbie 865 ludzi. Pod koniec Powstania w składzie tej jednostki Waffen-SS znajdowało 648 żołnierzy. Otrzymała ona uzupełnienia w liczbie minimum 2000 (niektóre dane mówią o 2500), tak więc jego straty bezpowrotne (zabici) sięgnęły między 2200 a 2700 ludzi, czyli około 300%!!! stanu wyjściowego – tzn. trzy razy w trakcie Powstania wymienił się cały skład jednostki!!! Te dane raczej nie są poważnie kwestionowane.

Po drugie – licząca na początku około 1400 ludzi brygada RONA Kamińskiego, straciła bezpowrotnie, i to biorąc pod uwagę tylko dwa starcia – 250 do 350 ludzi. W pierwszym sierpniowym, w okolicach Towarowej i Srebrnej i Dworca Głównego, w zasadzce oddziałów zgrupowania Chrobry II, według zeznań żołnierzy tej jednostki RONA przestała istnieć fizycznie, nie licząc pojedynczych przypadków ocalałych żołnierzy, prawie cała kompania licząca około 150 ludzi. W drugim, w bitwie w Truskawiu pod Izabelinem, w początku września, gdzie zupełnie rozbity przez zgrupowanie powstańcze por. Adolfa Pilcha (pseud. „Góra”, „Dolina”), został co najmniej jeden batalion pułku

i zabitych zostało według różnych źródeł od 90 do 200 rannych. Cały pułk w konsekwencji przestał istnieć – co też nie jest kwestionowane.

Sumując straty bezpowrotne tylko dwóch wyżej wspomnianych, stosunkowo niedużych liczebnie jednostek armii niemieckiej walczących z Powstańcami, mamy ostrożnie szacując, nie mniej niż 2500 zabitych, czyli o 500 więcej niż podają autorzy nowych „realistycznych” opracowań.

Idąc dalej tym właśnie tokiem „działań badawczych” demitologizujących sens walki powstańczej o Warszawę, musielibyśmy dojść do wniosku, że w świetle przytoczonych faktów przez dwa miesiące w walkach z Powstaniem na Woli, Starym Mieście, Śródmieściu, Żoliborzu, Mokotowie, Ochocie, na Sadybie i Wilanowie, na Pradze i wreszcie w Kampinosie, siły niemieckie w ogóle nie poniosły żadnych strat bezpowrotnych. Po prostu limit „realistycznych strat” Niemców się wyczerpał i nikt po ich stronie nie mógł już zginąć przez całe dwa miesiące walk. To by było tyle w sprawie manipulacji stratami w Powstaniu Warszawskim.

Konkludując, myślę, że należy założyć, że prawda na ten temat leży pomiędzy tym, co szacował ppłk dypl. „Iron” – Felicjan Majorkiewicz, oficer Oddziału III KG AK – tj. 12 tys. zabitych i rannych Niemców, a najbardziej dotąd wiarygodnymi wielkościami podanym w raporcie Gehlena.

Kolejna kwestia to zarzuty wobec KG AK, że jakoby wysłała „bezbrowną młodzież” z szablami czy raczej butelkami „na czołgi”.

Nie warto tu szerzej komentować zachowań osób, które pełniły kiedyś niestety wysokie funkcje państwowe w wolnej już, współczesnej Polsce i potrafią posunąć się do deprecjonowania walki dowódców AK, poprzez głupawe wpisy na forach internetowych, służące tandetnej autoreklamie. Ci przedstawiciele myśli „podległościowej” traktują najwyraźniej polskie symbole, tak jak strategiczne polskie interesy, jako coś, czym można frymarzyć dla osiągnięcia prywatnej korzyści.

Gen. Adam Borkiewicz, oficer KG AK, opisując w swym fundamentalnym opracowaniu – *Powstanie warszawskie – zarys działań wojskowych* cały stan uzbrojenia Okręgu Warszawskiego w chwili wybuchu

Powstania podaje 3846 pistoletów krótkich, 657 pistoletów maszynowych, 2629 karabinów zwykłych, 43 971 granatów, ponadto 145 rkm i 47 ckm/lkm. Dane te można przyjąć za zaniżone, bo uwzględniały broń pozostającą tylko w ewidencji oddziałów i dowództw, a powszechną praktyką było niewykazywanie całości uzbrojenia – znaczna jego część pozostawała poza ewidencją, ze względu na to, że było jej mało oraz z powodu niechęci do przekazywania jej innym oddziałom. Z drugiej strony, broń nie mogła być rozdysponowana proporcjonalnie do obszaru i zadań. Najlepiej uzbrojone były oddziały Kedywu KG i Kedywu Okręgu.

Trzeba tu stwierdzić, że uzbrojenie powstańców, owszem, było bardzo słabe, zwłaszcza jednak wobec założenia, że AK miałyby samodzielnie pokonać Niemców w Warszawie i zdobyć miasto. Wszyscy, nagminnie odnoszą stan uzbrojenia Okręgu do realizacji zadania opanowania ponad trzystukilkudziesięciu obiektów, zawartego w planie powstania powszechnego!

Owszem, walka o Warszawę w sierpniu musiała być i była prowadzona na podstawie tego planu, ponieważ nie było możliwe całkowite, a nawet częściowe jego zmodyfikowanie i przekazanie oddziałom pozostającym w konspiracji w kilka dni. Natomiast celem realnym było nie samodzielne pobicie Niemców i zajęcie wszystkich obiektów wroga, tylko opanowanie jak największych fragmentów miasta w celu umożliwienia ujawnienia się i przejęcia władzy na zajętych terenach władzom cywilnym.

To zadanie zostało w istotnym stopniu wykonane przy posiadanym uzbrojeniu, wystarczającym do prowadzenia działań dywersyjnych w mieście. Byłoby to niemożliwe bez centralnego i lokalnego wystarczającej jakości dowodzenia, prowadzonego według zasad wojskowych – taka ocena wyraźnie wynika też z niemieckich meldunków z pierwszych już dni walk.

Ponadto założony czas prowadzenia walki 7 do maksymalnie 10–14 dni, był założeniem jak się okazało realnym, choćby dlatego, że Powstańcze Wojsko Polskie w Warszawie okazało się zdolne unieść ciężar

nierównej walki wielokrotnie dłużej, a walka ta jest zdumiewającym przykładem skuteczności walki partyzantki miejskiej przeciwko wielokrotnie silniejszej militarnie regularnej armii.

Nie mam zamiaru nazwać klęski militarnej powstańczej walki o Warszawę zwycięstwem, ale trzeba oceniać według właściwej perspektywy i stosując uczciwe proporcje. Tak o tym pisze Norman Davies:

1 sierpnia wszyscy specjaliści wojskowi – niemieccy, sowieccy, polscy, brytyjscy i amerykańscy – byli zgodni, że Powstanie nie mogłoby trwać dłużej niż 6–7 dni. Uznano, że w ciągu tygodnia Armia Krajowa musiałaby się poddać albo Niemcom, albo nacierającym Sowietom. Generał Bór-Komorowski w rozmowie ze swoją żoną 31 lipca powiedział, że jeżeli nie zginie, to w ciągu tygodnia wyląduje w sowieckiej celi. Nikt nie zdołał przewidzieć tego, co się później wydarzy: a) Wehrmacht rozpocznie udaną kontrofensywę, która odeprze Sowietów od linii Wisły; b) SS nie będzie w stanie stłumić AK.

Armie mogą jedynie być rozliczane zgodnie ze swoimi celami. Nie mogą być potępione za to, że nie osiągnęły zwycięstw, których nigdy nawet nie próbowały osiągnąć.

Na przykład Armia Krajowa nigdy nie miała złudzeń, że „pokona Wehrmacht”, czy że „wyzwoli i utrzyma Warszawę na czas nieokreślony”. Ich założenia były skromniejsze i bardziej realistyczne. Zamierzali przejąć znaczną część miasta na okres 5–6–7 dni w taki sposób, by osłabić niemiecką linię obrony. Chcieli także, by świat usłyszał o tym, że Warszawa jest polskim miastem i że patriotyczni polscy żołnierze wewnątrz miasta są gotowi dać odczuć swoją obecność. Wszystkie te cele zostały osiągnięte. W rzeczy samej dziewięciokrotnie przekroczyły te założenia. Z punktu widzenia militarnego był to zaskakujący i znakomity sukces. (<http://natemat.pl/70183,profesor-norman-davies-dla-natemat-osiem-tez-o-powstaniu-warszawskim>).

Dochodzimy wreszcie do niezwykle istotnego problemu – decyzja o podjęciu walki o Warszawę co do zasady versus decyzja o momencie jej rozpoczęcia. Czy można, czy trzeba te kwestie analizować rozdzielnie?

Uważam, że mimo tego, że wybór momentu wybuchu walki w Po-

wstaniu Warszawskim miał oczywiście wpływ na jej przebieg i skutki, to nie ma decydującego znaczenia z punktu widzenia oceny słuszności decyzji o podjęciu walki, co do zasady.

Większość krytyków ściśle wiąże obie kwestie, odnosząc argumentację dotyczącą oceny wyboru momentu rozpoczęcia walki do zasadniczej decyzji o konieczności jej podjęcia.

Formułując to wprost – jestem przekonany, że błędy popełnione przy ustaleniu momentu rozpoczęcia walki, tak jak inne błędy w zakresie dowodzenia, które zawsze występują, w każdej toczony bitwie, nie stanowią decydujących argumentów dla oceny decyzji o charakterze zasadniczego politycznego wyboru, jaką było objęcie Warszawy realizacją „Burzy”.

Kwestie militarne są tu ściśle podporządkowane polityce i to polityczne decyzje, w dużo większym stopniu niż decyzje wojskowe kształtowały rzeczywistość Powstania Warszawskiego – od momentu jego zaplanowania przez jego wybuch i kwestię tego, jak długo miało trwać, a jak długo faktycznie trwało.

Tak jak wyżej starałem się pokazać na podstawie analizy faktów oraz ocen uczestników i historyków, Rząd RP i dowódca AK prawidłowo ocenili cele i działania Sowietów i Niemców.

Politycznego dobrego wyboru nie mieli – mogli albo skapitulować ostatecznie i w przededniu klęski Niemiec pogodzić się z aneksją Polski przez Stalina, albo wykorzystując jeszcze te własne siły, które pozostały, odrzucić dyktat Stalina i podjąć ostatnią próbę walki o realny wpływ na sprawę polską i ratowanie tego, co możliwe.

Chcę raz jeszcze podkreślić z naciskiem, że według mnie, NIEpodjęcie walki o Warszawę było wtedy opcją realną wyłącznie dla tych, którzy godzili się na kapitulację przed Stalinem, włącznie ze scenariuszem inkorporowania Polski do Sowietów. Nie było wtedy żadnych realnych podstaw, by zakładać, że bez walki Armii Krajowej, Polskę czekać może jakikolwiek inny korzystniejszy scenariusz.

Była to nadal walka militarna z Niemcami toczona od początku wojny, ale wobec niemożliwości i bezsensu walki militarnej, polityczna walka z Sowietami, którzy będąc „sojusznikiem naszych sojuszników”

byli, o czym już w 1943 roku świadczył Katyń i śmierć gen. Sikorskiego, największym wrogiem i śmiertelnym zagrożeniem dla Polski.

Z tej perspektywy to, kiedy dokładnie wybuchła walka, czy był to optymalny, czy też gorszy moment, jaka była dokładnie ilość broni w rękach Powstańców, w jakim stopniu udała się mobilizacja, było istotne o tyle, o ile wpływało na to, czy i w jakim stopniu trwanie Powstania mogło być efektywnym instrumentem polskiego nacisku na uzyskanie twardszego, a zatem korzystniejszego dla nas kursu aliantów zachodnich wobec Stalina i wpłynięcie na to, by polski głos i polskie decyzje musiały być, w możliwie znaczącym stopniu, uwzględniane w grze między aliantami.

Uważam to za świadomie realizowany, realistyczny cel podjęcia i kontynuowania przez ponad dwa miesiące walki na wyzwolonym własnymi, polskimi siłami obszarze stolicy Polski, która wyrażała wolę narodu o niezgodzie na utratę suwerenności.

Jest oczywiste, że uzyskanie optymalnego efektu założonej jako polityczna konieczność walki o Warszawę, czyli uzyskanie w rezultacie jej podjęcia postawienia Stalina wobec podwójnie złego wyboru – porozumieć się z kontrolującą miasto AK, czy jak wróg zniszczyć ją siłą, było niezwykle trudne, aczkolwiek nie niemożliwe.

Było tak trudne, dlatego że zadanie to realizowało podziemne wojsko ochotnicze, a nie armia regularna. Musiało zmobilizować się w warunkach okupacyjnych i wejść do walki z wystarczającą siłą i rozmachem, by opanować znaczącą część terenu miasta. Co najtrudniejsze, AK w Warszawie musiała rozpocząć walkę równocześnie z chwilą stwierdzenia przełamania przez Sowietów frontu nie lokalnie, a w tak dużym wymiarze, aby zagrażało to zwinięciem całej niemieckiej linii obrony warszawskiego przedmościa. Ponadto też, po stwierdzeniu rozwijania się natarcia dużymi siłami z sowieckich przyczółków na Wiśle, na południe i na północny wschód od Warszawy, i to również w takiej skali, że nie można byłoby tej operacji błyskawicznie zatrzymać.

Wymagało to utrzymania w warunkach konspiracyjnych ścisłej koordynacji i bardzo wysokiej precyzji działań sztabu KG i warszawskiego okręgu AK. W dniach poprzedzających wybuch Powstania KG

AK zbierała się codziennie na dwóch odprawach rano i po południu, w celu zachowania możliwości bieżącej analizy sytuacji i natychmiastowego reagowania. Tak opisał ówczesną sytuację gen. Bór-Komorowski:

Postanawiając przeprowadzić bój o Warszawę w ramach akcji „Burza”, rozumieliśmy dobrze, że walka w mieście nie może być rozpoczęta za późno, kiedy los stolicy miałby już tylko zależeć od rozwoju zewnętrznych działań wojennych. Powinna ona być podjęta w takim czasie, by w naszych rękach pozostawić wpływ na wypadki. Z drugiej strony byliśmy świadomi strasznego niebezpieczeństwa, jakie by sprowadzić musiała akcja przedwczesna. Nasze zapasy amunicji i żywności starczyć mogły zaledwie na siedem do dziesięciu dni walki. Największa jednak trudność leżała w niemożności uzgodnienia działań z dowództwem sowieckim. Musieliśmy zatem działać na własną rękę i wedle własnej oceny położenia. (Tadeusz Bór-Komorowski *Powstanie Warszawskie*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa, s.22).

Tu dochodzimy do oceny podjętych decyzji militarnych, w tym także błędów po stronie dowództwa AK, jak i pozostałych uczestników zmagania.

O skali trudności działania dowództwa AK w błyskawicznie zmieniającej się sytuacji świadczą okoliczności poprzedzające ustalenie godziny „W” na godz.17. 1 sierpnia 1944 roku. Jeszcze na porannej odprawie KG AK 31 lipca, szef Oddziału II płk Kazimierz Iranek-Osmeczek – „Heller”, stwierdził, że mimo wchodzenia do walki z sowieckimi korpusami pancernymi pod Warszawą nowych niemieckich sił pancernych, zmiana sytuacji spowodowana kontratakami niemieckimi zapewne nie będzie trwała, ze względu na ogromną przewagę Sowietów, należy więc spodziewać się ataku sowieckiego na Warszawę dopiero ciągu najbliższych 4–5 dni. Dlatego rano 31 lipca, gen. Bór-Komorowski wstrzymał się z rozpoczęciem walki na najbliższe dni. Była to w tym momencie prawidłowa ocena sytuacji.

Zasadnicza zmiana zaszła późnym popołudniem jeszcze przed godziną wieczornej odprawy KG. Dowódca okręgu warszawskiego płk Antonii Chruściel – „Monter”, przybył na odprawę wcześniej już po godz. 17 i powiadomił gen. Bora-Komorowskiego oraz szefa sztabu

KG i jego zastępcę, o rzekomym wtargnięciu sowieckich oddziałów pancernych na Pragę oraz zajęciu przez nie Radości, Miłosnej, Okuniewa, Wołomina i Radzimina, nalegając na jak najszybsze rozpoczęcie walki, w obawie, aby „nie było za późno”.

Dowódca AK po konsultacji z Delegatem Rządu na Kraj zdecydował o wyznaczeniu godziny „W” na 17. następnego dnia. Było to zgodne z wcześniej ustalonym na wniosek dowódcy Okręgu warszawskiego przesunięciem godziny „W” z wieczornej na popołudniową, dla lepszego zamaskowania koncentracji. Gen. Bór-Komorowski podjął tę decyzję po naradzie z obecnymi – gen. Tadeuszem Pełczyńskim – „Grzegorzem”, szefem sztabu, i jego zastępcą gen. Leopoldem Okulickim – „Kobrá”. Oceniał, jak relacjonuje we wspomnieniach, że rozpoczęcie walki w Warszawie następnego dnia pozwoli uniknąć niebezpieczeństwa zablokowania możliwości mobilizacji Okręgu warszawskiego AK wobec bardzo dużego prawdopodobieństwa zepchnięcia przez Sowieców większości sił niemieckich z przedmościa bezpośrednio do miasta. Chodziło także o włączenie się AK do walki poprzez zablokowanie swobodnego przemieszczania się niemieckich odwodów do bitwy toczącej się na prawym brzegu Wisły, co z punktu widzenia wojskowego byłoby racjonalne, pod warunkiem że sytuacja byłaby zgodną z tym, co przedstawił płk „Monter”.

Przybyły niedługo po wydaniu decyzji o godzinie „W” szef Oddziału III Operacyjnego KG płk Józef Szostak – „Filip”, był tym zaskoczony i skonfundowany. Zapytał Bora-Komorowskiego: „Czy do decyzji nie potrzebował pan generał ani Hellera, ani mnie?” (Adam Borkiewicz, *Powstanie warszawskie – zarys działań wojskowych*, s. 27).

Dowódca AK odpowiedział, że obawia się, czy uda się zmobilizować okręg przed wkroczeniem Sowieców. Podobnie zaskoczony był przybyły chwilę później właśnie płk „Heller”, czyli szef wywiadu Kazimierz Iranek-Osmecki, który przedstawił nowe informacje świadczące o powstrzymaniu Sowieców przez kontratak niemiecki pod Warszawą, co podważało wiarygodność informacji „Montera”.

Należy zgodzić się z krytyką tego, w jaki sposób została podjęta decyzja o wyznaczeniu godziny „W” na 17. 1 sierpnia, przedstawioną

choćby przez gen. Adama Borkiewicza, zawodowego oficera, członka KG AK.

Ponadto był to błąd oznaczający przedwczesne rozpoczęcie walki, uniemożliwiający uzyskanie optymalnych warunków potrzebnych do realizacji politycznego celu podjętego działania.

Był to błąd zarówno dowódcy AK, jak i jego szefa sztabu i jego zastępcy, ponieważ zgodzili się oni na działanie improwizowane bez możliwości zweryfikowania informacji płk „Montera”, choćby przez innych oficerów KG – w szczególności szefów oddziałów operacyjnego i wywiadu. Oczywiście działali pod niezwykle dużą presją, ale to, że jej ulegli, pociągnęło za sobą zbyt pośpieszne wydanie niezwykle istotnego rozkazu, na podstawie niepełnej, bo nieuwzględniającej całości sytuacji na przedpolu Warszawy, oceny położenia dokonanej przez dowódcę Okręgu.

Podobnie istotnym błędem wazącym na obniżeniu skuteczności działań powstańczych w pierwszych godzinach walki, było wydanie przez płk „Montera”, 27 lipca o 19., poza drogą służbową, czyli bez uzyskania zgody KG AK, decyzji o mobilizacji Okręgu warszawskiego w reakcji na zarządzenie gubernatora Fischera w sprawie stawiennictwa 100 tys. osób do budowy umocnień. Generał Chruściel w swoich wspomnieniach uzasadniał tę decyzję obawą o sparaliżowanie przez niemieckie zarządzenia i działania organów policyjnych możliwości zmobilizowania oddziałów Okręgu. Mobilizacja ta udała się – stawilo się między 80 a 90% żołnierzy i oddziałów. Ponieważ jednak musiała zostać odwołana przez dowódcę KG AK ze względu na brak przesłanek wystarczających do podjęcia walki, wpłynęła negatywnie na efekty mobilizacji faktycznie przeprowadzonej 31 lipca i 1 sierpnia.

Duże znaczenie miał też fakt drastycznego skrócenia czasu mobilizacji. Podstawowe założenie planu powstania powszechnego, na podstawie którego musiał walczyć Okręg warszawski, było takie, że na mobilizację przewidywano 24 do 36 godzin; po podjęciu decyzji 31 lipca o 18 do godz. „W” zostało realnie, po uwzględnieniu godziny policyjnej, najwyżej 12 godzin.

Zarówno ogłoszenie pierwszej mobilizacji, jak i skrócenie tylko do

12 godzin czasu na jej przeprowadzenie istotnie utrudniło i ograniczyło skuteczność działania oddziałów powstańczych 1 sierpnia – były one mniej liczne i słabiej uzbrojone, niż mogły być w przypadku zachowania choćby 24 godzin na przygotowanie się do walki.

Kolejnym zarzutem, podnoszonym zwłaszcza wobec dowództwa Okręgu warszawskiego przez część oficerów stołecznych obwodów AK było to, że praktycznie nie dokonano modyfikacji celów ataku. Pewna modyfikacja tych celów, wynikająca z niedostatków broni i próby optymalizacji wykorzystania własnych zasobów była zapewne słuszna – część celów można było tylko wiązać ogniem a nie zdobywać, koncentrując wysiłki na najważniejszych. Z drugiej strony modyfikacja tych planów nie mogła być zbyt głęboka, ze względu na potrzebę zachowania charakteru powszechnego walki rozpoczynającej się jednocześnie w całym mieście.

Plan walki oparty na planie powstania powszechnego oczywiście nie odpowiadał w pełni tym celom, które wynikały ze zmienionej sytuacji i nie dawał możliwości elastycznego wykorzystania sił na najważniejszych dla AK kierunkach działania, w sytuacji militarnej, jaka zaistniała w sierpniu. W zasadzie jedyną głębszą zmianą tego planu było podzielenie na pół głównego odwodu, tzn. sił Kedywu KG w związku ze zmianą miejsca postoju KG AK z Mokotowa na Wolę. I tak – pułk „Baszta” pozostał na Mokotowie, a zgrupowanie płk „Radosław” zostało skierowane na Wolę.

Te z kolei decyzje są różnie oceniane z punktu widzenia wojskowego – z jednej strony formułowany jest zarzut, że podział na dwie części dużego zgrupowania Kedywu osłabił możliwości uzyskania rozstrzygnięć na wybranych kierunkach, z drugiej zaś strony, niektórzy autorzy podnoszą argument, że przerzucenie zgrupowania „Radosław” na Wolę, wobec słabości miejscowego obwodu uratowało sytuację nie tylko w tej dzielnicy, ale przez 11 dni obrony linii cmentarzy wolskich osłoniło i dało niezbędny czas na okrzepnięcie oddziałów powstańczych Śródmieścia.

Należy jednak wyraźnie stwierdzić, że tak jak słabość uzbrojenia, także taktyczne błędy, z których pierwszym był nie najwłaściwszy wy-

bór momentu rozpoczęcia walki nie spowodowały upadku Powstania, nie przeszkodziły w wiązaniu 40 tys. korpusu regularnych wojsk niemieckich, który przez dwa miesiące nie był w stanie sobie poradzić z wielokrotnie słabszym ochotniczym wojskiem powstańczym.

Z drugiej strony mamy też do czynienia z błędami politycznymi i militarnymi Stalina, który 2 sierpnia, na wieść o wybuchu powstania AK, zaczął wydawać rozkazy wstrzymujące natarcie wojsk I Frontu Białoruskiego na Warszawę, wbrew własnym strategicznym celom wojennym.

Z perspektywy wojskowej – mając na początku sierpnia ogromną przewagę nad wojskami niemieckimi, które zdolne były tylko do chwilowego powstrzymywania armii sowieckich, dla doraźnego celu politycznego – osłabienia legalnych władz RP i wyniszczenia AK w stolicy Polski i swoistego „rewanżu” za 1920 rok – zrezygnował z rozstrzygnięcia militarne w sensie strategicznym, tj. dotarcia do końca 1944 roku co najmniej do linii Odry.

Było ono całkowicie realne w sytuacji zniszczenia niemieckiej Grupy Armii Środek w trakcie operacji „Bagration” i zaistnienia ponad 400 kilometrowej wyrwy w niemieckiej linii obrony, której nie była w stanie trwale zabezpieczyć pospiesznie odtwarzana niemiecka 9 armia, ani przrzuć doraźnie z różnych kierunków w większości osłabione dywizje.

Profesor Jerzy Kłoczowski, relacjonując i komentując debatę na temat znaczenia Powstania Warszawskiego odbytą przez polskich i francuskich historyków na Sorbonie w 2000 roku, przytacza w swym wyżej cytowanym eseju opinie historyków francuskich, którzy ten aspekt znaczenia Powstania i błędu Stalina podkreślają:

Nestor francuskich historyków René Rémond podniósł znaczenie powstania, jak to ujął, odkrywania prawdy o Powstaniu Warszawskim. Postawił przy tym pytanie wielkiej wagi. Konsekwencją zatrzymania Armii Czerwonej u bram Warszawy na prawie pół roku było opóźnienie zajęcia ziem niemieckich. Przecież alianci zachodni przekroczyli Ren dopiero w marcu 1945 r. Istniała więc możliwość wcześniejszego dojścia wojsk sowieckich aż do Renu „o konsekwencjach nieobliczalnych dla Europy”.

*Niewykłuczone więc, że Polacy powstania 1944, wcale o tym nie wiedząc, raz jeszcze w swej historii pokazali się obrońcami wolności Europy. Trzeba z uporem i przekonaniem – podnosi Rémond – kontynuować drogę odkrywania prawdy (Katyń i Powstanie są tu znakomitym przykładem). Skutki walki prowadzonej w 1944 r. ciągle jeszcze oddziałują na ludzkie umysły i stosunki międzynarodowe. (Jerzy Kłoczowski, *Powstanie Warszawskie w pamięci i historiografii*, s. 597).*

Bardzo podobnie ocenia tę kwestię (notabene także uczestnik tej sorbońskiej sesji naukowej) Jan Nowak-Jeziorański:

*Stalin błędnie oceniał w początkach sierpnia 1944 możliwości alian-tów zachodnich, którzy rozszerzali dopiero swój niewielki przyczółek w Normandii. Nikt nie przewidywał zatamania się frontu zachodniego po sforsowaniu przez aliantów Renu 7 marca 1945 r. W ciągu miesiąca wojska alianckie rozlały się na Niemcy. 11 lutego amerykańska 9 Armia przekroczyła Łabę i znalazła się 100 km od Berlina (...) Na południu 19 kwietnia amerykańska 5 Armia, przekroczyła granice Czechosłowacji (...). W Austrii zajęła Linz i posunęła się pod Wiedeń (...) Stalin zorientował się po niewczasie, że alianci mogą go ubiec w okupowaniu jak największej części Niemiec. (...) Gdyby zimowy skok w początkach stycznia 1945 r. dokonany został nie znad Wisły, lecz znad Odry, zaprowadziłby Armię Czerwoną dużo dalej w głąb Rzeszy, aniżeli to się stało. Według wszelkiego prawdopodobieństwa większość terytorium Niemiec, Austria i Dania zostałyby „wyzwolone” przez wojska sowieckie. (Jan Nowak Jeziorański, *Powstanie Warszawskie – refleksje po latach* [w:] *Operacja „Burza” i Powstanie Warszawskie 1944* pod redakcją Krzysztofa Komorowskiego, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Oficyna Wydawnicza RYTM, strony 573 i 574).*

Kolejną konsekwencją tego błędu Stalina był następny – czyli uporczywa odmowa zgody na to, by w sierpniu samoloty alianckie z pomocą dla Warszawy mogły lądować na lotniskach znajdujących się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Między innymi dlatego, że walka Powstańczej Warszawy była od początku sierpnia praktycznie bez przerwy jednym z głównych tematów poruszanych w mediach amerykańskich i europejskich, odmowy te zostały przyjęte z oburzeniem wśród

polityków, wojskowych aliantów oraz opinii publicznej na Zachodzie. Zgoda na lądowanie alianckich samolotów po stronie sowieckiej została w końcu wymuszona na Stalinie dopiero 9 września. Wcześniej pokazał światowej opinii publicznej, jak bardzo zależy mu na upadku Powstania, pokazał brutalność i cynizm swej polityki. Jego wizerunek „dobrego wujaszka Joe” zaczął się gwałtownie pogarszać. Wobec polityków i opinii publicznej stał się więźniem własnych kłamstw o rzekomej niezdolności wojsk sowieckich do podjęcia ofensywy w sierpniu i wrześniu – w efekcie musiał czekać z rozpoczęciem marszu na Berlin do stycznia 1945.

Czynniki zewnętrzne – polityka Stalina i błędy aliantów – szczególnie administracji Roosevelta, utrzymujących „na siłę” fikcję współpracy „Wielkiej Koalicji” ze szkodą dla amerykańskich interesów i powojennego kształtu Europy, niemal identycznie jak w 1939 roku, były głównymi przyczynami tragedii Polski w końcu II Wojny Światowej.

Niektórzy zachodni historycy, jeszcze dużo przed Normanem Daviesem, dostrzegli labilność, krótkowzroczność i swoistą schizofreniczną niekonsekwencję polityki aliantów wobec Stalina. W tym kontekście jednym z najważniejszych skutków podjęcia walki o Warszawę było to, że właśnie gra Stalina wobec Powstania Warszawskiego zaczęła być postrzegana, jako pierwsza, bardzo ważna przyczyna zmiany polityki najpierw amerykańskiej, później całego Zachodu wobec Sowietów.

Bardzo istotnym świadectwem jest przedstawiony przez prof. Kłoczowskiego w omawianym eseju pogląd profesora George’a Kennana, który w 1944 roku był zastępcą amerykańskiego ambasadora w Moskwie:

Wbrew oficjalnej linii polityki amerykańskiej dostrzegat wtedy jasno dwulicowość sowieckiej polityki i sprzeczność z interesami demokratycznej koalicji. Dla późniejszego architekta polityki konfrontacji z Sowietami, jakim stał się Kennan, było to oczywiście szczególnie ważne doświadczenie. (...) – Tak ujął swój pogląd: „Uważam, że postępowanie Kremla w czasie i w stosunku do Powstania Warszawskiego, które wybuchło w narzuconym terminie i okolicznościach, było okazją do przyznania się przed sobą i światem, że realizowane przez nas cele są odmienne od celów Związku

Sowieckiego. Powinniśmy rozpocząć podstawową zmianę polityki czasu wojny, zbudowanej na stwierdzeniu faktu, że nie może być efektywnej współpracy ze Związkiem Sowieckim przy urządzaniu powojennej Europy". (Jerzy Kłoczowski, *Powstanie Warszawskie w pamięci i historiografii*, s. 595 i 596).

Profesor Kłoczowski przywołuje też późniejszą (wygłoszoną podczas wspomnianej konferencji i debaty paryskiej z 2000 roku) opinię profesora Sorbony Georges'a-Henri Soutou:

Bitwa II wojny światowej, bitwa warszawska, była również pierwszą krwawą bitwą „zimnej wojny”. Nie tylko nie była (wydarzeniem) bez znaczenia: dała ona prawdziwy sens epoce. Jak napisał to w swych pamiętnikach jeden z członków Wolnej Francji, która bawiła wtedy w Moskwie: „Powstanie Warszawskie wyznaczało przyszłość Europy”. (Ibidem, s. 597).

I.6. Konkluzje części pierwszej. Współczesny kontekst

Związek Sowiecki od agresji na Polskę 17 września 1939, z przerwą w okresie między zawarciem układu Majski–Sikorski (30 lipca 1941), a jego jednostronnym zerwaniem przez ZSRS (25 kwietnia 1943), był faktycznie w stanie wojny z Polską.

Od kwietnia 1943 roku Sowieci, jako potencjalny zwycięzca wojny, okazali się być naszym *de facto* głównym, bo stanowiącym największe zagrożenie, wrogiem w II wojnie światowej. Było tak dlatego, a sprawa katyńska i śmierć gen. W. Sikorskiego tego dowodzą, że jednym z celów, co najmniej pośrednich, totalitarnej Rosji Sowieckiej i Stalina w wojnie było zniszczenie Polski jako państwa oraz realizacja polityki zakładającej stopniowe podporządkowanie narodu polskiego, nie wyłączając użycia metod eksterminacji.

Wobec tego obowiązkiem przywódców Państwa Polskiego było wykorzystanie wszystkich dostępnych środków dla zmniejszenia tego zagrożenia oraz przeciwstawienie się mu wprost. Każdy kompromis zakładający rezygnację z suwerenności, podobnie jak i zupełna rezygnacja z użycia siły militarnej, oznaczał pogarszanie ówczesnej i przyszłej sytuacji Państwa i Narodu Polskiego.

Stalin uważał, że dzięki swemu wpływowi na Roosevelta, a także poprzez agenturę w rządach alianckich (historia Kima Philby i słynnej piątki z Cambridge jako wierzchołek góry lodowej) i wewnątrz polskiego środowiska politycznego na emigracji, doprowadzi do osłabienia i uzyskania możliwości rozgrywania aliantów, a w szczególności osłabienia pozycji i znaczenia polskich władz emigracyjnych i podległego im wojska. W dużym stopniu te cele udało mu się osiągnąć.

Dla Stalina najważniejszym przeciwnikiem i problemem polskim było istnienie i realna siła cieszących się poparciem zdecydowanej większości Polaków – Polskiego Państwa Podziemnego i ponad trzytysięcznej, ochotniczej, prowadzącej nieprzerwaną walkę o wolność, podziemnej Armii Krajowej, stanowiących, tak wspólnie jak i z osobna, absolutny fenomen w skali Europy i Świata. Trzeba podkreślić, że były one także szczytowym osiągnięciem polskiej doktryny powstańczej i niepodległościowej.

Wobec nieuchronności wkroczenia Sowietów i braku tak możliwości, jak i sensu otwartej walki z nimi, plan „Burza” był jedyną wykonalną formą reprezentowania istniejącej polskiej państwowości, a jego realizacja była jednocześnie wyrażeniem niezgody na aneksję wschodnich terenów Polski. Pozostanie AK na wschodzie w konspiracji, przy jednoczesnej bierności wobec Niemców nie dawało niczego ani podziemnemu wojsku, ani polskiej ludności, bo AK jak i cywilna struktura podziemna i tak była likwidowana przez wojska NKWD. Powstrzymanie się od walki z Niemcami – tzn. rezygnacja z „Burzy” ułatwiałoby Stalinowi przekonanie opinii światowej, że AK to, tak jak twierdził, efemeryda i banda faszystowskich kolaborantów.

Trzeba zgodzić się z N. Daviesem, że w połowie 1944 roku, za sprawą przede wszystkim Stalina, który nie tyle współpracował, co już zdecydowanie rywalizował z aliantami oraz z powodu bierności Roosevelta, następowało coraz większe osłabienie pozycji spychanego na ubocze Churchilla i postępował rozpad Wielkiej Koalicji. Rozstrzygnięcia w sprawie polskiej, które zapadały przed 1 sierpnia 1944 i wobec Powstania, a także niedługo później, były najlepszą egzemplifikacją tego procesu.

Należy przyjąć, że w świetle ówczesnego stanu wiedzy, dowódcy AK, słusznie założyli, że zamiarem Sowietów jest zdobycie Warszawy już w sierpniu 1944 roku i z sytuacji strategicznej na froncie oraz działań niemieckich wynika, że Warszawa będzie broniona i stanie się polem bitwy sowiecko-niemieckiej. Taka ocena znalazła potwierdzenie w znanych dziś dokumentach m.in. decyzjach Hitlera z 27 lipca i Stalina (Sowieckiego Sztabu) z 28 lipca.

Należy stwierdzić, że oceniając w perspektywie faktów oraz tej wiedzy, jaką wówczas posiadali oficerowie KG AK, a nie przez pryzmat zdarzeń i skutków, których znać ani przewidzieć nie mogli, dowódcy Armii Krajowej i Rząd RP działali w ekstremalnie trudnej sytuacji, podejmując decyzję o walce o Warszawę nie popełnili błędu i nie mogli, chcąc działać zgodnie z polską racją stanu, podjąć innej decyzji.

Nie mogli po prostu skapitulować i uciec, wyrzucając ostatnie wartościowe karty – argumenty polityczne i wojskowe, które miały jeszcze znaczenie w walce o przyszłość Polski. Niepodjęcie walki o Warszawę było wtedy opcją realną wyłącznie dla tych, którzy godzili się na kapitulację przed Stalinem, włącznie ze scenariuszem inkorporowania Polski do Sowietów.

Polscy przywódcy mieli prawo zakładać, że Polska cały czas związana układami sojuszniczymi, ma prawo oczekiwać i żądać realnej pomocy aliantów zachodnich. Tak też decyzję ocenia prof. Norman Davies:

Decyzję o rozpoczęciu Powstania podjął 25 lipca Polski Rząd w Londynie po długich konsultacjach z zachodnimi aliantami. Nie została ona podjęta lekkomyślnie czy niedbale. Przeszła po serii ostrych debat w gabinecie. Rząd przekazał dalsze decyzje odnośnie do daty i operacji podległym mu dowódcom AK w Warszawie. Zarówno politycy jak i wojskowi działali odpowiedzialnie. Premier Mikołajczyk za radą amerykańskiego prezydenta Roosevelta natychmiast poleciał do Moskwy, by skoordynować plany ze Stalinem. To była wina dyplomacji alianckiej, a nie tylko premiera Mikołajczyka, że jego misja się nie powiodła. (<http://natemat.pl/70183,profesor-norman-davies-dla-natemat-osiem-tez-o-powstaniu-warszawskim>).

Realistycznym, świadomie obranym celem legalnych władz RP

o podjęciu i kontynuowaniu przez ponad dwa miesiące walki na wyzwolonym własnymi siłami obszarze Stolicy Polski, która wyrażała wolę całego narodu o niezgodzie na utratę suwerenności, było wpływanie na uzyskanie korzystnych zmian stanowiska aliantów zachodnich i zwiększenie ich siły nacisku na Stalina w sprawie Polski.

To, kiedy dokładnie wybuchła walka, czy był to optymalny moment, jak liczne i jak uzbrojone były siły powstańcze, miało znaczenie o tyle, o ile wpływało na to, że trwanie Powstania mogło być efektywnym instrumentem polskiego nacisku na uzyskanie twardszego kursu aliantów zachodnich wobec Stalina i na to, by polskie decyzje musiały być, w możliwie znaczącym stopniu, uwzględniane w grze między aliantami.

Uważam też, że polscy przywódcy określili realistycznie cel walki – Powstanie Warszawskie było walką o i za całą Polskę, ale było działaniem świadomie ograniczonym w celu zmniejszenia i tak wielkiego ryzyka biologicznych i kulturowych strat, ponieważ nie zostało pomyślane ani realizowane jako początek powstania powszechnego w całym kraju.

Zadaniem dla AK w Warszawie było wystąpienie zbrojne w ramach planu „Burza”, które miało doprowadzić do opanowania jak największego obszaru miasta i stworzenia możliwości zainstalowania władz cywilnych przed wkroczeniem Sowietów. Walka przewidziana była na okres tygodnia, z ewentualnym przedłużeniem o kilka dni.

Teza o winie dowództwa AK za zniszczenie Warszawy i spowodowanie tragedii ludności cywilnej jest chyba jedynym argumentem, na którym PPR, czyli sowiecka agentura w Polsce, mogła budować jakiegoś rodzaju legitymizację do rządzenia. Dlatego dowództwo AK i Rząd RP musiały okazać się co najmniej nieodpowiedzialnymi politycznymi bankrutami, których na szczęście zastąpiła „realistyczna” władza „demokratów” z PPR. Wobec ciężaru traumy po tragedii Powstania, był to praktycznie jedyny, dający pozory wiarygodności kierunek krytyki wobec legalnych władz RP.

Najważniejszym wewnętrznym rezultatem wszystkich działań dyplomatycznych władz RP oraz walki o Warszawę było wywarcie istot-

nego wpływu na niezrealizowanie się najgorszego scenariusza, czyli inkorporacji Polski do ZSRS, losu, który spotkał niepodległe przed wojną kraje nadbałtyckie i Mołdawię (Besarabię), należącą przed wojną do Rumunii.

Bohaterstwo i wyjątkowa ofiarność żołnierzy Armii Krajowej oraz ludności cywilnej Warszawy zmusiły Stalina do rezygnacji z planów wprowadzenia w Polsce kopii sowieckiego reżimu totalitarnego i zgodzenia się na jego łagodniejszą wersję. (Nikołaj Iwanow, Powstanie warszawskie widziane z Moskwy s. 290).

Powstanie było też bezpośrednią przyczyną zatrzymania na kilka miesięcy ofensywy sowieckiej na kierunku berlińskim. Był to jeden z błędów politycznych i wojskowych Stalina, który, choć z pewnym wahaniem, dla satysfakcji wyniszczenia AK w Warszawie, zrezygnował z bardzo realnego scenariusza uzyskania rozstrzygnięcia strategicznego (także w rywalizacji z aliantami zachodnimi) – zajęcia, co najmniej całych Niemiec, Austrii i Danii już w początku 1945 roku. Atak na m.in. te kraje był przez cały okres zimnej wojny głównym wątkiem prac planowania strategicznego układu warszawskiego.

Kolejnym ważnym, widzianym spoza perspektywy wyłącznie polskiej – zewnętrznym skutkiem Powstania Warszawskiego, który zaistniał już w 1947 roku było to, że powstańcza samotna walka Warszawy o wolność i analiza stosunku Stalina do Powstania, stała się katalizatorem fundamentalnej zmiany polityki amerykańskiej wobec totalitarnej Rosji polegającej na aktywnym powstrzymywaniu imperializmu sowieckiego, którą to zmianę nazwano początkiem epoki „zimnej wojny”. Jak wcześniej podkreślałem, jest to teza głoszona przez wielu znawców historii politycznej Europy z Polski, Ameryki i Europy.

Myślę, że warto w tym miejscu, jako swoistą pointę, zacytować tu także raz jeszcze Rosjanina, Nikołaja Iwanowa, który podsumował swą analizę dotyczącą Powstania następująco:

Stosunek władz sowieckich do Powstania Warszawskiego od samego początku był oparty na kłamstwie. Było to kłamstwo wyjątkowe, kłamstwo wobec Polski i Polaków, wobec zachodnich sojuszników, wobec świata. Kłamstwo, którego podstawowe elementy żyją do dziś. Kłamstwo katyń-

skie i kłamstwo w sprawie Powstania warszawskiego to dwa najbardziej jaskrawe przykłady pyrrusowego zwycięstwa ideologicznego Związku Sowieckiego nad zachodnimi sojusznikami i Polską w czasie drugiej wojny światowej, zwycięstwa, które wkrótce doprowadziło do „zimnej wojny” i ostatecznie, pod koniec XX stulecia, do upadku komunizmu. (Ibidem, s. 289).

Powojenne niszczenie etosu Polskiego Państwa Podziemnego, Armii Krajowej i legendy Powstania Warszawskiego, jako symbolu polskiej tożsamości opartej na pojęciach Wolności i Honoru, było dla sowieckiej agentury komunistycznej kluczowe ze względu na palącą potrzebę legitymizacji – zdobycia zauważalnego poziomu realnej akceptacji społecznej. To się nie udało nie tylko na początku stalinizmu, ale też przez cały okres PRL-u. Klęska tych starań, po raz pierwszy najwyraźniej widoczna była po 1956 roku, gdy wulgarny stalinizm sowiecki musiał zostać istotnie złagodzony przez liderów tzw. „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” i gdy ponownie można było powiedzieć i napisać choć część prawdy o Powstaniu i walce pokolenia Kolumbów.

Drugi raz w PRL uwidoczniło się to w trakcie pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II, który szczególnie wyraźnie przypomniał Polakom i światu znaczenie i sens Powstania oraz po kolejnych Jego wystąpieniach w tej sprawie w latach 80. Stało się jasne powszechnie, że walki o pamięć i tożsamość sowiecka agentura nie jest w stanie z Polakami wygrać.

Jan Paweł II mówił:

Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, Stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim Krzyżem sprzed Kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Przypominam te słowa – mówił dalej Papież – wypowiedziane na Placu Zwycięstwa w Warszawie, podczas mojej pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny. Przypominam je dzisiaj, w czterdziestą rocznicę Powstania Warszawskiego, aby oddać hołd wszystkim jego bohaterom: poległym i żyjącym.

Równocześnie zaś oddaję Bożej Opatrzności przez Panią Jasnogórską moją Ojczyznę i Naród, który w straszliwych zmaganiach drugiej wojny światowej nie szczędził ofiar, aby potwierdzić prawo do niepodległego bytu i stanowienia o sobie na własnej ojczyźnej ziemi. Powstanie warszawskie było krańcowym tego wyrazem. (<http://www.janpawel2.pl/jan-pawe-ii/nauczanie1/2115-w-jan-pawe-ii-qpowstanie-warszawskie-byo-najbardziej-radykalnym-i-najbardziej-krwawym-ze-wszystkich-powsta-polskich>).

Warto wciąż o tym pamiętać i do tego przesłania wracać, w czasach, kiedy trwające od czasu PRL-u narasta też dziś zjawisko imputowania przywódcom Polski w 1944 roku błędów z pozycji wiedzy współczesnej, na zasadzie „powinni byli przewidzieć” coś, czego nie wiedział wtedy nikt, charakteryzuje nie tylko „pleniącą” się ostatnio, niskiego lotu publicystykę „nurtu rewizji mitów”, czy lewackiej czy to neoendeckiej proweniencji. Myśleniu ahistorycznemu ulegają czy mu hołdują też tzw. poważni politycy, publicyści a nawet historycy, usilnie powtarzający w mediach mantrę, że trzeba koniecznie wykorzenić w Polsce mit powstaniowy, bo jest on apoteozą klęski, a Polacy powinni myśleć wyłącznie pragmatycznie, nie oglądając się w przeszłość. Towarzyszy im chroniczna choroba „przesytu patriotyzmem”. To myślenie większości uwikłanych, a raczej „umoczonych” w komunę „autorytetów”, ludzi, którzy zamiast dla imponderabiliów „iść na wszystko”, na wszystko szli z „polskojęzyczną sowiecką agenturą”, twierdząc, że „zachowują substancję”.

Podstawowym przesłaniem Powstania Warszawskiego aktualnym dziś jest to, że wolność nie ma ceny, której nie warto za nią zapłacić i jej poszanowanie tak w relacjach między ludźmi, jak i między państwami jest niezbędnym warunkiem istnienia ładu społecznego i międzynarodowego i wymaga „stałej ochrony”, codziennego wysiłku dla jej wzmocnienia.

Wydaje się to szczególnie aktualne obecnie, gdy mimo że już nieco gnuśna i niespecjalnie „rewolucyjna”, „kawiorowa lewica” mieni się być kreatorem głównego nurtu idei europejskiej wspólnoty. Sięga wciąż do wysoce „wysmaczonej intelektualnie” inspiracji jakobińskich wielbi-

cieli gilotyny, ciut złagodzonej przesłaniem kopulujących na schodach Panteonu rewolucjonistów seksualnych 1968 roku, ogłasza nowe „postępowe cele” postmarksistowskiej inżynierii społecznej. Jako podstawową wartość europejską proklamuje wyplenienie narodowej tożsamości. Wszystko to dla realizacji szlachetnej wizji budowy posiadającego „nową multikulturową świadomość” „nowego człowieka”, wolnego od szkodliwego balastu tradycji i anachronicznych pojęć Wolności i Honoru, człowieka żyjącego w danym mu dobrostanie, sprawnie, centralnie zarządzanego przez iluminowanych mędrców, niepotrzebujących do rządzenia, z powodu swej nieomyślności, żadnej innej legitymacji. To czysty totalitaryzm – w nowym neokomunistycznym wydaniu „religia wojującego ateizmu” i jej „aktów strzelistych” w postaci deklaracji LGBT czy absurdów typu prawno-konstytucyjnego definiowania tzw. „trzeciej płci”.

Cały peerelowski i współczesny nurt tzw. „realizmu” i „odbrazowania mitu” w ocenie Powstania, zwłaszcza w jego dzisiejszych najbardziej wulgarnych formach, to przejaw myślenia „podległościowego” – niewolniczego. Owo „podległościowe” myślenie charakteryzuje także kwestionujących sens Powstania różnych „nawróconych” marksistowskich rewizjonistów i postmodernistycznych wielbicieli inżynierii społecznej spod znaku rewolucji seksualnej 68 roku, domorośli „neoliberalów”, którzy myślą wolność z „róbta co chceta”. Te brednie o „wysyłaniu dzieci na czołgi”, o sprokurowanej celowo tragedii – usilnie reanimowane wytwory propagandy PRL-u mają usprawiedliwić głębokie „umocnienie” w komunę nazwane realizmem, ale mają też przede wszystkim zredukować symbole stanowiące istotę polskiej tożsamości, którą definiuje się właśnie przez Wolność i Honor. To najczęściej te środowiska prezentują myślenie właściwe również wielu dzisiejszym piewcom „wartości europejskich” uprawiającym „realizm polityczny”, w którym imponderabilia są irytującą zawadą, gdzie za europejski stołek handluje się interesami państwa polskiego a wolność zamienia się na „miskę”, czyli tzw. dobrobyt.

Dzisiaj oprócz prób niszczenia, deprecjonowania znaczenia Powstania, widzimy, z drugiej strony, próby wulgarnej instrumentalizacji i re-

dukowania tej tradycji dla doraźnych celów bieżącej, małej „politycznej bójki”. Mamy także do czynienia z taką narracją, w której tylko zwolennicy jedynie „słusznej” orientacji mają być tej tradycji godni.

Wolność – jak ktoś to ładnie ujął – była zawsze „sensem życia Polaków”. Była też sensem Powstania.

Trzeba to przypominać dziś, gdy na ulicach Warszawy jakieś, choćby marginalne grupki, działające tak jak „księża patrioci” za pieniądze rosyjskiego ambasadora Sieversa z XVIII wieku, „hailują”, kalając wspólne narodowe symbole, a z drugiej strony, gdy swoisty nowy „postępowy kibuc internacjonalistyczny”, czyli zamroczone nienawiścią lewackie media w Europie i w Polsce, po 11 listopada wrzeszczą o „70 tysiącach faszystów” na ulicach Warszawy.

Powstanie Warszawskie jest przykładem sytuacji, w której wolność zjednoczyła społeczność stolicy, ale także zdecydowaną większość Polaków, którzy rozumieli doskonale, że była to walka o i za całą Polskę. Również nasza zbiorowa pamięć o Powstaniu, mimo różnic, jak dotąd, była czynnikiem budującym poczucie wspólnoty, a nie dzielącym. Należy dzisiaj pracować, a może nawet walczyć o to, by hasło „Wolność łączy” mogło być realizowane i opisywało realnie myślenie Polaków.

Na koniec tej części rozważań chcę zachęcić do lektury drugiej odsłony rozważań – o osobowym, różnorodnym wymiarze Powstania Warszawskiego, z drugiej strony, mającym też bardzo mocny rys doświadczenia i świadectwa wspólnotowego, pokoleniowego – do ponownego spotkania z uczestnikami, pokoleniem Kolumbów i ich historią.

DYSKUSJA

Bohdan Urbankowski:

– Piotr Wójcik zaczął bardzo skromnie i elegancko zarazem, przepraszając, że nie jest historykiem. Wypada mu odpowiedzieć, że historia jest rzeczą zbyt poważną, żeby ją zostawiać historykom, którzy wierzą do dzisiaj w takie mity jak prawda historyczna, chociaż wiemy, że prawda historyczna jest zafałszowana już na poziomie dokumentów i dalej idzie to już na piętro uogólnień. Natomiast brak jest im fantazji, intuicji. A w tym, co Piotr Wójcik mówił, jest dużo właśnie takiej empatycznej wręcz próby wczucia się w sytuację. I to jest najlepsze. Przekazanie relacji, co ludzie wtedy czuli, myśleli...

Nie znaczy to, że nie mam żadnych zastrzeżeń. Zacznę od pierwszego, natury metafizycznej. Jako filozof muszę się do tego przyczepić. Otóż ofiara życia nie była gestem, nie była fantazją rozmodlonych staruszek. Była to pewna koncepcja filozoficzna wyrastająca z etyki, polegająca na przeniesieniu myślenia ewangelicznego na historię. A więc całe myślenie o historii w kategoriach religijnych tutaj było zastosowane do Polski. Polska powinna (a może musi?) cierpieć jak Chrystus, bo to jest warunkiem zmartwychwstania. To niemal dosłowny cytat z Towiańskiego, a wielu innych filozofów też tak kiedyś wierzyło, co nie znaczy, że tak było przy Powstaniu.

Przechodząc do meritum. Akurat tak się złożyło, że ja Powstanie musiałem przeżyć. Bardziej jako rzecz niż jako świadomy podmiot, bo mama była ze mną nie tylko na Starówce, gdzie ojciec walczył, ale była potem w obozie w Pruszkowie. Z Pruszkowa uciekła niedaleko stąd – do Bielin. Dlatego żyłem mitem Powstania Warszawskiego, aczkolwiek, gdy wszedłem w wiek krytyczny, zadałem mamie pytanie: „No dobra, ale teraz po klęsce, po zniszczeniu... (a myśmy z mamą jeździli z Bytomia odbudowywać Warszawę; mało tego, spotykaliśmy tam warszawiaków, którzy też przyjeżdżali odbudowywać – z Krakowa,

z Gdańska, z Elbląga)...czy nie żałuje?” – „Nie żałuję”. – „Dlaczego?” – „Bo my wtedy byliśmy wolni”. I to jest najgłębsza odpowiedź, jaką można dać. Wartość wolności człowieka, wartość bycia swobodnym, nawet – bycia obywatelem.

Jak popatrzymy na wzrastanie człowieka, z punktu widzenia tradycyjnego, jeszcze od filozofów stoickich się wywodzącego, to człowiek dojrzewa przez to, że wchodzi w coraz większe wspólnoty. Wspólnota rodziny, gminy, w końcu wspólnota obywateli danego państwa. Czy można nazwać Powstanie Warszawskie „państwem”? Moim zdaniem tak. I taką tezę, nieco prowokacyjnie może, postawiłem w jednym ze swoich artykułów: *Powstanie Warszawskie, czyli sześćdziesiąt trzy dni Trzeciej Rzeczypospolitej*. Dlaczego uważałem, że tak można zrobić? Powstanie Warszawskie miało wszystkie cechy samodzielnego państwa. Oczywiście było to państwo małe obszarem, ale znamy mniejsze, San Marino czy Monako. Andora jest trochę większa, ale dlatego, że jest doliną zapomnianą w górach i nikomu nie chce się tam po tych górach wlaźć, żeby tę Andorę podbijać. Bardziej by się zmęczył, niż to jest warte. W każdym razie, obszar nie jest tu istotny. Co jest istotne? Istotne jest to, że wszystkie struktury państwowe zostają w czasie Powstania Warszawskiego odbudowane. Że ludzie rzeczywiście stają się obywatelami. Wcześniej jeszcze te struktury państwowe są przygotowane w podziemiu. Można, porównując do dramatu, powiedzieć, że prolog był dłuższy niż sam dramat. Przez kilka lat przygotowywano struktury państwowe, struktury administracyjne, sądownicze, oświatowe, aby one mogły w momencie Powstania Warszawskiego wypłynąć na powierzchnię i spełniać – znakomicie jak na ówczesne warunki – swoją funkcję.

Formalnie rządem był rząd w Londynie, ale obserwujemy już przesuwanie się ośrodka władzy do kraju i myślę, że w Powstaniu Warszawskim już miało to miejsce. Mamy okres nie dwuwładzy, a podwójnej władzy. Bo mamy jeszcze delegaturę londyńską, która jest zbudowana na wzór rządu. Delegatura jest podzielona na departamenty odpowiadające ministerstwu kultury, oświaty, propagandy, skarbu, gospodarki – wszystko, co w normalnym państwie jest. Prócz tego jest tak

zwana „Teczka”, o której już tu krakowscy koledzy kiedyś wspominali, czyli wojskowa administracja, gdzie dubluje się pewne rzeczy, bo tam także zajmują się administracją, propagandą, oświatą, wykonywaniem wyroków. Tak samo – są cywilne sądy. Sądownictwo cywilne to z jednej strony sądy podziemne, a z drugiej aparat wykonawczy, którym dysponuje władza cywilna, bo Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego jest podporządkowany administracji cywilnej. Nie jest częścią Armii Krajowej, częścią wojska, tylko struktury regionalne podobne jemu są narzędnym wykonawczym, ramieniem władzy. Cała ta struktura liczy około 15 tysięcy ludzi, więc jest to aparat władzy dość duży (większy nawet niż „Teczka” czyli ta struktura wojskowa, która liczy około 10 tysięcy – na jej czele, o czym już na jednej z naszych sesji mówiliśmy z dużym podziwem, stał pułkownik Muzyczka; w pewnym momencie jedni i drudzy działacze zorientowali się, że to jest zdublowanie i nastąpiło połączenie). Nastąpiło powołanie Rady Jedności Narodowej – odpowiednika naszego Sejmu. Na czele tego staje Pużak. Właściwie możemy mówić, że w tym momencie jest już rząd polski na miejscu w Polsce. Jest tutaj armia, są departamenty odpowiednich ministerstw, które po kolei wszystko robią.

Z jednej strony mamy coś, co dziś nazywamy szumnie polityką zagraniczną, a wtedy polegało to na uzgodnieniach międzypartyjnych. O kresach się nie mówiło, bo to było oczywiste, że kresy są nasze, polskie. Ale walczyliśmy o Ziemię Zachodnie i walczyliśmy o stworzenie jakiejś struktury silniejszej wewnątrz europejskiej, czego początkiem miał być traktat między Sikorskim a Beneszem z 1942 roku, czyli konfederacja polsko-czesko-słowacka (która potem została storpedowana, niemniej jakiś czas w teorii istniała i chodziło o to, żeby dobudowywać do tego następne człony). Tak że to, o czym dziś mówimy o polityce zagranicznej w kierunku budowania Międzymorza, Trójmorza, tam miało już swój precedens. Tam już to było.

Jest cała polityka wewnętrzna znakomicie zorganizowana na każdym szczeblu. A więc na szczeblu administracyjnym mamy przede wszystkim wytyczne do budowy państwa republikańskiego, demokratycznego, z wyborami pięcioprzymiotnikowymi, ze specjalną opieką

dla mniejszości (stąd Rada Pomocy Żydom była wtedy powołana). Poza tym mamy w praktyce uruchomione już życie gospodarcze, z ciekawymi nawet pomysłami.

Tutaj trochę dyskusyjnie padały pytania: „Na ile czasu Powstanie było obliczone?”. No to zapasów takich w formie puszek z konserwami i zimnego prowiantu mieliśmy raptem na 3 dni. Liczyliśmy, że będą to 3–4 dni walki. Na ten okres było zabezpieczenie amunicji. Liczyliśmy też na pomoc zbrojną. Tu bardzo dokładnie Piotr wyliczył siły niemieckie. Z tym, że „Hermann Goering” dopiero zaczyna się wyładowywać w Żyrardowie, a ronowcy to raczej były bandy. Ale nawet jeśli przyjąć, że to był ułamek czterech dywizji, to nam na odsiecz też miały iść cztery dywizje: trzecia AK, dziewiąta AK, dwudziesta, trzydziesta. Wszystko zostało zablokowane przez bolszewików (kadra oficerska z reguły zesłana na Sybir, jeżeli nie rozstrzelana).

Więc tutaj strategiczne koncepcje wydawały się racjonalne. Oczywiście jest do dyskusji, co to jest racjonalność. Bo to, co Piotr już mówił, powołując się na Leszka Moczulskiego i jeszcze na paru historyków i badaczy... Ja miałem to szczęście poznać Józefa Szostaka – „Filipa” z Komendy Głównej. I trochę mniejsze szczęście kłócić się z nim, bo on już był na tym etapie, gdzie odczuwał niejako winę za klęskę, której przecież nie był winien. Nie on burzył Warszawę. Jeżeli przypisujemy winę powstańcom, to tak jak Piotr zauważył, trzeba uznać winę Żydów za wyniszczenie całego obszaru Warszawy. To dokładnie ten tryb myślenia. I mamy dwie pokusy. Myślenie po linii obaw i myślenie po linii nadziei. Akurat to, co zaprezentowali oficerowie sztabu AK było wyposażone. Nikt nie brał pod uwagę jednego. Szaleństwa historycznego, że Stalin zawarł cichy pakt z Hitlerem. Bo co oni robią? Zatrzymują ofensywę i dają Hitlerowi czas na wykończenie Warszawy. I dopiero potem ruszono, gdy już było wygodnie, gdy można było iść po lodzie, gdy już Warszawa była w 80% rozkradziona, wypalona. Przecież większość strat to są straty już po Powstaniu. Tak jak Piotr powiedział – 10% zniszczono we wrześniu 1939 roku, trochę jeszcze w wyniku bombardowań, ale gdy Niemcy się wgryźli w Starówkę, trudno było stosować masowe naloty bombowe, nie narażając własnych jednostek.

Tak czy inaczej, można argument winy za Powstanie odsunąć, bo Powstanie było po prostu koniecznością. Koniecznością moralną (przez tyle lat przygotowywaliśmy się do walki), ale i szansą historyczną (bo Niemcy zaczęli się wycofywać).

W filmie *Kurier* jest jedna scena znakomicie zrobiona – Niemcy uciekający przez most. Tak rzeczywiście było. Moja matka też ich widziała. Poranieni, w jakichś szmatach. To są ci bohaterowie. To był jedyny moment, kiedy wydawało się, że Powstanie ma szansę. Wystąpienie zbrojne wcześniejsze albo późniejsze tej szansy by nie miało. Bo byłoby albo za daleko na zapleczu, albo w momencie wkraczania Rosjan.

I tu jedna rzecz tytułem uzupełnienia jest konieczna. Przecież Rosjanie prowokowali Powstanie. Przecież kukuruźniki latały nad Warszawą, radiostacja „Moskwa” wzywała do Powstania. Było tu ukryte założenie, oparte na kłamstwach polskich komunistów, które rosyjscy komuniści chętnie dzierżyli, mianowicie o potęgze Armii Ludowej (że oni to opanują). A jeszcze był plan zbudowany znacznie wcześniej. Kiedyś podobno to Beria nawet wymyślał, że do opanowania miasta wystarczy ratusz, poczta, dworzec i jeszcze parę punktów. Armia Ludowa miała tu to zrobić, ale tego nie robiła.

W każdym razie tego rodzaju przesłanki, które można nazwać militarnymi i moralnymi, przemawiały za tym, żeby Powstanie wybuchło. Potem odbudowanie państwa na tym obszarze pokazuje, co byłoby, gdyby rzeczywiście tę Polskę można było poszerzyć. Bo ona z jednej strony ma przez jakiś czas łączność z Kampinosem, jeszcze przez jakiś czas trzyma przyczółki przy Wiśle. Przeskok wtedy berlingowców czy samych Rosjan gwarantował zwycięstwo Powstania, a potem jak puszczono samych biednych berlingowców, to oni po przejściu na drugi brzeg saperkami walili w kamienie chodników, żeby sobie okop wybudować, bo tak ich uczono na szkoleniu wojskowym. Trzy tysiące berlingowców zginęło. To nie była decyzja oczywiście samego Berlinga, choć trudno wchodzić w czyjeś sumienie. Niemniej wydaje mi się, że jeżeli była, to po prostu nie mógł już tych Polaków utrzymać.

Przedtem był ten pomysł, żeby ruszyć od południa – od Magnu-

szewa. Znów totalny absurd. Stalin zrezygnował właściwie z podbicia Europy po to, żeby załatwić swoje bandyckie kompleksy. Po to, żeby załatwić rok 1920. To w jego paranoicznej psychice zdecydowało i moim zdaniem to był taki bardzo prywatny moment. Zachód nie pomógł i myśmy wtedy jeszcze nie wiedzieli, że Zachód ani nie chciał pomóc specjalnie, ani nie miał szans. Gdy były szanse to były zrzucone do Jugosławii, do Grecji. Zrzucone do Polski wyniosły dokładnie 443 tony materiałów, z czego większość wpadła w ręce Niemców, bo to już było za późno. Dla porównania Jugosławia 76 000 ton, Francja – ponad 10 000 ton. Cyfry są nieporównywalne. Po prostu tamci byli zbrojeni tak, jak Rosjanie byli zbrojeni przez Murmańsk (dawali ludzi, a Zachód dawał sprzęt – na tym polegała tajemnica frontu wschodniego). Dlaczego Zachód tak się spóźnił z inwazją od zachodu? Nie otwierali drugiego frontu, bo po cholere? Sprzęt dali, a żeby ginąć, to są Rosjanie. Oni to lubią, przyzwyczajeni, ich jest dużo przede wszystkim. Tutaj, myślę, poglądy Amerykanów i Rosjan były zbieżne. „U nas ludzi dużo” – jak mówił z gruzińskim akcentem Stalin.

Wracając do samego państwa. Jeżeli mamy strukturę na pewnym terenie, która ma dosłownie wszystko. Ma już próbę nie tylko gospodarki – przez produkcję, przez otwarcie sklepików, aczkolwiek do warszawskich sklepików wtedy się wchodziło od tyłu – ze względów bezpieczeństwa (to był jedyny taki okres, że nie wchodziło się wejściem głównym). Zaczynają się uprawy i wręcz podręczniki zaczynają krążyć, ile cudownych potraw można zrobić z ziemniaków. Uprawy pomidorów. Zdobyto gdzieś zapasy jęczmienia, zapas owsa. To wszystko się przerabiało. We wspomnieniach rodzinnych zostało – jeszcze tego nie jadłem, a już mama mówiła że paskudne – pluj-zupa. To było to.

Ale piętro wyżej mamy znakomity jak na ówczesne warunki przemysł zbrojeniowy. Bo „Kubus” to „Kubus”. Wzięli jakiś potężny samochód niemiecki, przerobili na czołg i wchodziło się od spodu i to był jedyny przez nas wyprodukowany. Ale w walkach w mieście czołgi czy artyleria za bardzo nie sprawdzały. Produkowaliśmy granatniki, broń maszynową (krótkie „Błyskawice”), butelki z benzyną (to też jest śmiertelne narzędzie)... A jeszcze produkowaliśmy coś w rodzaju proc –

takie dziwne wyrzutnie, które się robiło domowym sposobem, a niosło dalej niż jak Niemiec rzucił granat.

Poza tym mamy znakomitą strukturę, która łączy społeczeństwo. Mamy łączność. Mamy pocztę, która kilkadziesiąt tysięcy listów zdążyła przenieść, mamy radiostację AK – „Błyskawica”. Władze każdej nieomal jednostki wojskowej mają swoje radiostacje zwracające się do publiczności.

Ale – co bardzo ważne – odbudowana jest kultura. To jest budowane znów od podstaw. W domach, na każdym podwórku, powstaje kapliczka, powstaje jakiś posąg Matki Boskiej, święty obrazek, zbierają się ludzie, tworzy się wspólnota wiary. A to oznacza jednocześnie wspólnotę nadziei, wspólnotę miłości. I to spaja społeczeństwo!

Poza tym uruchamiają się ludzie kultury. Tu padały nazwiska niejako oddające hołd poetom Powstania. Warto by tu dodać jeszcze parę nazwisk, bo problem polega na tym, że ci powstańcy nie zdążyli podczas Powstania pisać wierszy. Baczyński zginął, Gajcy ponoć napisał jeden wiersz. Natomiast pisze Umycz, pisze Zbigniew Chałko. To jest prawdziwy kronikarz Powstania. Z jego wierszy można odtworzyć, co się działo. Tu walka o Plac Zamkowy, o katedrę, tu barykada na Dunaju. Mało tego – Makuszyński, mało tego – „Goliard” słynny, który później bardzo źle nam się kojarzy, zwłaszcza po 1968 roku, czyli Stanisław Ryszard Dobrowolski. On był bardem Powstania przecież. I ta kultura też jednoczyła.

Inaczej mówiąc, mamy gospodarkę, mamy administrację, mamy sądownictwo, mamy religię przechodzącą w obrzędy, śluby, chrzty. To wszystko wróciło. To jest elementem biografii Polaków, którzy nie zawsze są żołnierzami, ale prawie zawsze są chrześcijanami. Tak że, moim zdaniem, właśnie dlatego można mówić, że III Rzeczpospolita, to był okres Powstania Warszawskiego.

Ja wam mówiłem o definicji racjonalizmu (że właściwie nie ma racjonalnej definicji racjonalizmu), że to jest mit, jeśli by stosować do tego kryteria arystotelesowskie. To jeszcze druga definicja, która tu się narzuca i którą chciałbym zakończyć to wystąpienie, to jest definicja człowieczeństwa. Mówiłem o tym dojrzewaniu, od rodziny, od etapu

nieomal zwierzęcego, poprzez wyższe struktury, aż do tej postawy utożsamiania się ze wspólnotą, tej postawy obywatelskiej. Moim zdaniem, tam to dojrzewanie zostało w pełni dopełnione. Tak samo jak dojrzewanie od tych warstw najniższych – biologicznych, ekonomicznych, aż do poziomu *sacrum*, zostało dopełnione. Człowiek liczy się właściwie od poziomu wartości. Wszystkie niższe wartości biologiczne można nazwać popędami. On musi sobie, jak mawiał Witkacy, pochędożyć, pokierdasić i spać. To są te podstawowe obowiązki fizjologiczne. Oprócz tego należy spełnić jakieś struktury stadne – walka z innym stadem i na tym kończy się ten etap przedczłowieczy. Ale w momencie, gdy zaczynamy wierzyć w wartość naszej wspólnoty, gdy zaczynamy wierzyć w takie kategorie jak naród, państwo, uprawiać kulturę, literaturę, tworzyć wreszcie religię... Bez względu na to, czy jesteśmy wierzący czy nie, to jeśli chodzi o Boga gdzieś w zaświatach nasze myślenie błąka się bo linii metafizyki, po linii wielkiej tajemnicy. Nawet nasza metafizyka jest tylko hipotetyczna, ale przecież religia, przecież obrzędy, te chrzty czy śluby podczas Powstania, to było dziełem człowieka. To było dziełem pięknym, a jednocześnie wymagającym ryzyka. Bo jeżeli spadłaby bomba, jeśli Niemcy zaczęliby atak, to cały obrzęd byłby zmasakrowany, a ludzie właśnie sprowadzeni do poziomu zwierzęcego.

Myślę, że pointą jest stwierdzenie, że Powstanie Warszawskie dało ludziom namiastkę państwa, dało ludziom państwo, nieco mniejsze od innych państw, ale z wszystkimi atrybutami państwa. To były 63 dni wolnej Rzeczypospolitej. Mimo, że ona krwawiła, mimo że jej obszar się zmieniał, ale ona przez te 63 dni istniała.

I tutaj narzuca się jeszcze jedno. Wartość człowieka to jest jego godność. To jest życie na poziomie wyznawanych wartości, żeby nie być niewolnikiem, nie być zmuszonym do kłamstwa. I tutaj, myślę, dopiero po tych wszystkich przemyśleniach, potrafię zrozumieć moją mamę. Oni wtedy byli wolni. Dziękuję.

Krzysztof Laga:

– Dziękuję Ci, Bogusiu, ponieważ powiedziałaś naprawę od serca. Ja znam trochę Twoje doświadczenia z Powstania Warszawskiego i tu

nie ma o czym dyskutować, to jest oczywista oczywistość, co powie-
działeś. Chcę się skupić na tym, co mówił Piotrek, w trzech aspektach:
politycznym, militarnym i co by mogła zrobić Komenda Główna, gdy-
by nie podjęła fatalnej decyzji 31 lipca o podjęciu akcji zbrojnej w War-
szawie o godzinie siedemnastej.

To jest prawda, co mówił Piotrek, że Stawka (to jest taka sama wier-
chuszka sztabowa Armii Sowieckiej, na czele z samym Stalinem) 28
lipca podjęła decyzję o przygotowaniu planu zajęcia Warszawy. Ale jed-
nocześnie rozpoczęła się klasyczna walka podjazdowa. Korpus trzeci
sowiecki uderzył z marszu na Warszawę i patrzył, gdzie niemieckie siły
są w stanie ich odeprzeć albo gdzie przepuścić. Szli w kierunku No-
wego Dworu Mazowieckiego, ponieważ tam była poza Warszawą jed-
yna stała przeprawa, przez którą mogli oskrzydlić Warszawę z półno-
cy. Ponieważ na drodze bodajże stanęła im sto siedemdziesiąta trzecia
dywizja Wehrmachtu, którą po trzech dniach walki OKH wykreśliło
z rejestru istniejących. Ale Sowieci też ponieśli spore straty i zaczęli się
wycofywać. Monter nieopatrznie zrozumiał tę walkę podjazdową na
przedmieściach Warszawy, że Sowieci się przygotowują do akcji i jed-
nocześnie w tym momencie Stawka szykowała się do zmiany rozkazu.
Problem polegał na tym, że Stalin wiedział już po tym, co zrobił z Gru-
pą Armii „Środek”, że praktycznie nie ma już poważnego przeciwnika.
Niech sobie tam Niemcy się grupują, i tak jest już po nich.

Więc on już przestał wierzyć, że przegra wojnę, zaczął wierzyć, że
wygrał i postanowił poszerzyć swoje zdobycze terytorialne. Tak się
złożyło, że jest to decyzja Stawki z 2 sierpnia, a więc tu jest już taki
motyw... Podjął decyzję o uderzeniu na Rumunię, Bułgarię i Esto-
nię. I wszystkie siły, o których mówił Piotrek, zostały przegrupowane
z frontu centralnego, czyli kierunku berlińskiego na kierunek połu-
dniowy. Bukareszt wziął praktycznie z marszu. Stahel był najpierw do-
wódcą obrony Wilna, potem dowódcą obrony Warszawy w sierpniu
1944 roku i na koniec dowódcą w Bukareszcie, gdzie został zwinięty
przez NKWD i szczeł w sowieckiej niewoli. Sowieci zdobyli Rumunię,
Bułgarię i praktycznie opanowali Jugosławię.

Skąd ta decyzja? Ona nie była nagła. On już wiedział – dogadany

z Amerykanami – że Berlin będzie jego. Gdyby on nie wiedział, że Berlin będzie jego, to jakby była walka o to, kto wejdzie do Berlina, to opanowałyby Warszawę. I nie przejmowałyby się Armią Krajową, czy rozpocznie jakąkolwiek operację, czy nie rozpocznie. Po prostu weszliby do miasta. Ci, którzy by się ujawnili, zostaliby zagarnięci, i pojechaliby za Ural i tam by ich odstrzelili. Ci, którzy by przeżyli mieliby zdecydowanie mniej szczęścia. Stalin by się z nimi nie cackał. Natomiast sytuacja stała się taka, że poszło to w zupełnie innym kierunku i zostaliśmy sami.

Wracając do części wojskowej. Kiedyś już na ten temat rozmawialiśmy, ale powtórzę. Jestem głęboko zasmucony tym, że ta grupa wytrawnych oficerów przedwojennej polskiej armii, która tworzyła trzon Komendy Głównej Armii Krajowej, która doskonale wiedziała o pozycjach niemieckich, o ich wyposażeniu i posiadaniu broni i amunicji, a wiedząc, jakie są nasze zasoby, że podjęła decyzję o walce. Tak naprawdę w Warszawie poza Kedywem i „Brodą”, i może jeszcze „Basztą”, nie było... Mówię o Kedywie okręgu, „Broda” była Komendy Głównej, a „Baszta” to był odwód Komendy Głównej. I one były jeszcze jako tako wyszkolone i potrafiły walczyć w większych zgrupowaniach niż patrole pięcio-, sześćoosobowe. [Niewyraźne słowo] mi opowiadała, że ona dopiero za piętnaście piąta poznała ludzi z plutonu. Wchodzisz na zbiórkę, znasz cztery osoby, bo z nimi się spotykałeś w konspiracji. A tu nagle jest 40 osób i masz z nimi wychodzić na pozycję, a nawet nie wiesz, jak oni się nazywają. Zwłaszcza, że połowa za chwilę zginęła.

Taka dygresja. Warszawa była potężną bazą niemiecką, również zaopatrzeniową. Pech poległ na tym, że była to baza zaopatrzeniowa materiałowa. Nie było tam dużych magazynów broni ani nie było też dużych magazynów amunicji. Jedyne duże magazyny to był fort Bema, tylko że problem z fortem Bema polegał na tym, że była tam broń wycofywana z frontu wschodniego, gdzie ją przeglądano, czy ona się jeszcze nadaje do użytku czy nie. I przestrzeliwano ją. Jak się nadawała, to ją wysyłano znowu na front, a jak nie, to szła do pieca. Amunicji nawet do tej broni nie było. Problem polegał na tym, że nawet gdyby te magazyny, które nie wpadły w ręce powstańców, czyli na Kole,

który „Herman Goring” zajął 27. czy 28., czy ten magazyn słynny na Lesznie, gdzie było 678 pistoletów maszynowych, to nawet gdyby te magazyny zostały opróżnione przez żołnierzy podziemia i wykorzystane w Powstaniu, to nic by to nie dało. Bo nie było amunicji. Amunicji było po dwa magazynki. A żadna z poważnych twierdz niemieckich w centrum miasta nie została przejęta.

Ani mostów, ani żadnego lotniska. Co prawda niewiele brakowało, żeby w nocy z 1 na 2 sierpnia zdobyto lotniska na Bielanach. To lotnisko było praktycznie zdobyte, ale niestety brakło trochę szczęścia. I problem polegał na tym, że tak naprawdę to od 2 czy 3 sierpnia przeszliśmy na pozycje obronne i tylko patrzyliśmy co z tego wyniknie.

Co do strat niemieckich, to nie chciałbym polemizować, bo oczywiście to, co napisał Strzembosz (i *Starówka 44*, i potem powtórzył to w *Parasolu*), to jest jakby kanoniczne zeznanie i nikt tego nie podważył. Krannahals pisząc książkę *Der Warschauer Aufstand* nie znał danych z dziennika bojowego Dirlewangera, bo gdzieś tam te dzienniki sobie krążyły, później były w jakimś archiwum schowane. Stąd też jego śmieszne dane. Natomiast rzeczywiście Dirlewanger nigdy nie oszczędzał siebie ani swoich ludzi (zresztą sam był sześciokrotnie ranny podczas wojny). Brygada Dirlewangera, przekształcona w 30 dywizję Waf-fen SS, przy obronie Budapesztu straciła ponad 90% stanu. To świadczy tylko o tym, co to byli za ludzie. Oni się nie cofali – szli prosto pod nóż. I to jest druga sprawa.

Trzecia sprawa to, co mogła zrobić Komenda Główna AK. Komenda Główna miała tylko jedno wyjście poza tym, żeby wywołać Powstanie. Czyli wycofać aktywa. Moim zdaniem, ten pomysł, który się narodził wiosną w Kedywie Komendy Głównej. Chyba Mazurkiewicz był zwolennikiem tego pomysłu, żeby część żołnierzy dywersji przeszła do bazy leśnej. Zośkowcy tworzyli bazę leśną i przekształcili się tak naprawdę z dywersji miejskiej w oddziały partyzanckie wspomagające miejscową partyzantkę, bo oni byli wyszkoleni w dywersji kolejowej czy w sabotażu, co miejscowa partyzantka miała nie do końca opanowane. Albo druga część, żeby ludzi z bronią wyprowadzić najpierw do Kampinosu, a potem w lasy skierniewickie i w Góry Świętokrzyskie, a Komenda

Główna z zasobami finansowymi powinna najpierw wycofać się w kierunku kieleckim, a potem założyć Komendę w Częstochowie i czekać, co się z tym wszystkim będzie działo.

To, co się wydarzyło w Warszawie, moim zdaniem, żadnego uzasadnienia merytorycznego nie miało. Mogę zrozumieć motywy ludzi, którzy podjęli tę decyzję. Jesteś pięć lat w konspiracji, pięć lat w podziemiu i jesteś tak naprawdę oderwany od rzeczywistości. Dostajesz z zagranicy strzępki informacji, bo ta łączność jest rwana. Dostajesz informacje z rządu polskiego, który też nie jest dostatecznie informowany o tym, co się dzieje. Te informacje są absolutnie odstające od realiów. A jednocześnie myślisz o sobie, o tym, żeby nie wpaść, co zrobisz jak wpadniesz, a co się stanie z rodziną... To była presja chwili w pewnym momencie. Do końca tego nie usprawiedliwiam, ale mogę zrozumieć postawę oficerów Komendy Głównej, zwłaszcza tych, którzy po wojnie twierdzili, że głosowali wtedy przeciw. Tak jak szef BiP-u, który po wojnie twierdził, że tak do końca nie był za, a był przecież jednym z pierwszych, którzy parli.

Mirosław Lewandowski:

– Nie chcę polemizować z Krzyskiem Lagą, poza tym, że się głęboko i w 100% nie zgadzam z tym, co mówił. Dla mnie główne argumenty przeciwko Powstaniu, to są argumenty Ludwika Muzyczki, który był konsekwentnym jego przeciwnikiem w 1944 roku – przed wybuchem powstania (bo Rzepecki, jak już wspomniał Krzysztof Laga, stał się przeciwnikiem Powstania dopiero po jego klęsce). Z Plutą było trochę inaczej, bo Pluta kładł nacisk na to, że walkę rozpoczęto w niewłaściwym momencie, ale nie kwestionował samej decyzji o podjęciu walki.

Muzyczka formułował dwa argumenty przeciwko powstaniu. Jeden argument wyraża się w zdaniu, że nie stawia się wszystkiego na jedną bitwę, gdy nie ma się wystarczających środków, aby ją wygrać. I drugi argument (dla nas, jako piłsudczyków, bardzo poważny) odwołuje się do fundamentalnej tezy Piłsudskiego sformułowanej w pierwszej połowie lat 30. albo w drugiej połowie lat 20., kiedy oni przygotowywali w Sztabie Głównym plany wojny „Zachód” i plany wojny „Wschód”.

Padło wtedy pytanie: „No dobrze, a jeżeli będziemy musieli prowadzić wojnę na dwóch frontach?”. I wtedy Piłsudski odpowiedział: „To wtedy nie ma wojny, bo wojna na dwóch frontach oznaczałaby groźbę dla biologicznego istnienia narodu”. W związku z tym nie było planów prowadzenia równoczesnej wojny przeciwko Niemcom i przeciwko Sowietaom. To jest wytłumaczenie, dlaczego po 17 września 1939 roku Śmigły, pamiętając tę zasadę, zakazał polskiemu wojsku walki z Armią Czerwoną. Muzyczka w 1944 roku powoływał się na tę zasadę Piłsudskiego, zwracając uwagę, że Powstanie Warszawskie jest w jakiś sposób wojną na dwa fronty, a takiej wojny nie wolno nam podjąć. Dodatkowo punkt widzenia Muzyczki wynikał z faktu, że oni razem z Nilem przygotowali koncepcję organizacji „Nie” (a więc przygotowywali konspirację poakowską). W związku z tym Muzyczka dostrzegał pewną sprzeczność – jeśli rzucimy prawie wszystkie aktywy do powstania, to czym będziemy potem robić to, do czego przygotowywaliśmy się w ramach koncepcji organizacji „Nie”?

Ale chcę powiedzieć, że mimo tych obiekcji ze strony Muzyczki, zgadzam się w bardzo dużym zakresie z tym, co mówił Piotr. I chcę powiedzieć tak. W naszej historii XX wieku są dwa kluczowe elementy, które wymagały olbrzymiego wysiłku intelektualnego, oprócz wysiłku woli i ambicji, o czym mówił Bohdan Urbankowski. Zgadzam się z tym, co mówił Bohdan. On nie użył tego sformułowania, ale myślę, że można to tak sformułować: „Jeżeli nie byłoby wartości, które są cenniejsze niż życie ludzkie, to życie ludzkie nie miałoby wartości”. Są wartości, które stoją wyżej od życia ludzkiego i czasami trzeba dla nich życie ludzkie poświęcić. Tak było w roku 1939 i tak było w roku 1944. Dlatego trzeba było się wtedy bić.

Problem polega na tym, żeby nie patrzeć na rok 1939, na politykę zagraniczną Becka, co się bardzo często robi – i potem na naszą wojnę, którą kierował Śmigły, jako na jakąś ofiarę całopalenia, gest romantyczny, mesjanizm i wszystkie te bzdury, które nam wmówiła polonistka Maria Janion. Żeby w ten sposób nie patrzeć ani na rok 1939, ani na rok 1944, tylko żeby dostrzec w jednej i drugiej walce, od początku do końca kalkulację racjonalną. Myślę, że bardzo długo trwało, aż środo-

wiska piłsudczykowski z tymi problemami sobie poradziły.

Rok 1939 był najpierw wyzwaniem dla Sztabu Głównego i dla Becka – jak prowadzić politykę zagraniczną w sytuacji, kiedy Niemcy dążyły do wojny i Sowietom parli do wojny? I jak przygotować racjonalny plan obrony. A potem zadanie dla Śmigłego – jak poprowadzić wojnę, żeby w warunkach zdecydowanej przewagi niemieckiej, znaleźć jakieś wyjście sensowne. Uważam, że im się to udało, a krytyka jaka na nich spadła po roku 1939 była spowodowana wrażeniem klęski. Nie było żadnej ucieczki Śmigłego. Tak jak Jan Henryk Dąbrowski przenosząc się do Włoch po klęsce Powstania Kościuszkowskiego nie uciekł z Polski, tak samo Śmigły wycofał się 17 września 1939 roku do Rumunii, bo chciał następnie się przenieść do Francji i kontynuować walkę. To nie była żadna ucieczka. To był zamiar kontynuowania walki. To, że go internowali w Rumunii, to jest kwestia, której nie zakładał, nie przewidywał i nie miał chyba prawa przewidywać.

Ale wracam do kwestii wyzwania intelektualnego, bo to, co jest bardzo cenne w tym co mówił Piotr Wójcik, dotyczy tego, że w 1944 roku – w decyzji o wybuchu powstania (tak samo, jak w decyzji obrony w 1939 roku) widać olbrzymi wysiłek intelektualny ludzi, którzy kierowali walką. Akurat tak się szczęśliwie składa, że byli to ludzie naszego obozu – to byli piłsudczycy. Olbrzymi wysiłek intelektualny, który został włożony, żeby w tej beznadziejnej sytuacji...

Błędnie interpretuje się, że Sławek popełnił samobójstwo z powodu zawiedzionych ambicji. Tu bardzo dobrze sprawę zna Leszek Moczulski, gdyż jego babka była współpracowniczką Sławka jeszcze w 1905 roku. Sławek odebrał sobie życie w 1939 roku, bo nie widział wyjścia z tego, co się szykowało.

Opowiada się także, że obóz piłsudczykowski nie wiedział, jaki idzie armagedon w 1939 roku. Mówi się, że Beck, mówiąc o honorze w Sejmie w maju 1939 roku, blefował i był idiotą – to są kompletne bzdury. Polecam wam w ogóle wspomnienia Szostaka. Obóz piłsudczykowski świetnie sobie zdawał sprawę, że idzie armagedon. Po upadku Czechosłowacji, na pytanie swojego szefa „Panie pułkowniku, co teraz będzie?”, Szostak odpowiedział: „Będzie wojna”. „I co dalej?”.

„Dostaniemy w dupę”. „I co dalej?”. „Dalej będziemy w koalicji, która tę wojnę wygra”. A to, że ta wojna została przez nas wygrana dopiero w roku 1989, to jest osobny temat. Jednak dzięki Beckowi i Śmigłemu, myśmy w 1939 roku przystąpili do koalicji, która tę wojnę wygrała. I ten piękny rozwój Polski, który dzisiaj mamy, jest między innymi konsekwencją tej ich decyzji.

Głos z sali:

– Daleko posunięta teza.

Mirosław Lewandowski:

– Daleko? Myślę, że dałoby się to udowodnić.

Widzę racjonalną decyzję i olbrzymi wysiłek intelektualny, w tym, co robił Beck i w tym co robił Śmigły, a także w tej decyzji podjęcia walki w Warszawie w 1944 roku. Jeśli chodzi o obie kwestie, to Szostak – polecam jego wspomnienia – brał udział w obu decyzjach: przygotowywał plany wojny w 1939 i potem brał udział w przygotowywaniu planów powstania powszechnego (pod kierunkiem Tatara, a potem jak Tataru się pozbyli, to Szostak już w bardzo krótkim czasie, nie sam, ale w pewnej grupie, przygotował projekt powstania w Warszawie). Bo pierwotnie przecież Warszawa miała nie być objęta planem „Burza”.

Widzę olbrzymi wysiłek intelektualny i bardzo mi się podoba, że Piotr Wójcik ten wysiłek dostrzegł, podkreślił i pokazał.

Chcę jeszcze powiedzieć o drugim wysiłku intelektualnym, który dotyczy zarówno roku 1939, jak i roku 1944 – oni musieli sobie po 1956 roku z tymi problemami poradzić, wytłumaczyć się przed społeczeństwem. Obóz piłsudczykowski, dotknięty piętnem rzekomej odpowiedzialności za klęskę w 1939 roku i dotknięty piętnem rzekomej odpowiedzialności za błędną decyzję w 1944 roku, musiał sobie z tymi dwoma „garbami” poradzić. I to znowu wymagało wysiłku intelektualnego.

Ten wysiłek przyniósł efekt, jeżeli chodzi o rok 1939. Był tu olbrzymi wkład generała Abrahama, ale decydująca była przede wszystkim książka Leszka Moczulskiego *Wojna polska 1939*. Jeżeli ktoś jeszcze po-

wtarza brednie o Becku i Śmigłym, to powinien to koniecznie przeczytać. Nie czytają i dlatego opowiadają bzdury.

Natomiast jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie, to tutaj ten wysiłek został podjęty, ale właściwie, jak czytałem akta Muzyczki i Pluty, to oni do końca życia sobie z tym zadaniem nie poradzili. Jak się słucha Muzyczki i jak się słucha Pluty, to widać, że obaj mają w sobie to poczucie winy. Myślę, że to, co mówił Bohdan Urbankowski o Szostaku (choć on w swoich wspomnieniach broni Powstania), świadczy o tym, że Szostak też się tłumaczył z Powstania, usprawiedliwiał się: „Podjęliśmy decyzję racjonalną w ekstremalnych warunkach i sprostaliśmy jej. Walka miała trwać kilka dni, a trwała 63 i myśmy to wytrzymali!”. Szostak w jakimś miejscu swoich wspomnień mówi, że w wojsku o powodzeniu decyduje element uzbrojenia i element krwi. I polska doktryna wojenna na swój sposób była racjonalna. „Jeżeli brakuje uzbrojenia, brakuje ludzi, to co pan robi, panie pułkowniku?”. „To ja zakładam, że elementu krwi musi być więcej”. W armii pruskiej niektóre decyzje, które myśmy podejmowali, z góry by odpadały, jako nieracjonalne, a u nas po prostu zakładano, że ten żołnierz będzie się bił lepiej, niż się można spodziewać i mimo słabszych sił – sprosta zadaniu. I tak było w Powstaniu.

Więc chcę powiedzieć, że ten wysiłek intelektualny, którego wynikiem końcowym jest na przykład referat Piotra Wójcika, w którym bez wspominania o romantyzmie, o ofierze, o mesjanizmie, mówimy, że decyzja o wybuchu Powstania była decyzją racjonalną, że to jest ogromnie ważne.

Mam pretensję do obecnej propagandy rządowej, która broni Powstania za pomocą argumentu, że „Przywódcy AK mieli prawo utopić Warszawę we krwi”. Twierdzi się, że po to podjęli powstanie, żeby to zrobić i że mieli do tego prawo. Otóż jest to największa krzywda, jaką można wyrządzić tym ludziom. Decyzja o wybuchu powstania była decyzją racjonalną i nikt nie zakładał utopienia Warszawy we krwi. Po prostu, wskutek różnych działań, głównie Stalina, to się w ten sposób skończyło. Wytrzymali 63 dni, ale nie to było ich celem. Jeżeli uwierzmy, że przywódcy narodu mają prawo podejmować decyzję o utopieniu narodu we krwi, to jest to straszna nauka na przyszłość.

Decyzji o walce w 1944 roku i decyzji o walce w 1939 roku należy bronić jako decyzji racjonalnych, ale, na Boga, nie bronić tego na zasadzie, że jesteśmy Mesjaszem, Chrystusem Narodów i niesiemy jakiś krzyż. Bo tak nie było! Gdyby oni tak to rozumieli, jak to się dzisiaj przedstawia, to rzeczywiście Krzysiek Laga ma rację, że podjęcie decyzji o wybuchu Powstania było błędem. Ale tak nie było i bardzo dziękuję Piotrowi Wójcikowi za ten referat, z którego zasadniczymi tezami zgadzam się w 100%.

Marcin Jarzabek:

– Jestem historykiem, ale nie zajmuję się militarnymi dziejami II wojny światowej. Moja wiedza na ten temat pochodzi z literatury przedmiotu i nie chcę odnosić się do tego jako historyk. Chcę powiedzieć, że mimo iż w wielu aspektach inaczej oceniam Powstanie Warszawskie, to bardzo było to dla mnie inspirujące i skłoniło mnie do wielu przemyśleń i zmiany niektórych poglądów.

Proszę jednak o skomentowanie dwóch rzeczy, które się w tym referacie pojawiły.

Pan przedstawił się jako nie-historyk, ale ten pana wywód był bardzo historyczny, zawierał bardzo szczegółową narrację historyczną. Pojawił się w niej taki element – przedstawił pan, jak wygląda sytuacja na froncie pod koniec lipca 1944 roku, która sprowadzała się do tego, że wojska niemieckie były w rozsypce, a wojska sowieckie planowały zajęcie Warszawy. O ile z grubsza się orientuję, jest to prawdziwe. Mogą państwo wyprowadzić mnie z błędu, jeśli tak nie jest. I teraz pytanie: co mogłoby się stać, gdyby Warszawa się stała Festung Warschau? Jakie wielkie straty potencjalnie jej groziły? To jest jakaś forma myślenia ahistorycznego – jest to tworzenie scenariusza alternatywnego, który jest pomocny, bo pozwala nam lepiej zrozumieć, co zostało wyjaśnione. Ale istotniejsze jest, czy w tym nie ma pewnej sprzeczności? Jeśli dysproporcja sił między Niemcami a Armią Czerwoną była tak duża, to czy Warszawa nie zostałaby zajęta – tu z kolei ja pozwalam sobie na tworzenie scenariusza alternatywnego – stosunkowo łatwo i szybko? Czy wojska niemieckie byłyby w stanie bronić Warszawy efektywnie

i racjonalnie, tak jak zamierzały? Nie polemizuję z tezą, że to była decyzja racjonalna, ale nie jestem pewien, czy taki argument, że gdyby nie było Powstania, to byłoby równie źle, jest uzasadniony? W pańskim wywodzie jest pewna nieścisłość. To znaczy, albo te armie są równie silne i wtedy jest krwawa jatka, albo rzeczywiście jest bardzo silna dysproporcja sił i wtedy Armia Czerwona zajmuje Warszawę bez problemu. To jest szczegółowa kwestia, która nie jest aż tak bardzo ważna, ale po prostu zwróciła moją uwagę.

Druga kwestia jest chyba istotniejsza. To kwestia wartości, w imię których istniejemy, a w szerszym tle, jest to dylemat: „Bić się, czy nie bić”. Pojawiła się idea wolności jako ta nadrzędna, o którą chodziło. Bardzo przekonujący argument, to porównanie decyzji o wybuchu powstania w Getcie i warszawskiego w 1944 roku. Zgadzam się z tym, że można postawić tezę, że życie jest wartością wtedy, kiedy ono ma jakieś głębsze wartości ze sobą. Rzecz w tym, że podejmujący decyzję o powstaniu stawiali na jednej szali wolność, a na drugiej życie, ale nie swoje własne, a paruset tysięcy (jeśli nie więcej jak miliona) mieszkańców miasta. Innymi słowy, nam łatwo odtworzyć taką konstrukcję, z tym tylko założeniem, że to nie ja podejmuję decyzję o moim życiu i wartościach, dla których chcę je poświęcić, tylko podejmuję decyzję o tym, że potencjalnie duża część ludzi będzie musiała poświęcić życie w imię moich wartości. Nie wchodzę już w merytoryczną kwestię, tylko chodzi mi o samą logikę wyvodu. Moim zdaniem miałyby ona sens, gdyby decyzja dotyczyła tego samego podmiotu. A tu są dwa różne podmioty. Nie polemizuję przy tym z tezą, że przynajmniej w intencji twórców, decyzja była racjonalna albo tragicznie racjonalna, że zdawali sobie sprawę z tragiczności tej decyzji.

I tu analogia z Czechosłowacją w 1938 roku – decyzja o niepodjęciu walki jest tak samo traumatogenna jak decyzja o jej podjęciu, tylko inaczej tę traumę się przeżywa.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Chciałbym trochę rozdzielić takie elementy, o których tutaj nie rozmawialiśmy, a to jest istotne w mojej ocenie. W pierwszej kolej-

ności musimy rozróżnić wojsko od partyzantki. Wojsko ma inne cele, inną taktykę i społeczeństwo w momencie wojny dla wojska jest pewną przeszkodą. Podam przykład generała późniejszego, a wtedy pułkownika, Maczka, który w Karpatach z Brygadą Pancerną, przemieszczając się i oskrzydając Niemców... Ludność cywilna mu przeszkadzała. On wozy i ludność zrzucał do rowów, rozpychał się, czołgami przejeżdżał, niszczył ich dobro. Ludzie go wyzywali i kamieniami obrzucali. Więc wojsko ma inną taktykę i całkowicie inaczej podchodzi do ludności cywilnej. Bo ma inny cel. Natomiast partyzantka, szczególnie w Warszawie, ci ludzie, którzy byli w AK, byli związani ze swoimi rodzinami. Na co dzień z nimi rozmawiali. Nie byli oddzieleni od rodzin. Przeżywali zabójstwa i morderstwa swoich kolegów, rodzin, ojców, żon, dzieci. Ci ludzie to widzieli. Ja chcę powiedzieć, że społeczeństwo dąży do pewnych rozwiązań. Dowództwo może sterować, może zarządzać. Ale gdyby nie społeczeństwo, które było aktywne, bo było wychowane (co Bohdan Urbankowski napisał w książce o Piłsudskim) na idei piłsudczykowskiej, na idei niepodległości... Ci ludzie mieli to zakodowane w głowie. Tamci ludzie wiedzieli, że złem są Niemcy i dążyli do powstania, za te krzywdy wieloletnie. Dowództwo Armii Krajowej musiało brać pod uwagę trendy oraz napięcie wśród mieszkańców.

Wszędzie takie napięcie występowało: i w Wilnie, i we Lwowie i – w mniejszym stopniu – w Krakowie. Jako Krakus chciałbym o Krakowie powiedzieć więcej. W Krakowie struktura narodowościowa była inna niż w Warszawie: w Warszawie na jednego Niemca przypadało 30 warszawiaków, w Krakowie na jednego Niemca przypadało 6 Krakusów – w Krakowie nie było parcia do powstania, bo ludność była przytłumiona ilością Niemców i tym, co się działo: łapanek dużo nie było, oczywiście bywały egzekucje, szubienice, działało gestapo, ale nie było takiego terroru jak w Warszawie czy w innych miastach w Polsce. W Krakowie nikt nie myślał o powstaniu, mimo że też Armia Krajowa działała, okręg krakowski był dość prężnie działający, w terenie walki wszędzie wybuchały, była przecież dwumiesięczna Republika Pińczowska (Skalbmierz, Kazimierza Wielka), Republika Iwonicka... Więc dużo walk było i zajęcie terenów, które były utrzymywane przez par-

tyzantów. Natomiast w Warszawie ludność dążyła do powstania. Teraz pytanie – „Bić się czy nie bić?”, bo to jest tematem tej konferencji. W mojej ocenie, jeżeli ludność mówi w pewnym momencie: „Dość! Mamy dość tego co się dzieje, musimy wziąć sprawy w swoje ręce!”... Widzimy, że w maju 1944 roku jest Monte Cassino. W Warszawie, w Polsce jest sygnał, że Monte Cassino Polacy zdobyli z generałem Anderssem. W czerwcu 1944 roku alianci lądują w Normandii, w lipcu 1944 roku jest zamach na Hitlera, komuniści się zbliżają. Front się zbliża. Trudno utrzymać ludzi w siedmiusettyśmym mieście – bo tyłu było mieszkańców Warszawy w tym czasie, żeby nie wybuchło powstanie. Pytanie, czy powinni się bić? W mojej ocenie ludność też wymusiła decyzję o walce.

Armia Krajowa była bardzo dobrze przygotowana – to już wcześniej było mówione. Inne zagadnienie, czy to powstanie było dobrze przeprowadzone? Bo garnizon warszawski miał 40 tysięcy. Ale weźmy teraz, trzy tygodnie wcześniej wybuchło powstanie w Wilnie. I jak wybuchło powstanie w Wilnie? Tam nie było powstania w mieście i koście. Armia Krajowa skomasowała w mieście 500 żołnierzy. 17 tysięcy pułkownik vel generał (bo dostał stopień generała do rozmów z Rosjanami) Aleksander Wilk-Krzyżanowski skomasował z terenu i promieniście – oczywiście z pewnymi komplikacjami, bo było przyspieszone to powstanie o jeden dzień i nie wszystkie jednostki na czas dotarły – z zewnątrz zaatakowano miasto. Rosyjskie jednostki, które też parły silnymi garnizonami. I to powstanie zostało korzystnie wygrane, ponieważ z zewnątrz dużo jednostek zaatakowano i w mieście. Warszawa przegrała, bo walki wybuchły tylko w mieście, wewnątrz.

Natomiast kolejne pytanie – z dzisiejszego województwa świętokrzyskiego były próby wielu partyzantów zejścia się do Warszawy. O tym mówił Bohdan Urbankowski. Na linii Pilicy zostały te jednostki zatrzymane. Niemcy okopali się z drugiej strony i partyzanci nie byli w stanie sforsować rzeki. Wycofali się w lasy świętokrzyskie. Czy ten element był dobrze przygotowany? Bo puszcza kampinoska pomagała Żoliborzowi, ale Dworzec Gdański spowodował, że nie byli w stanie pomóc pozostałym terenom, chociaż były próby przebicia się i zdoby-

cia Dworca Gdańskiego. Czyli z punktu taktycznego nie byli gotowi partyzanci tego zrobić. Natomiast z zewnątrz próby były, tak jak mówię, z Puszczy Kampinoskiej, zdobycia i wsparcia miasta. I tu bym szukał problemu w tym, że Powstanie Warszawskie trwało, ale nie miało pomocy z zewnątrz. Nikt nie pomógł Powstaniu i dlatego upadło.

Co do siedemnastej republiki, o której mówił Piotr. Czy siedemnasta republika mogła w Polsce zaistnieć? Stalin mógł prowadzić taką grę, ale czy to Warszawa spowodowała, że siedemnastą republiką nie byliśmy? Było Wilno trzy tygodnie wcześniej, Jasło, Lwów, Krosno, było wiele innych terenów w Polsce, które nagle wybuchły w Polsce. Stalin może na bazie Warszawy się wycofał z decyzji, ale czy siedemnastą republiką nie mogłyby być Węgry, Czechosłowacja albo Rumunia? Generalnie też mogłyby być kolejnymi republikami.

Warto by przeanalizować przy Powstaniu Warszawskim powstanie na Słowacji. Nigdy się nie wiąże jednego z drugim, ale... Powstanie na Słowacji wybuchło 1 września 1944 roku. Powstanie na Słowacji było zrobione przez żołnierzy, którzy mieli być wysłani na front wschodni. Bardzo dobrze uzbrojonych kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, na terenie środkowej Słowacji (ze stolicą w Bańskiej Bystrzycy) z dowództwem, z całą logistyką, zajęło duży teren. Mieli aprowizację, zaopatrzenie, mieli miejscowości, miasta, w których mieli świetne warunki do bronięcia się, gdyż były to tereny górskie z wąskimi wąwozami Karpat Centralnych. Co się wydarzyło? Dwa miesiące trwało powstanie słowackie, dokładnie tyle samo, co powstanie warszawskie. Chyba 61 dni. Przez sześć tygodni Niemcy nie byli w stanie nic zrobić, Słowacy się świetnie bronili, nie było żadnego problemu. Dopiero Słowacy zaczęli się poddawać i wycofywać w momencie, gdy jednostki Dirlewangera zostały z Warszawy ściągnięte na początku października, przerzucone na Słowację i ci zbrodniarze dokonali pacyfikacji kilkudziesięciu miejscowości. Szli po kolei, mordowali wszystkich ludzi. I Słowacy, jak zobaczyli co się dzieje, zaczęli się poddawać. Albo wycofywać z powstania.

Ciekawa rzecz się wydarzyła z Sowietami. Sowietci w Krośnie, gdzie były bardzo ciężkie walki (przecież Krosno w 60% zostało zniszczone)... Szczególnie Niemcy przygotowali bardzo silną obronę w Karpa-

tach i dowództwo sowieckie nakazało w ciągu jednego dnia przygotować plan zdobycia przełęczy dukielskiej i pomocy powstańcom słowackim. Przy walce o przełęcz dukielską, szczególnie w „Dolinie Śmierci”, gdzie ponad 100 czołgów zostało zniszczonych, zginęło około 100 tysięcy ludzi. Nim przebili się na drugą stronę Karpat, to powstanie upadło. Kompletnie bez sensu była ta walka, która nie była przygotowana (bo nie mieli ochoty przechodzić na drugą stronę Karpat na początku, w sierpniu, ale we wrześniu zaczęli atakować). To też świadczy o tej nieuczciwej, nierównej grze Stalina w stosunku do Polaków. To też trzeba pod tym kątem rozpatrywać, bo gdyby oni tak potężne jednostki rzucili na pomoc Warszawie, to nie byłoby naszej dyskusji, bo Warszawa byłaby przez Armię Krajową i Sowietów wyzwolona. Ale niestety tak to się podziało.

Na zakończenie chciałbym jeszcze powiedzieć, że tak jak mówię, w wielu miejscach w Polsce wybuchły jeszcze walki partyzantów, republiki powstawały, tereny zdobyte przez partyzantów, dwa czołgi sowieckie – co wcześniej też mówiliście – z rozpędu pod Kraków podjechały. Były 30 kilometrów od Krakowa i się wycofały. Następnie Kraków czekał pół roku na wyzwolenie, bo w styczniu 1945 roku został wyzwolony (dzień wcześniej niż Warszawa). Natomiast już w lipcu 1944 roku zagony sowieckie zapędziły się pod Kraków. Więc gdyby Sowietci naprawdę chcieli Polskę wyzwolić jako alianci, to myślę, że mogliby spokojnie z pomocą Armii Krajowej nawet i Śląsk zdobyć jeszcze w 1944 roku, w lipcu, sierpniu czy we wrześniu. A oni celowo zatrzymali tę ofensywę. Po co? To wszyscy oczywiście wiemy.

Piotr Wójcik:

– Odniosę się najpierw do tego, o co pytał dr Jarząbek z Krakowa.

Po pierwsze o myśleniu ahistorycznym. Trzeba pamiętać, że Komenda Główna Armii Krajowej i rząd Polski nie podjął decyzji o tym, że walczymy o Warszawę, żeby pokonać garnizon niemiecki, pokonać Wehrmacht i zdobyć Warszawę na czas nieokreślony, tylko podjął decyzję o tym, że liczymy walkę na 6, 7 dni, występujemy przed wejściem Sowietów, by pokazać wolę i suwerenność Polski na wyzwolonym przez

nas terenie. Musimy to zrobić w dramatycznie trudnej sytuacji. Nie możemy zrobić tego za późno, bo nie zdążymy się zmobilizować i nie możemy zrobić tego za wcześnie, bo ryzykujemy, że Sowieci się zatrzymają. W związku z tym, moja wypowiedź na temat Festung Warschau, to nie jest luźna dywagacja. Powiedziałem wyraźnie – 27 lipca Hitler wydał rozkaz, że Warszawa będzie twierdzą, w rozumieniu wojskowym, ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu i będzie w związku z tym broniona tak długo jak tylko się da. Dlaczego nie zgadzam się, że to jest niekonsekwentne w mojej wypowiedzi? Dlatego, że po pierwsze – Komenda Główna Armii Krajowej zakładała możliwy scenariusz rozwoju sytuacji, który był bardzo prawdopodobny, bo opierał się na tych manewrach operacji warszawskich, które już miały miejsce w historii, opierał się na tym, że istnienie na 400 kilometrów frontu luki po grupie armii „Środek” oznaczało dla Stalina ogromną szansę wyjścia na Odrę w ciągu kilku miesięcy i, *de facto*, zajęcia ogromnej części Europy, w związku z czym Niemcy muszą bronić Warszawy. Ich założenie było takie, że dojdzie do bitwy niemiecko-sowieckiej o Warszawę, dlatego że Stalin chce ją zdobyć, otworzyć sobie przestrzeń i jednocześnie zainstalować komunistów i wykazać, że rząd legalny nie istnieje, że jest efemerydą i w gruncie rzeczy jest sojusznikiem Hitlera, bo stoi z bronią u nogi.

Po drugie, Niemcy, po anihilacji Grupy Armii „Środek” musieli bronić linii Wisły za wszelką cenę. Więc kalkulacja o tym, że odbędzie się bitwa o Warszawę, była jak najbardziej racjonalna. Zresztą nawet szef Wojskowej Akademii Politycznej, komunistyczny pułkownik Sobczak, który analizował tę kwestię i wykladał swoim oficerom, powiedział, że decyzja Komendy Głównej Armii Krajowej była umotywowana i słuszna, bo prawdziwie i prawidłowo zinterpretowali zamiary polityczne i wojskowe Stalina, zamiary i konieczność działania Niemców plus stan dysproporcji sił i to, że imperatyw walki o Warszawę jest polityczny, a nie wojskowy. Dlatego nie zakładano zdobycia miasta w rozumieniu potocznym. Nie zakładano, że Armia Krajowa, mając oddziały dywersyjne, partyzanckie jest w stanie zdobyć miasto i pokonać Wehrmacht na czas nieokreślony, tylko że Armia Krajowa ma przed rozpoczęciem

bezpośredniej walki o miasto zmobilizować się i zająć jak największą część terenu na cztery do sześciu dni, żeby się mogła rozwinąć administracja i legalne władze Rzeczypospolitej. Taki był sens i cel militarny i polityczny tej decyzji wtedy.

Trzeba powiedzieć o tym, że to była walka z góry założona jako ograniczony wysiłek. Świadczą o tym chociażby decyzje Bora-Komorowskiego. Dopiero 7 sierpnia odwołuje on rozkazem stan czujności do powstania powszechnego. Czyli zakłada, że bitwa o Warszawę jest ostatnim akordem ograniczonej (w celu uniknięcia strat biologicznych i innych) walki o suwerenność państwa polskiego.

Było pytanie o pomoc z zewnątrz. Dopiero 11 sierpnia Bór wydaje rozkaz mobilizacji części okręgów: okręgu „Barka” Łódź, okręgu częstochowsko-radomskiego i obszaru warszawskiego do koncentracji sił do pomocy Warszawie. Dlaczego tak było? Bo od początku było założone, że walka o Warszawę nie jest powstaniem powszechnym ze wszystkimi jego konsekwencjami, czyli z góry ograniczamy zakres i ilość potencjalnych strat. Po drugie jest walką za całą Polskę i o całą Polskę, którą wykonuje Warszawa w ramach planu „Burza”.

To co powiedziałem o siedemnastej republice – otóż oba scenariusze były aktualne dla Stalina do września. Owszem, Powstanie Warszawskie nie było jedynym argumentem. Było elementem wszystkich argumentów realizacji planu „Burza” (czyli modyfikacji planu powstania strefowego w plan „Burza”), pokazania niezgody na utratę suwerenności i odegrania roli gospodarza, jakim są polskie władze wojskowe i cywilne.

Co do pana argumentu o szybszym wejściu Rosjan do Warszawy. Gdybyśmy nie walczyli, to Stalin z przyczyn politycznych nie zmieniłby swoich rozkazów i Armia Czerwona wyzwoliłaby Warszawę. Tu jest clou zagadnienia. Z jednej strony mamy jedną z ostatnich kart niepodległego państwa polskiego, którą możemy wyrzucić wpływ na to, co z nim będzie później. Czy bronimy tej suwerenności, czy nie? Otóż niepodjęcie tej walki oznaczało, że Stalin zdobywa Warszawę, komuniści, PPR-owcy (to wynika z ich dokumentów), którzy mieli rozkaz mobilizacji, opanowują dwa punkty w Warszawie i ogłaszają, że to oni

zdobyli Warszawę. I co? Legalne władze polskie i całą trzystusześćdziesięcioletnią Armię Krajową czeka los jugosłowiańskich czetników. Są faszystowskimi bandami Sosnkowskiego, które do końca stały z bronią u nogi i były niemieckimi kolaborantami. I koniec. Z tego paragrafu i w taki sposób zamordowano Fieldorfa. Więc decyzja powstańcza o wybuchu walki – nie mówię o dacie rozpoczęcia tej walki – była absolutnie racjonalna. Śmiem twierdzić, że niepodjęcie jej i uznanie, że lepiej będzie jak zdobędą Warszawę Sowieci, oznaczałoby po prostu zgodę polityczną i moralną na zniewolenie Polski, a dla oficerów Komendy Głównej Armii Krajowej – co jest może mniej istotne, ale też ważne – oznaczałoby po prostu ucieczkę z pola walki w trakcie bitwy i porzucenie swoich żołnierzy, którzy mieliby absolutne prawo ocenić ich jako dezerterów. Prawdopodobnie część z nich poszłaby do walki w sposób nieskoordynowany. Czyli wykazanie elementarnego braku odpowiedzialności za kwestie politycznych imponderabiliów i kwestie obrony wolności Polski – to raz, a dwa – totalny nieprofesjonalizm wojskowy i pozostawienie samemu sobie największego okręgu Armii Krajowej w Polsce, trzy – rezygnacja z ostatniej szansy pokazania polskich warunków, na jakie zgodzimy się, żeby kształtować ład powojenny. To wszystko razem (łącznie z pojęciem oficerskiego honoru).

Krytyka, jaką sikorszczyacy wylali na Becka i na Śmigłego po wyjeździe z Warszawy, gdzie imputowano im ucieczkę, zdradę niemalże i tak dalej, byłaby do entej potęgi. Generał Skrzynecki z Powstania Listopadowego byłby absolutnym bohaterem w tym kontekście. Po prostu z punktu widzenia racjonalnej oceny warunków politycznych i militarnych, nie mieli wyjścia.

Jeszcze co do wątku militarnego, o którym mówił Krzysztof Laga. Po pierwsze – sytuacja była zupełnie inna, niż on przedstawił. Zrobił bardzo duże uproszczenie. To nie są moje domysły czy opinie wynikające z analizy sytuacji. Nie. Na to są konkretne dane historyczne już znane. Na to są dokumenty. Powiedziałem (i to wyraźnie wynika z dokumentów dziewiętej armii von Vormanna), że oni oceniali, iż Rosjanie mają przewagę, w zależności od rodzaju broni, 4:1 do 7:1, na przełomie lipca i sierpnia. Wszystkie cele operacji „Bagration” w zakre-

się dojdzie do linii Wisły zostały osiągnięte siłami jednostek pierwszego rzutu Frontu Białoruskiego. Jego zasadnicze siły w ogóle nie musiały zostać użyte do walki. Front Białoruski – są na to dokumenty, mogę pokazać książkę, w której są te dokumenty – miał środki przeprawowe, możliwości logistyczne wykonania przekroczenia Wisły na przełomie lipca i sierpnia.

W związku z tym, co do oceny słuszności decyzji powstańczej, zasadniczą kwestią jest odpowiedzieć na pytanie, czy racjonalnie oceniono sytuację frontową? Otóż oni absolutnie racjonalnie ją ocenili. Owszem, popełnili błędy. Głównie robiąc wczesną mobilizację, niezgodnioną z Komendą Główną i skracając czas mobilizacji. Ale to nie wpłynęło w sposób determinujący na zdolność do walki. Owszem, byli mniej skuteczni na początku. Powtarzam jeszcze raz – Armia Krajowa w Warszawie nie chciała pokonać garnizonu i wszystkich jednostek niemieckich, które przez Warszawę przejeżdżały. Armia Krajowa miała zadanie politycznej i wojskowej demonstracji do 6–7 dni i zajęcie jak największego obszaru, aby zainstalować władzę cywilną i musiała to rozpocząć w warunkach już toczącej się bitwy sowiecko-niemieckiej. Ale tak, żeby zdążyć wykonać własną mobilizację. Wszystko, co robiono... podawałem wcześniej argument i relację Iranka-Osmeckiego, i jego analizę dotyczącą narady z 31 lipca z rana, kiedy oni wiedzieli, że elementy Dywizji „Hermann Goering”, elementy 19 Dywizji Saksońskiej „Wiking”, są przerzucane na linię Wisły, wiedzieli, jaka jest siła tych jednostek i wiedzieli, że są w stanie zatrzymać Stalina na kilka dni.

Odnosząc się do tego, co Krzysztof Laga powiedział, że Stalin wiedział, że to będzie Berlin, nie przekraczając jeszcze Wisły, że to było ułożone. Nie wiem, na jakiej podstawie można to stwierdzić. Nie przypominam sobie, żeby były jakiegokolwiek dokumenty czy dane historyków, że Stalin wiedział, że zajmie Berlin. Owszem, uzmysłowił sobie swój błąd. Że zaryzykował, iż nie zajmie takiej części Europy, jaką zamierzał. I to był właśnie jego błąd moim zdaniem. Brak racjonalnej kalkulacji. Owszem, faktem jest, że część jednostek, które pokonały Grupę Armii „Środek” została przywrócona na południe, ale to nie były wszystkie jednostki. I nie jest prawdą, że wszystkie

jednostki I Armii Pancерnej Radziejewskiego i odwodu Frontu Białoruskiego natychmiast zostały przerzucone i że było to zaplanowane wcześniej. Nie jest też prawdą to, co mówił Krzysztof, że 28 lipca Stawka dopiero planowała jakieś operacje. Nie. To była część operacji „Bagration”, która rozpoczęła się w czerwcu 1944 roku. 18 lipca – wyjście na linię Wisły było już w pełnym toku. W końcu lipca został złapany dowódca 73 Dywizji Piechoty na przedmościu warszawskim. I, jak powiedziałem wcześniej, Armia Pancerna Radziejewskiego, 16 Korpus, zasadnicze elementy odwodu stały gotowe ze środkami do przejścia Wisły. W związku z tym, nie ma mowy o tym, że to były jakieś potyczki sowieckich czołgów i jacyś idioci z Armii Krajowej, na podstawie tego, że widzieli dwa czołgi na Grochowie czy pod Radzyminem, podjęli decyzję o walce. To jest kompletna bzdura, nieprawda. I to nie jest kwestia oceny, bo to można sprawdzić w dokumentach.

Chciałbym jeszcze powiedzieć, dlaczego mówiłem o bitwie o Warszawę i pan powiedział, że to jest swego rodzaju myślenie ahistoryczne, bo to jest rozpatrywanie alternatyw. Otóż nie zgadzam się z panem, dlatego że uważam, iż myślenie ahistoryczne z góry eliminuje rozpatrywanie alternatyw. Chcę jeszcze dodać, że w podobny sposób jak Festung Warschau plan sowiecki operacji warszawskiej, który został zatwierdzony ostatecznie 28 lipca i był realizowany później, zakładał oskrzydlenie Warszawy z północy i południa, pójście w kierunku Łodzi i Torunia i zamknięcie jak największej jednostek niemieckich w Warszawie. Im chodziło o to, żeby jak najmniej Niemców zdołało się z przedmościa warszawskiego zabrać. To do złudzenia przypomina ten sam model, który faktycznie się rozegrał w Brześciu Białoruskim i we Wrocławiu. Tam oskrzydłono miasto i otoczono wielotygodniowym oblężeniem. Tam nikt nie zwracał uwagi na budynki czy ludność cywilną. Przypominam, że we Wrocławiu na 650 tysięcy mieszkańców zginęło 160 tysięcy. I 60% budynków zniszczonych. A nie było tam żadnego powstania. Tę świadomość mieli dowódcy. Czy ryzykowali tylko żołnierzami? Otóż dowódcy mają tę traumę, że muszą wysyłać na śmierć żołnierzy. Ale mają pełną świadomość tego, co ich czeka. Jest zanoto-

wane, można przeczytać, że przed wybuchem powstania, Bór-Komorowski powiedział żonie, że jeśli wybuchnie powstanie i wejdą Sowieci, to nawet jak wygramy, skończy na Kołymie. Ich ryzyko polegało na tym, że oficerowie Komendy Głównej, jak Pluta-Czachowski, cudem uniknęli śmierci w Powstaniu.

Mirosław Lewandowski:

– Pluta był bardzo ciężko ranny.

Piotr Wójcik:

– Tak. Więc tu nie można mówić o tym, że mieli ekskluzywną sytuację wysyłania ludzi na śmierć bez ponoszenia żadnego ryzyka. Otóż ponosili ryzyko, takie samo, jakie poniosło szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, których wywieziono do Moskwy, a trzech z nich zamordowano. I mieli tego pełną świadomość. Więc tutaj nie zgadzam się z takim podejściem, że oni wysyłali innych ludzi na śmierć, nie ryzykując nic.

Marcin Jarząbek:

– Ja nie o tym mówiłem. Chodziło mi o to, że oni podejmowali decyzje nie tylko o własnym życiu.

Piotr Wójcik:

– Oczywiście, ale na tym polega odpowiedzialność polityków i dowódców.

Maciej Gawlikowski:

– Ja tylko dwa krótkie zdania, jeśli można. Z tego co Marcin Jarząbek mówił, zrozumiałem, że przy tak dużej dysproporcji, Rosjanie mogli wziąć Warszawę z marszu.

Piotr Wójcik:

– Nie. Przy dobrze ufortyfikowanej twierdzy, bronionej przez wyszkolone wojsko, dobrze wyposażone, to nawet niewielki garnizon jest

w stanie bronić takiej twierdzy do upadłego. We wrześniu niemiecka 73 Dywizja Piechoty walczyła dwa dni.

Mariusz Olszewski:

– Któryś raz pojawia się takie sformułowanie, że ta młodzież była tak nabuzowana, że jakby nie dostali rozkazu, to sami by poszli. Ja tego tak nie widzę. To deprecjonuje Armię Krajową. Dla mnie to była struktura wojskowa, która działała na rozkaz, działała z kierownictwem politycznym, z kierownictwem wojskowym. Jeżeli dostaliby rozkaz, to by poszli, jeśli nie, to by nie poszli. To nie była jakaś wolna amerykańka. To było prawdziwe państwo podziemne, które słuchało się swojego kierownictwa. Tak czy nie?

Piotr Wójcik:

– Czy zadałeś mi pytanie? Zanotowałem.

Mariusz Olszewski:

– Rozumiem całą atmosferę, rozumiem ten entuzjizm, bo gdzieś tam każdy myślał o powstaniu, o akcji „Burza”. Ale myślę, że gdyby nie było konkretnego rozkazu, to nie wzięliby broni i nie poszliby bez rozkazu.

Piotr Wójcik:

– Ale ja nic takiego nie twierdziłem.

Mariusz Olszewski:

– Co jakiś czas tu się pojawia taki argument, że ta młodzież była tak przygotowana do powstania, że nawet wbrew swoim dowódcom i tak by poszli, i tak by zrobili to powstanie.

Piotr Wójcik:

– To nieprawda.

Mariusz Olszewski:

– Kolejna sprawa. Nie mieliśmy żadnych szans na uzyskanie celów politycznych w tym powstaniu, ponieważ nikt nas nie popierał. Wcześniej był Teheran i tak naprawdę, to Polska została zostawiona po tamtej stronie. Jak poczytamy pamiętniki ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, Jana Ciechanowskiego, to on przez kilka lat męczył się z Amerykanami, żeby oni zrozumieli, czym jest Związek Radziecki – jak działają, czego chcą, że wszystkich oszukają i zrealizują swoje, a nie ich cele polityczne. Nikogo nie mieliśmy za sobą. Powstanie miałooby bardzo dobry skutek polityczny z akcją Mikołajczyka, jeżeliby to nie był Związek Radziecki. Jeżeliby to nie był Stalin. On rozgrywał swoją grę. Tam nie było reguł. Regułą było kłamstwo, oszustwo. W Związku Radzieckim przygotowywano się od dawna do tak zwanej Zimnej Wojny, którą później tak określili. Natomiast Stalin miał swój cel, który osiągnął. Znowu alternatywnie – gdyby po doświadczeniach Wilna i Lwowa, jeżeliby w Warszawie udało się tak jak we Lwowie, Komorowski miał rację – skończyłby co najmniej na Kołymie. Ale znowu żadnych celów politycznych byśmy nie osiągnęli, ponieważ nikt nie wstawiłby się za nami. Nie było takiej koncepcji. Churchilla interesowała Grecja, Kanał Sueski, nie Polska. Stany Zjednoczone miały zupełnie inny obraz świata. Ta Polska uwierała, natomiast to nie było coś, za co warto było ginąć. Być może rzeczywiście było tak, że gdyby nie Warszawa, Stalin poszedłby dalej. Być może zająłby Niemcy, być może zająłby Danię, być może Austrię. Natomiast z naszej strony to była tylko i wyłącznie inwestycja w przyszłość pokoleń. Nic więcej. Żadnych celów politycznych wówczas nie było.

Piotr Wójcik:

– Siedemnasta republika...

Mariusz Olszewski:

– No tak. Ale myślę, że po Wilnie i Lwowie...

Piotr Wójcik:

– Nie, nie. To wrzesień. Przypominam, że decyzja Stalina zapadła we wrześniu.

Mariusz Olszewski:

– I teraz najważniejsza rzecz. Historia jest fascynująca, jeśli się z niej wyciąga wnioski na przyszłość. Jak wielkie mocarstwa wyobrażają sobie układ światowy? Bo z niego wynika to, gdzie jesteśmy. I czasami zdarzają się takie sytuacje, gdzie możemy – poprzez czyny moralne – inwestować w przyszłość pokoleń, ale nie osiągniemy nigdy podstawowych celów politycznych, jakie wyznaczyliśmy sobie na danym etapie, bo nie zostaliśmy wpisani w scenariusze wielkich mocarstw.

Piotr Wójcik:

– Pierwsza sprawa, to decyzja armii ochotniczej, tego co by się stało. Nie wchodzimy w scenariusze „co by było gdyby”. Rozmawiamy o tym, że jak zapyta się dowolnego weterana Powstania, wszystko jedno, czy uważa to za klęskę, czy słuszną decyzję dowódców, czy ją afirmował, czy uważał za klęskę, wszyscy mówią jedno: powstanie musiało wybuchnąć. W sensie społecznym było nieuniknione.

Teraz kwestia dyscypliny i armii ochotniczej. Oczywiście, większość oddziałów Armii Krajowej posłuchałaby rozkazu. Natomiast niepodjęcie decyzji walki o Warszawę na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku, byłoby kompletnie niezrozumiałe dla tych żołnierzy. Nie dałoby się tego im wytłumaczyć w żaden sposób, nie było do tego środków i możliwości i duża część tych ludzi odbierałaby to w taki sposób, że dowództwo ich porzuciło i uciekło z pola walki. I teraz tak, ochotnicza Armia Krajowa nie składała się tylko z dwóch tysięcy młodych podchorążych, tylko z 40 tysięcy ludzi w różnym wieku, była właściwie przekrojem całego społeczeństwa i było to powstanie wszystkich warszawiaków, prawie bez wyjątków. Było afirmowane, jak żadne powstanie narodowe wcześniej. Otóż ta decyzja – o opuszczeniu pola walki i dezercji dowództwa – musiała zostać tak odebrana. Odsyłam do takiego cytatu... Przepraszam, że cytuję własną pracę, ale to jest najprostsze w tej chwili.

To jest opinia profesora Kłoczowskiego – kawalera Orła Białego, *Virtuti Militari* i innych ważnych polskich odznaczeń. Opinia człowieka, który był żołnierzem pułku „Baszta” Armii Krajowej i stracił rękę w walkach o Królikarnię. On powiedział, że można było się poddać Stalinowi i Hitlerowi jednocześnie, tylko oznaczało to złamanie kręgosłupa moralnego i unicestwienie sensu oporu przez pięć lat. I było po prostu niewykonalne z punktu widzenia większości żołnierzy Armii Krajowej. To jest przykład. Ja nie twierdzę, że wszyscy myśleli tak jak profesor Kłoczowski. Natomiast trzeba się zgodzić co do jednego. Jeżeli myślimy logicznie, jeżeli poparcie dla Powstania było ewenementem w skali polskiej, insurekcyjnej historii i było tym fenomenem wolności, o którym mówił Bohdan, w którym uczestniczyli wszyscy, i w kategorii budowania wolnego państwa, oddychania tą wolnością i zajmowania się tym wszystkim, czym normalne państwo się zajmuje, to trudno sobie wyobrazić, że ci ludzie bez uwagi krytycznej przyjęliby decyzję o tym, że zgodnie z tym, co mówiła radiostacja „Kościuszko” i komuniści – Delegatura Rządu, rząd polski i Komenda Główna Armii Krajowej nagle zginęli.

Odniosę się jeszcze do pomysłu wycofania się Armii Krajowej z Warszawy do lasów skierniewickich (o czym mówił Krzysztof Laga). Błągam – dlaczego nie rozpracowano w ramach planu powstania powszechnego, czy planu powstania strefowego, czy planu „Burza” tej ewentualności? Ponieważ okazała się niewykonalna. Dlaczego? Bez mobilizacji okręgu warszawskiego – co oznaczało powstanie – było to nie do wykonania. Zwłaszcza w warunkach toczącej się bitwy sowiecko-niemieckiej w mieście.

Krzysztof Laga:

– Nie było żadnej bitwy.

Piotr Wójcik:

– Oczywiście że była. Później wrócimy do tego.

Teraz ostatnia kwestia. Teheran, Ciechanowski. Po pierwsze, trzeba przypomnieć jeszcze raz: Teheran dla aliantów nie był Jałtą. Nie było

jeszcze Jałty. Alianci przy całej swojej beznadziejnej wtedy polityce wobec Stalina, zakładali, że Teheran jest wstępnym zarysem, wszystko zostanie ustalone na konferencji pokojowej, tak jak w Wersalu. Być może oceniamy to jako naiwne, ale takie było założenie.

Po drugie, rząd polski był legalnym rządem, częścią wielkiej koalicji i miał prawo oczekiwać minimalnej pomocy.

Po trzecie, chcę powiedzieć, że wizyta Mikołajczyka w Moskwie rozpoczęta w lipcu 1944 roku została spowodowana przez Roosevelta i Churchilla. Mogę zacytować list Roosevelta do Stalina w tej sprawie.

Mariusz Olszewski:

– Była spowodowana poprzez naciski Ciechanowskiego na Roosevelta i Churchilla, żeby wymusić przyjęcie Mikołajczyka.

Piotr Wójcik:

– Ale nie Ciechanowskiego, tylko rządu polskiego, który prowadził akcję dyplomatyczną.

Kończąc wątek Ciechanowskiego. Bezpośrednio wizyta Mikołajczyka w Moskwie została przygotowana przez Churchilla po odmowie zgody na tę wizytę, której Stalin udzielił Rooseveltowi i po rozmowach Churchilla ze Stalinem. I teraz tak. Myślenie ahistoryczne zakłada z góry jakiś determinizm i nieuchronność, zwłaszcza jak się to ocenia post factum. W tym momencie mieliśmy tylko Teheran. O Teheranie rząd polski nie wiedział. I miał do wyboru – albo poddać się Stalinowi i skapitulować wobec obu totalitaryzmów, albo próbować ugrać, co się da. Nie dziwię się, że wybrali tę drugą opcję.

Andrzej Zapałowski:

– Chciałem zwrócić wam uwagę na jedną rzecz. Nie ma czegoś takiego jak nauka dotycząca operacji wojskowych. Jest sztuka. Co to oznacza? To oznacza, że jest wysokie prawdopodobieństwo lub absurdalność przeprowadzenia operacji. Co zawiera prowadzenie operacji? Wysoka przypadkowość, jak mawiał Napoleon, szczęście, brak wiedzy o założeniach przeciwnika. Wy wszyscy dyskutujecie tak, jakby moż-

na było naukowo tę operację rozebrać. Tego nie można rozebrać. Po prostu zakłada się przy działaniach zbrojnych wysokie prawdopodobieństwo skuteczności operacji albo w ogóle absurdalność prowadzenia operacji. I tylko w tym wymiarze można tutaj dyskutować. Choćbyście nie wiem ile tutaj argumentów użyli, to jest to sztuka operacyjna. Nie nauka. Żadnym paradygmatem naukowym tego nie rozbieracie. Dlatego tylko zwracam uwagę na to, że tego w ogóle się nie ustali. Założono i wykonano w oparciu na bardzo dużym prawdopodobieństwie przeprowadzenia tego typu działania wojskowych.

Piotr Wójcik:

– Ale to nie jest sprzeczne.

Andrzej Zapałowski:

– Tak. Ale wy wchodzić w szczegóły, których wtedy nikt nie znał. My dzisiaj je znamy.

Zbigniew Jackiewicz:

– Mnie się wydaje, że problemy polskie w takiej perspektywie od 1944 roku, to raczej „Jak bić się”, niż „Czy się bić, czy się nie bić”. Ja jestem zwolennikiem takiego podejścia, że w 1944 roku, w 1989 roku, po 1989 roku, w 2019 roku – trzeba się bić. Tylko trzeba dobrze wiedzieć, o co i jak.

Głos z sali:

– Właśnie, o co. Z kim? – to się zawsze znajdzie.

Zbigniew Jackiewicz:

– Powstanie Warszawskie w wymiarze kulturowym myślę, że było dla nas bardzo budujące i jest mnóstwo tego przykładów. Dla mnie jest to rzecz bezdyskusyjna. Do tego, co było już powiedziane, ja bym dodał jeszcze Jana Strzeleckiego, który też o przeżyciach pokolenia uczestników Powstania Warszawskiego pisał w sposób szczególnie przekonujący i piękny. W wymiarze militarnym to ten wykład, który Piotr Wój-

cik zrobił, jest rzeczą znakomitą. Jak czytałem ten tekst w „Opinii”, to uważałem, że to znakomita praca. I tu znowu, rzecz w kategoriach militarnych stanowi – myślę – mniejszy problem, niż w wymiarze politycznym. O tym wymiarze politycznym chciałbym powiedzieć.

Nikt nie mówił o tym, że to wszystko działo się w warunkach potwornego kryzysu przywództwa politycznego. A to jest bardzo ważne. Dla skuteczności przeprowadzenia pewnych akcji politycznych, to przywództwo ma znaczenie decydujące. Mieliśmy to nieszczęście, że ci nasi przywódcy polityczni z 1939 roku mieli bardzo zmyślną koncepcję polityczną, tylko rozmiągającą się w ogóle ze świadomością społeczną, co się skończyło klęską tych przywódców. Jak daleko te koncepcje polityczne były utajnione, to trzeba właśnie poczytać Szostaka, kiedy on właśnie jako członek Sztabu Generalnego, odpowiedzialny za sprawy organizacyjne, dostał enigmatyczną informację, żeby się nie wtykał, jeśli chodzi o koncepcje prowadzenia wojny, bo jako człowiek od sztuki wojennej w ogóle nie rozumie o co chodzi. Potem był Sikorski z bardzo dla mnie nieprzekonującym przywództwem politycznym. Potem Sikorskiego zabrakło. Przywództwo londyńskie z trudem sobie radziło. W Armii Krajowej mamy Bora-Komorowskiego, który jak został szefem, to – przypominam – pułkownik Muzyczka zrezygnował ze swojej funkcji w Komendzie Głównej i odbył rozmowę z nominatem, że w ogóle nie widzi możliwości współpracy, bo on się nie nadaje.

Głos z sali:

– Ale na szefa sztabu się nadawał.

Zbigniew Jackiewicz:

– Kto?

Głos z sali:

– Bór-Komorowski.

Zbigniew Jackiewicz:

– Być może. Ale ja mówię o tym, że ja tę sytuację postrzegam jako szalenie niefortunną z tego powodu, że jeśli chodzi o przywództwo polityczne, to byliśmy w kryzysie ogromnym. Wszystko, co się działo potem, tuż przed 1 sierpnia 1944 roku... Komenda Główna AK zdeintegrowana, jeśli chodzi o decyzję wybuchu powstania w sposób zasadniczy. I ci nasi bohaterowie instytutowi: Pluta, Muzyczka, Szostak – ja ich postrzegam troszkę w tym, jak pisał czy relacjonował Mirek Lewandowski, jako ludzi, którzy byli oponentami.

Głos z sali:

– Byli za powstaniem akurat.

Mirosław Lewandowski:

– Szostak był.

Głos z sali:

– Czachowski też.

Mirosław Lewandowski:

– Wahał się.

Głos z sali:

– Nie wahał się. Po wojnie się wahał. Mówił tylko, że miał wątpliwości co do momentu wybuchu.

Zbigniew Jackiewicz:

– Zgadza się z tym, co mówił Bohdan Urbankowski, że nie ma racjonalnej definicji racjonalizmu. Więc ja bym racjonalności decyzji o powstaniu tak silnie nie bronił. Jeśli już o tej racjonalności można coś powiedzieć, to mnie się ona mieści w kategorii raczej cnót, a nie talentów, a o polityce tak dobrze się mówi, że wymaga raczej talentów, niż cnót. Z tego punktu widzenia ten moment powstańczy jest momentem bardziej dramatycznym niż racjonalnym. Czasami, i to przyjmuję do

wiadomości, trzeba się bić ze świadomością, że się przegra. Bije się po to, aby dać świadectwo. I dlatego w wymiarze kulturowym da się bronić Powstania. W tych kategoriach politycznych i wojskowych – mniej.

Wojciech Frazik:

– Mój głos w tym momencie trochę się już zdezaktualizował. Niektóre wątki już wybrzmiały, ale do niektórych wrócę.

Do podniesienia ręki sprowokował mnie kolega Marcin Jarząbek, zastanawiając się, czy to było w porządku, że podejmowało się decyzje na nierównoważnych szalach. Po pierwsze – jest ewidentna wspólnota wartości. Nie ma tego rozdźwięku, że ktoś podejmuje decyzje w imię czegoś, a ktoś inny za to płaci. Nie. Była wspólnota wartości. W pewnym sensie powstanie było dobrem wspólnym, niezależnie od tego, że miało swoich przywódców, że ktoś wydał ten konkretny rozkaz i tak dalej. I w tym sensie zgadzam się z tym, że powstanie musiało wybuchnąć. Bo o tym mówią i przeciwnicy, i zwolennicy tej decyzji. Ono mogło różnie wyglądać, ale w którymś momencie musiało wybuchnąć. I jest ta wspólnota. Ale jakby takim koronnym argumentem świadczącym na korzyść podejmujących tę decyzję jest to, że ciężarna żona Bora-Komorowskiego nie została uprzedzona o godzinie „W”. Potem Bór mówił: „Jak ja mogłem uprzedzić moją żonę, a nie uprzedzić wszystkich innych ciężarnych kobiet w Warszawie?”. To świadczy o poziomie moralnym tych ludzi, którzy podejmowali tę decyzję i o tym, że tu nie było rozdźwięku, że rzuca się na szalę coś wbrew komuś.

Drugi element wart zastanowienia. I w samym wykładzie i potem w dyskusji padły słowa, że Stalin popełnił błąd, zatrzymując się przed Warszawą i nie wykorzystując tej szansy, którą Polacy mu dali, wzniecając powstanie, bo wtedy mógłby zająć znacznie większą część Europy. Według mnie absolutnie nie można tak mówić. Stalin zachował się skrajnie racjonalnie, realizując swoją politykę. Co by mu przyszło z tego, gdyby mógł zająć większą część Niemiec, ale miałby tu Polskę, która nie byłaby jego wasalem. Bo taka jest tutaj stawka. Udzielenie powstaniu pomocy przez Sowieców to jest zgoda na to, żeby Polska nie była sowieckim wasalem. Ja jeszcze będę o tym mówił, ale mniej

więcej wiemy, jakie były cele sowieckie i jakie są zawsze cele rosyjskie w stosunku do Polski. Więc to była skrajnie racjonalna decyzja. On wolał mieć Polskę pod swoim butem i zająć tyle Niemiec, ile mu się uda. Zresztą on uważał, że zajmie więcej. Tak czy owak – te jednostki, które nie zdobywały Warszawy, czy nie przeszły na drugą stronę Wisły i nie były się tam z Niemcami, posłużyły do tego, żeby wejść mięciutko na Bałkany. To też nie była sprawa przypadkowa, tylko była przygotowywana od dawna. I można powiedzieć, że te Bałkany były Stalinowi w jakimś sensie odstąpione, bo wszystkie te państwa: Rumunia, Bułgaria, szczególnie Węgry, liczyły na to, że one się w pewnym momencie wojny odwrócą od swego dotychczasowego sojusznika, czyli Niemiec, zmienią sojusze, przejdą na stronę aliantów i będą spokojne i bezpieczne. A niestety, przede wszystkim Amerykanie powiedzieli: „Macie się poddać bezwarunkowo Sowietom”. To szczególnie w stosunku do Węgier było ostro sformułowane. Nie ma żadnych negocjacji. Po prostu poddajecie się Sowietom. I te kraje po prostu wypadły z wojny. Wpadły Stalinowi praktycznie bez walki. Bo te rządy i armie przechodziły na stronę Sowietów. To tylko była kwestia obsadzenia tych terenów i wyparcia pewnych jednostek niemieckich. Wielkie walki były dopiero na Węgrzech, o Budapeszt. Tak że Stalin też coś zyskał dzięki temu. Jemu Niemcy nie były potrzebne bez Polski.

Głos z sali:

– Nie były możliwe bez Polski.

Wojciech Frazik:

– Przypomnijmy sobie do końca. Sowietom mogą wypuścić Węgry, mogą wypuścić Czechosłowację, a nas nie mogą wypuścić, bo przez Polskę idą drogi komunikacyjne do Niemiec. Taki był argument w kółko powtarzany. Taki argument powtarzał Mazowiecki. Że my nie możemy żądać, żeby się wycofały wojska sowieckie, bo przecież oni muszą mieć łączność ze swoimi władzami w Niemczech.

Głos z sali:

– Dwa rurociągi nas omijają teraz.

Wojciech Frazik:

– Właśnie mówię. Teraz sytuacja się zmieniła i zupełnie inaczej postrzega się geopolitykę, ale tak wtedy myślano. Ciągłe tu mówimy o tym, żeby nie być ahistorycznym. Więc do tego wracam.

I na koniec może mało istotne, ale też powiem. Nie zgadzam się do końca z tym, że Powstanie osiągnęło swój cel polityczny, czy militarno-polityczny, żeby opanować część przynajmniej miasta, stworzyć tam namiastkę polskiego państwa i czekać na wejście Sowietów – że to się udało. Bo jednak jakbyśmy patrzyli na to z punktu widzenia czysto wojskowego, to szereg obiektów nie zostało zdobytych. I wysłano na zdobycie tych obiektów ludzi, którzy nie mieli prawa ich zdobyć. Bo mieli na przykład jeden pistolet, żeby zdobyć Uniwersytet Warszawski. No to nie jest jednak profesjonalne działanie wojskowe. Tak nie powinno być. Niezależnie od wszystkich innych ocen, skupiam się tylko na tej sztuce wojennej. Można by wymieniać takich punktów więcej.

Piotr Wójcik:

– Bardzo ważny jest ten wątek ostatni, do którego chciałem się odnieść. Otóż to, co pan zaprezentował, to jest cały czas myślenie w takich kategoriach, jakoby celem Powstania Warszawskiego było pokonanie garnizonu niemieckiego, zajęcie 300 punktów w mieście.

Wojciech Frazik:

– Nie. Może ja źle sformułowałem swoją myśl i dlatego ją dokończę. Skoro nie były nam te punkty potrzebne, to po co je zdobywali?

Piotr Wójcik:

– Z bardzo prostego powodu. *À propos* sztuki wojennej, bo widzę, że tutaj jest paru znawców. Mówiłem o tym, że walka w Warszawie musiała się odbyć na planie powstania powszechnego, który w sensie wojskowym był zupełnie innym planem niż to działanie, którym była

walka o Warszawę podjęta na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku. Otóż nie było wykonalnym działaniem dla żadnego sztabu regularnej armii, już nie mówiąc o armii podziemnej, przepracowanie planu powstania powszechnego i zmiana rozkazodawstwa w skali całego okręgu warszawskiego od 21 lipca nawet do 1 sierpnia. To było po prostu niewykonalne. Można było dyskutować o małych modyfikacjach tego planu walki. Innego planu po prostu nie było. A chodziło o równoczesne wystąpienie w całym mieście. I dlatego *de facto* z góry założono, że atak na te obiekty będzie tylko pewnego rodzaju demonstracją albo wiązaniem ogniem, a nie zdobywaniem. Umówmy się, że nikt o zdrowych zmysłach nie zakładał i nie było to celem dowództwa powstańczego, zdobywanie tych wszystkich punktów przy tym stanie uzbrojenia, który miał okręg, czyli do prowadzenia walki dywersyjnej, a nie do regularnej walki. I dlatego nie można mówić o żadnym błędzie tutaj. Były kwestie dyskusji w sztabach obwodu prowadzone, o modyfikacjach pewnych planów walki powstańczej. Nie było żadnej fizycznej możliwości, żeby zmienić plan powstania powszechnego w plan jakiegokolwiek inny w ciągu 10 dni. To jest oczywiste chyba. Co do tego się zgodzimy.

Po drugie, dokonano podziału odwodu głównego okręgu w postaci Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, na który składało się zgrupowane „Radosława” i pułk „Baszta”.

Krzysztof Laga:

– Tak. Podzielili. Część poszła na pole, część została na Mokotowie.

Piotr Wójcik:

– Dlatego, że spodziewano się odsieczy niemieckiej z tego kierunku, z którego nadeszła. I osłonięto przez 11 dni obronę linii cmentarzy wolskich. Dzięki temu powstanie w Śródmieściu mogło się rozwinąć. I z punktu widzenia wojskowego ten aspekt okazał się najistotniejszy. Dlatego, że to na Woli i z Dworca Zachodniego wyładowało się gros pierwszych oddziałów korpusu von dem Bacha i z tamtego kierunku poszło natarcie. Prawdłowo to przewidziano i prawidłowo rozdysponowano odwód główny Komendy Głównej, czyli zgrupowanie „Ra-

dosław” na Wolę. I ono uratowało powstanie przynajmniej w skali grupy „Północ”. Z relacji dowódców niemieckich, którzy mówią, że w Warszawie zaczęły się rozruchy, nie są to żadne niezorganizowane wybuchy niezadowolenia. Jest to regularna walka, zgodnie z regułami wojskowymi. I jest dowodzona zgodnie z regułami wojskowymi. To są relacje niemieckie z początków powstania. Więc naprawdę byłbym ostrożny w takiej dezynwolturze, żeby oficerów dyplomowanych Komendy Głównej uważać za idiotów, którzy wydali rozkaz, nie widząc żadnych możliwości prowadzenia walki. Otóż cała historia Powstania i wiązania korpusu w skali operacyjnej wojska niemieckiego, bez względu na jakość oddziałów – Rohra czy Dirlewangera, czy Schmidta, czy innych – proszę przeczytać o szturmie 25 Dywizji Pancерnej niemieckiej na Marymont. Oczywiście – nie walczyła tam cała dywizja, oddziały zgrupowania „Żywiciel” walczyły z regimentami grenadierów pancernych i batalionami czołgów z tej dywizji. I została powstrzymana. Zrobili to źle dowodzeni idioci z jednym pistoletem? Ostrożnie z tą dezynwolturą.

Krzysztof Laga:

– Ty mówisz o 25 września...

Jerzy Wawrowski:

– Ja w ogóle miałem się nie wypowiadać w tej dyskusji, bo było wiele wypowiedzi, z którymi się zgadzam i wiele wypowiedzi, z którymi się nie zgadzam. Ale sprowokowała mnie wypowiedź pana Marcina. Mia-nowicie podniesienie tej kwestii, czy w imię własnego systemu wartości mam prawo narażać życie innych? Tutaj już pan po części odpowiedział na to pytanie, że istnieje pewna wspólnota wartości. Można odwrócić tę kwestię, tak jak pan powiedział. Jeżeli w mojej hierarchii wartości wolność i niepodległość jest wartością priorytetową, a w czyjejs egzystencja biologiczna jest tą naczelną, a tamte inne nie, to czy on ma prawo mnie szantażować swoim systemem wartości, żebym ja nie podjął walki w imię mojego systemu wartości, który jego narazi na utratę egzystencji biologicznej? W ten sposób można zakwestionować każdą walkę o wartość

wyższą niż egzystencja biologiczna, rozpoczynając od walki tych Greków, którzy postanowili przeciwstawić się Persom, a była to mniejszość Greków. Można by im postawić zarzut: naraziliście resztę Greków, a sprawa Salaminy nie była rozstrzygnięta. Naraziliście resztę Greków dla obrony swojego systemu wartości. Wydaje mi się, że w ten sposób argumentować nie można. To bardzo cienki argument. A jest tak, jak pan powiedział: istnieje wspólnota wartości. Jeżeli jej nie ma, to nie ma narodu, nie ma państwa, nie ma społeczeństwa. To jest jedna sprawa.

Druga sprawa, wydaje mi się że tego typu zjawiska jak Powstanie Warszawskie, trzeba rozumieć nie tylko jako decyzję stricte wojskową, polityczną. Jest to zjawisko społeczne, zjawisko historyczne. One nie wybuchają w ten sposób, że jakaś grupa oficerów – nie wnioskuję, czy kompetentnych czy niekompetentnych, raczej kompetentnych jednak – dokonuje jakiejś kalkulacji i to powstanie wybucha. Wydaje mi się, że jest to efekt pewnego procesu, który realizuje się czas jakiś i proces jest doprowadzany do tego poziomu, że nie ma innej możliwości niż wybuch takiego powstania. Tutaj pojawiła się też kwestia tego rodzaju, czy młodzi ludzie, gdyby nie było rozkazu powstania, poszliby do walki czy nie. Od razu przypomniało mi się coś takiego – mianowicie wybuch Powstania Listopadowego. Młodzi ludzie nie dostali żadnego rozkazu. Poszli do walki, wyciągnęli 4 pułk piechoty z koszar...

Głos z sali:

– ...ustrzelili paru generałów...

Jerzy Wawrowski:

– ...i zrobili Powstanie. Przy czym zaznaczam, Powstanie Listopadowe wygrało! Co zostało przegrane? – Wojna polsko-rosyjska. Powstanie wygrało. Noc Listopadowa została wygrana. A później myśmy podziękowali carowi, więc car wypowiedział nam wojnę.

Bohdan Urbankowski:

– Myślę, że powinniśmy zapamiętać taką metaforę – „Karły na grobach olbrzymów”. Bo karły na grobach olbrzymów widzą dalej. Bo

są pięterko wyżej. I my wszyscy odgrywamy tę rolę. Bo mamy wiedzę historyczną, mamy dokumenty, o których istnieniu kiedyś nie mieliśmy zielonego pojęcia. I przez to wydaje nam się, że jesteśmy lepsi na przykład od Bora-Komorowskiego w jeździe konnej, w czym on był najlepszy. Natomiast w rzeczywistości, jedyne co możemy zrobić – tu podkreślam jeszcze raz, że z tym racjonalizmem jest tak jak mówiłem, a może i gorzej – to wczuć się w czyjeś przeżycia, w czyjeś intencje. Jak to było ze Stalinem, to myślę, że w sposób przekonujący udowodnił już Suworow i nie trzeba go tutaj za dokładnie cytować. Stalin po prostu wierzył, jak paru innych – jak Trocki, który wcale nie byłby lepszy – w rewolucję światową. I chciał to wszystko zagarnąć, bo wtedy on byłby wodzem. Oczywiście na to się nakładają różne wątki. Obciążenie z czasów, gdy był przywódcą bandy, bo ta jego bojówka na Kaukazie to w gruncie rzeczy była banda rabunkowa. Dzielił się z partią i dzięki temu miał tę legitymację moralności partyjnej. Potem włącza się już prawdopodobnie paranoja. Mógłby to wyjaśnić [nieczytelne nazwisko], bo to jest jego hipoteza z roku 1927, ale niestety w tymże samym został aresztowany i rok później wykończony i ta hipoteza ze względów oczywistych w Związku Radzieckim nie została podjęta. Myślę, że dzisiaj już czas do niej wrócić.

Co my możemy zrekonstruować? Po pierwsze – liczyli na krótką walkę, 3–4 dni, o czym przekonują zapasy żywności. Liczyli na pomoc. To nie była walka polska. Myśmy występowali jako jeden z sojuszników. Mieli nam pomóc alianci. Nawet liczyliśmy na własną brygadę spadochronową. Kampinos się przygotowywał do tego w pewnym momencie. Potem się okazało, że ona gdzie indziej wylądowała. Liczyliśmy ewentualnie nawet na Stalina i myślę, że Mikołajczyk też troszeczkę w tym kierunku rozumował, tylko że on był na znacznie gorszej pozycji niż to z naszej dyskusji wynika. Dlaczego? Miałem się nie wyrażać, ale robię sobie precedens do następnego „się wyrażania”, bo to jest już chyba ta pora. Mianowicie Mikołajczyk dostał w dupę i on jechał się podlizać Stalinowi. I mówiło się, przede wszystkim w kręgach dawnych ludowców, że trzeba murować Mikołajczyka. Oczywiście jak skończyła się jego kariera polityczna to wiemy. Chyba uciekał w przebraniu

konia na granicę zachodnią czy coś takiego, ale to też jest to gadania. W każdym razie na tę pomoc zachodnią, gdzie mieliśmy być tylko jedną z wielu sił, myśmy liczyli.

I teraz dzieje się coś absurdalnego. Bo ani alianci, ani inni... Nie przychodzą te dywizje leśne. Tu kolega mówił o zatrzymaniu przez Niemców. To małe miki. Rusczy przede wszystkim zatrzymywali. Masakrowali kadrę oficerską. Cztery dywizje do Warszawy nie doszły. Bez względu na to, jak one były uszczuplone, jak były uzbrojone, bo można długo nad tym dyskutować. W każdym razie nie możemy wymagać od przywódców powstania, żeby byli prorokami. To jest zupełnie inny zawód. I racjonalnie oni mieli rację, tylko że rzeczywistość właśnie nie jest do końca racjonalna. Jeden element przygotowany, drugi element przygotowany, już ma się udać, już tu będą alianci, my trzy dni wytrzymamy. Już Rusczy wejdą, bo Rusczy to nasi sojusznicy, przecież jesteśmy w tej samej koalicji. Natomiast dzieje się taka irracjonalna sytuacja, którą najlepiej opisuje komunikat Komsomołu w Rostowie. Ja go zacytuję po rosyjsku, bo po polsku byłoby mi wstyd, ale ci, którzy znają rosyjski, toby wiedzieli, że komitet miejski Komsomołu w Rostowie oświadcza, że „Siewodnia koncerta nie budiet. W garmoszku kto narzal, żuliki podpizdili patefon”. Tutaj wkradł się element irracjonalny. Wszystko było dobrze, tylko Stalin właśnie do tej harmonii nam wziął i narobił. W imię swojej paranoi zrezygnował z podbicia Europy.

To nie jest prawda, że warunkiem trzymania Niemiec byłaby Polska. On by Niemcy i tak trzymał. W Niemczech oni finansowali rewolucję dwa razy. I w Bawarii, i potem w Hamburgu. Na Węgrzech popierali Belę Kuna (potem go chyba zabili).

Tak że tutaj Stalin dał się ponieść emocjom i co gorsze, my wszyscy też dajemy się ponieść. Myślę, że wpadliśmy w pułapkę języka propagandy w PRL. To, co pojawiała się w naszej prasie i co także dotarło do naszej dyskusji, to jest element kampanii propagandowej, którą już wtedy można było traktować jako element wojny informacyjnej. Dzisiaj używa się takiego określenia bardzo modnego *soft power*. Otóż miękka siła musi być niekoniecznie cała koncepcja, cała wizja historii pisana od nowa, jak tu jeden z kolegów robił, tylko jedna plotka, jed-

na teoria, jedno pomówienie. I coś takiego się stało. Przeciwno czemu jest wymierzona siła propagandy w PRL? Rząd londyński cały czas jest groźny, ma sympatyków. Więc walić w ten rząd londyński. Generalicja w Londynie jest groźna? – Walić w generalicję. I my to powtarzamy. Oni nam wmówili – „Nie. Powstańcy byli bardzo fajni. To tylko dowódcy byli tchórzliwi. Tu Rydz uciekł. Tu idioci zdecydowali o Powstaniu Warszawskim...”. I my bardzo często to po nich powtarzamy, zupełnie niepotrzebnie.

Tak że myślę, że częściowo ofiarą takiej propagandy padł w pewnym momencie Szostak. On się na tyle pogubił, że on w gruncie rzeczy nie był do końca przekonany, czy był za tym Powstaniem czy nie. Przynajmniej tak mi wynikało z osobistych kontaktów z nim. Bo on był właściwie za, ale ci koledzy, którzy o tym zdecydowali to byli wręcz szaleńcy. I po co oni to zrobili?

Wracam do tego, co tu mamy najważniejsze. Bić się czy nie bić? Proszę państwa, tutaj w naszej dyskusji przejawia się pewnego rodzaju fatalizm. Może heglowski, może marksistowski, może nietzscheański... Zapominamy o jednym. Że człowiek ma wolność i że od samego początku, od parteru, to jednostka decydowała. Wejść do AK, czy nie? Jechać na ćwiczenia, czy nie? Iść do walki partyzanckiej, czy nie? Decydowała jednostka. Bo jego godność ludzka tak mu nakazywała. Oczywiście jest dyskusją, na ile każdy człowiek jest wolny. To już jest kwestia doświadczenia wewnętrznego. Jeden ma tego poczucia wolności wewnętrznej więcej, drugi mniej. No ja mam sporo. Ale znam paru facetów, którzy jej prawie wcale nie mają. Widocznie tak ich życie się potoczyło, że oni mają tej wolności mniej i za cholerę nie można ich nauczyć, jak być człowiekiem wolnym.

A więc trzeba pamiętać – tu ktoś bardzo inteligentnie zauważył – to nie było normalne wojsko. To było trochę pospolite ruszenie ludzi wolnych. I to jest coś, co świadczy i o godności, i o wielkości. Ci ludzie przecież ryzykowali życie. My w pewnym momencie zaczynamy mylić, czy też nie dość rozróżniamy, dwa poziomy. Jeden to jest właśnie poziom tych decyzji, gdzie my, będąc już ponad tym światem zwierzęcym, w imię wartości ludzkich, bez których nie bylibyśmy ludźmi... Tak jak

patrzemy na ludzi (nie mówię o tu obecnych, ale na ulicy), to wszystko wygląda jak gatunek naczelnych. Ale przy bliższym poznaniu się okaże, czy wyznają wartości te, co my, czyli ludzkie i czy dopuszczamy ich do naszego ludzkiego gatunku. Ludzie wolni – tu przykład z Powstaniem Listopadowym był znakomity – po prostu podjęli decyzję o walce, bo chcieli być ludźmi. Gdyby jej nie podjęli, to sami siebie zdegradowaliby do poziomu zwierzęcego, do poziomu rzeczy manipulowanych przez innych. I myślę, że właściwie tą puentą należałoby skończyć. Albo jesteśmy ludźmi, wiemy jak byśmy postąpili, bez względu na motywację. Ja na przykład – bez względu na to, co marksiści mówią o nadbudowie – wiem, żebym poszedł do Powstania. Po prostu. Może bym potem kłął, ale bym poszedł. To byłby akt mojej woli. I myślę, że skoro tu jesteśmy, to w większości byśmy to zrobili. Afirmując siebie już nie jako jednostki, tylko po prostu jako okazy pięknego ludzkiego gatunku, który już nie jest małpą. Jak w jednym z wierszy dałem taką metaforę, którą zakończę, mianowicie – anioł jadący na małpie, anioł galopujący gdzieś w przyszłość na małpie.

Jerzy Wawrowski:

– Tak. Organizm jest tylko wehikułem duszy. Niczym więcej.

Krzysztof Laga:

– Myślę, że nie jesteśmy w stanie do końca się przekonać. Ten dyalemat „bić się czy nie bić” w wykonaniu Komendy Głównej AK przy podjęciu decyzji o wywołaniu powstania czy o wystąpieniu zbrojnym na terenie Warszawy, musimy zostawić albo w nawiasie albo ze znakiem zapytania. Nie ustalimy do końca, czy to była słuszna decyzja, czy nie. Bo jest oczywiście jakiś bilans zysków i strat. Być może zysków bardziej w sferze idei, ale w sferze materialnej, społecznej, gospodarczej, to są tylko moim zdaniem straty. Nie będzie żadnych zysków. Mało tego, w wielu warszawskich rodzinach traumatyczne wspomnienia z tamtego czasu trwają do dzisiaj. I to tak pewnie jeszcze będzie. Nam też jest wygodnie 70 lat później dywagować na te tematy. Moim zdaniem decyzja była chybiona. Podjęta – fakt, że kolegialnie i z zachowaniem wszelkich

procedur i prawideł sztuki wojennej – ale niewykonalna w tych realiach, w których przyszło tamtym chłopakom i dziewczynom 1 sierpnia o siedemnastej zacząć walczyć. Mogę tylko pomodlić się za spokój ich duszy.

Mirosław Lewandowski:

– Chciałbym odnieść się do tego, co mówił Marcin Jarząbek.

Ta pierwsza uwaga, że w referacie Piotra Wójcika trochę zgrzytało to, że z jednej strony mówił, że Sowieci byliby w stanie zająć Warszawę niemal z marszu, a z drugiej – że gdyby nie powstanie, to byłoby trzymiesięczne oblężenie i wielkie straty. U Piotra jest to spójne, ale wymagałoby to wyczelowania w referacie czy tekście już pisanym, żeby to było jasne.

Jeśli chodzi o drugą uwagę, którą tak wiele osób tutaj poruszyła, to chciałbym zająć przyczółek do dyskusji na temat, który Wojtek Frazik będzie referował. Bo jest pytanie „Bić czy się nie bić”. Ja generalnie uważam, że należało się nie bić, łącznie z Żołnierzami Wyklętymi. Natomiast na czym polega różnica co do Powstania Warszawskiego? To, o czym mówił Piotr Wójcik i o czym pisał Leszek Moczulski. Sytuacja 30 lipca, jak ktoś wyszedłby na jakieś wzgórze i popatrzył na to miasto, to była trochę taka sytuacja, jak Norman Davies opisuje: ludzie patrzyli w Pompejach jak wybucha Wezuwiusz, podziwiali jak to pięknie w nocy wygląda, a nie wiedzieli, że w tym momencie los Pompejów był już przesądzony. Chociaż ten pył był dopiero nad Wezuwiuszem i trzeba było dnia czy dwóch, żeby on przesunął się nad Pompeje i zaczął opadać. W momencie wybuchu Wezuwiusza było już po Pompejach i śmierć mieszkańców miasta była przesądzona, tylko oni jeszcze tego nie widzieli. Myślę, że gdyby ktoś 30 lipca popatrzył na Warszawę, na tych ludzi, na cywilów, na budynki... Tego miasta już w 80% nie było. I śmierć ponad 100 tysięcy ludzi była przesądzona. To miasto musiało ulec zniszczeniu, ci ludzie musieli umrzeć. Dlatego decyzja o podjęciu walki w 1944 roku nic do tego nie miała. Te 100 tysięcy ludzi i tak by zginęło, niezależnie od tego, czy powstanie by wybuchło czy nie. I tragizm decyzji, którą oni podejmowali o wybuchu walki polegał na

tym, że niezależnie od tego, jaką decyzję podejmą, to tego miasta nie dało się już ocalić. I życia tych ludzi też nie. Ich los był przesądzony. Jak w Pompejach.

Decyzja o wybuchu powstania była zupełnie inną decyzją. Jej stawką nie było to, czy życie tych ludzi uda się uratować – bo już było niemożliwe, albo czy to miasto uda się uratować, bo to także było już niemożliwe. Odpowiedzialność tych, którzy podejmowali decyzję o powstaniu dotyczyła kwestii o wiele ważniejszej – niepodległości Polski. I to nie niepodległości w 1945 roku, bo jej także nie dało się już obronić. To była kwestia kapitału politycznego na przyszłość. I tu Piotrek Wójcik to bardzo wyraźnie zasygnalizował.

Mariusz Olszewski mówił, że Powstanie nic nam nie dało poza sferą kultury, no i uniknęliśmy losu 17 republiki. Ale popatrzmy, co by było, gdyby powstanie nie wybuchło. Gdyby dowództwo Armii Krajowej nie podjęło walki. Gdyby ta walka być może wybuchła w jakiejś części spontanicznie. Gdyby to miasto i tak uległo zagładzie. Gdyby sowiecka propaganda mówiła: „Proszę, wspaniałe państwo podziemne urodziło mysz. Jak przyszło co do czego to zdezerterowali. Jak Śmigły uciekli przez Zaleszczyki do Rumunii”. Przecież takie głosy by były. I teraz, jeżeli mówimy, że ten sukces polityczny Powstania nie rysuje się w sposób bardzo wyraźny w świetle klęski do której doszło, to w moim przekonaniu on rysuje się bardzo wyraźnie w świetle tego, jak wyglądałby bilans polityczny, gdyby Powstanie nie wybuchło. Zresztą brak powstania pod względem politycznym oznaczałby samozagładę państwa podziemnego, Armii Krajowej, idei niepodległości. Decyzja o wybuchu powstania przesądziła o losie Polski przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Z tego względu uważam, że wykład Piotra był jak najbardziej zasadny.

Jerzy Wawrowski:

– Podsumowując i odnosząc się do dylematu „Bić się czy się nie bić”, to chciałbym państwu oznajmić, że kończy się właśnie pauza geopolityczna i w jakiejś dającej się chyba przewidzieć perspektywie, być może będziemy przed takim dylematem stawali. Być może nasze pokolenie będzie stawało. Bo tak to wygląda, jak się patrzy na dynamikę rozwoju,

na upadek systemu hegemonicznego światowego i przewartościowanie. Tak że nie jest to tylko taka historyczna i teoretyczna dyskusja.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Ciekawą rzecz powiedział Krzysiek Laga. Nie dyskutowaliśmy o tym dzisiaj. Mianowicie o dobrach kultury, które utraciliśmy przez Powstanie. I czy był sens walczyć. I czy bić się czy nie bić pod kątem tej spuścizny dziejowej, którą utraciliśmy.

Głos z sali:

– Szwedzi nam zabrali dziesięć razy więcej.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Ale pytanie zasadnicze jest inne. W Wilnie było powstanie, akcja „Burza”, opanowano miasto. *De facto* przez tydzień wygrano to powstanie, bo przecież Armia Krajowa zaczęła współrzędzić z Sowietami. A czy została nam substancja zabytkowa? Czy zostały nam obiekty dla Polski? Czy jest ulica Mickiewicza w Wilnie?

Głos z sali:

– Mickiewicza jest.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Ale nie tam, gdzie była. Czyli wygraliśmy tam walkę, ale straciliśmy dobra kultury. Satrapa sowiecki miał ochotę to zająć i takie niestety te losy były. Myśmy pokazali, że jesteśmy Polakami. To, co Bohdan Urbankowski mówił wspaniale o tej godności Polaka i tym, że mamy być człowiekiem, a nie jakimś tworem. I to jest chyba sens największy.

Na zakończenie mojej wypowiedzi powiem ciekawostkę. Kiedyś byłem w Muzeum Powstania Warszawskiego. Jako Krakus czasami tam bywam, chociaż my ponoć nie lubimy warszawiaków, ale to chyba nieprawda... Byłem tam z grupą ważnych związkowców z Francji. Tam był jeden z szefów największego związku zawodowego we Francji – osoba światła, osoba która ma wiedzę. Na samym końcu tłumacz

tłumaczył temu człowiekowi, jakie były losy powstańców. Że łapano ich, wywożono – tam jest taka sala – bydłowym wagonem wywożono ich do łagrów. I ten Francuz tak słuchał, słuchał, słuchał i powiedział takie znamienite zdanie: „Bo wy Polacy, to nie potraficie się dogadać”. Przez tłumacza pytam: „Jak to nie potrafimy się dogadać?”. A on mówi: „Przecież u nas była taka sama okupacja jak u was. Jak weszli Amerykanie, to tak samo jak u was Rosjanie. Tylko, że my, Francuzi, potrafiliśmy się z nimi dogadać i oni wyszli”. I to autentycznie facet światły powiedział. Dopiero jak wyszliśmy na zewnątrz i pokazałem mu tę ścianę, gdzie są te cegiełki, ile osób zginęło i tłumacz mu powiedział, że to są ofiary – prawie 200 tysięcy ludzi, którzy zginęli, to dopiero on zaczął inaczej na to patrzeć. Ale do momentu zwiedzania twierdził, że my nie potrafiliśmy się dogadać, bo jesteśmy Polakami. Oni mądrzejsi byli, bo i z Niemcami się dogadali, i z Amerykanami...

Głos z sali:

– I miłość francuską wynaleźli...

Wojciech Frazik:

– Jedna rzecz, która wzbudziła mój sprzeciw tutaj. Mirek Lewandowski bardzo pięknie mówił o stronie politycznej i moralnej Powstania i jego sensie, natomiast nie zgadzam się z tym fatalizmem, że Warszawa i tak by została zniszczona. Jeszcze raz wracam do tego, co mówił sam prelegent. Warszawę zniszczyli Niemcy po Powstaniu, systematycznie ją burząc. Oni nie zdążyliby przygotować tego Festung Warschau, tak jak potem przygotowywali Festung Breslau, bo Wrocław też został w dużej części zniszczony, ale przez samych Niemców, po to żeby sobie przygotować warunki do walki (przez Sowietów też, ale to są niuanse w tym momencie). Mnie chodzi o to, że na przykład – przechodzą powstańcy ze Starówki na Śródmieście i widzą szyby w oknach. Śródmieście nie było atakowane przez pierwszy miesiąc, szczególnie to południowe. Więc to nie jest tak, że równo szedł walec artyleryjski po całym mieście. Potem dopiero były te brygady, które minowały i niszczyły Warszawę. To nie był nalot dywanowy, jak zrobili alianci w Ham-

burgu czy Dreźnie, tylko były bombowce szturmowe, które atakowały konkretny dom i ten dom był niszczone. Bo mieli sygnał, że tam jest placówka powstańcza. Mieli bardzo dobry wywiad niestety...

Głos z sali:

– I czego to ma dowodzić, bo ja nie rozumiem?

Wojciech Frazik:

– Chodzi mi tylko o to, żebyśmy nie mówili tak, jak to pięknie, poetycko przedstawił Mirek, że 30 lipca 1944 roku Warszawa już była zniszczona i te 100 tysięcy ludzi już nie żyło. To nie było tak. Prelegent też mówił – powstanie na początku osiągnęło swój cel. Tak naprawdę na początku ono było zwycięskie. I sensem decyzji o wybuchu powstania nie było, żeby pięknie zginąć, tylko powstanie miało wygrać. Taką podjęto decyzję. Miało osiągnąć jakiś cel. A celem tej decyzji o wybuchu powstania nie było zniszczenie miasta i śmierć ludzi. To był skutek uboczny, tego co się stało. Brzydko to brzmi, ale chodzi mi o sens decyzji. Jeśli bronimy sensu decyzji, że trzeba się bić, to założeniem było, że zwyciężymy. Nie w sensie militarnym. Tylko że osiągniemy cel. A nie, że zniszczymy miasto. Straszny determinizm i fatalizm...

Piotr Wójcik:

– Nie, nie. Ja się muszę do tego odnieść.

Wojciech Frazik:

– Pamiętajmy o jeszcze jednym, bo ten argument tutaj też nie padł. Gdyby nie zapadła decyzja o powstaniu, Niemcy wygnaliby ludność polską i zostałby zdeorganizowany korpus warszawski AK i tak dalej. To zdecydujemy się, czy ta ludność by została i zginęła w trakcie oblężenia, czy zostałaby wygnana? Znając Niemców i to, że mają bombę pod nogami, wygnaliby tę ludność polską i być może ona by nie zginęła. Może zginęłaby w obozach w Rzeszy, może zostałaby wywieziona do obozów koncentracyjnych. Tego nie wiemy.

Piotr Wójcik:

– Wiemy. Bo wiemy, co się stało po.

Wojciech Frazik:

– To była kara za powstanie. Wiemy, co się stało po, ale to jest trochę inna sytuacja. Nie powinniśmy po prostu z takim determinizmem podchodzić do sprawy.

Mirosław Lewandowski:

– Ale mamy Budapeszt. Wiemy, co się stało w Budapeszcie.

Krzysztof Laga:

– A co się stało w Budapeszcie?

Mirosław Lewandowski:

– Była obrona Budapesztu. Zniszczenie było porównywalne ze zniszczeniem Warszawy.

Krzysztof Laga:

– Nie no, mniejsze.

Piotr Wójcik:

– Chcę się tylko odnieść do kwestii determinizmu. Otóż troszeczkę zaczynamy się mijać. Po pierwsze, ja mówiłem o tym, że Komenda Główna Armii Krajowej zdawała sobie sprawę z tego, że Warszawa będzie polem bitwy sowiecko-niemieckiej i wiedziała o planach niemieckich. Mam cytat tutaj, Bór Komorowski powiedział o tym, że wiedzieli o planach wywózki i eksterminacji ludności cywilnej. Otóż działałyby się te wszystkie trzy rzeczy, o których mówił Wojciech Frazik. Bo działały się one w trakcie okupacji i działały się po Powstaniu. Niemcy zarówno wywozili na roboty, jak i wywozili do obozów koncentracyjnych, jak i rozstrzeliwali na ulicach i mordowali. Te wszystkie rzeczy działały się równocześnie. Mówimy o sytuacji bitwy i przygotowaniu Festung Warschau, które częściowo było rozpoczęte planami niemieckimi

wcześniej. Rozkaz został wydany 27 lipca 1944 roku. I oczywiście nikt by się nie przejmował losem ludności. Tam, gdzie byłoby to konieczne, część ludzi by wywieziono albo na miejscu rozstrzelano. Bo taka była praktyka Niemców. Mamy dowody na takie postępowanie.

Krzysztof Laga:

– Gdzie?

Piotr Wójcik:

– W Warszawie.

Krzysztof Laga:

– A w Wilnie czy we Lwowie?

Piotr Wójcik:

– Nawet podpisanie układu kończące Powstanie, mimo że Armia Krajowa była kombatantami w rozumieniu gwarancji alianckich, nie uchroniło to kilkudziesięciu tysięcy warszawiaków przed wysłaniem ich do obozu koncentracyjnego. W związku z tym twierdziłem tylko, że obawa dowództwa i przewidywanie dowództwa, oparte na doświadczeniu tego, co robili Niemcy w Warszawie i na planach, o których mówił Bór-Komorowski, była uzasadniona. Armia Krajowa w Warszawie była jedyną siłą, która mogła się temu przeciwstawić. Nie było tutaj innej siły. To był jeden z istotnych czynników podejmowania przez nich decyzji. Nie mówimy tu o żadnym determinizmie, że Warszawa była czy nie była skazana, tylko mówimy o tym, że z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa należało zakładać wysokie straty w ludności cywilnej i infrastruktury miasta w wyniku działań wojennych, które byłyby przeprowadzone. Poza tym, powtarzam jeszcze raz – cały czas abstrahujecie od tego, że Komenda Główna Armii Krajowej nie walczyła o to, żeby pokonać i wypędzić wszystkich Niemców z Warszawy. Komenda Główna podjęła decyzję o tym, że wyprzedza uderzenie sowieckie, aby otworzyć i zdobyć jak największą możliwość w sensie opanowania jak największych fragmentów miasta do tego, aby pokazać

obecność legalnej władzy polskiej, rządu i władz cywilnych. Taki był polityczny zamiar. I z tego punktu widzenia należy oceniać czy on się powiódł czy nie, a nie w świetle tego, czy Armia Krajowa pokonała Niemców na obszarze warszawskim. Bo to nigdy nie było celem Powstania Warszawskiego.

Jedno zdanie i koniec. To jest cytat z Rosjanina, Mikołaja Iwanowa – bardzo ciekawą książkę napisał o Powstaniu Warszawskim. „Stosunek władz sowieckich do Powstania Warszawskiego od samego początku był oparty na kłamstwie. Było to kłamstwo wyjątkowe. Kłamstwo wobec Polski i Polaków, wobec zachodnich sojuszników, wobec świata. Kłamstwo, którego podstawowe elementy żyją do dziś. Kłamstwo katyńskie i kłamstwo w sprawie Powstania Warszawskiego, to dwa najbardziej jaskrawe przykłady pyrrusowego zwycięstwa ideologicznego Związku Sowieckiego nad zachodnimi sojusznikami i Polską w czasie II Wojny Światowej. Zwycięstwa, które wkrótce doprowadziło do zimnej wojny i ostatecznie, pod koniec stulecia, do upadku komunizmu”. Taka jest moja puenta.

DR WOJCIECH FRAZIK

**ZRZESZENIE WOLNOŚĆ I NIEZAWISŁOŚĆ – CZY PRÓBA AKCJI
POLITYCZNEJ W POLSCE PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ
BYŁA SKAZANA NA PORAŻKĘ?**



Zadano mi temat następujący: „WiN – czy próba akcji politycznej w Polsce po II wojnie światowej była skazana na porażkę?”. Myślę, że można by to też ująć inaczej, to znaczy można by zadać inne pytanie – Jak to się stało i co z tego wynikło, że grupa wyższych oficerów sztabowych zdecydowała się zostać politykami, porzucić swój fach, to, co robili wcześniej (o czym rozmawialiśmy wczoraj), czyli po pięciu latach przygotowywania powstania postanowili zupełnie odwrócić, zmienić swoją aktywność i zająć się tym, czym wcześniej zajmowali się ich polityczni decydenci. Mam wrażenie, że to, o czym będę mówił, w dużej mierze może być państwu znane, ponieważ ustaliłem, że nie będę mó-

wił zbyt długo, więc muszę mówić na dość dużym poziomie ogólności. Nie będę też specjalnie zamęczał państwa cytatami z dokumentów, bo wydaje mi się, że jest to w tym momencie bezcelowe. Myślę, że lepiej, abyśmy podyskutowali o pewnych wybranych wątkach i dlatego raczej chciałbym niektóre zagadnienia uporządkować.

Moim zdaniem decyzję z lata 1945 roku o przestawieniu się z działalności zbrojnej na polityczną trzeba rozpatrywać w trzech płaszczyznach, czyli w międzynarodowej, polskiej (przy czym mam tu głównie na myśli obóz niepodległościowy, nawet bardzo szeroko rozumiany, ale siły autentycznie polskie, czyli do tego nie zaliczam komunistów – może będą pewne elementy, bo to jest nie do uniknięcia) i wreszcie płaszczyznę wewnątrzorganizacyjną. Tak to sobie określiłem. Będzie to szkic bardzo grubą kreską kreślony.

Zaczynając od płaszczyzny międzynarodowej. Od 1943 roku, praktycznie od jego początku, Stalin nie taił swoich wrogich zamiarów wobec Polski. Coraz wyraźniejsze było, że jest on wrogiem jej suwerenności. Momentem zasadniczym z punktu widzenia położenia sprawy polskiej na arenie międzynarodowej było, jak to nazwano, przerwanie w kwietniu 1943 roku stosunków między Związkiem Sowieckim a rządem polskim wtedy na uchodźstwie. Ale jedynym legalnym, uznawanym przez cały świat. Pośrednio, można powiedzieć, również przez jego przeciwników, przez państwa będące z Polską w stanie wojny.

Wiadomo, o tym też mówiliśmy tutaj wczoraj, że Związek Sowiecki był kontynuatorem imperium rosyjskiego. Stałym faktorem polityki rosyjskiej jest dążenie do – w takiej czy innej postaci – podporządkowania państwa polskiego bądź terytorium polskiego, w zależności od tego, jaki był to okres historyczny. Jego podbój bądź zwasalizowanie. I co się też z tym wiąże, co jest bardzo istotne, w tradycji polityki rosyjskiej, szczególnie od wieku XIX, istniała jakby konieczność, imperatyw tłumienia oporu polskiego. Było dla Rosjan oczywiste, że Polacy będą stawiać opór polityce rosyjskiej i trzeba ten opór przełamać, trzeba go złamać, najlepiej fizycznie likwidując tych, którzy mogą być inicjatorami tego oporu, nawet jeśli jest to opór potencjalny. I w takim oczywiście kontekście trzeba widzieć aresztowania w roku 1939 warstw

przywódczych na ziemiach wschodnich, wywózki z roku 1940–1941, zbrodnię katyńską. Potem tzw. internowanie AK-owców od roku 1944, w ślad za tym, jak Sowieci wchodzą na ziemie polskie. Bo też od roku 1943, w miarę rozwoju sytuacji na froncie wschodnim, coraz bardziej było jasne, że to, na czym budowano do pewnego momentu polskie plany polityczne i militarne, zostanie przekreślone, czyli że nie wejdą na ziemie polskie sprzymierzone armie alianckie, tylko – właśnie wtedy tak zaczęto mówić – wejdzie armia sprzymierzeńców naszych sprzymierzeńców, czyli *de facto* nasz wróg. I mniej lub bardziej oficjalnie, raczej mniej oficjalnie właśnie ze względów międzynarodowych, a nie tych wewnątrzpolskich, mówiono, że trzeba się przygotować, gdyż grozi nam nowa okupacja.

Z tego wynika decyzja z jesieni 1943 roku, można powiedzieć równoległa do planu „Burza”, który w uproszczeniu zakładał po uderzeniu na wycofujących się Niemców ujawnianie się oddziałów Armii Krajowej oraz władz państwa podziemnego i występowanie w roli gospodarza wobec wchodzącej armii sowieckiej. Otóż obok tego zaczęto przygotowywać kadrową, elitarną, ale właśnie o charakterze polityczno-wojskowym, z naciskiem na polityczno-, organizację „NIE”, czyli „Niepodległość”. I jest to zresztą, jak się bliżej przyjrzymy, organizacja budowana, szczególnie jeśli chodzi o kadry dowódcze, na legionistach piłsudczykach. Jest to bardzo charakterystyczne.

Wiosna, a szczególnie lato 1944 roku, to realizacja planu „Burza” na Wołyniu, w Wilnie, we Lwowie, ale potem także na zachód od Bugu na ziemiach, które wydawały się, nawet z punktu widzenia Stalina, już bezspornie polskie. Stosunek armii sowieckiej, może nawet nie armii, tylko Sowieców do prób urzeczywistnienia tego właśnie scenariusza pokazał, że nie zamierzają oni w jakikolwiek sposób uwzględnić naszego pomysłu obrony suwerenności. Że nie jest dla nich istotnym czynnikiem, że demonstrujemy naszą suwerenność na danym terytorium, na terytorium państwa polskiego. Dla nich to był teren działań operacyjnych, który im się należy, i na którym nie tolerują żadnych działań, które są niezgodne z ich koncepcją. Równocześnie z tym, już w sposób całkowicie otwarty na scenę polityczną wstawiają własny garnitur poli-

tyków, rzekomo polskich, w postaci PKWN, czyli *de facto* tworzą konkurencyjny rząd polski, ze względów taktycznych oczywiście jeszcze tak nie nazywany.

I tu musimy wprowadzić czynnik drugi na arenie międzynarodowej, czyli naszych sprzymierzeńców, tych, powiedziałbym, bardziej realnych – przynajmniej do pewnego momentu tak się wydawało – w postaci Anglosasów. I nie jest do końca prawdą to, co wczoraj tutaj podkreślano, że Teheran był tajemnicą dla władz polskich. Rzeczywiście tak było, że komplet decyzji teherańskich nie został oficjalnie władzom polskim zakomunikowany, ale nieoficjalnie informacje do polityków polskich dotarły. Rolę pośrednika już w grudniu 1943 roku spełnił Benesz, przywódca Czechosłowacji. Nie sądzę, żeby to była jego własna inicjatywa, tylko raczej chodziło o wysondowanie, a właściwie zmiękczenie władz polskich. Przede wszystkim przekazał stronie polskiej informacje dotyczące linii Curzona jako przesądzonej granicy wschodniej. Poziom wiedzy władz RP o stosunku aliantów do sprawy polskiej był na tyle duży, że na początku 1944 roku Mikołajczyk zdecydował się wysłać do Polski swojego emisariusza, czyli Józefa Hieronima Retingera właśnie po to, żeby przekazał te informacje w drodze bezpośrednich rozmów z politykami krajowymi. Potem jako wspomagającego emisariusza dodał Tadeusza Chciuka – Marka Celta. Ostatecznie ich misja doszła do skutku na początku kwietnia 1944 roku. Mamy relacje jednego i drugiego, jak to wyglądało¹. W kraju generalnie nie chciano przyjąć do wiadomości, że alianci nie udzielą już nam realnej pomocy w konflikcie z Sowietami. Czyli, że jesteśmy w zasadzie oddani w ręce Stalina. Ta konstatacja, że jesteśmy sami wobec rozpędzonego walca sowieckiego nie została przyjęta w Polsce przez polityków, ponieważ jej przyjęcie oznaczałoby, że trzeba się poddać. Ale nawet jeśli była taka świadomość, to zarazem obok istniała – ale taka jest też rola polityka – nadzieja wbrew nadziei. Czyli podejmujemy działania, które w zasadzie nie mają szans powo-

¹ Zob. M. Celt [T. Chciuk], *Z Retingerem do Warszawy i z powrotem. Raport z Podziemia 1944*, do druku przygot. W. Frazik, Łomianki 2006; J.H. Retinger, *Józef Retinger. Życie i pamiętniki „szarej eminencji”*, wyd. J. Pomian, Warszawa 1990.

dzenia, ale trzeba je podjąć, bo jeżeli ich nie podejmiemy, to będzie to grzech zaniechania.

Sowieci – i od pewnego momentu to było widać albo trzeba było się z tym liczyć – nie dopuszczali kompromisu w sprawie polskiej. Oni żądali przyjęcia ich reguł. Ich wizji tego, co ma się w Polsce stać. To, co się działo w czasie akcji „Burza” czy nawet jeszcze wcześniej, właściwie od początku 1943 roku na ziemiach wschodnich na styku partyzantki sowieckiej i polskiej konspiracji, też już pozwalało stwierdzić, że aktywność czy to militarna, czy polityczna w ramach Polskiego Państwa Podziemnego to jest zapisanie się na sowiecką listę proskrypcyjną. Czyli ludzie, którzy są zaangażowani w opór przeciwko Niemcom, w zasadzie kwalifikują się do tego, żeby ich wyeliminować ze sceny, bo oni będą również stawiać opór Sowietom. To jest takie proste założenie w sowieckim rozumowaniu i ono przebija z różnych dokumentów. Najpierw realizują je partyzanci sowieccy w drodze rozpoznania, ewentualnie tam, gdzie mogą przez likwidację, często skrytą, a czasem w otwartej bezpośredniej walce. Częściej jest to jednak zbieranie informacji, rozpoznawanie polskiego podziemia. Uderzenie następuje już po wejściu regularnej armii sowieckiej, a przede wszystkim tego aparatu, który idzie za nią, czyli „Smiersza” – kontrwywiadu wojskowego – i NKWD. I stąd mamy zakrojone na dużą skalę aresztowania, zarówno tych, którzy się ujawniają, jak i tych, którzy się nie ujawniają. To oczywiście miało swoje fazy, miało swoje uwarunkowania operacyjne, ale generalnie lato 1944 roku już nam pokazuje sowieckie modus operandi bardzo wyraźnie².

Ostatnią próbą odwrócenia tego, co wydaje się już nieuchronne, było Powstanie Warszawskie. I dowodnie wykazuje ono publicznie, jaki będzie stosunek Anglosasów albo jakie są ich realne możliwości wobec polityki sowieckiej. To znaczy, że realnej pomocy ze strony Zachodu w zasadzie nie możemy się spodziewać. Ponieważ Stalin prze-

² Zob. np. *Operacja „Sejm” 1944–1946*, Warszawa–Kijów 2007; K. Krajewski, *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1945*, Kraków 2015.

prowadził latem 1944 roku wszystko, co zamierzał. Powstanie Warszawskie doprowadza do olbrzymiej dekompozycji Polskiego Państwa Podziemnego i to zarówno w wymiarze wojskowym, jak i w znacznej mierze również politycznym, aczkolwiek jedna i druga struktura po kilku tygodniach się pozbierała. Ale, można powiedzieć, one stały się sprawne tuż przed tym, jak w styczniu 1945 roku rusza kolejna ofensywa sowiecka i ten walec przetacza się przez ziemie polskie już w całości. I wtedy, głównie właśnie ze względu na sytuację międzynarodową, zapada decyzja o rozwiązaniu Armii Krajowej. Jest to działanie formalne: rozwiązujemy AK po to, by nie dać Sowiecom pretekstu do represji. Tej armii już nie ma. To jest armia kombatancka, co prawda w oczach Zachodu, w oczach nawet Niemców, ale, tak jak już mówiłem, przynależność do AK równa się represjom ze strony sowieckiej. W związku z tym dajmy chociaż szansę tym ludziom, zwolnijmy ich z przysięgi. Oni się mogą bronić: przepraszam, myśmy walczyli tylko z Niemcami. Nic to nie da praktycznie, ale formalnie przynajmniej taki krok można było zrobić. Tak postrzegam rozwiązanie AK 19 stycznia 1945 roku.

Ale ważniejsze w tym momencie wydaje się to, co stało się parę tygodni później, czyli konferencja jałtańska. O ile bowiem Teheran był rzeczywiście porozumieniem tajnym w znacznej mierze i w jakimś stopniu zakrytym również dla społeczeństwa polskiego, choć – jak twierdzą – niekoniecznie dla sfer politycznych, przynajmniej tych najważniejszych polityków, to Jałta była już czymś jawnym, oficjalnym. Decyzje konferencji jałtańskiej dotyczące sprawy polskiej zostały publicznie ogłoszone. I to jest, można powiedzieć, ostatnia poważna próba ze strony Zachodu uratowania suwerenności Polski. Sprawa granic jest może w tym momencie drugorzędna, co prawda trudno mi to jest jako Polakowi powiedzieć, ale gra idzie w tym momencie o co innego. Idzie o suwerenność. Na to stawiają alianci, czyli na uratowanie suwerenności. I tego chwytają się najważniejsze siły polityczne w Polsce. Następuje podział ról. Rząd Arciszewskiego staje się rządem protestu, natomiast Rada Jedności Narodowej z zastrzeżeniami, ale przyjmuje decyzje jałtańskie. Mówi: wchodzimy w ten mechanizm, który został w Jałcie zaproponowany. Jesteśmy gotowi wyjść z podziemia i wziąć

udział w wolnych i demokratycznych wyborach, które wyłonią rząd zgodny z wolą narodu polskiego. I to jest ten czynnik, wokół którego przez najbliższe dwa lata będzie budowana polityka polska, znów można powiedzieć – wbrew nadziei, wbrew faktom, które są widoczne. Tym najbardziej widocznym i spektakularnym jest proces „szesnastu”. Po tym fakcie nie powinno być już złudzeń, politycy powinni być pewni, że nie będzie w Polsce realizacji Jałty według wizji anglosaskiej, tylko według jej rozumienia przez Stalina i to tak, jak on od początku sobie to wyobrażał już w samej Jałcie, już w trakcie dyskusji o sprawie polskiej. Niemniej jednak nie było od strony politycznej, wydaje się, innej możliwości. To znaczy, że jeśli chciało się działać, a nie pozostać na pozycji protestu, na pozycji obrony pewnych wartości moralnych, działać na zasadzie: próbujemy coś zrobić mimo wszystko, to trzeba było przyjąć Jałtę. I tak postępują wszystkie znaczące siły w kraju. Nawet Stronnictwo Narodowe będzie w pewnym momencie próbowało zagrać na dwóch fortepianach; to najbardziej nieprzejezdane, które tak naprawdę sprzeciwiło się likwidacji struktur Polskiego Państwa Podziemnego i chciało kontynuować tego typu działalność, również ono próbuje zalegalizować swoje istnienie. Powstaje Komitet Legalizacyjny SN – to się oczywiście kończy fiaskiem. Ale latem 1945 roku, w lipcu, w sierpniu, nawet wczesną jesienią, tego typu złudzenie istnieje. To znaczy, że obok PPR-u i partii fałszywych, które ukradły nazwy partii przedwojennych, powstaną partie prawdziwe, te które rzeczywiście reprezentują jakieś idee, reprezentują pewne grupy społeczne, a w czasie wojny istniały w konspiracji i współtworzyły trzon Polskiego Państwa Podziemnego. I będą one mogły wziąć udział w walce wyborczej.

Myszę, że to by wystarczyło, jeśli chodzi o stronę międzynarodową.

Teraz obóz polski – w zasadzie jest zgodny. Gdy się prześledzi dokumenty wytwarzane na emigracji i dokumenty wytwarzane w kraju, w zasadzie we wszystkich środowiskach istotnych po Powstaniu Warszawskim, diagnoza jest jedna: walka zbrojna traci rację bytu. Naród polski jest zagrożony w swoim bycie biologicznym, należy zrezygnować z walki zbrojnej, przede wszystkim ze względu na olbrzymią dysproporcję sił – armia sowiecka stoi w tym momencie nad Łabą i dysponuje

tak wielkimi siłami, że my z naszą wolą walki nie jesteśmy w stanie im nic przeciwstawić, nie mamy możliwości logistycznych, nie znajdziemy zrozumienia u Anglosasów, ani u polityków, ani w opinii publicznej, nie będziemy mieli dostaw, wsparcia militarnego. To było już widoczne w czasie wojny, że nawet wsparcie w walce z Niemcami było bardzo iluzoryczne, o czym też tu wczoraj mówiliśmy, o tonażu zrzutu. W związku z tym, niezależnie od faktu, że były w terenie duże ilości broni, amunicji, itd., to i tak było za mało, żeby prowadzić jakąkolwiek sensowną długofalową akcję zbrojną czy taką, która by miała cel militarny. W związku z tym oskarżanie kogokolwiek o to, że podzegał do walki zbrojnej w kraju, tak naprawdę jest działaniem wyłącznie politycznym. Bo jeśli się popatrzy na dokumenty i instrukcje, założenia niektórych organizacji i komórek cywilnych, rządowych, wojskowych, itd., wszędzie jest jeden i ten sam postulat: w kraju kończymy walkę zbrojną.

Głos z sali

– A który to jest moment czasowy?

Wojciech Frazik:

– Nawet przy koncepcji „NIE” to wychodzi, tam już jest nacisk na działalność polityczną, na podtrzymanie idei niepodległości, ducha niepodległości w społeczeństwie. I to się będzie później przewijać w różnych miejscach jako postulat najważniejszy. Zapada noc i trzeba zrobić wszystko, by naród w zdrowiu duchowym tę noc przetrwał. Oczywiście trochę upraszczam, ale to jest zawsze główne zadanie tych, którzy mają coś robić w kraju. I to już, jak mówię, widać przy tworzeniu organizacji „NIE”, choć oczywiście tam też miały być niektóre elementy czy komórki wojskowe³. W instrukcji rządu, jeszcze rządu Mikołajczyka, z 16 listopada 1944 roku (22 listopada poszła do kraju) mamy już wyraźnie powiedziane, że kończymy działalność zbrojną⁴.

³ Szerokie przedstawienie założeń i funkcjonowania „NIE” zob. M. Fieldorf, L. Zachuta, *General Fieldorf „NIL”. Fakty, dokumenty, relacje*, t. 1, Warszawa 2006, s. 269–362.

⁴ Por. Wytyczne organizacji specjalnej sieci konspiracyjnej na terenie Polski pod okupacją

I potem, jakbyśmy popatrzyli na przejście od AK–„NIE” do Delegatury Sił Zbrojnych, to gdy Rzepecki do Naczelnego Wodza wysłał 15 kwietnia 1945 roku swój wniosek o rozwiązanie „NIE” – on tam postuluje stworzenie stanowiska wojskowego komendanta kraju i powierzenie mu tej funkcji – pisze, że *czysto wojskowe zadania nadal w Kraju istnieją* i że w ramach wszechstronnego oporu przeciw sowietyzacji jednym z jego głównych zadań będzie, tu dosłownie: *zbrojne przeciwdziałanie wyniszczeniu Narodu oraz wyludnieniu i dewastacji Kraju*⁵. To są z naszego punktu widzenia dwa najważniejsze zwroty z tej depeszy. Natomiast Naczelny Wódz, który mu 7 maja odpowiada i powołuje Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, nie umieszcza tego punktu o zbrojnym przeciwdziałaniu⁶. I to jest zresztą wzmocnione potem w depeszy gen. Stanisława Tatara do Rzepeckiego parę dni później, gdzie on wyraźnie podkreśla: nie dajemy wam zadań wojskowych. Macie przede wszystkim zadanie informowania władz na obczyźnie o tym, co dzieje się w Polsce⁷. Informowania – w domyśle albo wprost (to się powtarza później w wielu dokumentach) – jak wyglądają przygotowania do wyborów. Czy te wybory rzeczywiście będą zgodne z wolą narodu polskiego. Bo na arenie międzynarodowej musimy mieć argumenty do akcji, którą prowadzimy. I tutaj widać już, jak stopniowo, najpierw w sensie faktycznym, a potem zostanie to wyartykułowane w pewnych dokumentach politycznych, ciężar działalności niepodległościowej, ciężar walki o niepodległość przenosi się z emigracji do kraju. I to będzie również leżało u podstaw decyzji grupy pułkowników o powołaniu nowej organizacji politycznej w miejsce wojskowej. I ten element, powiedziałbym, konkurencji czy rywalizacji o to, który ośrodek jest ważniejszy: kraj czy emigracja, będzie dość istotny właśnie w tym, co

sowiecką [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 5, październik 1944 – lipiec 1945, Londyn 1981, s. 139–141 (dokoło nr 1320).

⁵ Por. Depesza płk. Jana Rzepeckiego „Ozoga” do Naczelnego Wodza, 15 IV 1945 r. [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 5..., s. 371–372 (dokoło nr 1499).

⁶ Por. Depesza gen. Władysława Andersa do płk. Jana Rzepeckiego „Ozoga”, 7 V 1945 r. [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 5..., s. 406–407 (dokoło nr 1533).

⁷ Por. A. Chmielarz, *Powstanie i działalność I Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2006, nr 25, s. 6–7.

będzie się działo od lutego 1945 roku, czyli od tego momentu, kiedy rozchodzą się drogi kraju i emigracji, kiedy Rada Jedności Narodowej podejmuje decyzję o akceptacji jałtańskiego pomysłu na wybory, a rząd mówi: żadnych wyborów i tak nie będzie, nie wierzymy w to; pominięto państwo polskie w decyzjach o przyszłości Polaków. I ten element, jak mówię, rywalizacji będzie dość istotny. Drugi element, który będzie bardzo istotny przy decyzji o przejściu od organizacji militarnej do politycznej (i przy motywacji, dlaczego w ogóle coś robimy dalej), to będzie element w pewnym sensie narzucony przez komunistów. Dlatego, że latem 1945 roku dość wyraźnie w dokumentach Delegatury Sił Zbrojnych, a później również w dokumentach WiN-u, pojawia się element, który jest narzucany przez propagandę komunistyczną, czyli że podziemie to reakcja.

W pierwszej połowie 1945 roku dominuje w przestrzeni publicznej plakat „AK – zapluty karzeł reakcji”, więc ci, którzy kierowali Armią Krajową, a później jej różnymi formami następczymi, siłą rzeczy muszą się do niego odnieść. Tu trzeba wprowadzić czynnik personalny. Osobą, która po aresztowaniu generała Leopolda Okulickiego jest osobą numer jeden w podziemiu poakowskim, jest pułkownik Jan Rzepecki, czyli ten, który przez kilka poprzednich lat formułował program ideowy AK. To on kierował Biurem Informacji i Propagandy. I nie da się ukryć, że jego osobowość czy też jego – powiedziałbym – mocno lewicowy profil jest latem 1945 roku też dość istotnym czynnikiem ważącym na decyzjach, które zapadają. W związku z tym pojawia się – niestety czasem nawet bardzo przykre z punktu widzenia tych żołnierzy, którzy byli wierni przysiędze, którzy pozostali w lesie – przeciwstawienie tych, którzy nie będą walczyć zbrojnie, podejmą jakąś inną formę walki o Polskę, tym, którzy wspierają polską walkę zbrojną, która bywa utożsamiana z siłami reakcyjnymi spod znaku NSZ – czasem jest to dopowiadane, a czasem nie. Skąd się wzięło takie bolesne wręcz pęknięcie w obozie polskim? Jest to sprzężenie zwrotne. Zostaje wydany rozkaz o rozwiązaniu AK. Siły zbrojne obozu narodowego czy też siły polityczne stojące za nimi, te, które były scalone bądź nie były scalone w AK, teraz jak gdyby wystawiają transparent: „chodźcie do

nas”. Jeśli chcecie dalej walczyć o Polskę, chodźcie do nas, bo tylko my jesteśmy tymi jedynymi, którzy prawdziwie o Polskę walczą. My bronimy nie składamy. I pojawia się, z punktu widzenia dowódców AK-owskich w większości dalekich od tej opcji ideowej, groźba przejścia żołnierzy AK przez obóz narodowy. Ona miejscami w terenie się realizuje, ale bardziej – wydaje mi się – jest ona demonizowana. Oczywiście, były też takie sytuacje, gdzie narodowcy nawet siłą wymuszali posłuch dla swoich postulatów w stosunku do Armii Krajowej⁸.

Nie będzie nadużyciem, jeżeli wprowadzi się tutaj jeszcze jeden element, o którym nie powinno się zapominać, i który też nam pokazuje postać pułkownika Rzepeckiego, bo – jak mówię – on był wtedy głównym rozgrywającym, mianowicie obecność w jego otoczeniu przynajmniej jednego, bardzo istotnego agenta sowieckiego i komunistycznego, czyli Włodzimierza Lechowicza, który był jego doradcą politycznym i który działał ściśle według wskazówek Mariana Spychalskiego, prawej ręki przywódcy PPR Władysława Gomułki⁹. Włodzimierz Lechowicz występuje obok Zygmunta Kapitaniaka ze Zjednoczenia Demokratycznego i Kazimierza Moczarskiego (który w Delegaturze Sił Zbrojnych kieruje BIP-em) jako współautor znanego memoriału z 18 lipca 1945 roku, złożonego Rzepeckiemu. Autorzy, oprócz tego, że konstatawali przegraną dotychczasowego kierownictwa politycznego i wojskowego obozu niepodległościowego, wielokrotnie w tekście przeciwstawiali „demokrację” AK „reakcyjności” NSZ, wzywali do odcięcia się od tych ostatnich, a wyjście z sytuacji widzieli w skierowaniu marszu szeregów akowskich na lewo i wydaniu rozkazu o likwidacji konspiracji zbrojnej¹⁰. Znajdziemy tam bardzo dużo elementów, które

⁸ Por. np. S. Poleszak, *Stosunki pomiędzy AK-AKO-WiN i NSZ-NZW na terenie Inspektoratu Łomżyńskiego AK (styczeń 1945 – kwiecień 1947)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 17, s. 171–196; R. Wnuk, *Relacje struktur AK-WiN z konspiracją narodową na Lubelszczyźnie (lipiec 1944 – kwiecień 1947)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 1997, nr 10, s. 43–51.

⁹ Zob. szerzej *Komunistyczny agent w sercu Podziemia. Meldunki Włodzimierza Lechowicza z 1945 roku*, oprac. W. Frazik, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2007, nr 26–27, s. 389–441.

¹⁰ We wnioskach stwierdzali: *Wyjście z obecnego impasu na odcinku AK jest możliwe tylko przez: a) odcięcie się od kierownictwa londyńskiego i stwierdzenie jego bankructwa; b) stwierdzenie*

powtarzają się również w enuncjacjach publicznych bądź nieoficjalnych dokumentach Rzepeckiego, kursujących wśród jego współpracowników w kraju i wysyłanych do Londynu. I mamy też takie zdanie Rzepeckiego, że poglądy tej trójki, tych jego doradców, były mu bliższe, niż wielu jego najbliższych współpracowników z grupy pułkowników AK-owskich¹¹. Więc, rzekłbym, jest to bardzo duży cień padający na osobę Rzepeckiego. Niemniej jednak nie można zaprzeczyć, że również pozostali twórcy WiN-u, być może nie podzielając jego różnych wizji ideowych, wspólnie z nim podejmują decyzję, że trzeba powołać nową organizację, o innym charakterze.

W tym wywodzie dużo rzeczy pomijam, bo nie chcę go za bardzo przedłużyć, ale warto by jeszcze jeden element istotny dodać – jak powstawała ta decyzja. Wiosną 1945 roku podziemie jest generalnie w stanie dekompozycji. Po to też powstała Delegatura Sił Zbrojnych, żeby z powrotem uchwycić jakoś w ramy organizacyjne to, co się dzieje w terenie po rozkazie rozwiązującym Armię Krajową i po tym, gdy całe terytorium Polski znalazło się pod okupacją sowiecką. To jest element odpowiedzialności dowódców za podwładnych: nie możemy ich zostawić samym sobie, jesteśmy im coś winni, musimy nimi pokierować, bo kierowaliśmy nimi wcześniej, oni mogą się zagubić i zejść na złą drogę. I, mówię to bez ironii, mogą się zagubić dwojako. Raz, przechodząc „pod sztandary reakcji” – to jest element ideowy rozumowania dowódców. A po drugie – mogą pójść w kierunku zwykłego bandytyzmu. To była plaga okresu wojny, z którą zresztą AK walczyła. I to się nie skończyło wraz z końcem wojny. I w związku z tym te dwa niebezpieczeństwa sprawiają, że dowódcy czują się odpowiedzialni. Jeszcze może nie wybrzmiało to wprost: są to ludzie, którzy traktują AK jako samoistną

w formie rozkazu, że walka zbrojna w kraju w sytuacji obecnej jest działaniem bezużytecznie osłabiającym naród; c) także stwierdzenie, że oddziały pozostające pomimo rozkazu w lesie są oddziałami zdemoralizowanymi wojną (bandyckimi) bądź oddziałami o własnych społecznych bądź politycznych celach, nie mających nic wspólnego z AK; d) wezwanie do pracy na wszystkich odcinkach w imię ideałów wolności i niepodległości. Pełny tekst zob. K. Moczarski, *Zapiski*, wstęp, wybór tekstów i oprac. A.K. Kunert, Warszawa 1990, s. 279–288.

¹¹ A.K. Kunert, *Oskarżony Kazimierz Moczarski*, Warszawa 2006, s. 60.

wartość, tzn. dowódcy AK mają przekonanie – i to będzie też po latach wielokrotnie podkreślane i o to dbano na różne sposoby, w miarę, jak było to możliwe – że Armia Krajowa stworzyła pewną nową wartość samym swoim istnieniem. Że powstała armia obywatelska kierowana pewnymi zasadami, pewnym duchem, o pewnym własnym etosie. I to trzeba ochronić i w związku z tym trzeba żołnierzom Armii Krajowej, mimo jej rozwiązania, dać jakąś formę organizacyjną, która przedłuży jakby trwanie tej idei i wykorzysta tego ducha, wykorzysta etos AK w tej walce, która będzie się toczyła z komunistami, walce – mówiąc hasłowo – o wolne wybory.

I to są te najważniejsze przesłanki, które sprawiają, że zapada latem 1945 roku decyzja o powołaniu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, tak naprawdę w miejsce Delegatury Sił Zbrojnych. To się zbiega z decyzją władz o amnestii i z aresztowaniem pułkownika Jana Mazurkiewicza „Radosława”, z jego apelem o wyjście z konspiracji i z całą działalnością komisji likwidacyjnych AK pod egidą „Radosława”. To oczywiście komplikuje przekształcenie podziemia wojskowego w podziemie polityczne, a z drugiej strony – tak się wydaje w pewnym momencie – jest też szansą, tzn. pozbywamy się tych, którzy są wobec władz zdekonspirowani, tych, którzy nie chcą dalej walczyć, zachowujemy tych, którzy są najbardziej zdeterminowani. I oczywiście było to też swego rodzaju złudzenie. Bo zawsze mamy dwa plany: z jednej strony złudzeń, życzeń i nadziei, jak może się sytuacja rozwinąć, z drugiej bardzo twardego realizmu, gdyż w tym konkretnym wypadku jednocześnie panuje przekonanie, że akcja amnestyjna i likwidacyjno-weryfikacyjna struktur poakowskich jest tak naprawdę zewidencjonowaniem wrogów, które pozwoli później bezpiecznie dojść do tych, którzy są w podziemiu. I tak się rzeczywiście stało, tylko że praca operacyjna wymagała niekiedy trochę czasu¹².

Tak jak wspomniałem, Zrzeszenie ma być organizacją polityczną, której zasadniczym celem jest zbieranie informacji, i stąd każdy czło-

¹² Szerokie omówienie tej problematyki zob. *Komunistyczne amnestie lat 1945–1947 – drogi do „legalizacji” czy zagłady?*, red. W.J. Muszyński, Warszawa 2012.

nek WiN-u miałby być informatorem. Drugim zadaniem jest propaganda wewnątrz organizacji i na zewnątrz, stąd każdy członek miał być propagandystą, jak to określano. I coś, co jest już dla węższego grona zastrzeżone, czyli organizacja ma również spełniać pewne funkcje samoobrony. Czyli miały być wydzielone komórki, które miały mieć charakter porządkowo-likwidacyjny, zarówno na rzecz własnych szeregów, czyli likwidacja zdrajców, jak i na zewnątrz, czyli likwidacja tych, którzy zagrażają istnieniu organizacji. Znow przedstawiam to ramowo, nie omawiam programu, tego, jaki był stosunek do emigracji, do reform społeczno-gospodarczych, do Sowietów, itd. Hasło programowe najważniejsze: wyborów sfałszować nie damy. Wszystko, co robimy, ma służyć temu, że mamy kontrolować jakość procesu wyborczego i wesprzeć w tej walce wyborczej siły prawdziwie polskie, czyli w miarę upływu czasu okazuje się, że jest to jedynie Polskie Stronnictwo Ludowe. Jediną partią niezależną od komunistów, która wystąpi w wyborach, będzie PSL. Dlatego WiN taktycznie będzie popierał PSL.

Przyjrzyjmy się teraz uwarunkowaniom wewnątrzorganizacyjnym. W rzeczywistości ta wizja, która stała u podstaw tworzenia Zrzeszenia, nigdy się nie zrealizowała. Historia Zrzeszenia podzielona jest na okresy związane z działaniem aparatu bezpieczeństwa, czyli aresztowaniami i rozbijaniem kolejnych zarządów głównych i w związku z tym ze wszystkim, co z tego wynikało. Jesień 1945 roku, okres I Zarządu Głównego kierowanego przez Rzepeckiego, gdzie mamy w kierownictwie tych pułkowników, którzy się wywodzą z Komendy Głównej AK i którzy WiN powołali, to jest okres wdrażania koncepcji, budowania nowej organizacji. Odbudowywania pewnych rzeczy w konspiracji bądź przejmowania takich struktur, jakie istnieją. Co przejmowano? Przejmowano te struktury, które jeszcze istniały w terenie i miały faktycznie charakter zbrojny. Czyli Okręgi Białostocki i Lubelski. Wszędzie indziej tak naprawdę budowano WiN na nowo. I tam, gdzie budowano WiN na nowo, czyli przede wszystkim w Obszarze Południowym, WiN miał rzeczywiście charakter polityczny i tam podstawową formą działania poza zbieraniem informacji będzie od początku do końca pisanie tzw. referatów, które potem powielane na maszynie będą

rozsyłane w teren. Mają być materiałem szkoleniowym i propagandowym, wykorzystywanym przede wszystkim do propagandy mówionej, w mniejszym stopniu do propagandy pisanej, bo prasa WiN-owska oczywiście istniała, ale nie miała aż tak wielkiego zasięgu jak prasa konspiracyjna w czasie okupacji niemieckiej. I w Obszarze Południowym niemalże – nie mówię, że zupełnie – nie mamy do czynienia z komórkami zbrojnymi. Najlepiej były one rozwinięte w Okręgu Rzeszowskim, gdzie zachowały się pewne struktury z okresu AK-owskiego¹³. Mamy jakieś pojedyncze komórki w Okręgu Krakowskim, które nawet dokonują spektakularnych likwidacji UB-eków i Sowietów¹⁴. Ale to są rzeczy z punktu widzenia całej organizacji nieistotne. Natomiast Obszar Centralny (obejmujący wspomniane Okręgi Białostocki i Lubelski oraz odtwarzane Warszawski, Łódzki i Kielecki) będzie miał charakter zbrojny, niezależnie od tego, że jego kierownictwo, i to pierwsze z roku 1945, i to drugie z roku 1946, w swoich oficjalnych enuncjacjach będzie mówić o tym, że walki zbrojnej nie prowadzimy. To jest paradoks. Nie prowadzimy walki zbrojnej, naszym celem jest zupełnie co innego, a w tym samym czasie kilka tysięcy ludzi pod bronią przeprowadza akcje w terenie. Czyli – mówiąc skrótowo – mamy wyraźny rozdźwięk między pewną wizją programową i enuncjacjami kierownictwa, a tym, co się dzieje w terenie.

Nie można stwierdzić, że WiN nie był scentralizowaną strukturą. Ale nie było też już czegoś takiego – choćby z tego względu, że była to już organizacja cywilna i polityczna, przynajmniej w założeniu – że w sposób bezwzględny istniało rozkazodawstwo i wykonywanie tych rozkazów. W terenie jakby filtrowano to, co przychodzi z góry, a – jak stwierdzał jeden z dowódców terenowych – góra akceptowała sprawozdania z terenu i na tym się kończyło.

To jest być może trochę ostra ocena, ale mówię to z punktu widzenia Obszaru Centralnego, który jest znacznie liczniejszy i ma charakter

¹³ Zob. G. Ostasz, *Okręg Rzeszowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Model konspiracji, struktura, dzieje*, Rzeszów 2006, s. 442–473.

¹⁴ Zob. np. W. Frazik, F. Musiał, *Likwidacja Juliana Świątka i Lwa Sobolewa z PUBP w Tarnowie (1946)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2004, nr 22, s. 5–28.

przede wszystkim militarny faktycznie, a nie teoretycznie polityczny. I niestety, jak się temu przyjrzy bliżej, to mamy długie okresy, kiedy ta spójnia organizacyjna jest dość słaba. Kiedy nici łączności się rwą. W wyniku kolejnych aresztowań nawet na sporych terenach organizacja działa bez łączności z komórkami wyższymi. Potem następuje odbudowa więzi organizacyjnych, ale po chwili znów następuje kolejne uderzenie bezpieczeństwa.

Najpełniejsza realizacja wizji WiN-u jako organizacji politycznej nastąpiła wiosną 1946 roku, pod kierownictwem II Zarządu Głównego z Franciszkiem Niepokólczyckim na czele. To jest apogeum rozwoju organizacji, to jest również apogeum rozwoju jej sił zbrojnych i działalności zbrojnej, ale równocześnie jest to okres przed referendum, WiN przeprowadza największe akcje propagandowe i z danych, którymi dysponujemy, wynika, że w referendum większość głosów padła według wskazówek WiN-owskich, czyli dwa razy nie, raz tak. Przy czym w wewnętrznej analizie WiN-u stwierdzono, że sobie samym musimy powiedzieć, że to wcale nie znaczy, że takie mamy poparcie społeczne. Po prostu nasza wizja odpowiedzi w tym referendum była najbardziej logiczna, była najtrafniejsza i tak też zagłosowało społeczeństwo. Na ile zagłosowało według naszej inspiracji, tego nie sprawdzimy. To jest analiza do użytku kierownictwa. Na zewnątrz, w propagandzie, mówi się: naród zagłosował tak, jak wzywał WiN.

To jest szczyt powodzenia, ale sfałszowanie wyników referendum powoduje odpływ, widoczny odpływ członków, wydaje się, że głównie tych nastawionych na działalność polityczną. Równoległe z tym idą też uderzenia bezpieczeństwa, więc wielu rzeczy nie da się jednoznacznie wyważyć, ale sfałszowanie wyników referendum wskazuje, że na pewno tak się stanie z wyborami. Jeśli ktoś jeszcze miał jakieś złudzenia, że wybory nie zostaną sfałszowane, to sfałszowanie referendum i reakcja Anglososów na to były dowodem, że taka formuła walki dłużej nie ma sensu i powoli się wyczerpuje. Potem następuje sfałszowanie wyborów, akcja amnestyjna, a to też jest wszystko poprzedzone olbrzymimi uderzeniami w organizację ze strony bezpieczeństwa.

I praktycznie po amnestii w 1947 roku WiN traci dotychczasową ra-

cję bytu, gdyż skończyła się walka wyborcza. WiN traci swoją dynamikę jako organizacja, dlatego że znaczna większość struktur przestaje istnieć, ale pozostaje czwarte kierownictwo z Łukaszem Cieplińskim, które postanawia kontynuować działalność, przede wszystkim po to, żeby dalej informować o sytuacji w Polsce – głównie Zachód. Już nie tyle władze polskie na obczyźnie, co właśnie Zachód zaznajamiać z istotą systemu komunistycznego. Decydują się trwać w konspiracji także po to, żeby komuniści nie przejęli organizacji w celach prowokacyjnych, co stanie się mniej więcej 12 miesięcy później, kiedy IV Zarząd Główny zostanie rozbity.

I jeszcze jeden istotny element tej układanki programowo-organizacyjnej. Mianowicie WiN, w momencie kiedy powstaje, zrywa z władzami RP na obczyźnie. Mówi się wprost w enuncjacjach, że rząd polski uległ likwidacji. Co jest nieprawdą, bo nie uległ likwidacji. Stracił uznanie międzynarodowe i nie wszystkich zresztą państw. Ale tak to jest przedstawiane niestety w „Wytocznych ideowych”¹⁵. W konsekwencji więc ciężar walki i jej kierownictwo przenoszą się do kraju i my przejmujemy to kierownictwo. Czyli WiN jest kierownikiem walki o niepodległość w kraju bez oglądania się na emigrację. To bardzo szybko się zmienia, bowiem I Zarząd Główny po kilku tygodniach zostanie rozbity i stojący na czele II Zarządu pułkownik Niepokólczycki będzie już dążył do nawiązania kontaktów z władzami w Londynie. Będą tam iść kolejni emisariusze, którzy jesienią 1946 roku, a formalnie na początku 1947 roku, utworzą Delegaturę Zagraniczną WiN. I to ona będzie w pewnym sensie negocjować z władzami cywilnymi i wojskowymi na emigracji pozycję kraju. Będą różne fazy tych wzajemnych relacji, więc o tym teraz też nie będę mówił. To jest odrębny temat. Ale w każdym razie nie jest to już tak, że emigracja dla WiN się nie liczy. Emigracja w sensie ośrodka wojskowo-politycznego. Kierowniczego. Natomiast jednocześnie, od początku 1946 roku – i myślę, że byłby to kamień obrazy dla Rzepeckiego, bo to był podobno jeden z elementów, które przesądziły, że zdecydował się organizację ujawnić po swoim aresztowaniu – WiN

¹⁵ *O Wolność Obywatela i Niepodległość Państwa (Wytoczne ideowe)* [w:] *Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” w dokumentach*, t. 1, wrzesień 1945 – czerwiec 1946, Wrocław 1997, s. 116.

kontaktuje się z przedstawicielami ambasad: angielskiej i amerykańskiej. Pomijam kontakty z innymi placówkami dyplomatycznymi, bo one głównie miały na celu sprawy łącznościowe. Na przykład łączność między Delegaturą Zagraniczną a Zarządem Głównym w kraju utrzymywana była za pośrednictwem dyplomatów belgijskich¹⁶.

Przytoczę kilka zdań z memoriału, który został złożony przedstawicielowi ambasady amerykańskiej po pierwszym kontakcie. Jest to resume tej rozmowy. Czym jest WiN? *Jesteśmy przedłużeniem Polski Walczącej z czasów okupacji niemieckiej. Obecny okres jest dla nas w praktyce większą niewolą niż poprzedni. Straty i krzywdy wyrządzone Narodowi Polskiemu przez Sowietów są o wiele większe od krzywd z czasów okupacji niemieckiej. Reprezentujemy przede wszystkim dorobek polskiej Armii Krajowej i innych organizacji niepodległościowych, stojących na gruncie antykomunistycznym, ponadto bazujemy również na polskich stronnictwach politycznych jawnych, jak i tajnych o polskim światopoglądzie – czyli reprezentujemy opinię, poglądy i dążenia około 90% narodu polskiego. Dalej – Kierunki naszej pracy. Zdając sobie sprawę z tego, że na najbliższy okres Sprawa Narodu Polskiego jest przesądzona, że jesteśmy zdani na własne siły i dobrą wolę Sowietów, która w ogóle nie istnieje, główny nacisk położyliśmy na:*

- zbieranie źródłowych informacji o faktycznych zamiarach Rosji w stosunku do Polski,
- informowanie społeczeństwa polskiego o grożących mu niebezpieczeństwach,
- niedopuszczenie do walki zbrojnej i powstania, do czego chcą koniecznie doprowadzić Sowietci.

Jednym słowem, chodzi nam o przeprowadzenie społeczeństwa polskiego przez obecny okres wielkiej próby przy możliwie najmniejszych stratach i ofiarach, które mimo to są ogromne i bardzo dotkliwe w porównaniu z okresem okupacji niemieckiej¹⁷.

¹⁶ Szerzej zob. „Dardanele”. Delegatura WiN-u za granicą (1946–1949), wstęp, dobór tekstów, przypisy S.J. Rostworowski, Wrocław 2000.

¹⁷ IPN BU 944/48, Akta sprawy karnej przeciwko Łukaszowi Cieplińskiemu i in., Memoriał dla dyplomatów USA sygnowany „Opór”, [po 6 IV 1946 r.], k. 457.

Ta funkcja informowania – autor mówi tutaj o informowaniu społeczeństwa polskiego, ale ma to wymiar szerszy – to zbieranie źródłowych informacji o faktycznych zamiarach Rosji w stosunku do Polski, to jest zadanie WiN na arenie międzynarodowej. Stąd kontakty z dyplomatami w kraju, stąd przygotowany wspólnie z politykami z Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej w 1946 roku Memoriał do Rady Bezpieczeństwa ONZ¹⁸ i aktywność międzynarodowa Delegatury Zagranicznej¹⁹. I stąd pogłębiające się, przynajmniej w intencji, działania, które będą kierowane do wolnego świata – a od 1947 roku, już po sfałszowanych wyborach, będzie to główny cel – czyli informowanie opinii publicznej Zachodu i polityków zachodnich o tym, czym jest komunizm. Uczenie ich, czym jest komunizm.

I równocześnie, już w bardzo szczątkowej formie, kształcenie, przygotowywanie kadr na nadchodzący długi okres trwania. Dlatego że WiN miał też informacje z Zachodu (właśnie dzięki Delegaturze), że nie ma w perspektywie wielu lat żadnych szans na walkę zbrojną, na wojnę światową, chyba że wcześniej zaczną ją Sowieci. Ale generalnie, że w planach zachodnich nie ma wojny o wyzwolenie Europy Środkowej. I stąd kierownictwo WiN będzie wypracowywać program długofalowego przygotowania kadr, które przeprowadzą społeczeństwo przez okres okupacji komunistycznej czy choćby zachowają ducha niepodległościowego.

Obok tego w połowie 1947 roku prezes Ciepliński wydaje polecenie przygotowania programu na okres działalności jawnej Zrzeszenia. Zamierzano stworzyć PRON – Polski Ruch Odrodzenia Narodowego. Jego program miał być wypracowany w drodze jak najszerzej dyskusji działaczy, dlatego rozesłano do nich ankietę i wypowiedzieli się oni, jak

¹⁸ Pełny tekst zob. *Memoriał Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych*, oprac. tekstu W. Frazik, T. Łabuszewski, Warszawa 2015. Por. W. Frazik, *Głos, którego nie chciano wysłuchać*, „Rakowiecka 37. Biuletyn Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL” 2020, nr 9, s. 20–25.

¹⁹ Por. J. S. Rostworowski, *Stosunki WiN z placówkami dyplomatycznymi państw suwerennych (jesień 1946 – koniec 1947 r.)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 1995, nr 7, s. 23–40; Idem, *Spór o wymiar aktywności międzynarodowej (z dziejów Delegatury WiN za granicą)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 1997, nr 10, s. 53–66; „Dardanele”..., passim.

widzą przyszły ustrój Polski, jak widzą formy działalności, na co powinniśmy przede wszystkim zwrócić uwagę. Jak powinniśmy się sami, mówiąc krótko, przygotowywać do tego, żeby kiedyś tę niepodległość osiągnąć. Definiowano kwestie ustrojowe, gospodarcze, społeczne itd. W tym działaniu charakter polityczny Zrzeszenia będzie widoczny w czystej postaci, ale był to już moment schyłkowy jego istnienia²⁰.

Dziękuję państwu bardzo za uwagę.

[II część – po przerwie]

Sprawa bardzo istotna przy wszelkich tego typu działaniach, jakie były wtedy podejmowane przez dowódców AK-owskich czy po AK-owskich, i element, który nie może być pomijany, to jest kwestia nastrojów społecznych. I tutaj mógłbym się odwołać do człowieka, który powinien być natchnieniem dla tych, którzy te decyzje w 1945 roku podejmowali, czyli do Józefa Piłsudskiego, który na przykład w memoriałach składanych generał-gubernatorom okupacyjnym w 1916 roku, po akcie 5 listopada, mówił o problemach z tworzeniem wojska. Zawarł tam zdanie o konieczności *liczenia się z nastrojami w narodzie tak nastrojowym, jakim są Polacy*²¹. Wydaje się, że ci, którzy mieli pomysł na stworzenie WiN-u jako organizacji politycznej, w pewnym sensie pominęli ten czynnik. Stworzenie WiN-u było bowiem wynikiem takiego czysto realistycznego podejścia do sytuacji. Wszystkie te elementy, o których mówiłem wcześniej, sprowadzono do stwierdzenia: naród jest wyniszczony, jest tak duża dysproporcja sił, nie mamy możliwości walki z Sowiecami, w związku z tym – tak niemalże to ujęto w rozkazie rozwiązującym Delegaturę Sił Zbrojnych wydanym przez Rzepeckiego

²⁰ Por. Z. Zblewski, *Okręg Krakowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” 1945–1948. Geneza, struktury, działalność*, Kraków 2005, s. 557–558; G. Ostasz, *Okręg...*, s. 243–244; IPN BU 944/62, Akta sprawy karnej przeciwko Łukaszowi Cieplińskiemu i in., Materiał powielony dot. PRON, k. 357–367.

²¹ *List do księcia Zdzisława Lubomirskiego* [w:] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 4, Warszawa 1937, s. 229.

– „w tył, rozejść się”²². Oczywiście, za tym poszły też inne dokumenty czy rozkazy ustne, to jasne – ale nie zaproponowano tym ludziom na dole (nieładnie to może brzmieć) realnej alternatywy. Powiedziano im: nie walczyć dłużej w lesie, wyjdźcie z tego lasu, jeśli możecie i przystąpcie do konstruktywnej pracy. I to, co już właśnie krytykowałem: nie idźcie w objęcia reakcji, nie róbcie tego, co robi NSZ²³. Widziano „trudności wyjścia z lasu”, przymusową niejednokrotnie sytuację leśnych, ale w poufnych materiałach dla terenu ograniczono się do wskazania, by nie rzec – frazesu: *Pouczać, że las nie jest jedynym schronieniem dla „skompromitowanego” niepodległościowca. Wyrabiany obywatelsko i życiowo żołnierz Polski Podziemnej wie, jak pokierować sobą, aby zachować i zużytkować siły dla istotnego pożytku ojczyzny*²⁴. I niektórzy ludzie „z lasu” sami, bez systemowego wsparcia „góry”, szukali wyjścia z sytuacji.

No dobrze, ale jeśli nie możemy z tego lasu wyjść, to co? Nie ma tej propozycji. To znaczy później będzie tą propozycją WiN, który jednak tak naprawdę powtarza te same hasła.

Głos z sali:

– Czy mogła być jakaś propozycja?

Wojciech Frazik:

– Cały czas próbuję odpowiedzieć na pytanie, które mi zadano: Czy próba akcji politycznej w Polsce po II wojnie światowej była skazana na porażkę? Taka próba, którą był WiN.

W istocie problem powojennej konspiracji niepodległościowej to

²² Por. Rozkaz Delegata Sił Zbrojnych na Kraj do żołnierzy Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, 6 VIII 1945 r. [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 6, *Uzupelnienia*, Londyn 1989, s. 484–485 (dokoło nr 1930).

²³ Por. ulotka Delegata Sił Zbrojnych na Kraj z 24 VII 1945 r. *Do Żołnierzy byleż Armii Krajowej!* [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 6..., s. 476–477 (dokoło nr 1926); *Materiały dla terenu*, 31 VII 1945. *Sprawa tzw. Oddziałów Leśnych* [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 6..., s. 477–480 (dokoło nr 1927).

²⁴ *Materiały dla terenu*, 31 VII 1945. *Sprawa tzw. Oddziałów Leśnych* [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 6..., s. 479 (dokoło nr 1927).

jest kwestia nie tylko pewnych kalkulacji polityczno-militarnych, ale to jest również pewna kwestia psychologiczna. Dlatego że zagadnienie istnienia podziemia zbrojnego w Polsce po 1944-1945 roku to jest sprawa odpowiedzi na pytanie, czy żołnierz, który nie czuje się pokonany, który ma świadomość, że cel, dla którego chwycił za broń, nie został osiągnięty, jest w stanie tę broń złożyć i wrócić do domu, mając też świadomość, że w domu, do którego ma wrócić, mogą grozić mu represje. Właściwie, nie to, że mogą mu grozić – to jest pewne, że grożą mu, że spotkają go represje.

I tu znów można by się odwołać do Piłsudskiego. Sądzę, że znaczna większość tych chłopaków, często prostych, nawet niemających podstawowego wykształcenia, ale też często ludzi wykształconych, którzy pozostali w lesie, nie znała słynnego listu Piłsudskiego do Feliksa Perla sprzed akcji pod Bezdunami²⁵. Ale... Mamy kapitalne źródło – pamiętnik Zdzisława Brońskiego „Uskoka”, legendarnego konspiratora, od 1943 roku dowódcy oddziału partyzanckiego na Lubelszczyźnie, w Obwodzie AK Lubartów. W pewnym momencie, w okresie przejścia od DSZ do WiN-u, był on nawet komendantem obwodu, a potem dowódcą wszystkich oddziałów partyzanckich w obwodzie. I u niego innymi słowami jest to sformułowane, ale jest to ta sama myśl, czyli „chcę być człowiekiem”. W takich warunkach, jakie istnieją, tych „wychodkowych”, jak to określał Piłsudski, nie mogę żyć. Nie chcę być bydlęciem, które jest poganiane nahajką, chcę walczyć o swoją godność. Chcę walczyć o wolność.

I jeszcze jeden element, który moim zdaniem powinien być oczywisty, a który też znajdziemy m.in. w pismach Piłsudskiego i który znów – jak sądzę – tym ludziom, którzy decyzje w 1945 roku podejmowali, powinien być bliski. Otóż Piłsudski w 1908 roku opublikował artykuł

²⁵ *List do Feliksa Perla* [w:] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 2, Warszawa 1937, s. 298–300. Pisał Piłsudski: *Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. [...] to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. [...] Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa.*

w „Robotniku” o przygotowywaniu walki czynnej. Pisał tam, że jeśli ktoś zakłada sobie jakieś cele polityczne w Polsce (w zasadzie były to cele wobec Rosji carskiej, ale można to przenieść w czasie), choćby były najskromniejsze i najbardziej się je ograniczy – on tam wskazuje różne rzeczy, od ukazu carskiego do niepodległości – to musi zakładać, że siłę rosyjskiej przeciwstawi własną siłę fizyczną i jest gotów na walkę zbrojną²⁶. I wydaje się, że to jest coś, o czym zapominać też nie można, bo nawet jeśli ci ludzie nie czytali pism Piłsudskiego, to intuicyjnie czuli, że Rosja rozumie tylko język siły. Ten czynnik jest uchwytany nawet dość wcześnie. Owszem, zdajemy sobie sprawę, że teraz nie walczymy jeszcze wszystkimi siłami z potęgą sowiecką, ale nie demobilizujemy się. Trwamy, czekamy, zachowujemy struktury i kadry, ale poza wszystkim istnieje obawa, że możemy się spóźnić. Trzeba być gotowym na ten właściwy moment. A poza tym nie mamy też możliwości innej.

I tutaj ci, którzy WiN-em kierowali, i także ci, którzy stali te apele z emigracji o rozwiązanie organizacji krajowej, dostrzegali niby, że rzeczywiście jest tak, że ludzie, którzy są w lesie, są zmuszeni do tego polityką komunistyczną, sowieckimi działaniami itd. Ale... Ale najlepiej jakby jednak wyszli z tego lasu, porzucili tę działalność zbrojną. Jak się patrzy na materiały informacyjne i propagandowe Obszaru Południowego WiN, czyli tego, w którym realizowano w formie niemalże czystej wizję WiN-u jako organizacji politycznej, tam mamy zawsze podkreślane, że ci, którzy są w lesie, są prowokatorami. Że oddziały leśne są wynikiem prowokacji komunistycznej. I to jest jednoznacznie stwierdzane i nieustannie powtarzane. Tak jakby nie było Obszaru Centralnego, który ma oddziały zbrojne i wiemy, że one są nasze i w znacznej mierze jednak je kontrolujemy.

W prasie Oddziału Centralnego – w materiałach, które znam słabiej, ale mogę tak powiedzieć – nie ma tego elementu. To znaczy, tam nie mówi się, że ci, którzy są w lesie, to są prowokatorzy, to przecież byłoby przeciwnie. Natomiast jak gdyby wycisza się sprawę walki zbroj-

²⁶ *Jak mamy się gotować do walki zbrojnej?* [w:] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 2, Warszawa 1937, s. 292–298.

nej. Góra, która kieruje propagandą, raczej chciałaby, żeby oddziałów leśnych nie było. W najważniejszym organie Obszaru Centralnego, piśmie „Honor i Ojczyzna” w maju 1946 roku ukazał się programowy wstępniak firmowany „Wolność i Niezawisłość”, czyli oficjalne stanowisko organizacji²⁷. Główne jego hasła, i taki też jest ton propagandy w Obszarze Centralnym, to: nie jesteśmy bandytami, nie jesteśmy reakcją. Czyli jest to raczej odpowiedź na propagandę komunistyczną, o której już mówiłem. I na to się kładzie nacisk na szczeblu kierownictwa Obszaru i również w terenie się na to kładzie nacisk. Nie jesteśmy bandytami, nie jesteśmy reakcjonistami, my też chcemy reform społecznych, tylko zupełnie inaczej realizowanych. Przede wszystkim chcemy niepodległości, a po drodze chcemy wolności obywatelskich i wolnych wyborów. I chcemy to osiągnąć na drodze walki politycznej. Streszczam, żeby nie zamęczać państwa cytatami.

A teraz wracam do pamiętnika „Uskoka”. On te problemy bardzo króciutko opisuje. W ogóle bardzo mało pisze o przełożonych. To jest też bardzo charakterystyczne. W kilku tylko miejscach pojawia się jego ocena własnej organizacji, czyli tego planu ogólnego, w którym on działa. Dużo pisze ogólnie o sprawach politycznych, ale nie o własnej organizacji. Parę razy się to pojawia, ale w jakim kontekście? Moment powstania DSZ-u i później: *W maju [19]45 r. poinformowano mnie, że władze AK kompletują się, by kontynuować pracę niepodległościową. Przyjąłem to z wielkim zadowoleniem wiedząc, że lepiej pracuje się w ramach organizacyjnych. Tak myślałem, ale... Ale władze te do kresu swego istnienia nie były w stanie wnieść coś nowego w naszą pracę.* I dalej w tym duchu. Jednym zdaniem: góra nie miała pomysłu, co trzeba robić, my na dole nie mamy wątpliwości, my musimy walczyć²⁸.

²⁷ „Honor i Ojczyzna” 1946, nr 5, s. 1. O kwestii walki zbrojnej pisano: *Nie kierowaliśmy nigdy naszej broni przeciwko braciom. Nie uderzaliśmy nigdy w interesy polskie. Nasza dywersja, sabotaż, nasze kule godziły jedynie w zewnętrznych wrogów Państwa i Narodu. Przeznaczone były dla najeźdźcy. Dla każdego najeźdźcy.*

²⁸ Z. Broński „Uskok”, *Pamiętnik (wrzesień 1939 – maj 1949)*, wstęp, red. nauk. i oprac. dokumentów S. Poleszak, edycja tekstu A. Filipek, S. Poleszak, M. Sobieraj, wyd. 2 rozszerz. i popr., Lublin–Warszawa 2015, s. 153–154.

Jak pisze dalej, obejmując kolejne funkcje kierownicze w DSZ i w Zrzeszeniu: *ściśle kontrolowanie działalności poszczególnych oddziałów, było jednak niemożliwe*²⁹. Czyli to, że mamy jednak pewnego rodzaju strukturę, która ma kierownictwo, i to kierownictwo ma program taki – powiedziałbym – mocno wyrozumowany, to nie znaczy, że to się przekłada na całą organizację.

Pojawia się też w jego zapiskach to, o czym już przed chwilą mówiłem, czyli kontrpropaganda. Jest to rodzaj odpowiedzi na artykuły w prasie komunistycznej. Oddziały leśne to samoobrona prześladowanych ludzi, którzy innej drogi nie mają, by bronić swojego życia. Ten element będzie się w propagandzie konspiracyjnej bardzo często pojawiał. Oddziały zbrojne to samoobrona. Walka bratobójcza jest nam narzucona. Chcemy reform, ale przede wszystkim chcemy niepodległości³⁰.

I coś, co też znajdziemy u Piłsudskiego w innej formie: *ludzie używają różnych argumentów, które mają skłonić nas, leśnych, do tzw. normalnego życia*. To jest akurat fragment tekstu bardzo uszkodzony, więc trudno precyzyjnie myśl zrekonstruować lub zacytować, ale istota jest jasna. „Uskok” pisze, że jego przeznaczeniem jest walka ze złem komunizmu, *warto poświęcić wszystkie siły do walki z nim*³¹. Czyli jest wartość wyższa, niż to moje „normalne” życie. Opisuje, że go przekonują, żeby się ożenił, wspomina narzeczoną itd., ale mówi: nie. Przede wszystkim bronimy pewnych wartości, które sprawiają, że jesteśmy ludźmi.

Potem krótko pisze też o tym, że pojawił się Mikołajczyk i że mamy teraz jakby przyczynić się do tego, żeby realizować to obłudne hasło wolnych i nieskrępowanych wyborów. Dla niego od początku jest to rzecz bardzo daleka i abstrakcyjna. Nie wierzy, że one takie będą. Ale w tym kontekście mamy kolejny element bardzo istotny dla istnienia WiN-u na arenie politycznej: WiN ma być tą siłą, która w pewnym sensie jest falochronem także dla PSL-u. Główny atak komunistów

²⁹ *Ibidem*, s. 155–156.

³⁰ *Ibidem*, s. 158–159.

³¹ *Ibidem*, s. 159–160.

i bezpieki idzie w kierunku podziemia, idzie w kierunku WiN-u, i WiN w pewnym sensie zabezpiecza istnienie PSL-u. Potem będzie to bardzo sprawnie wykorzystane przez komunistów, przede wszystkim w procesie II Zarządu Głównego, który będzie wspólnym procesem z PSL-owcami. To będzie proces WiN-u i PSL-u. Próba pokazania, że to jest naprawdę jedno i to samo, tylko jedni byli w mieście, a drudzy byli w lesie. Nawet nie na wsi, tylko w mieście. Istniało przecież takie propagandowe hasło o chłopach z Marszałkowskiej³².

Kolejny opisywany przez Brońskiego problem, to kwestia ujawnienia, kolejnych dwóch ujawnień. Najpierw amnestia i ujawnienie w 1945 roku. „Uskok” streszcza rozmowę z PSL-owcem. Ludowicz wyraża pogląd, że istnienie zbrojnego podziemia sprawia, iż komuniści nie mogą wszystkiego, muszą się jednak zatrzymać na pewnym etapie, inaczej już byśmy mieli w Polsce kołchozy, już byśmy mieli znacznie ostrzejsze represje. *Pamiętajcie, że jesteście bardzo poważnym hamulcem dla maszynierii komunistycznej. Gdyby nie partyzantka, komuniści nie pozwoliliby rozwijać się PSL w terenie. [...] ujawniając się, oddałby pan wielką przysługę komunistom, a wyrządził krzywdę społeczeństwu i sobie*³³. Takie opinie utwierdzały Brońskiego w jego postawie. Amnestia i akcja „Radosława” – jak stwierdza „Uskok” – *wprowadziły zamęt w terenie. Partyzanci nieujawniający się pozostali bez kierownictwa i bez kierunku. Rozszerzała się samowola, partyzantka zaczęła schodzić na dzikie drogi*³⁴. Broński widzi tutaj swoją rolę właśnie jako organizatora terenu – wtedy był komendantem obwodu i komendantem wszystkich oddziałów partyzanckich. Opisuje swoją rolę jako tego, który bierze w karby ludzi będących w terenie. Czyli to, że istniejemy jako organizacja w postaci zbrojnej powoduje, że wprowadzamy porządek. Wprowadzamy porządek w stosunku do własnych członków, którzy zaczęli schodzić na manowce, i z drugiej

³² Zob. np. F. Musiał, *Między prawdą a propagandą. Przebieg procesu krakowskiego na sali sądowej i w propagandzie komunistycznej (11 VIII – 10 IX 1947 r.)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 18, s. 163–210.

³³ Z. Broński „Uskok”, *Pamiętnik...*, s. 162–163.

³⁴ *Ibidem*, s. 165.

strony dyscyplinujemy tych, którzy – można powiedzieć – byli regularnymi bandytami, i nawet niektórych z nich bierzemy pod swoje skrzydła, bo tak naprawdę to nie są źli ludzie, tylko trzeba ich wychować. Opisuje taką swoją rolę również³⁵.

Ale, właśnie, DSZ zmieniło się w WiN, czyli ma być działalność polityczna. Dla niego to jest robota papierkowa, zupełnie niepotrzebna. Prasa, która miała niby ludzi uświadamiać, ale nie przynosiła im nic sensownego. W której pisano, że mieli się nie dać skomunizować i trwać. Ale oni sami to lepiej wiedzieli. Czyli można powiedzieć, że ta prasa, ten kierunek propagandy, te zadania, które sobie góra wyznaczyła, nie trafiały do ludzi. Bo oni sobie myśleli: przecież my to wszystko wiemy, po co wy nam to wszystko mówicie. Prasa tylko stanowi zagrożenie, bo kolportaż wiąże się z wpadkami. To też jest u Brońskiego wprost napisane³⁶.

Na przełomie 1945-1946 roku następują aresztowania w kierownictwie Obszaru Centralnego oraz Okręgu Lubelskiego i „Uskok” wspomina: *Kontakty się porwały, każdy począł pracować na własnym podwórku*³⁷. Po raz kolejny góra organizacyjna pojawia się u niego dopiero w okresie amnestii 1947 roku, i tu, powiedziałbym, jego ocena jest już druzgocąca. W jego pojęciu ludzie kierujący organizacją ją po prostu zdradzili. Nie mówię, czy ta ocena jest słuszna czy nie, tylko jak widzi to człowiek, który jest na dole. Nietuzinkowy. W jego pojęciu oni zdradzili. Dogadali się z bezpieką, załatwili sobie bezpieczne wyjście z podziemia, a gdzie jest pamięć o tych ludziach, którzy złożyli daninę krwi. I pojawia się taka refleksja: *Słusznie, że na najbliższą przyszłość nie możemy spodziewać się wielkich osiągnięć w swojej walce i musimy postępować bardzo oględnie, ale gdzie jest wróg – tam walka być musi*³⁸. I to jest, można tak powiedzieć, konkluzja prostego człowieka. I dalej, w innym miejscu: *Jeśli walczymy i ponosimy ofiary, to dlatego, że chcemy właśnie żyć. Ale żyć jako ludzie wolni, w wolnej Ojczyźnie. Człowiek idei*

³⁵ *Ibidem*, s. 165–167.

³⁶ *Ibidem*, s. 179.

³⁷ *Ibidem*, s. 184.

³⁸ *Ibidem*, s. 224–225.

*życiem pogardza*³⁹.

Myślę, że cytaty są tak jednoznaczne, że nie trzeba ich komentować. I kiedy amnestia przeszła, znów pojawia się u niego refleksja bardzo – wydaje mi się – istotna. Mianowicie Broński widzi, że walka tak naprawdę się skończyła, w terenie pozostała już garstka ludzi, tych najbardziej zdeterminowanych, ale ta walka, która była, te ofiary, to był wkład oddziałów leśnych w dzieło wyzwolenia. Teraz celu nie osiągnęliśmy, ale to był nasz wkład w niepodległość. I trzeba zrobić wszystko, żeby nie zaprzepaścili tego tacy ludzie, jak komendant okręgu, który doprowadził do ujawnienia. Pisze to wprost, z personaliami⁴⁰. Bardzo ostra ocena, ale również próba pokazania sensu istnienia tych, którzy dalej w lesie pozostali po marcu i kwietniu 1947 roku.

Niemniej jednak oni się wykruszają, giną, „Uskok” ciągle trwa i rok później refleksja jest już taka: Ludzie dostosowują się do sytuacji, coraz częściej się od nas odwracają, spotyka nas nie wrogość, ale strach. Nieważne gdzie się pojawiamy, spotykamy się ze strachem ludzi, którzy boją się represji. Odzywa się konformizm – *bo przecież trzeba żyć. My, garstka straceńców – jak nas nazywają – stajemy się oazą wiary i woli zwycięstwa na pustyni zwątpienia i beznadziejności*. Ale teraz niestety *trzeba się ograniczać do samej tylko kwestii przetrwania*. Działalność już nie ma wymiaru, rzekłbym, realnego. Broński pisze o braku *korzyści społecznej*, bo już nie jesteśmy w stanie likwidować szpicli, nie jesteśmy w stanie likwidować złodziei, nie pełnimy już funkcji porządkowej. Jesteśmy już tylko w pewnym sensie symbolem. Ale dlatego trwamy⁴¹.

No i ostatni akapit, jaki został zapisany w tym *Pamiętniku* – rozpoczyna się od słów: *Polska tonie w czerwonej powodzi...*⁴². Niestety, trzy tygodnie później „Uskok” ginie. Jak mówiłem, jest to źródło kapitalne, żeby zrozumieć tych ludzi, którzy nie przyjęli formuły politycznej stojącej u początków WiN-u. Ten pamiętnik, te cytaty pokazują, że na pytanie postawione na wstępie trzeba by odpowiedzieć, że ta próba

³⁹ *Ibidem*, s. 233.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 240.

⁴¹ *Ibidem*, s. 265.

⁴² *Ibidem*, s. 314.

akcji politycznej w Polsce była skazana na porażkę. Dlatego że dowódcy rozminęli się z nastrojami społecznymi, nastawieniem swoich podwładnych. Wydaje się, że przynajmniej dużej części tych najbardziej zdeterminowanych i gotowych działać swoich podwładnych⁴³. Twórcy WiN-u przyjęli założenia i program, który był niewykonalny. Jak to ujmując: „w tył, rozejść się”. Powiedzieli armii: w tył, rozejść się, teraz robimy co innego, przechodzimy do innej piaskownicy, bawimy się innymi zabawkami. Nie było to możliwe, co starałem się wykazać wyżej: ze względu na bazującą na terrorze politykę komunistów i postawy konspiratorów. Można zaryzykować stwierdzenie, że ten brak akceptacji dla politycznego modelu konspiracji narastał w czasie, mamy świadectwa tego w dokumentach najbardziej „cywilnego” Obszaru Południowego czy nawet IV Zarządu Głównego z 1947 roku – niedobitki, które jeszcze działalność w WiN kontynuują, stwierdzają: Ludzie by chcieli jakiejś konkretnej roboty. Postrzelać, a nie, że my chodzimy i opowiadamy ludziom, że komunizm jest zły. Albo piszemy raporty czy referaty. To nie ma sensu. Dla tego nie warto narażać życia⁴⁴. Jak narażać życie, to strzelać do wroga, prawda?

Ale to przestawienie się na działalność polityczną nie było możliwe również dlatego, że – można powiedzieć – druga strona nie dała się na to nabrać. To znaczy ani komuniści, tzw. polscy, ani służby sowieckie, nie dali się nabrać na to, że ci ludzie, którzy wcześniej walczyli o niepodległość i gotowi by byli o nią walczyć zbrojnie, nagle teraz powiedzieli: będziemy lojalnymi obywatelami w Polsce zaprojektowanej przez Stalina, zmieścimy się w wyznaczonych ramach walki

⁴³ Zwracał na to uwagę Wincenty Kwieciński „I-1” we wnioskach raportu informacyjnego z 15 VIII 1945 r. *Nastroje panujące głównie w województwach wschodnich, ale również i na terenie innych dzielnic Polski – nakazują Kierownictwu Ruchu Podziemnego przykładać dużą wagę nie tylko do wymagań „polityki”, ale przede wszystkim liczyć się z uczuciami i wolą większości społeczeństwa widzącego w oddziałach AK ostatnią nadzieję zwycięstwa w walce o Polskę wolną od każdego okupanta.* IPN BU 944/119, Akta sprawy karnej przeciwko Janowi Rzepeckiemu i in., Raport nr 18 Obszaru Centralnego DSZ, 15 VIII 1945 r., k. 110.

⁴⁴ Por. Z. Zblewski, *Okręg...*, s. 512–513; IPN BU 0259/39, t. 4, Akta kontrolno-śledcze sprawy przeciwko Łukaszowi Cieplińskiemu i in., Zeznania własne Stefana Sieńki. Pewne szczegóły z rozmowy z „Psarskim” na temat kierunku pracy w przyszłości, [b.d.], k. 22–24.

politycznej i kochamy Związek Sowiecki, tak jak to było początkowo w enuncjacjach WiN-u⁴⁵ (potem pojawił się taki wątek: kochamy go, ale jak powróci do granic z 1939 roku). Działalność polityczna zakłada kompromis, a jak wspominałem na początku, Stalin miał taką przewagę, że nie widział konieczności zawierania kompromisu z jakimkolwiek partnerem po stronie polskiej. Jego celem była kapitulacja Polaków, ci, którzy się na nią nie godzili, mieli zostać unieszkodliwieni.

Na marginesie można dodać, że także trzecia strona, którą założyciele WiN-u uwzględniali w swoich kalkulacjach i którą chcieli przekonać do siebie przyjęciem zrozumiałej dla Zachodu formy oporu, „nie kupiła” modelu cywilnego. Od pierwszej chwili Anglosasi widzieli w WiN-ie przede wszystkim źródło informacji wywiadowczych o charakterze wojskowym.

Powstanie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” jako organizacji politycznej było wynikiem do maksimum posuniętego realizmu jego założycieli. Ale – jak wiele razy w historii – polityka realna w warunkach roku 1945 okazała się tak naprawdę nierealistyczna.

Co było realistyczne? Nie wiem, podyskutujmy.

⁴⁵ Por. *Nasz stosunek do ZSRR i sojuszu z nim. Wytoczne inspiracji*, oprac. A. Sudlitz, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 1997, nr 10, s. 177–184.

DYSKUSJA

Mirosław Lewandowski (moderator dyskusji):

– Czy da się przeprowadzić taki podział, że – przynajmniej na początku, czyli w 1945 roku i na początku 1946 roku – ci z AK, to było Zrzeszenie WiN, a ci w lesie, którzy potem zostali nazwani „żołnierzami wyklętymi” to był NSZ? Wiem, że WiN z czasem przeszedł na pozycję walki zbrojnej, ale chodzi mi o sam początek. Wydaje mi się, że w referacie Wojtka Frazika taka teza w pewnym momencie padła – NSZ wykorzystał koniunkturę, zaapelował do akowców, którzy zostali pozbawieni propozycji po rozwiązaniu AK i próbował podjąć walkę zbrojną. Czy taki podział był uzasadniony?

Wojciech Frazik:

– Od razu można powiedzieć krótko, że nie, że to nie tak wyglądało. To były kwestie terytorialne, tzn. sytuacja kształtowała się w zależności od tego, z jakim dawnym okręgiem akowskim mieliśmy do czynienia.

Realnie możemy mówić o strukturach i działalności organizacyjnej w granicach pojałtańskich, aczkolwiek pewne struktury sięgały na Grodzieńszczyznę (był to pewien ewenement – to było jedyne takie wyjście poza granice jałtańskie).

Idąc od wschodu – Okręg Białostocki w roku 1944 wykonał „Burzę” w ograniczonym zakresie. Struktury sztabowe, dowódcze i dół przetrwały ten okres, kiedy w Polsce lubelskiej stacjonował milion czy może więcej żołnierzy Armii Czerwonej, która czekała na wznowienie ofensywy.

W Lublinie mamy nieco inną sytuację, dlatego że komendant Okręgu Lubelskiego został aresztowany i częściowo struktury niższego szczebla były rozbite. Tam „Burza” została wykonana, można powiedzieć, w takiej formule wzorcowej, czyli że akowcy rozpoczęli walkę z Niemcami przed Sowietami, wystąpili w roli gospodarza – jako władze pol-

skie, przez parę dni istniał pewien rodzaj dwuwładzy, a potem komendantury sowieckie powiedziały: „Uznajemy tylko PKWN-owców” i ci ludzie trafili w najlepszym wypadku w głąb Związku Sowieckiego, czasem byli zabijani. O tym już rozmawialiśmy.

W Podokręgu Rzeszowskim „Burza” też została wykonana, nie w całym, bo nie cały został objęty przejściem frontu. Skończyło się to na przełomie lat 1944/1945 aresztowaniem komendy okręgu (tam była próba ujawnienia, która do pewnego momentu była tolerowana, a potem to zostało przez komunistów przerwane).

Okręg Krakowski AK został kompletnie rozbity wiosną 1945 roku przez służby sowieckie. Oni mieli agenturę w kluczowych punktach, mamy nawet sprawozdania tych agentów, którzy opisują na przykład przejście kancelarii inspektoratu krakowskiego ze wszystkimi personaliami. Inne mechanizmy powodują, że ten okręg praktycznie przestał istnieć jako struktura dowodzona wiosną 1945 roku i stąd Delegatura Sił Zbrojnych, a potem WiN był budowany od nowa. WiN, Okręg Krakowski, też tam praktycznie powstawał od nowa po rozbiciu DSZ-u, który tu akurat bazował na ludziach z NSZ. Narodowcy tam weszli, nie ujawniając się, to jest ten styk – niestety – WIN-u i NSZ-etu, jedna z nici, po której komuniści doszli do I Zarządu Głównego.

Okręg Katowicki (czy Śląski) poszedł z kolei na akcję „Radosława”. Miał on swoją specyfikę. Tam nie było żadnych działań zbrojnych już po 1945 roku, potem poszli na akcję „Radosława” i praktycznie też przestał istnieć jako struktura akowska.

Obszar Warszawski został zupełnie zdeorganizowany powstaniem, bo Obszar Warszawski to był przede wszystkim Okręg, czyli miasto Warszawa. Obszar, niestety, był źle dowodzony – są bardzo krytyczne słowa historyków czy samych ludzi wywodzących się z AK, badających te sprawy. Komendant Obszaru w pewnym momencie podjął decyzję o ujawnieniu, ludzie poszli do LWP. Była to jedna z dróg ratowania ludzi, ale spowodowała, że nie było tam struktur.

Obszar Zachodni z Okręgami Poznańskim, Pomorskim, Gdańskim (to się tam zmieniało) najpóźniej został objęty przez Sowieców i ich służby, bo dopiero w okresie marzec–kwiecień oraz początek maja

1945 roku. On najlepiej przetrwał jako struktura. Ale tam z kolei mieliśmy do czynienia z sytuacją paradoksalną, bo tam – w Okręgu Poznańskim – utrzymano strukturę stricte wojskową. Pułkownik Rzewuski nie uznał rozkazu o rozwiązaniu AK i pozostawił Okręg Poznański w postaci Wielkopolskiej Samodzielnej Grupy Ochotniczej „Warta” i nie chciał jej podporządkować ani DSZ, ani WiN. Równolegle do niego Szczurek-Cergowski budował swoją strukturę i tam mieliśmy mocne tarcia aż do końca istnienia, aż do jesieni 1945 roku (póki obaj nie zostali aresztowani).

Jak to się ma do narodowców? Narodowcy weszli w próżnię, czyli zwłaszcza w Obszar Warszawski, Mazowsze i częściowo na Podlasiu – tam były najsilniejsze te struktury, które mogły w jakimś stopniu być konkurentem dla Armii Krajowej, która nie miała tam swoich struktur, a miał swoje struktury NSZ. Tam była próba zbudowania podziemia narodowego, takiego rzeczywiście centralnie kierowanego.

Jesienią 1945 roku problem NSZ jako organizacji ogólnopolskiej znika, bo organizacja ta zostaje rozbita. Zostają albo struktury niższego szczebla, albo struktury prowokacyjne (to, co doprowadzi później do likwidacji zgrupowania „Bartka”). Na przełomie października i listopada 1945 roku następuje rozbitcie Komendy Głównej NSZ i to, co istnieje jako NSZ, istnieje już w bardzo ograniczonym zakresie.

Narodowy Związek Wojskowy, który pod innymi nazwami też występuje (dawna NOW), zdecydowanie nie był konkurentem dla akowców. To były tylko struktury terenowe. Nigdy to nie była mocna struktura w sensie ogólnopolskim, która mogłaby zagrozić konspiracji poakowskiej. A w kwietniu 1946 roku nastąpiło ostateczne rozbitcie Komendy Głównej NZW i znów mamy tylko ludzi w terenie. Oczywiście mamy (i to jest udokumentowane i opisane) zatargi, przede wszystkim właśnie na Mazowszu i na Podlasiu. Przychodzili narodowcy i stawiali pod ścianę dawnego komendanta obwodu AK i mówili mu: „Wydadz nam swoich ludzi, wydadz nam broń, bo jesteś zdrajcą! Możesz się ewentualnie do nas przyłączyć, ale ty reprezentujesz tych, którzy idą na ugodę. My tak postrzegamy tych, którzy się chcieli włączyć w walkę polityczną. To są zdrajcy!”. To było oczywiście skrajne podejście.

To, o czym Rzepecki pisał parokrotnie, i wiosną 1945 roku, i jeszcze potem latem, a nawet jesienią, było – wydaje mi się – w dużej mierze przesadzone. Absolutnie nie mamy czegoś takiego, że ci, co w lesie, to jest NSZ czy narodowcy (obojętnie, bo tych nurtów też tam było parę), a ci, co chcą prowadzić walkę polityczną, to są akowcy. Nie, nie było absolutnie czegoś takiego.

Cały czas w terenie istniały bardzo silne struktury akowskie i po-akowskie. One czasem były w oderwaniu od kierownictwa głównego, bo przez jakiś czas na przykład Białystok nie miał tej łączności, Lublin nie miał tej łączności. Ale pewien kierunek ogólny był wytyczony i był ten sam. I oni tam trwali, istnieli i nawet, można powiedzieć, nie przyjmowali do wiadomości tego, że się zmieniają nazwy tych organizacji. Ludzie na dole – mamy pełno takich przekazów – wstąpili do AK. Był jakiś cel wytyczony, jakiś cel został osiągnięty. A ludzie mówili: „My dalej walczymy w AK”. To był element dosyć istotny, o którym też tutaj wspominałem, na który zwracał uwagę Rzepecki. Chodziło o to, żeby ochronić ideę AK, jako coś pięknego, nieskazitelnego, coś, co istniało w czasie wojny i żeby na to już nie powoływać się po wojnie. Żeby nikt się na to nie powoływał po wojnie, że to dalej istnieje, bo zdawali sobie sprawę z tego, że w warunkach, które powstały po wojnie, nie ma już takiej spójności organizacyjnej, jaka była wcześniej. Ale ludzie dalej się uważali za AK i zaczęli prowadzić własną politykę pod tą samą firmą. W tym sensie decyzja o zmianie szyldu, nawet patrząc długofalowo, była słuszna. Po to właśnie, aby po latach (nie wiem – 30, 40) ludzie mieli się do czego odwołać. Był Testament Polski Walczącej, który był testamentem cywilnym, ale to był dokument, pod którym AK się podpisywała i w opracowaniu którego Rzepecki brał udział (nie na tym ostatnim etapie redakcyjnym, ale w wypracowaniu koncepcji brał udział i to akceptował).

Kiedyś wydałem dokumenty z archiwum Jerzego Brauna, ostatniego przewodniczącego Rady Jedności Narodowej. One bardzo dobrze pokazują, jak ci ludzie wtedy myśleli, jakie przesłanki nimi kierowały, jaką mieli wiedzę i jakie mieli też nadzieje. Bo to może tu nie padło, ale jest oczywiste, że wszyscy, i politycy, i ci, którzy stali się polityka-

mi czy chcieli się stać, zdawali sobie sprawę, że nie ma gwarancji, że ich pomysł jest dobry, że im to gwarantuje jakieś przetrwanie, bezpieczeństwo. Wręcz przeciwnie. Oni wszyscy uważali, że szanse są nikłe. Ogromne ryzyko, ale nie ma innego wyjścia.

W przerwie dyskutowaliśmy i odwoływałem się do starożytnego pojęcia tragedii. Po prostu są sytuacje, w których nie możemy jednoznacznie rozdzielić racji pomiędzy aktorów i nie możemy powiedzieć, że jest jakieś dobre rozwiązanie. Jakies rozwiązanie w życiu trzeba przyjmując, bo trzeba podjąć jakieś ryzyko, bo jedną ścieżkę mamy zamkniętą, drugą ścieżkę mamy zamkniętą, kolejną ścieżkę mamy zamkniętą... Więc pójdziemy tą, która – wydaje nam się – stwarza jakieś szanse i może pozwoli uratować więcej ludzi.

Ten motyw ratowania ludzi stale się przewija. On się przewija przed powstaniem WiN-u, po powstaniu WiN-u i on się pojawia nawet, rzekłbym, po jego rozbiciu. Kierujący strukturami, łącznie z trzema prezesami Zarządu Głównego WiN, właśnie w imię ratowania podwładnych (oczywiście później było to bardziej oszukańcze ze strony bezpieczeństwa) za każdym razem zawierali pewien układ i ten układ nie był dotrzymywany przez bezpieczeńkę. Oczywiście możemy powiedzieć, że na przykład Rzepecki nie walczył o ludzi, ale walczyła Malessa, czyli walczyli ludzie z niższych komórek, którzy je ujawnili przed władzami bezpieczeństwa. Pewni ludzie, których ujawnił Rzepecki, nie byli nigdy represjonowani (czasem można mieć wątpliwości, czy to była czysta sytuacja, ale to już jest inna historia).

Był więc ten element odpowiedzialności za podwładnych i można by się zastanawiać, czy gdyby ci ludzie rzeczywiście zgodnie z pierwotną koncepcją przyjęli formułę walki politycznej, działalności politycznej, gdyby wyszli z lasu, to czy nie byłoby mniej ofiar? Nie mówię, że mniej osób represjonowanych, bo o tym już mówiliśmy, ale może ci ludzie poszliby na przykład do więzienia na 10 lat, a nie dostaliby kary śmierci? Nie byłoby pewnych zarzutów, które można by im postawić, pod którymi fizycznie tych ludzi wyeliminowano. Ale to jest oczywiście gdybanie. Po to przedstawiłem wizję „Uskoka”, żeby pokazać, że ci ludzie nie byli skłonni myśleć: „Dobra, wracam do domu, może mnie

wywiozą na Syberię, ale może z tej Syberii kiedyś wrócę”. Nie. Oni myśleli inaczej: „Mam broń, to walczę. Bo jestem człowiekiem” – mówiąc tak najprościej.

Bohdan Urbankowski:

– Prelegent postawił przed nami bardzo wysoko poprzeczkę, więc myślę, że nasze refleksje i pytania się pomieszają, zwłaszcza że w tej sytuacji jesteśmy właściwie uczniami. Uzyskujemy pewną wiedzę, której wcześniej nie mieliśmy, ale myślę, że mamy prawo nabrać jednoznaczności, aczkolwiek rozumiem, że – przed chwilą się upewniłem – prelegent pochodzi z Krakowa, gdzie słynie się właśnie z pewnej elegancji, pewnego pójścia na efekt.

Otóż z tego, co usłyszeliśmy wynika, że w żywiole polskiej polityki nie było dwóch, a były właściwie trzy nurty. Przez dwa rozumiemy pozytywizm i romantyzm, no to wiadomo. No i trzeci nurt – to kolaboranci. Jak tutaj ustawić WiN? Bo z tego wynika, że pozytywizm to był albo wstydlivy romantyzm, albo wstydlivy kolaboracjonizm. I tu jest pytanie o tożsamość WiN-u, zwłaszcza że ci, którzy walczą, to nie jest tak, że to są NSZ-owcy, bo główne siły NSZ już sobie poszły. Zlały z drzew i polazły do Czech. I to jest choćby Brygada Świętokrzyska. W terenie zostali jedynie, bo tam były jakieś struktury (chłopcy chcieli walczyć), nad Bzurą na przykład cała nieomal republika.

Chodzi mi o to, że „Warszyc”, „Łupaszka”, „Zapora” – to wszystko byli dawni żołnierze AK. I to były jedyne siły, które na prawdę się liczyły. W zasadzie nie można mówić o jakimś dużym podziemiu NSZ-owskim. Jest to tylko w warstwie, jak to się mówi wirtualnej, propagandowej, zastąpienie AK przez NSZ (przy czym tę propagandę głównie sami NSZ-owcy rozsiewają). Natomiast pytanie właśnie do prelegenta, jak to ma się w przełożeniu na liczby?

Druga sprawa. Tutaj pada bardzo głęboki cień historii. Bo na początku słyszeliśmy o nieomal genetycznej nienawiści Rosjan do Polaków, która jest po prostu wpisana w ich historię, ale można to cofnąć. No właśnie – to jest moje pytanie – jak daleko to cofnąć? Podział Cesarstwa Rzymskiego na Wschodnie i Zachodnie, Bizancjum i kultu-

ra łacińska, potem walka o dominację w tej części Europy, księstwo Moskiewskie, no *de facto* tatarskie jeśli chodzi o struktury polityczne, ale już zsyntetyzowane z prawosławiem, jeśli chodzi o pewien nurt tradycji. I w tym momencie my tworzymy tu *de facto* imperium, bo wchodzi w to częściowo Białorusini, Litwini (to wszystko jest nazywane Wielkie Księstwo), jest też Ukraina. Dopóki to imperium istnieje, to sobie dajemy radę. O co tu chodzi? No po prostu o brutalną siłę. Parę razy padało tu nazwisko Piłsudskiego. On sobie zdawał sprawę, nawet w liście do Becka o tym wspominał, że konieczna jest brutalna siła fizyczna. Tylko że jeżeli nie mamy tej siły, to trzeba jej szukać.

Początkowo piłsudscy stawiają na terroryzm, bo terroryzm jest modny w całej Europie. Jest skuteczny, bo urzędnicy państwowi boją się terrorystów, bo ci ich normalnie zabijają, a nikt nie lubi być zabijany. Piłsudski *de facto* wstrzymuje ataki terrorystyczne, napady na pociągi, próbuje budować nową strukturę w oparciu już nie na wykształconych robotnikach, tylko na młodych gniewnych i to jest wyraźna zmiana pokoleniowa w myśleniu piłsudczykowskim. Ale jednocześnie czeka na okazję. To nie jest też tak, że on występuje ze swoimi Strzelcami w 1910, 1911 czy w 1912 roku.

Jest rok 1919, jeszcze „czerwoni” walczą z „białymi” i Piłsudski też czeka na okazję. Niby jesteśmy tam gdzieś w stanie wojny z Rosją, ale tak naprawdę nie bardzo wiemy, z którą i dlaczego. Dobrze, że oni się naparzają. Im dłużej będą się wykrwawiać, tym mamy większe szanse. Inaczej mówiąc, nie jesteśmy obiektywnie wielką siłą, ale jeśli przeciwna siła podzieli się na dwie części, to na zasadzie takiego rachunku względności stajemy się silniejsi.

Potem Piłsudski stara się stworzyć jakiś blok, bo zdaje sobie sprawę, że Polska jako państwo – jak mówi – to jest najmniejsza Polska, jaka może się ostać. Nie wiem, na ile to była prawda, historia nas przekonała, że chyba sam Piłsudski nie był o tym przekonany. Najpierw próbuje stworzyć blok międzymorza. Litwa wskazuje, że próbuje on odbudować tradycje jagiellońskie. Potem próbuje iść dalej z Węgrami... Jego wizyty w Rumunii, jakieś nawiązania, sympatie z Włochami... Tu też chodziło o szukanie siły – nie mamy własnej,

pożyczmy tę siłę od sąsiadów. Ale to było możliwe jedynie w *Róży Żeromskiego*, a nie w rzeczywistości.

I sprawa ostatnia. Zastanawialiśmy się, czy Stalin dałby może Polsce niepodległość, czy byłaby siedemnastą republiką, czy nie. Myślę, że ta część historii, sięgająca gdzieś tam daleko w głąb Bizancjum, w nowszych czasach została przejęta przez Lenina i Stalina. To po prostu idea podboju Europy. To po prostu pytanie z jaką ideologią na sztandarach pójdziemy. Ale tutaj tych wątpliwości mieć nie można. Mówiłem o tym wczoraj, nie rozbierając tego wątku, bo sam chyba byłem urzeczony własnymi opowieściami o paranoi Stalina. Ale pamiętajmy jedno – paranoicy są cholernie logiczni, oni w tych swoich wywodach się zamykają. I to, że Stalin wstrzymuje akcję na Wiśle, to nie był przykład nagłej zmiany poglądów. Są dwie koncepcje, o których wiemy na pewno. Najpierw wierzy naszym komunistom. To chyba jedyni działacze lewicowi, którym udało się Stalina oszukać, że oni są potęgą. On potem widzi, że nie bardzo. Rezygnuje z wejścia. Ale o co chodzi? On liczy, że Niemcy się rozprawią z Polakami w trzy czy cztery dni, a najpóźniej w tydzień. On nie zatrzymuje tej historii z myślą o tym, że nie będzie szedł na Zachód. On myśli, że tę historię nadgoni. „Zatrzymajmy się na chwilę na Wiśle, a potem nasza przewaga jest cholerna, przemy do przodu, w praktyce nie ma oporu”.

Tyle tytułem uzupełnień, ale taki moralny znak zapytania na dzisiaj – gdzie szukać tej siły? Po prostu. Piłsudski szukał jej w sojuszach. Dzisiaj, wydaje mi się, mamy same sojusze egzotyczne, jedne mniej, drugie bardziej, najmniej egzotyczne są jednak Stany Zjednoczone. Ale to już jest takie pytanie zupełnie przenoszące nas we współczesność. Piłsudczycy słynęli z tego, że mieli nie tylko jakąś tradycję, działali nie tylko na dziś, ale też mieli wizję na przyszłość. Te trzy elementy w myśleniu – tradycja, teraźniejszość, wizja przyszłości, misyjność wręcz.

I tu pytanie do prelegenta, którego tu rozszyfrowaliśmy już jako człowieka inteligentnego, od którego możemy się czegoś nauczyć, jak on to widzi?

Wojciech Frazik:

– Nie wchodziłbym w dzisiejszą wizję Polski. Będziemy w pewnym momencie musieli, ale ja spróbuję tylko na jedną rzecz odpowiedzieć, tę z początku pana wypowiedzi. Tak samo Mirek Lewandowski o tym mówił – mamy duży chaos, jeżeli chodzi o przekaz – bardziej propagandowy niż historyczny – jeśli chodzi o afiliację oddziałów. Dlatego, że w pewnym momencie uważano, że głównym wrogiem dla komuny były NSZ. I po prostu każdy, który strzelał, to był NSZ-owiec. W pewnym momencie to niekoniecznie było już wygodne, bo trzeba było akurat uderzyć w WiN jako sojusznika PSL-u, więc każdy, kto był w konspiracji, był WiN-owcem. W terenie ludzie też tak do tego podchodzili. „Ci, którzy są największymi wrogami komuny (czerpali to z propagandy komunistycznej), to są NSZ-owcy. To zakładamy oddział NSZ-u. I tak się nazywamy”. A oni z NSZ nie mieli nic wspólnego, nie mieli nigdy żadnej łączności z organizacją itd. Mamy w latach 50. organizacje młodzieżowe, które też nazywają się WiN albo AK. Po prostu odwoływano się ze względów emocjonalnych do tego, co uważano, że jest wrogiem komuny. Ważne jest, żeby pamiętać i nie bać się tego, że tu byli NSZ-owcy, tu WiN-owcy, bo mamy taką sytuację, szczególnie na Mazowszu, że obwody NZW przetrwały dość długo. Niektóre nazywane będą właśnie NSZ-em. Oni na początku wywodzili się z organizacji narodowych, ale potem weszli tam akowcy. I po prostu taka była firma, taki był szyld. Tak naprawdę nie było to takie ważne. Ważne było, co robimy. Ci ludzie, którzy siedzieli w lesie albo nawet w nim nie siedzieli, tylko konspirowali w innej formie, starali się o kontakt z górą. O to, żeby być częścią struktury większej, można tak powiedzieć, ogólnopolskiej. Żeby mieć tę legalną pieczęć, że robimy coś, co jest legalne z punktu widzenia niepodległej Polski. Nie robimy bandytki, tylko prowadzimy walkę o niepodległość. No i to właśnie wykorzystywała bezpieka w bardzo wielu prowokacjach.

Andrzej Chyłek:

– Jak zwykle nieco prowokacyjnie zaczął się pan na ten temat wyowiadać, jednak nieco enigmatycznie w sprawie Rzepeckiego. Czy możemy postawić tezę, że był on sterowany przez Sowietów i cały WiN był

przez niego sterowany w tym kierunku, żeby doprowadzić do upadku podziemia polskiego?

Wojciech Frazik:

– Nie, absolutnie nie można czegoś takiego powiedzieć. Wskazywałem na pewne czynniki ideowe, które sprawiły, że Rzepecki szedł w tym kierunku, w jakim szedł, ale – to też podkreśliłem – w momencie podejmowania decyzji o przekształceniu organizacji o charakterze zbrojnym w organizację polityczną, w odcięciu się od władz w Londynie, w przeniesieniu ośrodka kierowniczego do kraju, on miał wsparcie tych, którzy razem z nim do tej organizacji przystąpili. Z tego co pamiętam, to Muzyczka był krytycznie nastawiony do deklaracji programowej, ale nie był krytycznie nastawiony do samej idei przekształcenia. I w pewnym momencie niewiele brakowało, a stanąłby na czele WiN-u, tylko że też został aresztowany.

Rzepecki nie był sterowany, ale od pewnego momentu miał niewątpliwie swoje własne ambicje polityczne. To są rzeczy, które mu zarzucano jeszcze podczas konspiracji wojennej, że on z BIP-u tworzy takie trochę państwo w państwie, że prowadzi wywiad polityczny, że próbuje sobie to ustawiać pod swoje poglądy, że próbuje odciąć narodowców, wykluczyć ich z AK. Jemu jest na rękę, że w momencie, kiedy następuje kryzys w organizacji (przełom lat 1944 i 1945) i jest pomysł, żeby narodowcy odbudowywali własne, samodzielne struktury, łącząc tych, którzy z AK scalić się nie chcieli i tych, którzy byli scaleni – jemu to było na rękę, bo to oczyszczało organizację z tych, których on nie chciał tam widzieć. On się chciał oprzeć na lewej stronie sceny politycznej. Na ludowcach, na socjalistach, na Stronnictwie Pracy ewentualnie jeszcze.

Piotr Wójcik:

– Centrowej znaczy.

Wojciech Frazik:

– No takiej lewicowo-centrowej. Socjaliści byli lewicą.

Piotr Wójcik:

– Ja mówię o Stronnictwie Pracy.

Wojciech Frazik:

– Oczywiście. Te jego poglądy były jego poglądami, natomiast to, co niewątpliwie jest groźne, to że ta agentura była obok niego, przede wszystkim Lechowicz. To jest człowiek, którego złapaliśmy za rękę, którego sami komuniści ujawnili, bo Gomułka o nim pisał, o jego roli (kłamiąc zresztą częściowo). Wydałem kiedyś kilkadziesiąt raportów Lechowicza. Co przeraża? – 26 lipca Lechowicz podaje Gomułce treść rozkazu rozwiązującego DSZ (tego z 6 sierpnia, który jeszcze nie jest zatwierdzony przez komendantów obszarów, bo spotkanie odbyło się 5 sierpnia i dopiero wtedy ta decyzja ostatecznie zapadła). Rzepecki sobie ten rozkaz przygotował wcześniej. Lechowicz, przez Moczarskiego najpewniej, miał do niego dostęp i już go przekazał. Czyli komuna z wyprzedzeniem ma informacje o tym, co się stanie. 12 września szczegółowo informuje o tym, że powstał WiN, jaki jest jego program itd. Pomijam informacje o charakterze takim czysto operacyjnym, gdzie on podaje adres Rzepeckiego, jego rysopis, bo to akurat komuniści wiedzieli z bardzo wielu źródeł. Ci ludzie właściwie wszyscy byli zdekonspirowani. To była kwestia tylko tego, żeby się nie dać złapać. Był oddział chroniący Rzepeckiego, który go wielokrotnie wywoził już z kotłów, po czym wreszcie im się nie udało (zresztą wtedy Rzepecki kazał zdjąć tę osłonę – to też jest ciekawe). Rzepecki dążył od wiosny 1945 roku, i to jest widoczne w jego enuncjacjach, do likwidacji podziemia zbrojnego i do wyjścia z konspiracji. Tylko oczywiście na godnych warunkach. Na warunkach, które zapewniały bezpieczeństwo tym ludziom i zapewniały, rzekłbym, odpowiednią pozycję w społeczeństwie. Z uhonorowaniem pozycji, stopni, możliwością wejścia do wojska, bo z tym też wiązał się jeden z postulatów WiN-u, czyli spolonizowania wojska (usunięcia z niego oficerów sowieckich i dopuszczenia tych, którzy byli w konspiracji, zamiast ich prześladowania). On stawiał szereg warunków. I istniał kontakt latem 1945 roku pomiędzy Rzepeckim a władzami komunistycznymi. Wiemy kto był pośrednikiem – to są właśnie ludzie z KB...

Piotr Wójcik:

– Z Korpusu Bezpieczeństwa.

Wojciech Frazik:

– Z Korpusu Bezpieczeństwa. To jest kontakt ze Spychalskim – Rzepecki negocjuje ze Spychalskim warunki. Te rozmowy ostatecznie nie przyniosły rezultatu, dlatego że Rzepecki, słusznie czy niesłusznie, domagał się, żeby rolę patrona dawnego AK w tym nowym układzie politycznym przejął Mikołajczyk. A Mikołajczyk sam walczył o przetrwanie. Już od samego początku jego zadaniem było opanowanie Stronnictwa Ludowego, odzyskanie, można powiedzieć, dla siebie i Witosa ich własnego stronnictwa. Oczywiście latem, szczególnie w lipcu 1945 roku, gdy zapada ta wstępna decyzja przejścia do działalności politycznej ze strony Rzepeckiego i towarzyszy, w lipcu 1945 roku jeszcze wszystko mogło się zdarzyć, wszystko jeszcze wydawało się otwarte. Wydawało się jeszcze, że może powstać niezależne Stronnictwo Pracy. Jeszcze Stronnictwo Narodowe próbowało się zalegalizować, o tym wszystkim już mówiłem. Więc Rzepecki szuka patrona w Mikołajczyku, mimo że Mikołajczyk nie jest tym zainteresowany albo nie jest w stanie przejąć tej roli. I ostatecznie Rzepecki nie przyjmuje oferty, która przychodzi od strony komunistów (od Spychalskiego). Oczywiście, że ta oferta nie była szczerą. Chodziło o to, żeby zlikwidować problem podziemia. I komunistom kilkakrotnie wydaje się, że oni mają ten problem rozwiązany.

Nie możemy powiedzieć, co by było, gdyby Rzepecki ujawnił podziemie z własnej woli powiedzmy w sierpniu 1945 roku, ale jakoś naprawdę trudno mi uwierzyć w dobre intencje komunistów. Można się posłużyć takim dowodem nie wprost: były państwa, które znalazły się w orbicie sowieckiej czy pod ich butem i próbowały prowadzić inną politykę. Tam mamy parę wariantów – najbardziej skrajnym przykładem są Czesi, gdzie Benesz w listopadzie 1940 roku podpisuje wstępny układ o konfederacji z Polską, po czym, gdy Stalin znajduje się po jednej stronie z Anglikami, a potem Amerykanami, stawia na Stalina i stopniowo przyjmuje to, co próbowano narzucić też Pola-

kom. Mówi: „Dogadajcie się ze Stalinem. To jest porządny człowiek, demokratą itd. On was uszanuje, może będziecie mogli wrócić do kraju”. Stawiam przykład Czechów, którzy wrócili do kraju, a później syn Masaryka wyskoczył oknem, a Benesz dogorywał i przekazał pełnię władzy komunistom. Trwało to, czyli pozory demokracji, troszkę dłużej, bo do lutego 1948 roku, ale efekt końcowy był ten sam.

Na Węgrzech mamy jeszcze inną sytuację, bo Węgry przegrywają wojnę jako sojusznik Hitlera. Nie są członkiem koalicji, bo nie udało im się do końca wyjść z sojuszu z Hitlerem, choć bardzo chcieli. Poddane są kontroli sojuszniczej, przy czym ta międzysojuszniczość jest iluzoryczna, bo głos decydujący mają Sowieci. Tu już padał ten argument, że odbyły się wolne wybory w listopadzie 1945 roku na Węgrzech. Wygrywa partia drobnych rolników. Ale co się dzieje? Właśnie ze względu na to, że mamy ten czynnik międzynarodowy, powstaje Rząd Jedności Narodowej, w którym komuniści obejmują kluczowe resorty, które pozwalają im w następnym etapie wyeliminować wszystkie partie węgierskie o programie niepodległościowym, sfalszować następne wybory i przejąć pełnię władzy. Tam w parlamencie toczyła się walka polityczna, o której nam się nawet nie śni w KRN-ie czy później w Sejmie Ustawodawczym... Ten sam mechanizm zastosowano w Polsce, tylko realia były nieco inne.

Gdyby zatem nawet doszło do ujawnienia organizacji, czego Rzepecki i tak dokonał, jak wiemy, w sytuacji o wiele mniej komfortowej, to efekt końcowy byłby ten sam. Tylko przebieg wydarzeń byłby nieco inny.

Maciej Gawlikowski:

– „Wierni przysiędze pozostali w lesie” – to jest bardzo nie fair wobec tych którzy mieli wybór (choć byli tacy, którzy tego wyboru nie mieli), mieli wybór i jednak z tego lasu wyszli. Żołnierz nie jest od wykonywania przysięgi, żołnierz jest od wykonywania rozkazów. Jeżeli był rozkaz wyjścia, to wyszli. Nie można ich za to krytykować. A poza tym – zachowali się jak najbardziej racjonalnie ci, którzy mogli. To jest w ogóle kwestia tej ahistoryczności, że dziś wiemy, jak komuniści się

zachowali. Natomiast wtedy, jeśli była alternatywa (albo „Dalej strzelajcie, dajcie się zabić”, choć to sensu nie ma żadnego, albo rozładowanie lasów i „Próbujemy”), to oczywiste jest, że nikt nie wiedział, jak komuniści się zachowają. Znaczący poza takimi, którzy ten komunizm naprawdę dobrze poznali i potrafili ten system zanalizować, nikt nie wiedział, że ludzie będą tak bezlitośnie tępieni, mordowani, więzieni i likwidowani. Była to szansa, by ci ludzie jakoś tam normalnie żyli.

Wojciech Frazik:

– Więc ja się zastrzegam, że to co mówię, to jest taki szkic bardzo grubą krechą. Przyznaję, że to był nieszczęśliwy skrót myślowy, że „Wierni przysiędze pozostali w lesie”, ale ja to z ich punktu widzenia przedstawiam. Jest jasne, że „wierni przysiędze” pozostali również ci, którzy z lasu wyszli. Ale znowu, gdyby zacząć niuansować, to mamy do czynienia z taką sytuacją (i ja o tym nieco wspomniałem przy „Uskoku”, ale każda z tych rzeczy to jest temat na godzinę): powstał chaos, dlatego że latem 1945 roku było kilka odezw bądź rozkazów o wyjściu z lasu, o demobilizacji struktur zbrojnych i rzeczywiście spora część podziemia, na przykład na Lubelszczyźnie, do tego się zastosowała. Podobną sytuację mamy w Rzeszowskim, gdzie albo próbuje się tych ludzi w sposób zorganizowany przerzucić na tzw. ziemie zachodnie, korzystając z tego, że nasi ludzie siedzą w komórkach na przykład osiedleńczych, w różnych miejscach, i tworzy się całe miejscowości, w których wszystkie funkcje obsadzone są przez ludzi podziemia, albo próbuje się w sposób zorganizowany przerzucić ludzi na Zachód – to jest wykorzystanie na przykład kanału francuskiego, gdzie wagony całe jechały z fałszywymi papierami francuskimi, że są to rzekomi repatrianci, jeńcy, którzy wracają, a którzy słowa nie potrafili powiedzieć po francusku. To się wiązało z przekupstwem na całej trasie itd. To są osobne historie. Albo ludzie próbują znów przejść na własną rękę.

Oczywiście ci ludzie byli także „wierni przysiędze”. I też zostają zachowane pewne możliwości mobilizacyjne, żeby do tych ludzi dotrzeć. „Znajdziesz się gdzieś tam, znajdziesz sobie posadę, miejsce pracy, zalegalizujesz się, musisz się zgłosić”. Jedni to zrobili, inni nie. Jednym

się udało, innym nie udało się złapać ponownie tego kontaktu. Faktem jest, że prowadzi to do kolejnej dezorganizacji i osłabienia sieci. A część ludzi pozostaje cały czas w tym samym miejscu i trwa, bo uważa, że demobilizacja nie ma sensu bądź nie ma na nią warunków. Jest rzeczą dyskusyjną, czy organizacja, przedstawiając się na model działalności politycznej, zrobiła wszystko, by do takiego modelu doprowadzić. Bo jeśli idzie w dół rozkaz o demobilizacji na przykład obwodu, ale w ślad za tym nie idą pieniądze, które by pozwoliły ludzi zalegalizować, choćby po to, żeby oni wsiedli w pociąg i pojechali na drugi koniec Polski... Jak wiemy, to też było złudne – po prostu po jakimś czasie bezpieka tych ludzi po kolei wyczesywała. Natomiast jeśli mówimy o polityce i organizacji, to za pomysłem i ideą musi pójść działanie. Muszą być jakieś środki i metody realizacji naszego pomysłu. Oczywiście znów można powiedzieć tak: zanim pomysł się ostatecznie zmaterializował (ja tu w ogóle nie mówiłem, jak powstawały struktury w terenie), to kierownictwo zostało rozbite.

Rzepecki zrobił coś, co wydawało mu się, że ostatecznie zamyka kwestię WiN-u, tzn. ujawnił organizację odgórnie. On był prezesem, on wydał polecenia lub skierował prośby (bo to jest polityka już, a nie wojsko, więc on prosi swoich współpracowników). Tylko okazuje się, że nie wszyscy go posłuchali. I organizacja trwa, ale środki, którymi ta organizacja dysponowała na początku i które mogły służyć realizacji tej idei, w większości przepadają. Bo przepada prawie cała kasa, to jest milion dolarów, i przepadają drukarnie, i radiostacje (co jest raczej mniej istotne). Część radiostacji, które się jeszcze ostały, bezpieka wygarnęła sama. Dla Rzepeckiego pracowały jeszcze radiostacje w Obszarze Zachodnim, który został najpóźniej rozbity, bo pod koniec listopada 1945 roku.

II Zarząd Główny, Niepokólczycki, miał odbudować organizację, miał powiązać porwane nici. Nie miał nic. Zaczęło się szukanie w terenie jakichś pieniędzy. Zaczęło się szukanie, czy nie ma gdzieś drukarni, jak można sobie zorganizować łączność? Bo przecież cała komórka łączności z „Marcysią” wpadła, nie mówiąc o tym, że jest wielce prawdopodobne albo w zasadzie pewne, że była to jedna z dróg dotarcia

bezpieki do konspiracji, czyli szlaki łączności i łączność radiowa. Bo Sowieci przechwytywali łączność radiową akowską, DSZ-owską, WiN-owską i ją deszyfrowali. Zostały im wydane wszystkie klucze szyfrowe, cały plan łączności, częstotliwości. Wszystko, co było im potrzebne, depeze, które przyszły wcześniej... A w tych depezach były punkty kontaktowe, hasła do łączności. Cała kwestia programu, naświetlenia, badań: jak to widzi emigracja, jak to widzi kraj – to wszystko znalazło się w rękach sowieckich, a pośrednio bezpieki polskiej (do końca 1945 roku polska bezpieka w tym aspekcie odgrywała rolę pomocniczą, to byli raczej ludzie do technicznego wyłapania, a nie do formułowania koncepcji).

Maciej Gawlikowski:

– Oni wyłapywali ludzi po latach. To są wielkie tragedie ludzkie. Obserwowałem przypadek człowieka, który zmienił zupełnie miejsce zamieszkania, poznał kobietę, ożenił się, miał dwójkę dzieci i wtedy go dopadli. Zarabiał dobrze. Po tych siedmiu latach walki nagle odechnął, zupełnie inne życie. No i przyjechało UB, człowiek został konfidentem i był nim do 1990 roku.

Wojciech Frazik:

– To był niestety jeden z elementów właśnie. Ci ludzie się nie ujawnili, ale zostali wskazani, często w dobrej wierze. „Mogę go wskazać, bo on nic nie robił”. A komuniści odtwarzali sobie skład komórek akowskich do spodu.

Jedna rzecz, pewnego rodzaju polemika. Mówiłeś, że tylko jednostki wiedziały, jaki jest sposób działania sowieckiego, sowiecki sposób myślenia. Z tym bym się nie zgodził. Z punktu widzenia naukowego, jakichś tam analiz, być może tak. Być może Henryk Glass był najwybitniejszym znawcą komunizmu, miał to naukowo rozebrane i takich nie było zbyt wielu, ale byli ludzie, którzy po prostu ze względu na wiedzę przedwojenną, własne doświadczenia albo przekaz rodzinny musieli myśleć, że Rosjanin to jest wredny człowiek, któremu nie należy ufać i on mi nie popuści. Ja to przedstawiam w sposób tak najbardziej pry-

mitywny, to miało różne niuanse, ale jeżeli się popatrzy na publicystykę jeszcze okresu wojennego, nie można powiedzieć, że nikt w Polsce nie wiedział, nie mówił, z czym Sowieci i komuniści tutaj przychodzą.

Maciej Gawlikowski:

– Koszmar hitlerowskiej okupacji dla tych, którzy się nie zetknęli z sowiecką. Troszkę bym to wymazał.

Wojciech Frazik:

– Oczywiście, że jest to nierówno rozłożone, jeśli spojrzeć na całą strukturę kraju. Ale ja mówię o tych, którzy czynnie jakoś funkcjonowali.

Piotr Wójcik:

– Ja mam dwie kwestie zasadnicze. Pierwsza to jest rola Rzepeckiego, o której pan mówił, pierwszego prezesa WiN-u, i ta decyzja o ujawnieniu organizacji. Nie wiem, czy się pan z tym zgodzi, czy nie – Emilii Malessie można przypisać rolę ofiary, która uwierzyła w słowo oficerskie z tamtej strony, ale działała generalnie z pobudek uczciwych. Natomiast ja mam zasadniczą wątpliwość, co do postaci Rzepeckiego. Nie mam śmiałości dokonywać tu jakichś ocen, ale trzeba pamiętać, że to był oficer, który był szefem BIP-u i jego pozycja w Komendzie Głównej była bardzo istotna. Można znaleźć w stenogramach posiedzeń narad czy innych spotkań w czasie Powstania bardzo wiele dyskusji, które świadczą o tym, że Rzepecki był zwolennikiem trwania Powstania, prowadzenia go jak najdłużej. Był jednym z takich jastrzębi w Komendzie Głównej, co w zestawieniu z jego ocenami i decyzją o ujawnieniu... No jest tu pewna głęboka sprzeczność. I chciałbym, żeby może pan odniósł się do kwestii tych zarzutów, które postawili mu wprost jego koledzy z Komendy Głównej AK. Mówię tu o Plucie-Czachowskim, mówię tu o Muzyczce.

Mirosław Lewandowski:

– I Rybickim.

Piotr Wójcik:

– Oczywiście. Jego działania były na pograniczu zdrady, powiedzmy to delikatnie. Bo jeżeli się podejmuje decyzje o ujawnieniu organizacji, to umówmy się, że ma się pełną świadomość tego, że się ją rozbija. Niepokólczycki jest w nieporównywalnie gorszej sytuacji, to pan powiedział, i świadomość tego Rzepecki mieć musiał, co w zestawieniu z tym, o czym pisał „Uskok” w pamiętniku, tzn. oceną żołnierzy liniowych (powiedzmy – oceną z dołu) – oni nazywali to wprost: zdradą. Ja nie potrafię tego tak wprost ocenić, ja nie mam do tego moralnego prawa, ale jest coś na rzeczy. Jest to także problem zarzutu, że zapewnił sobie miękkie lądowanie w PRL-u. To wszystko chyba wymaga skomentowania.

I ostatnie pytanie – czy ten tytuł „Bić się czy nie bić”, w odniesieniu do takich ludzi jak „Uskok”, czyli liderów powstania antykomunistycznego w Polsce, które miało miejsce od roku 1944 (a do kiedy – to jest kwestia do dyskusji)... Chciałbym, żeby się pan się odniósł do tezy, że ich walka skazana była na niepowodzenie i w tym sensie była bezsensowna. Ale można powiedzieć, że nie jest ważne, czy odnosisz sukces taktyczny, czy nie. Ważne – jakich wartości bronił. O tym pisał „Uskok”. Wydaje mi się, że ich walka miała swój sens polityczny, i o tym też była tutaj mowa, taki, że to jest realna walka o niepodległość, która jest pewnym procesem, gdzie widzimy jakiś horyzont przyszłości i znaczenie tej walki. Moim skromnym zdaniem sens tej walki polega na tym, że ona w istotny sposób wpływała i moderowała w pewien sposób kształt komunizmu, który tutaj próbowano narzucić. Uważam, że powstanie antykomunistyczne w Polsce odcisnęło swoje piętno na kształcie tego, co komuniści próbowali tutaj zaprowadzić. Na ich niekorzyść. I to był właśnie sens tej walki.

Wojciech Frazik:

– Zgadza się, i sam o tym wspominałem, że w tym praktycznym sensie walka tych, którzy zostali w podziemiu z bronią w ręku, to był niewątpliwie czynnik hamujący, szczególnie na prowincji, różne działania – sowietyzację, mówiąc najprościej.

„Uskok” później pisał także o tym, że oni się stają pewnego rodzaju symbolem i iskierką nadziei dla tych, którzy pozostali. Bo po roku 1948 mamy do czynienia praktycznie wyłącznie z grupami przetrwania. Najczęściej będą to już takie patrole dwu-, trzyosobowe, czasem jakoś tam się łączące dla przeprowadzenia akcji, ale to będą ludzie, którzy tak naprawdę nie odgrywają żadnej istotnej roli militarnej, choć mają broń w ręku. Natomiast angażują duże siły resortu bezpieczeństwa, a nawet wojska przy różnych operacjach. Ci ludzie byli problemem dla komunistów, bo byli symbolem trwania niepodległej Polski. Przypominają, że to, co jest, to, co widzimy na co dzień, to nie jest wolna Polska. Można powiedzieć, że ich rola jest mała, ale wielka. Bo komuna będzie z nimi walczyła cały czas. Dopóki tego ostatniego nie złapią. A potem z pamięcią o nich.

Mirosław Lewandowski:

– Coś jak „Hubal”, tak?

Wojciech Frazik:

– Tu jest chyba troszkę inna sytuacja, bo też kontekst międzynarodowy był inny. Tam był Sikorski, jego armia, rząd, władze, itd.

Piotr Wójcik:

– „Hubal” był w lepszej sytuacji.

Mirosław Lewandowski:

– Ale też był tylko symbolem.

Andrzej Chytek:

– Symbolem, ale zarazem przedłużeniem oficjalnej armii polskiej.

Wojciech Frazik:

– Z tą oficjalnością bym tak nie przesadzał. Jeśli chodzi o oficjalną stronę, to kazano mu się rozejść.

Piotr Wójcik:

– A on powiedział, że ma to w dupie.

Wojciech Frazik:

– No właśnie. I tu była ta niesubordynacja, jeśli chodzi o wojskowego, ale nie skręcajmy za bardzo w dygresje.

Mogę chyba sobie pozwolić w tym momencie na coś takiego, że jeśli już tak bardzo wysoko latamy, to ten sens walki i oporu, tego politycznego, ale też tego zbrojnego, który jest łatwiej zrozumiały, możemy dostrzec przez ostatnie kilkanaście lat. Mamy do czynienia ze swoistym ruchem społecznym, a teraz również z działalnością państwową. Nie komentuję, ale podkreślam fenomen społeczny Żołnierzy Wyklętych. Po kilkudziesięciu latach, w zupełnie innej sytuacji politycznej, wydaje się, że tamta ich walka ułatwiła obudzenie znacznych kręgów społecznych i jakby przywróciła do codziennego myślenia kwestie walki o niepodległość. To oczywiście nie było planowane.

Piotr Wójcik:

– Ograniczała sowietyzację.

Wojciech Frazik:

– Wtedy – tak, ale ja mówię o dzisiaj. To długie trwanie w życiu narodu... Brałem w tym udział od początku lat 90., swoją małą cegiełkę przykładałem i widziałem, jak to się zmienia w czasie. Młodzi ludzie potrzebują jasnego i wyraźnego przekazu i pewnych prostych wzorców. Dzięki nieco zmitologizowanym postaciom poruszono w nich pewną strunę, która jest bardzo ważna, jest ważne, żeby nie była sflaczała, zerwana.

Tutaj ktoś mówił o przerwie, pauzie geopolitycznej, która się nam kończy. Nie wiemy, jaka będzie sytuacja. Ale nawet w sytuacji życia pokojowego jest potrzebne i lepsze, żeby znaczna część społeczeństwa mówiła – nawet jeśli byłoby to bezmyślne, deklaratywne – „Jestem gotowy przelać krew za Polskę”, niż żeby większość mówiła: „Mam Polskę w poważaniu, nie oddam za nią kropli krwi”. Oczywiście rzeczywistość zweryfikuje to wszystko.

Maciej Gawlikowski:

– To tak jak z seksem. Lepiej robić, niż mówić. Jak ktoś dużo mówi, to nic z tego z reguły nie wychodzi. Zwykle to jest sfera życzeń.

Wojciech Frazik:

– Tutaj chodzi mi o kwestię wychowania w momencie, kiedy państwo zapomniało o swoich obowiązkach wychowawczych kształtowania kolejnych pokoleń. Akurat za pomocą tego elementu udało się wprowadzić bardzo istotny element wychowania obywatelskiego i patriotycznego.

Siedzę w tym dość głęboko, czasem coś napiszę. Wiem, jacy ci ludzie byli. Ale to nie o to chodzi! Tak samo można się odnieść do każdej innej rzeczy z przeszłości i ją zakwestionować. Chodzi o to, jaką pewien mit odegra rolę w życiu społecznym, w życiu narodu po prostu.

Głos z sali:

– Ale tutaj mit zastępuje historię. Teraz mamy mit, który jest fałszywy. Jak wiemy, historia jest złożona, a mit jest prosty.

Wojciech Frazik:

– Zupełnie inną funkcję pełni w życiu historia, a zupełnie inną mit. Więc tutaj nie mieszajmy tego. Ale to była dygresja, bo naprowadziło mnie na ten element pytanie o to, jaki był sens praktyczny tego, że oni trwali w konspiracji, „w lesie”. Już nawet jako ci zupełnie osamotnieni, desperaci. Natomiast wracam do kwestii Rzepeckiego.

Piotr Wójcik:

– Malessa, Rzepecki, Pluta, Muzyczka...

Wojciech Frazik:

– Kwestia postaw przed i po, ja to sobie tak nazwałem, czyli przed aresztowaniem i po aresztowaniu. Mamy niestety wielokrotnie do czynienia w tamtym czasie z taką sytuacją, że ludzie na stanowiskach kierowniczych dają instrukcje, dają naświetlenia propagandowe, bardzo

jednoznaczne, ostre, potępiające tych, którzy ulegają mirażowi kompromisu z komunistami, a później załamują się w śledztwie, sypią (różnie to określa się w zależności od konkretów).

Rzepecki we wrześniu 1945 roku wydał rozkaz skierowany do Delegata Sił Zbrojnych na Obszar Centralny (w likwidacji), ogłoszony także w prasie konspiracyjnej, gdzie *de facto* odmawia „Radosławowi” prawa do podjęcia akcji likwidacyjnej. Pisał, że po aresztowaniu traci się wszelkie funkcje, w związku z tym nie ma się prawa do niczego wzywać, wydawać poleceń, niczym kierować itd., a gwarancje i obietnice urzędników bezpieki mają bardzo wątpliwą wartość i mogą być zwykłą pułapką. Po czym sam dokładnie dwa miesiące później robi to samo. Dwa miesiące po ogłoszeniu w prasie deklaracji „Radosława” Rzepecki podejmuje decyzję o ujawnieniu WiN-u. I nie chodzi o to, że on w trudnej sytuacji stawia swojego następcę. Następcy Rzepeckiego miało nie być, konspiracja miała się skończyć. I tu jest największy zarzut.

Natomiast z „Radosławem” rozmawiano. „Radosław” wyszedł z więzienia, podobno nawet nie był śledzony przez bezpiekę i spotkał się (tu jest dyskusja, czy to było po, czy tuż przed zjazdem w sprawie powołania WiN-u) z tymi ludźmi, którzy WiN powołali. Oni parę godzin dyskutowali i rozeszli się z konstatacją taką: „Nie zgadzamy się z tobą, ale zrobisz, co zrobisz”.

Następca Mazurkiewicza w Obszarze Centralnym, czyli Rybicki, zabronił sprzątnięcia Mazurkiewicza, chociaż była taka decyzja. Jeśli dobrze pamiętam, to szło przez Kwiecińskiego, który potem z kolei będzie następcą Rybickiego w Obszarze Centralnym, a potem będzie trzecim prezesem Zarządu Głównego WiN-u. Kwieciński chciał sprzątnąć Mazurkiewicza i miał na to środki, był na to gotowy. To się odbywało na zasadzie dyskusji. Dyskutowano, czy taka postawa jak Mazurkiewicza jest właściwa, czy niewłaściwa. Rzepecki i jego towarzysze widzieli, że to może być nawet korzystne, bo to będzie sito, które odsieje ludzi, którzy są niepewni, albo którzy mogą ściągnąć bezpiekę na głowę, bo są już zdekonspirowani.

Nie na tym polega problem Rzepeckiego, że on taką decyzję podjął,

bo już po doświadczeniach Rzepeckiego taką samą decyzję podjęli – poza Niepokólczyckim – inni prezesi; w styczniu 1947 roku podjął ją Kwieciński. Oczywiście on miał znacznie trudniejszą sytuację, dlatego że bezpieka już dysponowała całym materiałem operacyjnym i archiwalnym przede wszystkim. Zawsze na to zwracam uwagę, że w rękach bezpieki znajdowały się olbrzymie archiwa organizacyjne. Oczywiście część ubecy wygarniają przed, część po, ale to, co wiele osób jest skłonnych traktować jako sypanie w śledztwie (jak widzą protokoły przesłuchań), to jest tak naprawdę interpretowanie archiwów, które leżą na biurku. I czasem to jest widoczne wprost, a czasem to wynika pośrednio. Tak naprawdę ci ludzie mówili: „Ten pseudonim czy kryptonim to jest to”. To i tak krzyżowo z tych papierów wychodziło, bo tak te archiwa były skonstruowane, że na dłuższą metę nie dałoby się tych rzeczy utrzymać w tajemnicy. Pomijam już realia konspiracyjne, które były już zupełnie inne niż w czasie wojny, gdy można było wykonać odskok na inny teren, działały sieci alarmowe itd. Praktyczny wymiar tej konspiracji po wojnie był znacznie gorszy.

Kwieciński miał jeszcze tę niedogodność, że jego zastępca był agentem. Jest jeszcze kwestia dyskusyjna, jak wcześniej tym agentem został. Tu historycy są podzieleni. Ale co on mógł ukryć, jeżeli człowiek, z którym on współpracował, był przez co najmniej kilka ostatnich miesięcy agentem?

Ciepliński, który napisał bardzo ostry tekst pt. „Aresztowania i procesy” (bo to jest jego ręką tekst napisany we wrześniu 1947 roku, tuż po procesie Niepokólczyckiego), po mniej więcej trzech dniach od aresztowania, idzie na koncepcję ujawnienia organizacji. Robi to w sytuacji, kiedy już nie było prawie nic do ukrycia, co widać, jak się dokona analizy wiedzy bezpieki w tym momencie. A nie wiemy jeszcze niestety bardzo wielu rzeczy o agenturze i być może się nie dowiemy, bo niektóre materiały zostały po prostu zniszczone. Wiemy, że był jakiś agent, ale nie wiemy, jaki był jego urobek.

Jedynym z prezesów, który się tak nie zachował, był Niepokólczycki. Można osłabić to moje zdanie tym, że najważniejsze aktywa jego organizacji wpadły przed jego aresztowaniem, a on wpadł na końcu.

Ale jeszcze był Obszar Południowy, którego on nie wydał. Czy mógł wydać, czy nie? Nie wiem. Nie wnikajmy w to. Chodzi mi o fakty, o to, jak się zachował po aresztowaniu, a także w fazie śledztwa przygotowującego proces i w czasie samego procesu pokazowego.

Natomiast trzech pozostali wcześniej potępiali tych, którzy się zachowali tak, jak się zachowali, sami potem poszli tą drogą, czyli dali się nabrać na słowo honoru oficera polskiego, którym był Czaplicki albo Różański. Poszli na to, że podwładni nie będą represjonowani, poszli na to, że dalsza konspiracja nie ma sensu, bo bezpieka i tak ma już to rozebrane na części, ewentualnie jest kwestią czasu, kiedy pewnych ludzi wyłapie i lepiej, żeby oni się zgłosili dobrowolnie, niż żeby bezpieka ich złapała. Po to były te wszystkie argumenty o odpowiedzialności za podwładnych, o odpowiedzialności za spokój w kraju, odwoływanie się do interesu państwa. Różnych wyrażen używano, żeby – ten termin jest chyba z rosyjskiego – rozkuć aresztowanego, czyli żeby on poszedł na współpracę ze śledztwem, żeby przyjął tę koncepcję, na której w danym momencie bezpieczeństwo zależało. Można powiedzieć, że to jeszcze nie było najgorsze, bo to było wspólnym doświadczeniem wszystkich tych ludzi.

Inna była sytuacja Rzepeckiego, a inna późniejszych działaczy. Zasadniczo inna. My dzisiaj mamy inną sytuację, bo jesteśmy mądrzejsi o kilkadziesiąt lat. Po drugie – siedzimy sobie tutaj w klimatyzowanej sali i jest nam bardzo miło. Ci ludzie byli w zupełnie innych sytuacjach. Nie wszyscy, ale ci którzy przeżyli, nie oskarżali się po wyjściu z więzienia o to, o czym my teraz mówimy. Inaczej było z Rzepeckim. Jaki był najcięższy zarzut wobec Rzepeckiego, ze strony tych, którzy byli na jego poziomie, że się tak wyrażę? Chodziło o to, że on się zachował niewłaściwie (albo mówiąc inaczej – jak świnia) na procesie, tzn. potępił ideę. I tu była podstawowa sprawa.

Krzysztof Laga:

– Taki był cel procesu pokazowego. Chodziło o to, aby zniszczyć ideę.

Wojciech Frazik:

– Oczywiście, że tak. Każdy proces pokazowy był pokazowy dlatego, że chodziło o osiągnięcie pewnych celów politycznych. I znów można by zrobić cały wykład o konstruowaniu procesów politycznych, ale w uproszczeniu wyglądało to tak, że najpierw była teza polityczna, którą w danym okresie partia chciała przeprowadzić, i do tej tezy politycznej szukano ofiary. Czyli szukano tych, którzy już są aresztowani, albo ewentualnie, których można aresztować. I zastanawiano się, jakie im postawić zarzuty, żeby postawić tę tezę.

A potem była kwestia prosta, rzekłbym, w procesach zbiorowych – przeprowadzenia tej tezy, osiągnięcia celu. Jest tutaj wielu panów, którzy mieli też tę przyjemność brać udział w śledztwie – jak jest sprawa grupowa (przy czym w latach 80. wyglądało to jednak inaczej), to sytuacja jest nie do pozazdroszczenia, dlatego że podstawową umiejętnością śledczych jest wygranie przesłuchiwanym przeciw sobie. Jak ma się więcej ludzi, to łatwiej jest to przeprowadzić i to nie jest nic szczególnego. W sowieckim śledztwie są odpowiednie techniki, które zresztą są na całym świecie stosowane. Więc budowano zespół oskarżonych tak, żeby przeprowadzić tę tezę. I w tym zespole oskarżonych będziemy mieli ludzi niezłomnych i będziemy mieli ludzi załamanych, i neutralnych. Oni wszyscy mieli odegrać swoją rolę, jak w sztuce. Normalnie przed procesem, przed rozprawami odbywały się próby w więzieniu. Nie wspólnie, oczywiście. Są raporty ubeków na ten temat. Mówiło się, że on odbył rozmowę, i jest raport, jak więzień zachowa się na rozprawie. Co ewentualnie trzeba mu dać (bo były nawet elementy targu, że więźniowie przy tej okazji utargować coś mogli w zamian za określoną postawę na sali rozpraw). A jak ktoś się na sali sądowej wyłamywał, to sędzia zarządzał przerwę. Mamy szereg takich sytuacji.

W procesie II Zarządu WiN-u były rozpisane role. Mamy tych, którzy będą potem najostrzej potraktowani, czyli dawnych legionistów, Tumanowicza, Kaczmarczyka i Ostafina. I na nich trzech, którzy byli w przedwojennej Polsce w aparacie państwowym, ostatni był posłem, na nich rozpisano potępienie, między innymi, potępienie Polski przedwojennej, tego antysowieckiego nastawienia sanacji itd. Ja już w tej

chwili nie pamiętam – to jest w papierach – co kto ma mówić. I do końca nie jestem pewien, ale chyba Tumanowicz wyłamał się z tego.

Piotr Wójcik:

– Zerwał scenariusz.

Wojciech Frazik:

– Dokładnie. Zerwał scenariusz. I jest przerwa. A potem w następnym dniu rozprawy już tylko jeden z nich mówi to, co było rozpisane na kilka głosów. Więc do tego stopnia te manipulacje były przeprowadzane. Ja w ogóle tych ludzi nie potępiam, to były rzeczy straszne. To, jak tych ludzi rozrabiano, żeby oni weszli w te role, to były rzeczy straszne.

Rzepecki wszedł w tę rolę i tu jest właśnie największy kontrast między Rzepeckim a Niepokólczykim. Nie wszedł w tę rolę Niepokólczycki. Jemu przypadła rola niezłomnego (zgodna z postawą w śledztwie). On był w tym procesie głównym oskarżonym. Ale też w związku z tym odpowiednio układano kolejność zeznań, w zależności od tego, jak wiedziano, że dana osoba może się zachować. Jak trzeba było, to ten oskarżony „niezłomny” zeznawał już po takim bombardowaniu propagandowym tych, którzy mówili to, co bezpieka chciała, że jego głos jakby był nieistotny. Niepokólczycki jako oskarżony siedział pierwszy z prawej, w pierwszym rzędzie, za adwokatami. Siedział, na ile mógł, tyłem do sądu. Choćby w taki sposób chciał pokazać swój stosunek. Natomiast Rzepecki stwierdził na procesie, że idea walki o niepodległość była bez sensu. Dalsze działanie w konspiracji, przeciwstawianie się Sowietom, było bez sensu. I tego mu nie wybaczone do końca.

Andrzej Anusz:

– Inni zachowali się jednak inaczej. Mówimy tu o Rybickim, o Muzycze itd.

Wojciech Frazik:

– W takim procesie większość ludzi przyznawała się do faktów. Nie przyznawali się do interpretacji. W sytuacji cenzury istotna była kwestia, co pójdzie do prasy. Prasa już wcześniej, przed procesem, dostawała naświetlenie polityczne – streszczenie politycznej części aktu oskarżenia. Było to dzień przed procesem, żeby ludzie byli odpowiednio przygotowani propagandowo. A potem wybierano z procesu pokazowego to, co było dla władzy korzystne. To, co było niekorzystne, oczywiście nie było publicznie ujawniane. To nie była transmisja na żywo. Nawet jak był proces IV Zarządu Głównego WiN-u, jakieś tam fragmenty puszczano w radio, ale nie było fragmentu zeznań Cieplińskiego, gdy on mówił, że leżał we krwi i w ogóle nie wiedział, co podpisuje. Tego w radiu nie puszczone. Jest to w stenogramie, ale ten stenogram nie był jawny. Nie można było pójść i zobaczyć.

To nie była kwestia taktyki... Samo ujawnienie można traktować trochę w kategoriach taktyki – nie miał możliwości działania, coś mu tam wyłożono na stół, on z pewnymi propozycjami, jak twierdził, się nie zgadzał... Na przykład Rzepecki nie zgadzał się, aby informacje z sieci WiN-owskiej trafiały do wywiadu angielskiego. To było coś, czego on nie mógł przyjąć. Bo to byłaby skaza na honorze oficerskim. On nigdzie nie napisał tego wprost, ale można się tego doszukać. Rzepecki nie chciał, żeby WiN-owcy byli szpiegami. To był jeden z powodów, żeby przerwać to działanie, bo rzekomo było coraz gorzej. Ale, jak mówię, to jest kwestia taktyki. Ujawniamy, nie ujawniamy, jesteśmy w rękach przeciwnika, wiemy mniej więcej, co przeciwnik wie itd.

Ale Rzepecki zaatakował imponderabilia. To jest wyraźne we wszystkich relacjach z tamtego czasu. Rzepecki zrobił coś, co jest obrzydliwe, czego mu nie można wybaczyć, to jest zbrodnia. Są raporty podziemne, wojskowe, cywilne na ten temat. To nie jest jedynie opinia tych, którzy siedzieli razem z nim na ławie oskarżonych, ale po prostu opinia publiczna.

Mirosław Lewandowski:

– Pozwolę sobie zacytować Muzyczkę z pisma do Rady Państwa z 1956 roku. Zatem jest to dokument dość wczesny, i oficjalny. Bo teksty Muzyczki o Rzepeckim mówią o tym, jak Różański w 1946 roku próbował skłonić Muzyczkę do roli, „jaką próbował spełnić osobiście w trakcie rozprawy sądowej pan Jan Rzepecki. Roli niegodnej człowieka honoru, roli oszczercy. Odmówiłem panu Różańskiemu odegrania tej roli, pan Różański stwierdził wówczas, że z więzienia nie wyjdę”. I potem opisuje, jaką cenę za to zapłacił. Muzyczka siedział we Wronkach ponad rok i jedynym urozmaiceniem tego siedzenia było to, że zeznawał w drugim procesie WiN-u, czyli w procesie Niepokólczyckiego. Muzyczka pisał o tym tak: „Przez cały okres mojego pobytu we Wronkach, czyli to jest około 12 miesięcy, z przerwą na proces Niepokólczyckiego, trzymany byłem w pojedynce, bez kontaktu z innymi więźniami, bez możliwości zamienienia przeszło rok słowa, przez większość czasu bez gazety lub książki. Aby mnie moralnie lub fizycznie zniszczyć trzymano mnie w bunkrach nago, w ekskrementach sięgających do kostek nóg, przy temperaturze poniżej zera, w izolatkach. Przenoszono mnie przez tygodnie codziennie, a czasem dwa, trzy razy dziennie z celi do celi, pozbawiano paczek”.

Chciałbym zwrócić uwagę na zapomnianego niesłusznie w procesie II Zarządu Głównego WiN obrońcę w większości procesów stalinowskich, mecenasa Mieczysława (pierwotnie Mojżesza) Maślankę. Otóż oskarżeni bali się bardziej jego niż prokuratora. On był obrońcą Niepokólczyckiego...

Mówię to po to, aby wzmocnić to, o czym mówił Wojtek Frazik, ale też podkreślić, że jednak byli ludzie, którzy tych ról, które im w procesie pokazowym napisano, odmówili. I tu chcę podkreślić postawę Muzyczki – był tym gościem, który zachował się godnie.

Wojciech Frazik:

– Jedna rzecz, bo ja troszeczkę tylko o tym wspomniałem – wszyscy ci, którzy nie odmówili odegrania tej roli, którą im proponowano, zgodzili się na nią dlatego, że byli poddani ogromnej presji, albo fizycznej,

albo psychicznej. Wiele z tych osób było bardzo brutalnie szantażowanych, bardzo często sytuacją najbliższych. To bardzo łatwo można pokazać w poszczególnych procesach, kogo na jakie argumenty brano. W przypadku Niepokólczyckiego, jak bezpieka się nie mogła do niego dobrać i gdy nie do końca byli pewni, co on będzie mówił na procesie, zrobiono rzecz, która – wydawałoby się – jest niedopuszczalna, czyli zebrano ich razem w jednej celi. I ci, którzy zgodzili się odegrać rolę, jaką odegrali, wymogli na nim, żeby po prostu nie dyskutował na rozprawie. Żeby nie występował z żadnymi manifestami, żeby po prostu siedział cicho. Nic więcej nie mogli od niego uzyskać, ale po prostu takiego użyto argumentu: „Bądź wobec nas lojalny, bo wszyscy zginiemy”. I tak było osiem kaesów w tym procesie, natomiast trzy były wykonane. Ale to znowu jest kwestia pewnych działań czy intencji politycznych.

Jedną rzecz chciałbym dodać odnośnie do Maślanki, bo to oczywiście jest tak, jak ty mówisz. Znalazłem kiedyś bardzo ciekawe wspomnienie człowieka, który był jego uczniem. Nie pamiętam nazwiska, to najprawdopodobniej w „Palestrze” było publikowane. W każdym razie Maślanko już po 1956 roku mówił, właśnie jak wracał ten wątek jego roli w tych procesach, mówił do tego swojego ucznia: „Nic nie rozumiesz. Nie o to chodzi, żeby adwokat pięknie bronił oskarżonego i popierał jego idee, tylko żeby adwokat, mówiąc, robiąc cokolwiek, zapewnił oskarżonemu, żeby przeżył”. To była filozofia Maślanki. Inna rzecz, że to był facet, który nie interesował się sprawą, póki jakaś suma nie wpłynęła, ale jednocześnie potrafił być skuteczny. Mam jeden taki dowód (może to nie jest dowód, ale bardzo mocna poszlaka). Przy IV Zarządzie Głównym WiN-u, jak wygarnięto, poza kierownictwem, także łączniczki, które zapewniały kontakty ze światem przez poselstwo belgijskie (to były: Janina Czarnecka i Helena Abakanowicz) była sytuacja taka, że córka jednej z nich dotarła do Maślanki. Maślanko zajął się sprawą i Abakanowicz nie była w tej głównej ekipie, która była sądzona. Ta druga łączniczka – Czarnecka – była, a ta, o którą wystąpił Maślanko, miała swój odrębny proces (i najniższy wyrok). W jej miejsce włączono inną kobietę, łączniczkę Zofię Michałowską, która miała

kontakt na inną ambasadę. Tak, że on potrafił być jednak skuteczny, a rolę miał niełatwą. Mówię o tym, żeby to nie było jednostronne.

Jerzy Wawrowski:

– Głosy w dyskusji skłoniły mnie do zabrania głosu. I do tych głosów chciałbym się odnieść, a nie do samego referatu, który był dla mnie bardzo przekonujący.

Maciek Gawlikowski powiedział, że nie wiadomo, jak zachowują się komuniści. Musimy jednak brać pod uwagę doświadczenie okupacji po 17 września we wschodniej części Polski. Druga rzecz – musimy wziąć pod uwagę doświadczenie okresu „wyzwalania” przez Armię Czerwoną i jej stosunku do polskich formacji partyzanckich. Musimy też wziąć pod uwagę to, że ludzie z tego pokolenia, na jakimś etapie swojego życia... Bo przecież istniały jeszcze wcześniejsze doświadczenia ze Związkiem Sowieckim z 1920 roku. Sądzę, że nie tylko poprzez publikacje o Związku Sowieckim, oni mieli wystarczający bagaż własnych doświadczeń, aby w ogólnym zarysie spodziewać się, co komuniści tutaj będą chcieli zrobić. Tu może chodziło jedynie o skalę, że aż tak – to jest kwestia do dyskusji, ale wydaje mi się, że nie ulegało dla nich wątpliwości, że dominacja komunistyczna w tej części Europy i w Polsce będzie oznaczała utratę niepodległości. Mogli mieć złudzenia co do skali represji, ale nie mogli mieć wątpliwości, że te represje będą.

Następna, nieco poboczna kwestia. Ktoś powiedział, że krytyka ludzi, którzy poszli do lasu jest nie *fair*. Rozróżnijmy krytykę od potępienia. Nie usłyszałem w referacie, żeby autor potępił tych ludzi, natomiast jeśli mamy wyłączenie spod krytycznego myślenia, to kończy się dyskusja, zostaje dogmat. A dogmat unieruchamia myśl.

Jeszcze jest jedna rzecz, która mnie tutaj uderzyła, to jakieś niezrozumienie funkcji mitu, które odczytałem z tej krótkiej wymiany zdań. Niezrozumienie funkcji mitu i niezrozumienie funkcji historii. Historia, to jest ustalenie faktów. Natomiast mit to jest to, co się opowiada. I mit, jeżeli jest mitem, nie jest fałszywy. Mit buduje naród, buduje społeczeństwo. Każda grupa, nawet grupa zawodowa ma swój mit. Ma swój zbiór mitów – od mitu założycielskiego, który z perspektywy hi-

storycznej nie musi być prawdziwy, on musi wyrażać archeologię tej wspólnoty.

Pojawiła się także taka refleksja. Pojawiła się w dyskusji kwestia jedności idei – ktoś powiedział, że w ramach jedności idei byli w stanie poświęcać swoje życie. Przyszło mi tutaj na myśl to, co pisze Orygenes przeciwko Celsusowi. Kiedy Celsus zarzuca, że chrześcijanie szli na męczeństwo, Orygenes mówi, że to męczeństwo tak się rozwinęło, ponieważ chrześcijanie dawali świadectwo. Tutaj mamy kwestię na gruncie religijnym, ale chodzi o to samo – chodzi o dawanie świadectwa – w naszym przypadku – niepodległości. Wydaje mi się, że nie można podchodzić do tego typu postaw z punktu widzenia racjonalności kupieckiej, że inwestuję tyle i muszę mieć zwrot od kapitału. To się odbywa w innym wymiarze czasowym i w innej świadomości. Jestem głęboko przekonany, że to, że były ograniczenia sowietyzacji w Polsce, że ta sowietyzacja w Polsce nie była tak daleko posunięta jak w niektórych innych krajach bloku wschodniego, to też wynikało z tego, że Sowieci liczyli się z oporem. Że oni jak gdyby doświadczyli tego oporu, i w pewnym momencie, nawet na zasadzie czystej kalkulacji, zbilansowali sobie: „Dobra, nie robimy im tutaj kolchozów, niech mają te gospodarstwa indywidualne”. Imperium też bilansuje. Ma swoją ekonomię panowania nad pokonanymi.

Patrzmy na tę walkę jako na walkę o cele maksymalne – o niepodległość. I słusznie. Tylko że takim ubocznym efektem walki jest osiągnięcie pewnych korzyści ograniczonych. Na przykład, w naszej historii – w moim przekonaniu – nie byłoby efektu Królestwa Kongresowego, gdyby nie aktywność militarna Polaków w epoce napoleońskiej. Oczywiście możemy powiedzieć, że to było takie prePRL, ale to jednak nie była prowincja rosyjska. Królestwo miało własny sejm, własny rząd i jakąś formę autonomii. W sytuacji narodu takiego, jakim my jesteśmy, uszczknięcie czegokolwiek jest już sukcesem i nadaje tej walce – nawet jeżeli przegranej na takim poziomie militarnym czy politycznym – sens i to nie jest tak, że w tej perspektywie obyło się bez korzyści.

Jeszcze jedna kwestia, o której chciałbym powiedzieć, dotyczy charakteru poszczególnych ludzi, etosu poszczególnych ludzi. Bo my tu-

taj mówimy o racjonalności – czy walka była racjonalna, czy nie. To zależy od tego, z jakiej perspektywy i kto tę rację formułuje? Bo jeżeli zobaczymy człowieka, który ma do wyboru albo żyć w niewoli, albo zginąć w walce, to jeżeli z jego punktu widzenia gorszą rzeczą jest żyć w niewoli i on wybiera śmierć w walce, to dokonuje wyboru racjonalnego. Wybiera to, co jest dla niego większą wartością. Jest takie ciche założenie, że utożsamia się życie z egzystencją biologiczną (a to nie jest to samo!) i że ta egzystencja biologiczna to tak naprawdę jest najwyższą wartością. Gdyby tak rzeczywiście było, w historii całego świata tylu ludzi nie poświęcałoby życia w walce o sprawy wyższe. To nie jest tylko specyfika polska, że my poświęcamy życie. To nie jest tylko specyfika polska, że my walczyliśmy w sytuacjach beznadziejnych. Chociażby walka Irlandczyków – byli praktycznie bez szans, a przecież jak długo oni trwali w oporze i kontynuowali tę walkę. Jest wiele takich narodów. Afgańczycy chociażby – też w beznadziejnej sytuacji...

Głos z sali:

– Kurdowie.

Jerzy Wawrowski:

– Kurdowie. To nie jest jakiś polski irracjonalizm. To jest logika działania człowieka wolnego, gdzie ta wolność płynie z wnętrza i jest konstytutywną cechą osoby. Tak się złożyło, że w Polsce tego typu ludzi, dla których wolność jest cechą konstytutywną, jest na tyle dużo, że my właściwie cały czas mamy ten problem – „bić się czy nie bić”. Ten problem bicia się o wolność cały czas u nas istnieje.

Krzysztof Laga:

— Czy badali panowie w IPN-ie krakowskim relacje między WiN-em a resztką Brygad Wywiadowczych, które zostały po Okręgu Krakowskim AK? Bo wiem, że część dość sprawnie funkcjonowała...

Wojciech Frazik:

– Fenomen krakowskich Brygad Wywiadowczych badałem akurat osobiście. I dlatego mówię fenomen, bo czegoś takiego nie było na innych terenach. A z czego to wynikało? W Okręgu Krakowskim AK nie nastąpiło przekazanie Brygad Wywiadowczych do cywilnego aparatu administracyjnego. W momencie, kiedy była likwidowana „Teczka”, przekazywano również Brygady Wywiadowcze – do Departamentu Spraw Wewnętrznych. I tam miały pełnić funkcje związane z bezpieczeństwem i policją. Natomiast w Okręgu Krakowskim tak się nie stało, bo w Okręgowej Delegaturze Rządu były tak silne wpływy ludowców, a równocześnie Brygady były tak silną strukturą i były tutaj tak silne wpływy – używam tego sformułowania celowo – sanacyjne (z czym ludowcy strasznie walczyli i dlatego chcieli rozwalić „Teczkę”, bo uważali, że to jest sanacyjna konstrukcja w państwie podziemnym). Tutaj nie doszło do porozumienia – Brygady Wywiadowcze przetrwały jako struktura autonomiczna. Nie zostały rozbite przez Sowieców wiosną 1945 roku. Nie mieli do nich dojścia. I zostały przejęte najpierw przez DSZ, a potem WiN. Zostały zniszczone, zresztą też w sposób przypadkowy, ale konsekwentny w sierpniu, wrześniu i październiku 1946 roku. To, co się określa mianem wypadki II Zarządu Głównego WiN-u, tak naprawdę jest zniszczeniem Brygad Wywiadowczych. Niepokólczycki, jak został prezesem obszaru, od razu kazał je rozbudowywać na całą Polskę. Szczególnie to się stało ważne wtedy, kiedy już został prezesem Zarządu Głównego. I to była jedna z jego głównych, równoległych do sieci terenowych, sieci informacyjnych, które przede wszystkim działały w Obszarze Południowym, od Rzeszowszczyzny po Dolny Śląsk, ale również budowały swoje komórki na przykład na Pomorzu, w Łodzi... Zostało to przerwane. Większość ludzi wpadła, jeden człowiek tam ocalał – szef kontrwywiadu – który uciekł, jak się zaczęła ta wypadka w sierpniu w Krakowie. Od 1948 roku bezpieczeństwa miała namierzonego i czekali, co z tego wyniknie. Czy on ich na coś naprowadzi czy nie, a w 1950 roku go zamknęli. Taka najkrótsza odpowiedź...

Głos z sali:

– Przeżył?

Wojciech Frazik:

– Przeżył. Bardzo duża, sprawna struktura, która oprócz tego, że pełniła funkcję zbierania informacji, miała ambicje większe. Chciała również prowadzić działalność propagandową, miała swój pion propagandowy. To właśnie z Brygad Wywiadowczych wyszedł pomysł akcji „O”, czyli akcji odpluskwiania (wzorowanej na akcji „N”) – akcji dywersji psychologicznej w szeregach komunistycznych, którą miały realizować wszystkie struktury terenowe w całej Polsce latem i jesienią 1946 roku. To tylko częściowo weszło w życie i oczywiście wywoływało konflikty ze strukturami terenowymi, które traktowały Brygady Wywiadowcze jako konkurenta. Ciepliński jako prezes Obszaru Południowego był bardzo cięty na Brygady Wywiadowcze, ale musiał je tolerować. Nie miał innego wyjścia. Taka była wola prezesa Zarządu Głównego.

Bohdan Urbankowski:

– Tak jak Jurka Wawrowskiego natchnęła dyskusja w całości, mnie natchnął Jurek Wawrowski, bo wciąż wracamy do wątku, który już wczoraj się pojawił w naszej dyskusji. Mianowicie, historia i mit – jak się jedno do drugiego ma? I co to jest prawda?

Wydaje mi się, że w sensie arystotelesowskim, jak już wczoraj mówiono, prawda nie jest możliwa do osiągnięcia. Są pewnego rodzaju przybliżenia. I co się dzieje? Historyk jak czegoś nie wie, w zależności od tego, czy jest skromny czy jest zadufany, to albo mówi że czegoś nie wie i stawia się w pozycji przegranego, bo nauka jest ułomna i on to potwierdza, albo na pozycji kłamcy. Po prostu wprowadza inne fakty czy też własne interpretacje jako fakty i historię mamy dokumentnie zakłamaną. Mitologia postępuje troszeczkę inaczej. Tu jest inne rozłożenie akcentów, dlatego że też opowiadając historię, wprowadza się pewnego rodzaju irracjonalne, hipotetyczne i bardzo działające na sentymenty tłumaczenia.

Kiedyś, w czasach, gdy jeszcze studiowałem, chyba w socjologii lansowano takie określenie postmarksistowskie, strukturalistów – „bogo-

wie luk”. Luka to było coś, czego nie wiemy. Nie wiemy czegoś o morzu, to mamy Neptuna – on nam to wyjaśnia. Nie wiemy o podziemiach, to będzie Hades. W każdą taką lukę stawia się boga i ma się pozory prawdy. Ma się pozory, że wszystko jest wyjaśnione.

Wracam do Powstania Warszawskiego. Otóż Powstanie Warszawskie nie było pomyślane jako celowa klęska czy ofiara, dlatego że było pomyślane jako zwycięstwo. A to, że z tego wyszło coś zupełnie innego, to w szczegółach żeśmy sobie wczoraj omówili. W momencie, gdy nie ma się własnych sił, nie ma się sojuszników, to sam fakt, że już walczyli dłużej niż te planowane trzy, cztery dni, był sam w sobie nadludzkim wysiłkiem, co trzeba docenić. I w tym momencie zahaczamy już o mityczne myślenie o Powstaniu. Dlatego, że z jednej strony zaczynamy mówić o Powstaniu jak o ofercie. To jest to, o czym wspominałem, że są to jakieś echa romantyzmu, tego mocno religijnego – Polska Chrystusem więc cierpi jak Chrystus. Ale za to zostanie wynagrodzona. Inaczej mówiąc, mamy tutaj wiarę w działanie doczesne, które będzie oddziaływać aż na wieczność. I jest wersja *light*, że Powstanie Warszawskie też będzie oddziaływać na przyszłość, ale tę bliższą – na następne pokolenia.

Tutaj kryje się zupełnie inna koncepcja wieczności. Za pierwszym razem jest to ta wieczność absolutna, do której chcemy dążyć. A ona jest, czy nie jest, nie wiadomo. Za drugim razem wieczność to pamięć gatunku ludzkiego. Dopóki będzie ten gatunek i nie dostanie zaniku pamięci, to ta wieczność istnieć będzie.

Była mowa – i to świetnie pan podkreślił – o procesach politycznych. To wszystko są formy pisania historii od nowa. To ma służyć pokoleniom, czy – mówiąc bardziej brutalnie – ma służyć manipulacji tymi pokoleniami.

Padła tu zarzut, że państwo czegoś nie robi. Jeżeli przyznać, że państwo istnieje... Bo państwo to pewien skrót myślowy, pewien mit. Nie ma czegoś takiego, że w ogrodzie zoologicznym można pokazać: „O, tu, w tej klatce siedzi państwo”. Jest to pewna organizacja wspólnoty. Wspólnoty na dużym terenie, liczna ludnościowo, mająca swoją siłę obronną, taką czy inną (czasem jest to armia, czasem genialne sposoby

dostosowania się: kłamstwa, jakieś barwy ochronne, jak w tytule filmu kiedyś było). Jest to także system oświaty, który w gruncie rzeczy jest próbą stworzenia jednego z wielu instrumentów oświecania ludzi. Ale nawet to, że weszły młodzieżowe zespoły, które zaczęły śpiewać piosenki Żołnierzy Wyklętych. To też jest forma oświaty. Formą oświaty są oczywiście dzieła literatury, filmy. Mamy chociażby *Pokłosie* jako formę oświaty. To jest po prostu przeniesienie problemu na problem wartości prawdy.

Czy na kłamstwo, bo propaganda – zwłaszcza sowiecka – ona wie, że kłamie. To, co pan mówił o reżyserowaniu procesów... Przecież ten mówi takie kłamstwo, tamten inne, my to sklejemy do kupy, a społeczeństwo ma w to wierzyć. Ale my wierząc w to, że to jest kłamstwo i sprzeciwiając mu się, mamy zamknięte usta tym, że my nie będziemy stosowali niegodnych metod. Nie postąpimy tak jak oni, ci parszywcy, którzy kłamią, bo wtedy będziemy takimi samymi parszywcami, którzy kłamią. To jest taki wytrych, którzy załatwia nas na polu, na którym autentyczna prawda się po prostu nie liczy. Nasi przeciwnicy wiedzą, że się nie liczy i stosują świadomie kłamstwa, a my po prostu ulegamy tej presji i boimy się kłamać. Tak to jest.

I teraz, co robić? IPN stosuje taktykę do jakiej został powołany i jaką może, to znaczy minimalizm historyczny. Te dokumenty są. Ten facet, nie wiadomo, czy był szpiclem, ale został odnotowany w aktach IPN jako TW taki i taki. I to jest ten wytrych, dzięki któremu unikamy rozpraw sądowych. Nie mówimy, że ten skurwiel, który na nas donosił przez ileś tam lat, ale że w IPN jest taki świstek, na którym go odnotowano. I tutaj jest problem, bo my uczestnicząc w tej konferencji, chcąc nie chcąc, też uczestniczymy w walce ideowej, bo problem cały czas Polski – Polski współczesnej także – to jest problem ukształtowania świadomości pokoleń. Świadomości naszej, współczesnych, ale także świadomości dzieci i tak dalej, i tak dalej. Więc problem po prostu, na ile IPN znajdzie – może niekoniecznie kłamstwa – ale jakieś formy uwznioślające, formy, które potrafią natchnąć ludzi emocjami, żeby troszeczkę zmienili świadomość ukształtowaną przez kłamstwa pięćdziesięciu lat propagandy.

Można wykorzystać inne środki przekazu, choćby literaturę. Trzeba się uczyć od wrogów. Wielu literatów, jeszcze w czasie stanu wojennego, który już potem był trochę zliberalizowany, nie chciało pracować na państwowym, bo to były grosze i pod pseudonimami pisali tak zwane powieści milicyjne. To było najlepsze źródło dochodu. Ale nie jest powiedziane, że czy Michał, czy ja, czy ty, moglibyśmy pisać. Nam by tego nie dali. Pisali sami swoi z kręgu TW.

Żeby już to podsumować – czy jest możliwość i czy IPN jest w stanie przy tych płacach, które ma – nie chcę ich brzydko nazywać, przy tej kadrze, która jest ograniczona, przy tej ciągłej nagonce i tych wspaniałych obietnicach, zarówno SLD jak i Platformy („Jak dorwiemy się do władzy, to was zlikwidujemy”) – czy IPN jest w stanie prowadzić taką robotę inspirującą? Inaczej mówiąc, rozbudować wydział propagandy przy IPN?

Maciej Gawlikowski:

– Przymanowskiego musicie nowego znaleźć. Może są tu na sali jacyś literaci?

Wojciech Frazik:

– Nie wiem, czy to ja mam odpowiedzieć na to pytanie. Co prawda jestem pracownikiem IPN i to podejrzewam, że jednym z najstarszych stażem... Na pewno w oddziale krakowskim jestem drugim w tej chwili stażem, a pewnie i w Polsce jednym z najstarszych. Ale nie czuję się reprezentantem instytucji jako takim. Natomiast gdybyśmy wrócili do tego, po co w ogóle IPN powstał i jaka ma być jego rola, to on miał być przede wszystkim miejscem, do którego trafią akta. Zawsze się wzdrygam – nie są to akta IPN, tylko są to akta po komunistycznym aparacie represji szeroko rozumianym. Natomiast jest kwestia tego, co zrobić, żeby rzeczywiście – to może dziwnie zabrzmie – z tych akt wynikała jakaś korzyść i jakaś nauka dla społeczeństwa.

Wspomniałem o problemie tak zwanych Żołnierzy Wyklętych. Rola IPN, że jakiś ruch społeczny wokół tego powstał, jest na pewno bardzo duża. Bo ileż razy o tym mówiono, pisano, jak ta sprawa odkłamania

walki po wojnie wyglądała. Ale niewątpliwie jedną z postaci, które trzeba tutaj przywołać jest Janusz Kurtyka. Obok Ligi Republikańskiej, obok Fundacji „Pamiętamy”, niewątpliwie Janusz Kurtyka i środowisko „Zeszytów Historycznych WiN-u” miało tutaj swoją cegiełkę. Ale potem Janusz został prezesem IPN, a niewiele wcześniej prezesem Stowarzyszenia Społeczno-Kombatanckiego Zrzeszenie WiN (ale to jest inna rzecz). Natomiast jako najpierw dyrektor oddziału, a potem prezes IPN, miał nieporównywalnie większe możliwości działania. On był jedną z tych osób, bardzo istotnych, które przekonały prezydenta Lecha Kaczyńskiego do tego, żeby 1 marca był dniem, kiedy o tych ludziach pamiętamy i że wokół tego można coś zbudować. Więc tu jakąś rolę IPN odegrał, ileś działań edukacyjnych prowadził. Nie miejsce, żeby tu wszystko przypominać.

To jest jeden tylko element, który można z tych materiałów, które się tam znajdują wyciągnąć. Tam się naprawdę bardzo różnorodne rzeczy znajdują. Tam są gotowe scenariusze na świetne sztuki teatralne, filmy, książki i tak dalej. Prace naukowe można pisać do końca świata na podstawie tych materiałów, bo to jest wprowadzony do obiegu naukowego największy, nieznanym w ogóle zasób źródłowy. Tam można siedzieć i pisać...

Problem polega na tym, że – oczywiście wiadomo, dlaczego tak było, a nie inaczej – stworzono sytuację taką, że poza bardzo wąską grupą ludzi, większość tych, którzy mogliby być beneficjentami tego, co tam się znajduje, czyli mogliby to wykorzystać w swoich badaniach, w swojej twórczości, omija IPN szerokim łukiem (to jest jeszcze pół biedy) albo na niego pluje, że to jest w ogóle coś strasznego i najlepiej to zabetonować i zlikwidować. Tam jest rzeczywiście bardzo duży potencjał, którego sami pracownicy IPN (który – nie ma tu co ukrywać – też przechodził różne zawirowania w swoich dziejach, już tych dziewiętnastoletnich, kiedy działa rzeczywiście, a nie tylko istnieje w ustawie) nie są w stanie wykorzystać. I to jest taka najkrótsza odpowiedź.

II DZIEŃ (8 CZERWCA 2019 ROKU)

PROF. WIESŁAW WYSOCKI

KONCEPCJA DZIAŁANIA ZBROJNEGO PODZIEMIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ. WYBÓR DROGI CZY KONIECZNOŚĆ?



Przypomina mi się anegdota o tym, że historyk jest bardziej wszechmogący niż Pan Bóg. Bo Pan Bóg przeszłości nie zmienia, a historyk z tego żyje.

Temat całej konferencji jest troszkę obok problemu. Kiedyś zasta-

nawiano się kogo bić. Pamiętamy, że jest Niemiec i Moskal. Zawsze w katechizmie historycznym mówiono, że najpierw Niemca, a potem ruskiego. Bo najpierw obowiązek, a potem przyjemność. Ten dylemat jest trochę obcy, ale wypada mi o nim trochę powiedzieć odnośnie do koncepcji działania zbrojnego podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej.

To się zaczęło już w trakcie wojny, po 17 września 1939 roku przecież. A potem jest sprawa na Kresach, kiedy są zerwane stosunki z rządem polskim w Londynie i NKWD już przystępuje do likwidacji polskiej partyzantki. Potem pojawia się program „Nie”. Jest to program przygotowany na czas wejścia Sowieców i okupacji Polski. Ten program się załamuje. Raz, że mamy wszystkie struktury przesiąknięte agenturą i doskonale Sowieci wiedzą, po co jest ta struktura (zresztą to jest powód, żeby potem zlikwidować tę organizację). I trzeci program to jest operacja „Burza”, kiedy przygotowuje się program systematycznego ujawniania i uczestniczenia w lokalnych powstaniach. To też w gruncie rzeczy nie wypala i nie przynosi efektów, bo owszem, doraźnie mamy działania oddziałów akowskich, ale potem one stają wobec alternatywy: albo zakładacie mundury generała Berlinga i idziecie pod jego komendą, albo pod ściankę, ewentualnie wyjazd na wschód i dawnym szlakiem wizytowanie przestrzeni.

Jednocześnie mamy taką sytuację: ostatni dowódca Armii Krajowej popełnia błąd poprzez likwidację Armii Krajowej. Natychmiast musi stwarzać strukturę, bo jest potrzeba ośrodka decyzyjnego. Tego wymagają oddziały, które jeszcze walczą. Notabene, przecież Białystok tego rozkazu nie przyjmuje i dalej trwa w strukturach akowskich. To jest sytuacja, która nie pozwala widzieć alternatywnie spraw. One są narzucane. My mamy jakiś program współpracy z sojusznikiem naszych sojuszników, ale okazuje się, że Sowieci mają swój program i przede wszystkim mają siłę, którą brutalnie próbują wymusić.

Jak działa podziemie? Ma swoje dowództwo. Jest legalny rząd, który jest całkiem świadomy, że po sześciu latach okupacji społeczeństwo jest zmęczone. Z własnych doświadczeń wiemy jak wygląda sytuacja zmęczenia stanem wojennym (psychicznego przede wszystkim, moral-

nego). I to jest sytuacja analogiczna. I rząd ma świadomość, że trzeba ograniczyć walkę w lesie, bo jest ona biologicznym zniszczeniem społeczeństwa, a tu trzeba ratować biologię, bo jest sytuacja zagrożenia państwa. Póki jeszcze były nadzieje na III wojnę światową, to trzeba było stać z bronią u nogi czy ewentualnie tej broni używać. Ale w momencie, kiedy prysł mit wojny (a w 1947 roku już się zorientowano całkowicie), to tylko zostawał program ratowania ludzi. Dlatego myślano, żeby ci najbardziej zagrożeni mogli przedostać się na Zachód.

Powstał program rozładowywania lasu. Tylko że okazało się to niemożliwe. Owszem, kolejne amnestie to ułatwiały, ale przecież amnestie były po to, żeby potem zidentyfikować podziemie i wyłapać. Przynajmniej selektywnie. Na dobrą sprawę to nie jest żaden wybór drogi, tylko sytuacja, w którą zostaliśmy wrzuceni. I nie ma tutaj, porównując z Powstaniem Listopadowym, kiedy ono wybucha, a potem pojawia się kabotyński akt w postaci partyzantki Zaliwskiego (zresztą całkowicie przez ochronę zinwigilowany) i właściwie tylko parę dni te oddziały czy, mówiąc ówczesnym językiem, partie powstańcze, mogą działać.

Z drugiej strony spójrzmy na sytuację obozu komunistycznego. To komuniści potrzebują legitymizowania za wszelką cenę i udaje im się z Mikołajczykiem. Są próby ściągnięcia z Londynu innych osób. Świerczewski tam jedzie, żeby ściągać. Przecież z trumną generała Żeligowskiego przyjeżdża złoto. I to jest ich sukces. Mamy tę – za wszelką cenę – próbę legitymizowania i pokazania, że do tej tradycji walki komuniści także przywiązują wagę, ale że tylko ten nurt promoskiewski ma prawo być w świadomości obecny. Udaje się iluś akowców przejąć. Także w wymiarze sprawiedliwości zaczynają działać i wydają wyroki śmierci. *Casus* Witolda Pileckiego jest tutaj szczególny. Nie można powiedzieć jak przy Fieldorfie, że inna nacja spowodowała te wyroki.

Wracając do rozwiązania Armii Krajowej przez generała Niedźwiadka. Jest jeszcze Rada Jedności Narodowej, która działa do lipca 1945 roku. Jest jeszcze władza tutaj, która wydaje swoją ostatnią odezwę do narodu polskiego, która jest Testamentem Polski Walczącej.

Do 1956 roku możemy mówić że jest pełna okupacja. Tak zwany prezydent Bierut nie ma nawet polskiego obywatelstwa. W każdym

resorcie są sowietnicy. Wszystkie dokumenty najważniejsze pisane są w języku rosyjskim i później tłumaczone. Co więcej, dopiero w lutym 1957 roku zostaje podpisany układ, na mocy którego obce wojska stacjonują już w PRL. Wcześniej są tylko prawem okupanta.

Wszystkie te elementy musimy brać pod uwagę. Ale to społeczeństwo właściwie do 1956 roku ma swój testament. Potem zaczyna się trochę inaczej. To jest także powstanie poznańskie. Warto pamiętać, że pierwszy bunt to jest Łódź – 1946 rok. I to bunt głodowy, wynikający z tego, że kobiety przy maszynach padają. I rok po wojnie mamy wielki strajk. Dzisiaj o tym nie pamiętamy.

Po rozwiązaniu Armii Krajowej następuje pewna dekompozycja. Jest nurt poakowski, który podporządkowany jest dowódcy sił zbrojnych i tworzy się także ten kierunek winowski. Mamy też ruch narodowy i wreszcie lokalne oddziały, w gruncie rzeczy oscylujące wokół Armii Krajowej.

Musimy jeszcze wspomnieć o pewnej mitologii, która do dziś jest związana ze stratami polskimi w II wojnie światowej. To jest te słynne 6 milionów, które do dziś funkcjonuje w świadomości, w encyklopediach, w dokumentach. To jest decyzja Jakuba Bermana, w momencie kiedy wiceminister z MSZ jedzie na konferencję do Londynu i otrzymuje dyrektywę, że ma taką i taką liczbę podać i to przekazuje. Chodzi o ukrycie też strat na wschodzie, ale nie tylko. Dzisiaj mamy bardzo nieprecyzyjne liczby, to jest 9–12 milionów. Tylko to trzeba jeszcze udokumentować. I mamy podstawowe źródła, bo przecież mamy w urzędach statystycznych wykazy, dotyczące wprawdzie tylko połowy kraju, bo to jest przesuwanie też Polski po mapie. Pamiętajmy, że tu jest cały szereg problemów, bo od części Polaków Polska odeszła, a oni zostali. Z różnymi też konsekwencjami, bo były także możliwości powrotów, ale wielu zostało.

Wydawałoby się, że po latach zmęczenia wojną pozostaje tylko bierny opór – to zresztą sugerował polski Londyn, ale rzeczywistość okazała się niemożliwa. Potrzeba było samoobrony. W wielu sytuacjach przeciwnik wymuszał konieczność walki. Jeżeli na przykład udało się nawet rozładować lasy po amnestii, to bardzo szybko się one zapełniały, bo

nie było po prostu miejsca dla tych, którzy chcieli wrócić do życia. Ich życie było zagrożone i ich determinacja powodowała, że lepiej umrzeć z bronią w ręku niż żyć na kolanach, jak to później sobie śpiewaliśmy. Ale to był ten model i możliwość umotywowania siebie, dlaczego tak wielkie było to zaangażowanie w podziemie powojenne czy w powstanie antykomunistyczne, bo tak dzisiaj coraz częściej jest to nazywane.

Pamiętajmy jeszcze o jednym motywie. Polskie siły zbrojne, które na emigracji liczyły około 200 tysięcy, które wprawdzie rozformowano, ale jednocześnie istniały (pod pewnymi formami ukrytymi) kadry do dalszych działań.

Do tego dochodził wyjątkowo dramatyczny efekt w postaci milczenia sojuszników z Zachodu. Przecież prowokacja, jaką Sowieci zrobili aresztując 16 członków podziemia polskiego i ten późniejszy słynny Proces Szesnastu, kiedy organizowano jednocześnie instytucję Narodów Zjednoczonych. W Nowym Jorku jest otwierana instytucja, która ma gwarantować pokój, a jednocześnie w Moskwie odbywa się proces szesnastu polskich przywódców. Zachodni dziennikarze interesują się tym, piszą. Nawet szlachetnie dziwią się, że Moskale tak niskie wyroki dali w tym procesie. Ale przecież to nie chodziło o to. Kogo chcieli to i tak zlikwidowali. A kogo chcieli to mogli trzymać do śmierci.

Właściwie mamy imperatyw, który sprowadza się do tego, że chodzi o walkę o wolność osobistą. I to się wpisuje przecież w całą dziewiętnastowieczną tradycję polskiego *liberum conspiro*.

Proszę też pamiętać, że jest to pokolenie wychowywane na ideologii propaństwowej. To się udało w okresie międzywojennym znakomicie państwu polskiemu. Stworzono polską szkołę myślenia o własnym państwie. Nawet bym nie rozdzielał na te dwie trumny, które rządziły Polską, bo Dmowski się z tym zgadzał i znajdziemy w jego pismach bardzo wiele uznania dla państwa (nie tylko dla narodu). Uznawał, że państwo jest najwyższym instrumentem dla narodu. To wychowanie propaństwowe było tak szalenie ważne, bo ono w myślenie wносиło też taką kategorię służby. Pojęcie służby było wtedy dosyć powszechne. Dzisiaj się tego pozbywamy i zastępujemy to pracą. Dzięki Bogu jeszcze w wojsku się służy, ale odchodzimy od tego, a wtedy myślano

kategoriami służby swojemu państwu i dlatego było takie ciśnienie, by w tej służbie trwać. Wartości były czymś oczywistym przecież. Mimo zmęczenia wojną i wyczerpania, pewnie także moralnego.

Pamiętajmy też o tym, że niezależnie od tego, że także na Kresach jest partyzantka jeszcze w 1947, w 1949 roku są jeszcze toczone wojny, ale te tereny są objęte granicami republiki komunistycznej. Nie ma regionu, w którym lasy nie byłyby... I nie tylko lasy, bo mamy też partyzantkę miejską. Wykonywane są także wyroki, rozbijane są więzienia. Uwalniani są ci, którzy zostali zatrzymani. Najsilniejsze nasycenie w ramach powstania antykomunistycznego jest na Białostoczczyźnie, także na Lubelszczyźnie, Zamojszczyźnie, na Podkarpaciu, Mazowszu, na Ziemi Łódzkiej, na Kielecczyźnie, na Podhalu. Także na Śląsku i w Wielkopolsce. Ale pamiętajmy też – bo wspomniałem o dzisiejszych kresach – jak wówczas Nowogródczyna, Wileńszczyzna czy Grodzieńszczyzna. Obliczamy, że w konspiracji pozostało około 200 tysięcy ludzi w 1945 roku, z czego 20 tysięcy mniej więcej było w lesie. I tu mamy swoistą analogię do Powstania Styczniowego. W 1947 roku mamy kilkadziesiąt tysięcy ludzi – w samej tej amnestii lutowo-kwietniowej ujawniło się przecież 56 tysięcy, których spora część wróciła do lasu.

Jest jeszcze jeden wątek, mianowicie armia podziemna (myślę o Armii Krajowej). Oni mieli mimo wszystko w ostatnim okresie przyznany status żołnierski, prawa kombatanckie. W tym wypadku ci, którzy walczyli w powstaniu antykomunistycznym, mieli status bandytów i tak ich przecież nazywano. Co więcej, to była formacja ochotnicza (zresztą wszystkie kategorie okresu konspiracji to były kategorie ochotnicze).

Ale wspomniałem tych bandytów. Proszę mi pozwolić na pewną refleksję innego rodzaju, dotyczącą już III Rzeczypospolitej. Miałem okazję zajmować się pewnymi sprawami w Urzędzie do spraw Kombatanatów. To był okres przeglądania dokumentów, także weryfikacji tych dokumentów, bo uprawnień kombatanckich było bardzo wiele. Niezależnie od zaangażowania, wystarczyło być sympatykiem Fidela Castro i dostać uprawnienia kombatanckie. Ale były też takie perełki: „A tych dwóch bandytów w obławie sam pod drzewem rozwaliłem”. I było 20

czy 30 tysięcy takich wniosków do prokuratora o zbrodnie komunistyczne. I proszę mi powiedzieć, ile takich spraw się odbyło? Żadna. A byliśmy przecież państwem prawa, jak nam mówiono. A państwo prawa sprowadzało się do tego, że trzeba było zainteresowanemu jego akta pokazać. A on już poinstruowany przez pewien przemalowany związek przychodził ze swoim życiorysem. „Poprzedni życiorys z lat 50., 60., 80. był składany pod przymusem. Niniejszym składam jedyny prawdziwy...”. Nic już nie było o bandach, o rozwalaniu, bez tych epitetów. Państwo prawa tak wygląda. I to jest bardzo istotny wątek.

Mówi się (i nie jest to do końca przesądzone), że Powstanie Warszawskie uratowało Polskę przed włączeniem do imperium sowieckiego. Proszę pamiętać, że Stalin kazał specjalnej ekipie analizować, dlaczego ono mogło tak długo trwać. W dużej mierze dzięki studniom, które na polecenie Stalina zostały później zabetonowane. Później, w latach 90. mieliśmy taki okres, kiedy mówiono, że woda oligoceńska. To były nieodnawiane, ale obok tych dawnych szybów budowano nowe, bo tamte były zabetonowane. To jest dowód na to, jak bardzo Stalin mógł się obawiać, jak włączenie Polaków w jego imperium może być rozsądkiem bardzo niebezpiecznym i dlatego wołał odgradzić się granicą od i tak zdominowanej Polski.

Te walki... One były na dobrą sprawę wszędzie, w każdym społeczeństwie, w każdym państwie, zwłaszcza w państwach nadbałtyckich, na południe od nas... Ale tutaj było tak bardzo intensywne i tak liczne to podziemie, że wymagało bardzo wielkich sił. W końcu 3 dywizje NKWD były do likwidacji podziemia wykorzystywane. Myślę, że ten dylemat, który jest w tytule mojego wystąpienia jest elementem nie do końca jednoznacznym. Byliśmy w sytuacji przymusowej, zwłaszcza ci, którzy podejmowali walkę. Wynikało to z pewnego ich kręgosłupa, z tego ich charakteru, z podłoża narodowego. Myślę, że to, co Marszałek Piłsudski mówił: „Po ojcu odziedziczyłem zdolności, talent, a po matce charakter”. I charakter cenił sobie szczególnie. Bo człowiek utalentowany bez charakteru jest zerem. Natomiast można nie mieć uzdolnień, ale jak się ma charakter, to jest się kimś. I to byli ludzie z charakterem. Przyszło im zmierzyć się z najgorszą sytuacją. Nie było żadnej nadziei,

że odniosą zwycięstwo. Jedyne mogli pomarzyć, że umrą jako ludzie wolni, z bronią w ręku. I to było ich zwycięstwo.

Jak patrzymy na XIX wiek, to jest szereg powstań. Ale patrzymy na efekt – jednak powstała. Tak samo patrzymy na tych po 1945 roku. Ta ich walka nie całkiem została zapomniana. To, że urzędowo nazwano ich „wyklętymi” (bo tak mówi także ustawa o żołnierzach wyklętych), ale młode pokolenie, któremu próbowano odebrać historię, nazwało ich „niezłomnymi”. I to jest sukces tego pokolenia i sukces tych, którzy walczyli, a my tylko mamy dzisiaj obowiązek ich wszystkich odnaleźć.

DYSKUSJA

Mirosław Lewandowski:

– My tu już wcześniej dyskutowaliśmy o micie tak zwanych „żołnierzy wyklętych”. Było pytanie, na ile jest to mit fałszywy, a na ile prawdziwy. Wydaje mi się, że doszliśmy do wniosku, że nie chodzi o to, czy mit jest prawdziwy, czy nie i że każdy mit ma w sobie elementy nieprawdziwe. Ale w tamtej dyskusji nie zdążyłem zadać pytania, które chciałbym teraz postawić panu profesorowi. Nie pytam o to, czy mit zbrojnego podziemia niepodległościowego, zwany mitem „żołnierzy wyklętych” jest mitem prawdziwym, czy nie, ale czy jest mitem szkodliwym, czy nie? Czy buduje on polską świadomość narodową w sposób należyty? Czy należyte kształtuje polską młodzież? Czy wyrabia w niej odpowiednią postawę? Czy upowszechnia odpowiednie wartości?

Skąd moje pytanie? Nie ukrywam, że wobec pozytywnego wpływu tego mitu jestem bardzo sceptyczny. „Ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie pluć na godło” (jest taka piosenka) – tu się zgadzamy. Moja obawa związana z mitem „żołnierzy wyklętych” dotyczy tego, czy to się nie przeradza w taką postawę, która dzisiaj jest nie do zweryfikowania. Bo dzisiaj życia za ojczyznę oddawać nie trzeba, więc każdy z nas może powiedzieć, że chętnie by je oddał. Ale czy taka postawa nie niesie za sobą przesłania, że miłość do ojczyzny polega na tym, żeby oddawać za nią życie? Czy to będzie mądre, czy głupie, czy ta walka będzie miała sens, czy nie – ojczyzna wymaga od ciebie, żebyś oddawał za nią życie. Ja nie mówię, że taka była motywacja ludzi, którzy wtedy walczyli, tylko mam wątpliwość co do tego, jak dzisiaj próbuje się przedstawić ich motywację. Nie mówi się o tym, że to nie była kwestia wyboru ludzi w lesie, bo gdyby się ujawnili, to by ich zabito. Oni nie mieli wyjścia. Czy nie należałoby raczej wśród młodego pokolenia propagować takiego patriotyzmu, który wymaga od nich pewnego wysiłku intelektualnego. Charakter, wola, miłość do ojczyzny, to wszystko jest ważne,

ale przede wszystkim potrzebny jest wysiłek intelektualny i praca dla Polski, a nie to, żeby dać się zabić dla Polski.

Wiesław Wysocki:

– To jest rzeczywiście istota pytania. Ja pamiętam, że pokolenie Kolumbów, pokolenie niezłomnych, chciało tylko wspaniale żyć. Zachowując swój kodeks, swoje zasady, ale chciało przede wszystkim kochać i być szczęśliwe. Ale przyszedł taki czas, kiedy trzeba było podjąć decyzję i stanęli, bo tak trzeba było. Taki był imperatyw. I jeżeli próbujemy dzisiaj patrzeć na naszą historię pod kątem martyrologicznym, to rzeczywiście będziemy tylko po cmentarzach chodzić. I to jest trochę przerażające.

Zresztą, jak państwo zapewne pamiętają, jest film o Lechu Kaczyńskim. Tam jest (z powołaniem się, chyba, na Jarosława Sellina) przedstawiona taka scena, gdzie politycy, którzy odwiedzali Lecha Kaczyńskiego, mówili o tym, że Polacy to taki martyrologiczny naród, że właściwie tylko powstania, walka i groby. I on wtedy, z taką pewną dezynwolturą, mówił: „Spójrzcie na Polskę jako na kraj, który uratował Europę przed Tatarami, przed Turkami, który uratował Europę przed bolszewikami, który stworzył największy ruch w Europie, który obalił komunizm. I wtedy okaże się, że Polacy będą inaczej trochę wyglądać”. I to jest nasza umiejętność spojrzenia. Przeżyliśmy już bardzo wiele. Wmawiano nam pedagogikę wstydu. Że mamy się tłumaczyć wszystkim za wszystko. A ja myślę, że to inni powinni się tłumaczyć wobec nas z tego, że zbyt często byliśmy sami. A jeżeli chodzi o to, to myślę, że bez życiorysów i przekazów choćby z postaci Pileckiego, Ciepłińskiego, byśmy byli ubożsi cokolwiek, gdyby te postaci były do dziś nieme. A tak, to wiemy o nich więcej i są to wzorce wychowujące.

Mariusz Olszewski:

– Chciałbym tylko powiedzieć, że kończę dyskusję za pięć ósma i o ósmej zapraszam na kolację przy ognisku.

Panie profesorze, to jest bardzo ciekawy czas. Coś się zaczęło dziać po 30 latach marazmu historycznego. I zaczęło się właśnie od Żołnie-

rzy Niezłomnych. I to młode pokolenie wydobyło na światło dzienne to, co zostało zapomniane przez tyle lat. Ja świeżo jestem po lekturze *Listy Wächtera* Magdaleny Ogórek, gdzie ona w podtytule napisała, że to są ostatni jeńcy II wojny światowej. Podobnie jak w pana wystąpieniu zszokowały mnie liczby. Pan tu podaje tezę i do tego będzie moje pytanie – 9–12 milionów. To jest znaczna różnica. Pomiędzy 6 a 12 jeszcze większa – to jest dwa razy tyle. To nie jest pomyłka o 5, czy 10% tylko 100% więcej. Prosiłbym o rozwinięcie tego wątku.

Zamykając swoje wystąpienie, powołując się właśnie na *Listę Wächtera*, chciałbym stwierdzić, że Polska to nie tylko groby i nie tylko ofiary. Planowo zrabowano dzieła sztuki, które były własnością prywatną lub też muzealną na terenie II Rzeczypospolitej, ich wartość szacuje się na około 0,5 miliona. Magdalena Ogórek mówi, że wspólnie z innymi historykami sztuki szacują, że to mogło być do 1,5 miliona. Ministerstwo Kultury ma sklasyfikowanych takich obiektów, które były a zniknęły, 63 tysiące. Przy 1,5 miliona to jest nic. Odebrano nam całe dziedzictwo. Myśmy byli narodem na bardzo wysokim poziomie rozwoju, także kulturalnego. Jeżeli chodzi o zbiory, nie tylko o dzieła sztuki w postaci obrazów, ale także książki, rękopisy i tak dalej. To wszystko gdzieś tam jest. To nie jest prawda, że to w Powstaniu Warszawskim wszystko zginęło. Oni po upadku Powstania Warszawskiego wywozili rzeczy całymi pociągami. Wächter – syn gubernatora Wächtera, który okradał systemowo polskie zbiory, w pewnym momencie, chyba z odruchu resztek sumienia, przywiózł do Warszawy jakieś trzy dzieła. Może nie jakieś wielkie czy istotne, ale to był gest. Wyobraźcie sobie taką sytuację, że tenże Wächter pisze potem do Magdaleny Ogórek, żeby ona przysłała mu wszystkie przelewy, rachunki (bo ona go zaprosiła do Polski, zapłaciła mu za podróż, za hotel, wyżywienie, łącznie z tym, że jak się tutaj poruszał, to też mu płaciła za bilety). On ją prosi, ponieważ urząd państwowy austriacki zwrócił się do niego z takim delikatnym zapytaniem, czy on nie ma za dużo pieniędzy i, w domyśle, nie chce stracić emerytury, bo on jakimś Polakom coś oddaje i czy jego stać na to? I ona musiała to wszystko mu wysłać, żeby jemu ten ichni ZUS nie odebrał emerytury.

Wiesław Wysocki:

– Zaczniemy od Auschwitz. Bardzo długo żyliśmy w przekonaniu, że w Auschwitz zginęły 4 miliony ludzi. Potem przyszły badania doktora Pipera i okazało się, że 700 tysięcy (z jakimś ułamkiem). Zaprotestowały nasze środowiska, zwłaszcza więźniarskie. Jeszcze wtedy żyło niemało tych, którzy przeszli przez ten obóz. Ale nikt się tym nie interesował. Jak zaczęły protestować organizacje żydowskie, natychmiast podniesiono tę liczbę do 1,4 miliona. To jest 1990 rok (pamiętam doskonale, bo proponowano mi funkcję dyrektora muzeum oświęcimskiego i uczestniczyłem w tych wszystkich dyskusjach). To jest tylko dowód, że jak badacz rzetelnie sięgnie do zachowanych źródeł niemieckich...

Notabene, jak Sowieci zajęli te tereny, to mnóstwo rzeczy spakowali do worków i nawet ich nie otwierali. Ileś lat temu przekazali te worki z dokumentacją niemiecką do muzeum. Dlaczego o tym wspominam? To jest przykład beztroski w stosunku do wielkich liczb. Nawet spotkałem się wśród polskich badaczy – jeszcze na emigracji – że te liczby strat polskich podnoszono do 16 milionów. Ale to trochę intuicyjne. Ja mówię dziś o tym, co mniej więcej, ci którzy zajmują się liczbami przekazują. Ja optuję za tą niższą liczbą – 9 milionów, bo wydaje się, że bardziej ją można udokumentować.

Mamy cały szereg zjawisk, który jest trudny do zdefiniowania. Jak traktować obywateli polskich, którzy zamieszkiwali Rzeczpospolitą, ale potem deklarowali się być tylko Litwinami albo tylko Ukraińcami? To jest w dużej mierze uzależnione także od własnych wyborów. Poza tym nie znamy ciągle strat na Wschodzie. To problem, z którym wciąż musimy się borykać. Ja podałem na podstawie ustaleń i dyskusji, jakie w kręgu badaczy IPN-owskich się pojawiły. To są liczby, dla których należałoby dzisiaj szukać uzasadnienia.

To bardzo wstępne kalkulacje. Po to w tej chwili weszliśmy w kontakt ze stowarzyszeniem statystyków polskich, żeby wykorzystać także ich badania, to wszystko, co jest w tak zwanych aktach wójtowskich z 1945 roku czy z 1947 roku. To dotyczy tylko połowy, ale to są najbardziej wiarygodne dane o stratach w gminach polskich.

Nie ma żadnej instytucji... Do tej pory nie byliśmy zainteresowani,

żeby nasze straty ludnościowe określić. Chwała posłowi Mularczykowi, że wreszcie dotknął problemu materialnych strat wobec okupanta niemieckiego.

A co z tym drugim? A przecież ile oni narabowali dzieł? Ja zacząłem w 1990 roku jeździć służbowo do Lwowa w sprawie cmentarza Orląt. Te rozmowy nic nie dawały, ale akurat z innych powodów sprawa posuwała się dalej. Zaprzyjaźniłem się z konsulem ówczesnym – a to jeszcze był Związek Sowiecki, więc szczególna sytuacja. I on mówi: „Słuchaj, masz paszport dyplomatyczny, więc może zabrałbyś do kraju parę rzeczy, które tutaj Polacy w obawie, że ich żywot wkrótce się skończy, przekazali mi, żeby zabrać do kraju. Może zabierzesz i przemycisz? Bo jak ja będę załatwiał, to przez Moskwę muszę i zawsze coś za coś trzeba im dać. A nabrali tyle, że już im nic nie chcę oddawać”. Przewiozłem to i dzisiaj mam satysfakcję, bo jak idę na Zamek Królewski to widzę trzy obrazy, które przewoziłem. I w Muzeum Sportu jest też ładna statuetka. To daje satysfakcję, że coś dało się dołożyć do tego, co mogło być utracone.

Ale rzeczywiście, problem rewindykacji... Okazuje się, że najbardziej jeszcze można coś uzyskać ze Stanów Zjednoczonych, natomiast przepisy w państwie niemieckim czy austriackim są tak bardzo jeszcze z ducha okresu hitlerowskiego!

Nie mówiąc już o tym, że w prawie niemieckim ciągle jest odpowiedzialność zbiorowa za próbę zamachu na władzę. Władza Adolfa Hitlera była władzą legalną. W związku z tym ci, którzy próbowali go usunąć przemocą, oni, ich rodziny i potomkowie nie mają prawa do opieki ze strony państwa niemieckiego. To jest dzisiaj jeszcze obowiązujące w przepisach arcydemokratycznych państw prawa.

Wojciech Frazik:

– Mnie Mirek Lewandowski sprowokował do zabrania głosu. Częściowo pan profesor odpowiedział na to, ale jeszcze raz powtórzę. Czasami mam wrażenie, jakbyśmy żyli w innych rzeczywistościach. Chodzi mi o mit i przekaz mitu o Żołnierzach Wyklętych. Mówiłem o tym już przy okazji dyskusji po moim referacie, że my przecież nie obracamy się

w kręgu historii i studiowania życiorysów poszczególnych osób. To się zdarza – ale powiedziałbym, że to są życiorysy naprawdę wybrane, osób będących pewnymi symbolami, czyli Inka czy Pilecki. To są postacie w tych młodych środowiskach najbardziej popularne. Natomiast to, co jest istotą tego przekazu, jest zwrócenie uwagi na wartości, jakimi ci ludzie się kierowali i dla których umierali. I absolutnie kwestia Żołnierzy Wyklętych, to nie jest kwestia, żeby nauczyć ludzi bezmyślnego umierania za Ojczyznę, tylko że musisz tej Ojczyźnie coś dać. Nawet swoje życie. A Pilecki jak jest pokazywany to jako dobry gospodarz, jako innowator w kulturze rolnej, jako ten, który wprowadzał spółdzielnię, jako ten, który stworzył szwadron „Krakusów” i tam wychowywał okolicznych chłopów. Jako ten, który miał mnóstwo talentów, rozwijał je i służył nimi otoczeniu. To się pokazuje jako pewien wzorzec osobowy. Oczywiście nie każdego żołnierza, partyzanta można pokazać jak Pileckiego. I nie każdego się tak pokazuje. To oczywiście być może trochę idzie w takim kierunku, ale w ilu takich działaniach brałem udział przez wiele lat, to jednak zawsze starano się wybrać takie postaci, które są wzorcami bezdyskusyjnymi. Oczywiście były takie środowiska, które sobie na sztandary wzięły kogoś innego.

I są takie postaci, które będą wzbudzać kontrowersje i będą powodem pewnych nawet konfliktów, łącznie z międzynarodowymi, tak jak Rajs– „Bury” – na Podlasiu. Ale to, że pewni ludzie biorą sobie akurat jego na sztandar, to wynika z lokalnych uwarunkowań politycznych, a nie z tego, że się tworzy mit Żołnierzy Wyklętych. Ktoś w pewnym momencie to przejmuje, bo ma swoje cele, które chce zrealizować.

Ale idea generalna jest taka, że to są ludzie, dla których państwo, to bardzo ważny element. Kwestia wychowania państwowego i służby państwu. Ci ludzie walczyli o niepodległość Państwa Polskiego. Właśnie myślenie propaństwowe, niezależnie od ich postawy osobistej i cech charakteru, to jest to, co chce się wprowadzić młodemu pokoleniu, któremu przez ileś lat mówiono, że dzisiaj patriotyzmem to jest zbieranie kupy po jego psie. Bo przecież tak się mówiło. Taki jest przekaz publiczny.

Bardzo się dziwię, że ty, Mirku, tego nie rozumiesz. Powiem ina-

czej. Pokolenie II Rzeczypospolitej miało jako bohaterów Powstańców Styczniowych. Jest rok 1913, jeszcze przed I wojną światową. Pięćdziesiąta Rocznica Powstania i wielkie obchody we Lwowie. Nie zastanawiano się nad tym, jak który się zachował i czy ta walka była słuszna, czy nie, tylko pokazano ludzi, którzy byli gotowi chwycić za broń. Pokolenie powstańców styczniowych było niesłuchanie honorowane w II Rzeczypospolitej i ci ludzie siedmio-, ośmio-, dziesięcio- czy piętnastoletni spotykali się z tymi starcami siwymi, którzy dostali od państwa mundury i stopnie oficerskie i to był wzór osobowy.

My dzisiaj nie możemy się odwołać do Powstania Styczniowego, ale można było się odwołać jakiś czas temu do Żołnierzy Wyklętych. Dzisiaj to są już naprawdę niedobitki, ale w latach 90. tych ludzi była masa. Znam to środowisko, obracałem się w nim. Można było ich pokazać, że to jest ten pan, który walczył siedem lat w lesie, a potem siedem lat siedział w kryminale i komuniści męczyli go za to, że kochał Polskę. A teraz pomyślcie, czy wy też kochacie Polskę. To taki banalny przekaz, ale...

Mirosław Lewandowski:

– Aż mnie trzepie jak to słyszę...

Wojciech Frazik:

– A zainteresujesz młodego człowieka tym, że powiesz mu tak: „Masz myśleć dla Polski, masz wykonywać pracę intelektualną”. Nie porwiesz tym młodych ludzi! Oni wykonują taką pracę intelektualną, na jaką ich stać. Musisz odwołać się do emocji, do uczuć!

Andrzej Chyłek:

– Dla mnie jest niewystarczające mówienie o tych ludziach, których jedni nazywają wyklętymi, a inni niezłomnymi. Mnie przekonuje niezłomność a nie wyklętość, bo to my powinniśmy dbać o poprawność językową i nie poddawać się temu, co narzucili nam komuniści tak naprawdę.

Wojciech Frazik:

– Termin „żołnierze wyklęci” pojawił się po 1989 roku. W miarę wiadomo kto, chociaż pewne polemiki trwają...

Andrzej Chyłek:

– Dobrze. Ja mówię o tym, że skoro już zaczynamy dbać o pamięć o tych ludziach, to poprawność językowa przynajmniej z naszej strony powinna być taka, żeby oddać im chwałę za to, co robili, a nie dbać o to, jak nazywali ich komuniści, którzy nie dość że niektórych oficerów, żołnierzy, wieszali – co jest dla żołnierza hańbą – to jeszcze nazywali ich wyklętymi. I poprzez nazywanie ich wyklętymi jakby dopisujemy się do tego.

Głos z sali:

– Nie masz racji.

Andrzej Chyłek:

– Teraz zapominamy, moim zdaniem, nie tylko o tym, żeby wypuklić zasługi tych ludzi, ale też nie byłoby Żołnierzy Niezłomnych, gdyby nie było całego otoczenia, które było mordowane, prześladowane, więzione. A nie było żołnierzami, tylko było ofiarami wyłącznie dlatego, że żywiło tych żołnierzy, dbało o to, żeby oni mieli gdzie przenocować. Czasami cierpieli gorzej niż żołnierze. Też przez śledztwa przechodzili, byli łamani, torturowani. I o tym się bardzo mało mówi. Moim zdaniem powinniśmy zadbać o to, żeby coraz więcej o tych ludziach mówić.

Piotr Wójcik:

– W tym co Mirek Lewandowski mówił, wyczuwam pewną prowokację. Mamy tu problem rozdzielania pokolenia Kolumbów od pokolenia Żołnierzy Wyklętych. Kolumbowie, jak rozumiem, dla nikogo nie są kontrowersyjni, a Żołnierze Niezłomni są kontrowersyjni. Dlaczego? Nie ma żadnego powodu, żeby to tak rozdzielać. Ta dychotomia jest całkowicie fałszywa! To jest ciągłość. Nie ma też cienia prawdy

w takiej dychotomii „Walczyć tylko za Polskę i umierać” jako apoteoza klęski i przeciwstawienie tego idei pracy dla Polski! Oni byli wychowywani, jako na przykład harcerze, gdzie pisano „wczoraj, jutro, pojutrze”, gdzie przygotowywano myślenie i wychowanie w tym kierunku, że myślimy o tym, jak budować Polskę. Na razie o nią walczymy, ale potem będziemy ją budować. Wydaje mi się, że to przeciwstawianie budowy, etosu pracy dla Polski i walki Niezłomnych jest fałszywe. Nie da się w sposób logiczny i zgodny z historią i znanymi nam faktami, postawami i tak dalej, uzasadnić istnienia takiego rozdziału. Niczym się nie różnił „Zapora” jako komendant oddziału Armii Krajowej w czasie okupacji niemieckiej od dowódcy oddziału w czasie powstania antykomunistycznego. To był ciągle ten sam „Zapora”. I nie był człowiekiem, który myślał wyłącznie o walce. Myślał o tym także, co będziemy robić, pracując dla Polski. Miał odpowiedzialność za swoich żołnierzy i rozładowywał swój oddział między innymi dlatego, że był odpowiedzialny za swoich podwładnych. Wydaje mi się, że istota nieporozumień i pewnego polityzowania tematyki „wyklętyzmu” – jak niektórzy brzydko mówią – zasadza się na tych dwóch fałszywych dychotomiach – przeciwstawienia Wyklętych Kolumbom i przeciwstawienia walki i pracy dla Polski, co uważam za celowe fałszowanie.

Jan Chojnacki:

– Temat rzeczywiście bardzo ciekawy. Tak się złożyło, że ja jestem wychowankiem Marii Pileckiej, żony rotmistrza Witolda Pileckiego. Oczywiście o tematach tu poruszanych mogę wiele godzin opowiadać z własnej autopsji. To wychowanie, które ta kobieta tak cierpiąca... Bo była cierpiąca. Ja zostałem przygarnięty przez Marię Pilecką. Maria Pilecka była nauczycielką. Później dostała zakaz pracy, ale była też osoba wspaniała, która ją przyjęła do pracy i wychowywała w ognisku młodzież.

Głos z sali:

– Dziadek Lisiecki też.

Jan Chojnacki:

– Tak. Kazimierz. Otóż chciałem powiedzieć, że metoda wychowawcza, którą przekazała nam – młodym ludziom – była niesamowita. Pokrywała się jednocześnie z tym, co tu mówiliśmy. I była nastawiona na pozytywizm. Taki pozytywizm, jaki był rozumiany w wieku XIX. I to też wiąże się z tradycjami popowstaniowymi. Otóż metoda ta kierowała nas, młodych, na to, że musimy robić coś dobrego dla innych. Dla kraju, dla ojczyzny. Słowo „ojczyzna” było bardzo poważnie traktowane w tej metodzie wychowawczej. Za tą pozytywistyczną postawą kryła się również nauka wielkiej miłości do ojczyzny, do Boga i do zasad, do honoru. Dzisiaj, jak patrzę z perspektywy lat, na to, czym zostałem napojony jako młody człowiek, mogę powiedzieć, że była to niesamowita lekcja miłości do bliźnich, do ojczyzny, do zasad, które w tamtym środowisku młodych ludzi były wręcz napiętnowane. Kłamstwo, obłuda, fałszywe oskarżenia...

Głos z sali:

– Honor przede wszystkim.

Jan Chojnacki:

– Nie będę tu zanudzał, ale jestem naprawdę w stanie zaświadczyć, że tak ciężko doświadczona osoba – żona rotmistrza Pileckiego – zdobyła się na tak olbrzymie poświęcenie, że wiedząc, iż właśnie za te wartości, które były przez niego uszanowane aż do śmierci ona dalej – to były lata 50. – ona uczyła młodych ludzi. I dzisiaj wielu z tych ludzi jest wartościowymi obywatelami tego kraju, na różnych stanowiskach, na różnych działaniach, które są wspierane przekazywaniem tej wiedzy i dalszej nauki młodym ludziom.

Mirosław Lewandowski:

– Ja jedną kwestię muszę wyjaśnić. Bo wychodzi na to, że jestem wrogiem Witolda Pileckiego. Wyraźnie powiedziałem, że jestem wrogiem tego, jak on jest dziś młodym ludziom przedstawiany. Z całego Pileckiego zostaje tylko to, że mu zagipsowali twarz i że mu strzelili

w tył głowy. To, co mówiłeś o Pileckim, tego żaden młody człowiek nie wie!

Głos z sali:

– Nieprawda. Akurat o Pileckim bardzo dużo wiedzą.

Andrzej Anusz:

– Czuję w tym sporze zagrożenie, że mit Żołnierzy Niezlomnych może być zinstrumentalizowany politycznie. Czuję jeden motyw, który może być niebezpieczeństwem. Solidarność jako ruch społeczny zawsze odwoływała się do Armii Krajowej. I to zaczyna przypominać rozmowę, że jest Solidarność, ale jest też Solidarność Walcząca i ona będzie się odwoływała do Żołnierzy Niezlomnych. I to jest spór, kto jest lepszy i takie niebezpieczeństwo instrumentalizacji wisi w powietrzu. To tak kierunkowo, ale myślę, że powinniśmy działać w kierunku, żeby to starać się rozminowywać, jakby ktoś miał takie pokusy.

Wiesław Wysocki:

– Dziękuję za przypomnienie pani Marii, bo to jest też szczególna osoba. Proszę sobie wyobrazić, że ona powinna mieć uprawnienia kombatanckie z racji pracy w tajnej oświacie już w czasie wojny. Już pod koniec jej życia zaistniał taki wypadek, że Zosia – jej córka – musiała pójść do szpitala i chodziło o to, żeby panią Marię umieścić w ośrodku, który jest pod opieką Urzędu do spraw Kombatantów. Okazało się, że ona nie ma uprawnień. Ani po mężu, ani z własnych zasług. Zakończono już przyznawanie uprawnień.

Jan Chojnacki:

– Nigdy się nie upominała.

Wiesław Wysocki:

– Nigdy. Bo o sobie nigdy nie myślała po prostu.

Jan Chojnacki:

– A w którym to było roku?

Wiesław Wysocki:

– W 1997 albo w 1998 roku. Poszedłem do ministra i świadomie złamaliśmy prawo. Właśnie dla niej. Ale to tylko taki element.

Proszę państwa, w dużym stopniu to pokolenie było ukształtowane przez szczególny rodzaj wychowania. Dom, szkoła, podwórko, Kościół, koszary. Wszystkie instytucje mówiły tym samym językiem wartości. Dzisiaj mamy rozdwojenie. Mamy system wartości partyjnych. I to powoduje, że nauczyciele dzisiaj boją się mówić o historii najnowszej, bo nie wiedzą, jakie poglądy ma inspektor czy kurator. Bo można podpaść. I to jest dramat. Dzisiaj szkoła nie wychowuje. Uczy. Źle, ale to inna historia, bo dwa resorty edukacyjne w takim kraju, to jest zdecydowanie za dużo. Proszę państwa, Dürer namalował kiedyś obraz matki. Namalował młodą śliczną dziewczynę. I wszyscy się dziwili: „Przecież twoja matka jest staruszką. Ma twarz pomarszczoną czasem. A ty namalowałeś piękną dziewczynę”. A on odpowiedział: „Ja nie namalowałem jej wyglądu, ja namalowałem jej miłość”. I tak patrzono wówczas na swoją historię, na historię swojego kraju. I to jest nam bardzo potrzebne. A że są mity? Mity mogą być bardzo twórcze. W walce o wolność Stanów Zjednoczonych walczyło trzech Polaków. Mamy „Pulaski day”, tradycje kościuszkowskie, tutaj i za wielką wodą. O trzecim nikt nie pamięta, bo walczył po niewłaściwej stronie. Podczas gdy Niemców po obu stronach było kilka tysięcy, tylko że oni nie mają swojego „day”. Mit jest czasem twórczy i warto czasem na takich mitach budować.

DR BOHDAN URBANKOWSKI
DR ANDRZEJ ANUSZ
ZBIGNIEW JACKIEWICZ

**OKRĄGŁY STÓŁ. KONCEPCJA POLITYCZNA, ZAŁOŻENIA I
REZULTATY. REALISTYCZNA DROGA CZY NIEPOTRZEBNA UGODA?**



Maciej Gawlikowski (moderator dyskusji):

– Mamy rozmawiać o Okrągłym Stole. Zniknął dylemat „Bić się czy nie bić”. W kontekście obrad Okrągłego Stołu byłby elementem humorystycznym. Dzisiaj ludzie deklarują, jak to by chętnie przelewali krew za Ojczyznę. Na portalu Karnowskich ukazała się kiedyś taka sonda dla czytelników: „Czy przelewałbyś krew za Ojczyznę?”. Oczywiście, jak nietrudno się domyślić, 99% z przyjemnością by przelała. Dyskusje o Okrągłym Stole często przypominały taką sondę: „Czy przelałbyś

krw za Ojczyznę, czy wolałbyś zgnić kompromis Okrągłego Stołu?”. Mam nadzieję, że tego dzisiaj unikniemy.

Chciałbym zacząć od dwóch spraw. Pierwsza – to przypomnienie sytuacji opozycji, sytuacji Polski roku 1988 – po stanie wojennym, po tym bardzo silnym uderzeniu i rozbiciu opozycji.

Pierwsze symptomy chęci ze strony władzy dogadania się z częścią opozycji – jak widać teraz po tych wewnętrznych dokumentach władzy – nastąpiły dość szybko. Kiedy w ogóle po raz pierwszy pojawia się pojęcie Okrągły Stół? Otóż pojawia się w liście Mieczysława Franciszka Rakowskiego do generała Jaruzelskiego, w którym analizuje sytuację polityczną i daje dobre rady. Główną dobrą radą jest to, że należałoby stworzyć Okrągły Stół z udziałem Kościoła i części opozycji. List ten jest datowany dokładnie na 31 sierpnia 1983 roku. Oczywiście nie chodziło mu o to, co powstało później. Była to pierwsza chęć jakiegoś rozwiązania, wybrnięcia ze stanu wojennego, który udał się w sposób umiarkowany.

W 1988 roku sytuacja wyglądała tak. Solidarność była mocno rozbita. Od połowy lat 80. – bardzo słaba. Rok 1985, 1986 to jest załamanie kompletne działalności podziemnej, to jest rozkład struktur związkowych – kompletna agonia. Jeżeli chodzi o inne organizacje, to NZS jest bardzo podzielony. Jest bardzo różnorodny politycznie. Nie jest organizacją scentralizowaną. Trudno brać pod uwagę NZS jako siłę polityczną.

Od roku 1987 znacznie rośnie siła KPN-u. KPN jest siłą scentralizowaną, zarządzaną – w przeciwieństwie do wielu innych organizacji, w których każdy robił, co chciał. Ma program polityczny i ewidentnie idzie do przodu, prowadząc działalność jawną, praktycznie od roku 1986, otwierając biura i pozyskując w ten sposób wielu ludzi.

Radykalną część opozycji stanowią też inne siły (jeżeli tu można mówić o jakiejś sile politycznej, bo one nie odgrywają większej roli i są stosunkowo mało liczne, brak im programu i brak im jednolitego kierownictwa). PPS jest po bardzo silnych uderzeniach. Zaraz po powołaniu tej partii nastąpiła praca dezintegracyjna ze strony SB i myślę, że to jest główna przyczyna rozkładu PPS. To, że nie powstanie silna partia

socjalistyczna, to było jedno z założeń władz i bezpieki, które udało im się zrealizować. To było dla nich bardzo duże zagrożenie i rzucili bardzo duże siły, żeby ten PPS się ze sobą skłócił i nie był w stanie działać. Pozostaje nam jeszcze SW, która dziś, w tej polityce historycznej, jest kreowana na potęgę, na „podziemną armię”. Rzeczywistość była całkiem inna. SW działa bardzo dobrze jako klub wydawców prasy podziemnej. Liczba tytułów, które się ukazują jest imponująca, ale nie przekłada się to w żaden sposób na siłę polityczną. Wiele ośrodków SW w ogóle nie ma kontaktu z Wrocławiem, z centralą.

To jest sytuacja przed Okrągłym Stołem.

Kluczowa jest sytuacja w Związku Sowieckim, którą się rzadko bierze pod uwagę. A to właśnie sygnał do poluzowania, do rozmów, do tej polskiej odmiany „pierestrojki”, przychodzi, moim zdaniem, ze Wschodu. I to jest decydujący powód, dla którego ekipa Jaruzelskiego podejmuje rozmowy. Może żeby ograniczyć całą grę wstępną, przedstawię moje tezy. Wiem, że panowie się z nimi nie zgodzą. I o to chodzi.

Mówiąc o Okrągłym Stołu mówimy o całości tych rozmów części opozycji i Kościoła z komunistami. Rozmów rozpoczętych na początku 1988 roku, a nie – jak się bardzo często mówi – dopiero po strajkach sierpniowych. Trwa to do zakończenia obrad plenarnych. Jest to proces wymuszony przez władze ZSRS. Ogromne znaczenie i w koncepcji, i w przebiegu, i w finale Okrągłego Stołu ma Kościół katolicki (właściwie decydujące). Pierwsze rozmowy prowadzące do Okrągłego Stołu prowadzą ludzie mający jakiś tam mandat ze strony Kościoła: Andrzej Stelmachowski, Andrzej Wielowieyski, Jan Olszewski. Dopiero znacznie później dołączają Geremek i Mazowiecki (również zresztą jakoś związany z Kościołem).

Głos z sali:

– A jednak nie ograniczasz tej gry wstępnej...

Maciej Gawlikowski:

– Ograniczam.

Główny sukces Okrągłego Stołu, czyli czerwcowe wybory, to jest

koncepcja „czerwonych”, przeforsowana przez „czerwonych” przy Okrągłym Stole przy kompletnym braku zainteresowania strony solidarnościowej. O tym też się dziś zapomina.

Kończąc, uważam, że Okrągły Stół był jakimś ograniczonym sukcesem, który doprowadził nas do wyborów czerwcowych, które z kolei znacznie posunęły nas do przodu i rozpoczęły całkowity rozkład systemu. Oczywiście można było zrobić dużo więcej. Z wielu powodów tego nie zrobiono.

Bohdan Urbankowski:

– Kolejne spotkanie poświęcone trochę mitologii narodowej i uproszczeniom językowym, dlatego że mówienie o częściowo wolnych wyborach to troszeczkę jak odpowiedź pewnej pani na pytanie o dziewictwo: „Częściowo jestem”. Tak to jest i z tymi naszymi wyborami czerwcowymi. Czy mogły się skończyć lepiej? Gdyby nie zapadły wcześniej ustalenia – nie tyle przy Okrągłym Stole, co w Magdalence, bo to jest kluczowe tu hasło – prawdopodobnie tak. Ale historia nie jest domeną gdybań.

Mogę tylko powiedzieć parę rzeczy tytułem uzupełnienia. Otóż gdyby Gorbaczow dał prikaz wcześniej – on sam objął władzę w 1985 roku przecież – wtedy te procesy u nas też nastąpiłyby trochę szybciej. Moim zdaniem, co najmniej (jeśli nie bardziej ważnym) bodźcem było to, co my nazywamy buntem młodego pokolenia Solidarności, a co tak naprawdę nie było buntem młodych związkowców. Bo jeżeli za tych młodych uznamy Gwiazdę – o ile dobrze pamiętam 1935 rok... Jeszcze jest Świtoń, ogromnie popularny na Śląsku, zasłużony, świetnie ustawiony w Kościele, ale to jest rocznik 1931. Poza tym zalicza się też do tej grupy Kornela Morawieckiego. Więc myślę, że można mówić nie tyle o buncie młodego pokolenia, co o nacisku młodego pokolenia, ale sterowanym, czy też dowodzonym przez starych radykałów. Tak bym to ujął, bo wtedy dochodzi do głosu tak zwana Grupa Robocza Solidarności (Krajowej Komisji konkretnie), która *de facto* buntuje się przeciwko Wałęsie, dlatego że Wałęsa wydaje im się zbyt ugodowy. Wałęsa otacza się starymi ludźmi, blokując dojście młodym, więc tutaj jest

to wykorzystywane jako okazja. Sojusz radykałów z młodymi, którzy napierają wewnątrz związku i to jest na pewno bardzo ważna sprawa.

Maciej Gawlikowski:

– Z tym, że Grupa Robocza jest raczej kompletnie bez wpływu na rzeczywistość...

Bohdan Urbankowski:

– Nie zgodziłbym się z tym.

Maciej Gawlikowski:

– Ja z perspektywy Krakowa powiem, że tu w ogóle to nie istniało. O tym wiedzieli tylko koneserzy.

Głos z sali:

– Pałacu Kultury też nie macie.

Maciej Gawlikowski:

– Całe szczęście... I Grupy Roboczej, dzięki Bogu, też nie mieliśmy.

Bohdan Urbankowski:

– W każdym razie, chcę dojść do następnych bodźców.

Moim zdaniem była to jednak druga, potężna fala strajków.

To się zaczyna w kwietniu 1988 roku w Stalowej Woli (stąd niechęć Gdańszczan – Stalowa Wola trochę im odebrała prymat). Po drodze jest Lublin, Gdańsk... Gdańsk zostaje spacyfikowany, ale potem jakoś te strajki...

Maciej Gawlikowski:

– Ale mówisz o wrześniu, czy kwiecień–maj?

Bohdan Urbankowski:

– Kwiecień–maj 1988 roku, ale już dojeżdżam do sierpnia. Wtedy Wałęsa po raz pierwszy próbuje nawiązać stosunki z Kiszczakiem, z Ja-

ruzelskim. Wysła 15 sierpnia swój słynny list, który jest dokładnie olany – zerowa odpowiedź.

Ale co się dzieje? Otóż są strajki na Śląsku. I to jest bardzo ważne, bo Śląsk jest głównym karmicielem Związku Radzieckiego, dostarcza surowców i tego oni się bali. Bo to, że gdzieś tam postrajkują tramwajarze czy jakieś inne resorty, to można jakoś spacyfikować, natomiast Śląsk...

Maciej Gawlikowski:

– Zaczęło się od PKS-u w Bydgoszczy w ogóle.

Bohdan Urbankowski:

– Nie. Stalowa Wola była wcześniej.

Maciej Gawlikowski:

– Koło dwudziestego kwietnia bodajże....

Bohdan Urbankowski:

– Dżentelmeni się nie kłócą o fakty.

Maciej Gawlikowski:

– Ten strajk PKS-u został nagłośniony przez Dziennik Telewizyjny i pokazany, że oni odnieśli sukces. Trudno nie wyłapać tutaj tego, że to było inspirujące. Następna była Huta im. Lenina – 26 kwietnia, gdzie zatrzymuje ruch Andrzej Szewczuwianiec, niezwiązany w ogóle z Solidarnością. Dołącza się Stocznia, to zostaje rozbite, siada i dopiero później strajki o dość ograniczonym zakresie, zwłaszcza na Śląsku, gdzie strajkuje...

Bohdan Urbankowski:

– No nie, jednak i Manifest Lipcowy, i ileś tam dużych kopalń i hut dołączyło, chyba więcej, ale to też są rzeczy do sprawdzenia. Natomiast sam fakt ciężaru gatunkowego tych strajków jest tutaj istotny moim zdaniem, bo w tym momencie władza zaczyna się przełamywać („Zała-

twmy to jakimiś rozmowami”) bo jasne było, że Gorbaczow na żadne rozwiązania siłowe nie pójdzie.

Zresztą on był uzależniony, bo po raz kolejny w Związku Radzieckim były nieurodzaje. Inaczej mówiąc, to, co mówiłeś o poparciu dla Solidarności i Kościoła gdzieś tam jeszcze wyżej, to się sprawdziło, przynajmniej w Rosji. Byli skazani na dostawy zboża ze Stanów Zjednoczonych. To jest jakby drugi cud po zwycięstwie Stanów w Gwiezdnym Wojnach. Tamto wyczyściło im budżet na parę lat, tutaj grożą bunty głodowe ludności.

Natomiast, żeby już troszeczkę przyspieszyć. Zaczyna się od rozmów w budynku MSW w Warszawie – to jest 15 września. Następnego dnia bractwo przejeżdża do Magdaleny. Tam zaczynają się to dogadywać, to kłócić, bo to idzie troszeczkę na przemian, a ostatecznie – gdzieś chyba w styczniu 1989 roku – ustalają skład tych 50 ludzi, którzy będą przy Okrągłym Stole. Większość ma być ze strony Solidarności – 20. Z PZPR niby tylko 14, ale jak dodać do tego PSL i paru innych, to i tak oni swoje mieli zapewnione.

Poza tym istotne były uchwały, porozumienia, tak to można nazwać. Bo niby demokratyczne wybory, ale właściwie to jest tak, jak z tą częściową cnotą. Co to za wybory, jeżeli z góry wiadomo, kto wygra? Senat był dla dekoracji i senat nie miał znaczenia. Poza tym, resorty siłowe bierze Partia. To było ustalone już w Magdalence, przed Okrągłym Stołem. Potężna pozycja prezydenta. Sześcioletnia kadencja, więc ma czas, żeby robić swoje, ale także jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych, może mianować szefa banku centralnego. Jest także w jego gestii rozwiązywanie parlamentu. Są trzy punkty, w których może to zrobić, przy czym ostatni z tych punktów – jeżeli dobrze pamiętam, to był (mówiąc naszym ludzkim językiem) – „Bo mnie się to, kurwa, nie podoba”.

Z tym bagażem uzgodnień poszli chłopcy na narady Okrągłego Stołu, do podstolików. Nie chwaląc się, też miałem zaproszenie, z którego nie skorzystałem. Ale to już kończąc, tytułem anegdoty. Otóż był u nas na studiach doktoranckich z filozofii kolega, który na tyle nie był wybitny, że nie pamiętam jego nazwiska. Doktoratu ostatecznie

nie zrobił. Był troszeczkę starszy zresztą, a w pewnym wieku wiedza, zwłaszcza filozoficzna, jest trudna do przyswojenia. Ale zrobił karierę, bo mu zaproponowali pracę w MSW. I po pewnym czasie spotykam faceta na przystanku autobusowym na Puławskiej. Przy czym ja stoję, a tu podjeżdża czarna wołga – wtedy wołgi były modne. Były dwa typy wołg – do łapania dzieci i dziewczic...

Maciej Gawlikowski:

– Czarne.

Bohdan Urbankowski:

– I rządowe. On mówi, że dobrze, bo właśnie dojrzał do tego, żeby się ze mną spotkać.

„Bo wiesz, po starej znajomości...” – dał do zrozumienia, czego to on dla mnie nie może i żebym też się zgłosił, że będzie wstępna rozmowa w ministerstwie i że oni mnie widzą w podstoliku kultury.

Ja mówię, że po pierwsze jest to dla mnie zaskakujące.”A kto tam będzie?”

Wymienił parę nazwisk, tych, które znamy z pierwszych stron gazet i tych, które i ty wymieniłeś. Dwóch księży na początek.

Ja go pytam o KPN i o Moczulskiego. On tak na mnie popatrzył i w tym momencie wydał mi się filozofem rzeczywiście. Bo powiedział: „Nie, on jest prawdziwy!”

Maciej Gawlikowski:

– Ja tylko dopowiem jedną rzecz – zupełnie inaczej oceniam sprawę strajków, zarówno kwietniowo–majowych jak i sierpniowych. Moim zdaniem jedne i drugie skończyły się niewypałem.

Bohdan Urbankowski:

– Ogromne oddziaływanie na psychikę ludzi – że Solidarność znów jest, że działa.

Maciej Gawlikowski:

– Strajk kwietniowo–majowy zakończył się ogromną klęską. Do Huty weszło ZOMO. Katowano ludzi. Po prostu rozwalono to w drobny mak. Skutki były straszne, jeśli sobie uzmyslowimy, że wtedy właśnie, 2 maja, bezpieka miała potężną falę pozyskań tajnych współpracowników – tak ludzie byli zastraszeni tą gwałtowną interwencją. To była klęska. I było poczucie klęski.

Natomiast sierpień był bardzo kadrowy. Jak pamiętam ten Śląsk...

Krzysztof Laga:

– Struktury powiększyliśmy.

Maciej Gawlikowski:

– Tak, tak, tam KPN miał znaczący udział. Natomiast przyjeżdżali ludzie i z Krakowa, z NZS i z KPN. Była taka rozpaczliwa próba podtrzymania tego, co nie miało później żadnego oddźwięku. Nie było fali strajków.

Ja tu widzę taki sojusz. Z jednej strony sojusz ludzi ugodowych z opozycji i tych, w cudzysłowie, reformatorskich z władzy.

Były dwie siły, którym zależało na innym rozwiązaniu. Jedna siła, to była radykalna opozycja. Te zadymy lutowe i majowe w Krakowie w 1989 roku ewidentnie były prowokowane przez władzę, łącznie z tym, że o walkach w centrum informowało radio (ludzie z Huty przyjeżdżali i mówili „A, bo słyzałem w radiu, jadę się napieprzać”). To było prowokowane. I tu był pewien sojusz, który doprowadził do tego... To, co powiedział Kwaśniewski podczas obrad Okrągłego Stołu na słowa Geremka, że oni nie mogą tego zrobić, bo ludzie zobaczyliby, że oni się złąli w jedno. Na to Kwaśniewski odpowiedział „Lepiej żebyśmy się razem złąli, niż osobno zesrali”. Jest to w protokole. I tutaj te siły skrajne z dwóch stron, jakby działały łącznie, a te środkowe dążyły do porozumienia.

Andrzej Anusz:

– Do mojej prezentacji przygotowałem fakty z książki *Nielegalna polityka*, ale część tutaj dzisiaj przytoczę.

Po pierwsze, 1985 rok – Gorbaczow. Zmiana – pierestrojka, głośność. Natomiast nie po to, aby system komunistyczny się zakończył, tylko: „Należy ratować system komunistyczny innymi metodami”. To pierwsza fundamentalna rzecz. Ale w ramach tego kierownictwa państw Bloku, między innymi Jaruzelski otrzymuje jasny przekaz, w 1985 roku i na początku 1986 roku, że kończy się doktryna Breżniewa, że kończy się podstawowe narzędzie – straszak – oddziaływanie na blok komunistyczny. To znaczy: „Musicie, towarzysze, liczyć na siebie. Musicie sobie to tak zorganizować, żeby oczywiście utrzymać władzę. Wiemy, że macie różne kłopoty, system przechodzi kryzys i tak dalej, ale wy macie tę informację w tej chwili, macie wszystkie narzędzia i zróbcie tak, żeby było dobrze”. I to jest pierwsza fundamentalna rzecz. Jaruzelski i grono jego najbliższych współpracowników wiedzą na początku 1986 roku, że ten kanon, podstawa, fundament istnienia bloku wschodniego z tego punktu widzenia skończył się. Oczywiście – „To jest nasza wielka tajemnica. My o tym wiemy i my mamy teraz czas, żeby nowymi środkami na nowo ułożyć to, żebyśmy mogli dalej rządzić. Jak Gorbaczow chce ocalić ZSRR, to my mamy ocalić w Polsce, inni mają ocalić gdzie indziej”. Honecker tego nie przyjmuje do wiadomości, Żiwkow, wiadomo. Oni w ogóle nie chcą tego słyszeć. Udują, że nie wiedzą, co Gorbaczow do nich mówi, ale to jest jakby ich problem. I to jest pierwsza rzecz. Rzeczywiście mamy tę sytuację, że władza zaczyna przygotowywać pewną zmianę filozofii.

Teraz druga rzecz. Jak wygląda opozycja? Przechodzę na tę scenę naszą opozycyjną. Nie ma co ukrywać. Stan wojenny łamie Solidarność jako ruch masowy, dziesięćmilionowy ruch społeczny, który przeciwstawia się i działa na rzecz zmiany rzeczywistości. To jest jedno. Drugie – mamy sytuację taką, że 1983 rok – amnestia, władza wypuszcza część działaczy i nagle jest nowa sytuacja. I to jest ten moment, w moim przekonaniu, kiedy komuniści osiągają apogeum wpływu na naszą rzeczywistość wewnętrzną. Bo 1984 rok – to są dwa fakty, o których chciałbym powiedzieć, które moim zdaniem, psychologicznie zmieniają troszeczkę sytuację. To, po pierwsze, cały cykl rozmów z udziałem też przedstawicieli Kościoła, zmierzające do tego, aby czołowi działacze

Solidarności i opozycji wyjechali na emigrację. To jest 1984 rok. Bierze w tym udział też Jan Olszewski, Chrzanowski. Episkopat jakby firmuje.

Maciej Gawlikowski:

– Michnik to torpeduje. Jako jedyny z nich...

Andrzej Anusz:

– Tak, Michnik torpeduje. Ale właśnie, dlaczego to się nie udaje? Między innymi jest słynny protest w więzieniu w Barczewie z udziałem też działaczy Konfederacji Polski Niepodległej (między innymi Tadeusza Stańskiego), ale też i Frasyński tam był... Tam dochodzi do głódówki, pobić – taka bardzo twarda konfrontacja. To przechodzi do opinii publicznej. A przede wszystkim przechodzi to do późniejszej – nazwijmy to – bardziej umiarkowanej części opozycji. I mamy tu procesy równoległe. Z jednej strony mamy symboliczne zaostrenie sytuacji, wręcz – jak to było opisywane – z torturami w Barczewie. A z drugiej strony mamy tutaj próbę negocjacji i nazwijmy to – wyjazd na Łazurowe Wybrzeże (umownie mówiąc). I to też się przyczynia do tego (poza bardziej osobistymi decyzjami – postawa Michnika i tak dalej), że to się nie udaje. Kościół się wycofuje. Nie ma tego. A to było apogeum. 1984 rok – to jest jeszcze przed zabójstwem księdza Jerzego, co jest istotnym elementem w tej konstrukcji. Lato 1984 roku to jest moment, kiedy w moim przekonaniu władze miały najmocniejszą pozycję, opozycja była w najsłabszej sytuacji. To był ten moment łamania po stronie władzy. I to się nie udało...

Maciej Gawlikowski:

– Gdyby się udało to wypchnięcie na Zachód, to byłoby złamanie kręgosłupa opozycji...

Andrzej Anusz:

– Tak. Byłoby zupełnie inaczej. I mamy później zabójstwo księdza Jerzego. Ksiądz Jerzy staje się męczennikiem Solidarności. I mamy odbudowanie opozycji w sensie pewnych wartości. Bo o strukturach za

chwile powiem jeszcze, jak one wyglądały, bo nie wyglądały dobrze. Ale mamy pewne odbudowanie społecznego protestu, etosu. Pogrzeb księdza Jerzego staje się wielką manifestacją i wokół tego wszystkiego następuje pewna konsolidacja społeczna. Wychodzimy z tego najgorszego momentu jeszcze kilka miesięcy wcześniej, kiedy w moim przekonaniu, naprawdę blisko było, żeby złamać ten układ opozycyjny. Następuje powolne wychodzenie.

Jak wyglądają struktury? Struktury wyglądają naprawdę źle. Wyglądają w ten sposób, że rzesza działaczy tej pierwszej Solidarności w 1984, 1985 roku jest mało aktywna. Są przybici stanem wojennym. Ta aktywność maleje. Demonstracje uliczne są słabsze. W latach: 1982, 1983 jest pewien impet... W latach 1984, 1985 demonstracje już wygasają. Mamy sytuację taką, że *de facto*, w tym momencie aktywnie w opozycji działało kilkanaście tysięcy ludzi. Są różne dane. To są dane z безпеki, ale także i wewnętrzne opozycji. Więc to naprawdę nie jest dużo. Oczywiście żyjemy mitem i opowiadamy, że było nas 10 milionów, ale tak naprawdę, to jest kilkanaście tysięcy ludzi, którzy trzymają ten podstawowy kręgosłup. To są drukarze, wydawcy, redaktorzy, kolporterzy i tak dalej. To jest ten szkielet podstawowy i drugi obieg polityczny. Kilkanaście tysięcy ludzi.

W ramach tej opozycji w latach 1985–1986 następuje pewne przegrupowanie, o czym ty, Maćku, też mówiłeś. Następuje przegrupowanie polegające na tym, że rzeczywiście do aktywności opozycyjnej wchodzi młodsze pokolenie. Ja mogę się do tego zaliczać. Wchodzi ludzie, którzy nie są obciążeni klęską stanu wojennego. Oni zupełnie inaczej patrzą na stan wojenny. Z jednej strony są dziećmi stanu wojennego, ale nie są złamani. Mają pewną energię. I wtedy w opozycji pojawiają się nowe symptomy ozdrowieńczych inicjatyw. Mamy Federację Młodzieży Walczącej, mamy NZS, o którym teraz dwa zdania. NZS odtwarza strukturę krajową symbolicznie. W 1987 roku, w styczniu, jest zjazd. Oczywiście jest podzielony, ale w 1988 roku łapie powietrze... Jest KPN, jest Solidarność Walcząca. To są inne ugrupowania, które wtedy uzyskują swoją dynamikę. To jest Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, Wolność i Pokój. Mamy różne ciekawe inicjatywy, które

w tym fatalnym 1984, 1985 roku dają pewną nadzieję i impuls tej aktywności.

I teraz Kościół. To jest fundamentalna sprawa. W Kościele mamy sytuację taką, że po pierwsze mamy amnestię 1986 roku, tę największą amnestię wrześnieową, po której zostaje kilkunastu więźniów politycznych, ale generalnie władze mówią, że nie ma już więźniów politycznych. Zostaje słynna grupa krakowska, symboliczna, od rzucania ulotek... Natomiast 1986 rok to formalne zamknięcie tematu więźniów politycznych. I oczywiście, w tym momencie pojawia się cała wielka debata w opozycji, czy ujawniamy struktury Solidarności, czy nie.

Istotny element, który moim zdaniem stanowi przyspieszenie dojścia do tego, że te dwie strony usiadły przy stole, to jest pielgrzymka Jana Pawła II w 1987 roku, która ma fundamentalne znaczenie z punktu widzenia i opozycji, i władzy, i zwłaszcza Kościoła. Jeszcze 2–3 lata wcześniej trwają różne zabiegi. Jest próba powoływania różnych związków zawodowych. Niektórzy przedstawiciele Kościoła się zastanawiają. Mówią, że może czas Solidarności się skończył, być może to jest jakaś formuła, żeby to zmienić. Symboliczna dymisja rzecznika Watykanu, księdza Leviego, który w *L'Osservatore Romano* pisze artykuł, że Wałęsa się skończył, Solidarność się skończyła i tak dalej – papież go wyrzucił. I to jest jakby taki symboliczny moment, gdzie jest jasny komunikat, że Jan Paweł II – nazwijmy to nasz niekoronowany król Polski w 1987 roku jasno mówi: „Solidarność ma być. Solidarność nie jest skończona. Ja popieram Solidarność”. Przyjeżdża i pielgrzymka w Gdańsku, w Zaspie – sam tam byłem – jest wielkim sukcesem psychologicznym. Bo zjeżdża się opozycja, różne struktury opozycji w Gdańsku pokazują pewną siłę na zewnątrz. Oczywiście tam jest NZS, KPN, SW – wszystkie struktury (nie tylko Solidarność, żeby była jasność). Wszyscy się obejrżeli. Jak w 1979 roku społeczeństwo się policzyło, tak tu opozycja się policzyła w 1987 roku. I zobaczyła – „Jesteśmy! Nie jest z nami tak źle!”. Władze też oczywiście to widzą. To jest ten moment!

I co następuje? Nie jest przypadkiem, że w tym momencie, podczas pielgrzymki papieża w 1987 roku, zostaje powołany Komitet Obywa-

telski przy Lechu Wałęsie. To jeszcze się wtedy nie nazywało Komitet Obywatelski, ale to jest *de facto* to grono, które później będzie stroną w rozmowie z komunistami. Nie ma przypadku, że ono jest właśnie wtedy powołane. Bo ono też uzyskuje pewne wsparcie ze strony Kościoła. Kościół się opowiada za rozmowami, jest pośrednikiem, mediatorem. Te rozmowy cały czas trwają. W związku z czym ten 1987 rok i ta pielgrzymka papieska, w kontekście Okrągłego Stołu, jest w moim przekonaniu bardzo ważnym elementem.

I teraz 1988 rok. Okazuje się, że wybuchają strajki kwietniowo–majowe. Ale to słabe strajki.

Maciej Gawlikowski:

– Ale przedtem już są rozmowy.

Andrzej Anusz:

– Dialog trwa. W „Tygodniku Mazowsze” są różne wywiady...

Głównie doradcy związani z Kościołem cały czas rozmawiają. Pamiętamy, że podczas pielgrzymki odbywa się słynne tajemnicze spotkanie na Wawelu Jaruzelskiego z papieżem, które staje się sensacją, przedmiotem spekulacji, że tam dochodzi do pewnego przełamania. Tam Jaruzelski ze swej strony pokazuje coś, coś mówi. I papież też. To jest ten moment. W sensie psychologicznym ta scena zaczyna się przygotowywać, te rozmowy zaczynają wisieć w powietrzu.

Strajki wiosenne 1988 roku, to strajki z jednej strony ważne psychologicznie, ale one są bardzo brutalnie stłumione. Ja wtedy byłem w komitecie strajkowym na Uniwersytecie. To był jedyny zakład na Mazowszu, który zastrajkował solidarnościowo. I powiem tak (nigdy o tym nie opowiadałem i nie będę tego opisywać) – całe RKW Mazowsze i wszyscy doradcy siedzieli u mnie w pokoju, w kanciapie NZS na Uniwersytecie. Takie były fakty. Próbowaliśmy wywołać strajk w Ursusie. Chłopaki od nas z NZS poszli z ulotkami podpisanymi oczywiście przez Solidarność Ursus, które sami dla nich wydrukowaliśmy i rozrzucaliśmy. To myśmy próbowali wywoływać w zakładach strajki. Taka była rzeczywistość w sensie tej wiosny 1988 roku. Te strajki, w moim

przekonaniu, nie zakończyły się sukcesem, ale nie zakończyły się też klęską. To wyjście ze Stoczni... Tak samo myśmy zakończyli strajk. Ludzie mieli poczucie sukcesu. Bo to było parę tysięcy ludzi, których nie złali. Ludzie mieli poczucie sukcesu. Gramy dalej!

Są badania z 1988 roku, z tego momentu, który jasno pokazuje, że młodzież się radykalizuje. Następuje pewnego rodzaju przełamanie. Te badania mają komuniści – to nawet jest w różnych dokumentach, że oni się zastanawiają, co będzie na jesieni 1988 roku. To jest taki straszak. Co się wydarzy? Obawiają się, że te strajki wrócą, że w październiku wrócą studenci, wszystkie uniwersytety staną. W związku z tym, podejrzewam, oni mają moment, że przed tym październikiem trzeba tutaj zacząć coś robić.

W międzyczasie mamy strajki już lepiej zorganizowane – większa fala. To jest sierpień 1988 roku. To jest Śląsk, który jest bardzo ważny. Który zawsze dla komunistów był fundamentalnym elementem. Strajki na Śląsku przybijały. W 1980 roku też tak było. Jastrzębie przybiło. Strajki na Śląsku przybiły i porozumienie jastrzębskie – o nim się nie mówi, ale ono z punktu widzenia komunistów było bardzo ważne.

I teraz, kończąc tę część. Mamy w moim przekonaniu sytuację taką, że mamy do czynienia z klinczem. Władza dysponuje służbami specjalnymi. Ciekawa informacja – kiedy nastąpił największy wzrost agentury? W 1988 roku! Wtedy na liście TW jest ponad sto tysięcy osób! To jest największa fala pozyskań. A za parę miesięcy niby się komuna kończy...

Służby pod pełną parą, media... A z drugiej strony opozycja, która jakoś się tam odradza, ale nie jest w stanie strajkami przełamać władzy. Mamy do czynienia z klasycznym klinczem. I teraz jest pytanie – Kto wyciągnie rękę i spróbuje prowadzić rozmowy? Następuje ze strony władzy próba wciągnięcia opozycji w rozmowy, ale oczywiście nie po to, aby się podzielić władzą. Oni to robią po to, aby zachować władzę, ale żeby częścią odpowiedzialności się podzielić, choćby przez kryzys gospodarczy. Mamy referendum przegrane przez Jaruzelskiego (przez idiotyczne sformułowanie pytania). W związku z tym to jest ten moment. Mamy klincz i mają w tyle głowy, że doktryna Breżniewa już

od 3 lat nie obowiązuje i za chwilę wszyscy się o tym dowiedzą. Jak Gorbaczow w lipcu 1988 roku przyjeżdża do Polski to *de facto* to mówi wtedy. Na Zamku Królewskim ma wystąpienie, w czasie którego powiedział: „Towarzysze, musicie sami w Polsce sprawy swoje załatwiać. My już za was nie będziemy waszych problemów rozwiązywać”.

Maciej Gawlikowski:

– A Urban w czwartek na konferencji prasowej mówi, że rozpoczyna się niebawem obrada Okrągłego Stołu. Ma na myśli te negocjacje, które się rzeczywiście zaczynają, oczywiście nie ten właściwy Okrągły Stół...

Zbigniew Jackiewicz:

– Myślę, że trzeba zacząć od języka. Bo jak się zacznie opisywać rok 1989 tym językiem, który funkcjonował w tamtym czasie, a siłą bezwładności jest przenoszony do dzisiejszych czasów, to bardzo łatwo o nieporozumienia.

Okrągły Stół nie był żadnym elementem porozumienia społecznego. Tam się nie spotkało dwóch partnerów, którzy chcieli prowadzić ze sobą negocjacje na zasadzie dogadywania się. Tam było spotkanie w celu ogrania drugiej strony i to tak trzeba opisywać. Strategia komunistów była bardzo jasna. Limitować wpływy Solidarności, potem je izolować, potem je degradować, a potem je zlikwidować.

I bardzo możliwe, że ten scenariusz by się udał, gdyby nie to, co znowu trzeba skorygować. Bo jak patrzymy na rok 1989, to on pokazuje ogromną siłę Solidarności. Te wszystkie fakty, które są tutaj przytaczane, opisują pewną rzeczywistość, która wiąże się z tym, że siła Solidarności została zdemobilizowana i nie było powodu, żeby ją mobilizować. Nie było powodu do 7 kwietnia 1989 roku, kiedy zaczęła się kampania wyborcza. I proszę zobaczyć, co się stało. W ciągu niecałych dwóch miesięcy Solidarność pokazała gigantyczną siłę. W porównaniu z tym układem, to komuniści pokazali swoją ogromną słabość. Źle napisali ordynację, pomylili się w prognozach. I w ramach kampanii wyborczej, w której nie było wolności, nie było praworządności, nie

było demokracji, była czysta rozgrywka komunistów – Solidarność. Ta ogromna mobilizacja, jaka nastąpiła w ramach tej kampanii, pokazuje, że Solidarność była ogromną siłą polityczną i mogła podyktować proces transformacji.

Ale 8 czerwca 1989 roku zaczęło się degradowanie wyniku wyborczego i demobilizowanie tej siły, jaką była Solidarność. 8 czerwca spotkał się tak zwany komitet porozumiewawczy, czyli okrągłostołowe ciało, które w języku – myślę, że dzisiaj kompletnie nie do przyjęcia – w języku państwa autorytarnego, pisze swoje stanowisko, że istnieje konieczność utrzymania dotychczasowego układu politycznego, wbrew wynikom wyborów. 12 czerwca zostaje wydany dekret Rady Państwa (przewodniczącym Rady Państwa jest wtedy Wojciech Jaruzelski). To jest akt, który dodatkowo znieprawiał wybory czerwcowe, bo oddał komunistom 33 mandaty w sposób naprawdę kompromitujący państwo tego czasu, wpisujący wybory roku 1989 w cały ciąg wyborów okresu peerelowskiego. Tutaj, z punktu widzenia mechanizmu rozdawania mandatów, nic się nie zmieniło.

Co dzieje się dalej? Dzieje się coś bardzo niebezpiecznego po stronie Solidarności. Elity okrągłostołowe uważają, że mają rację do tego, żeby kierować się swoim zdaniem, a nie zdaniem wyborców. Elita, jaka tam się wytworzyła, staje się elitą pasożytniczą. Żeby to opisać w kategoriach socjologicznych, tak jak to robił profesor Czesław Znamierowski albo Maria Ossowska. Cały ciąg wydarzeń później, to nic innego, jak ciągła walka między tą koncepcją, którą reprezentowali postkomuniści, a pewnym wyobrażeniem transformacji, która mieściła się w kulturze Solidarności.

Kończę jednym zdaniem, nawiązując do tytułu naszej konferencji. W roku 1989 trzeba było nie paktować na zasadzie, kto kogo ogra, tylko się bić. O własną wizję transformacji ustrojowej.

Maciej Gawlikowski:

– Z jedną rzeczą się nie zgodzę. Nie widzę tej siły Solidarności. To, że dziesiątki tysięcy ludzi zaangażowało się w kampanię komitetów obywatelskich, w kampanię Solidarności, to wcale nie jest siła Solidar-

ności. Solidarność jako organizacja była słaba i słaba została. To po prostu ludzie pokazali swój stosunek do komuny. Ludzie odrzucili komunę i dlatego się w to zaangażowali. Natomiast to nie była siła struktur.

Ale właśnie. Skoro wraca pytanie: „Czy bić się, czy nie bić?”, to chciałem zapytać o alternatywę. Bo jeżeli nie rozmawiać i w ten sposób uzyskać finalnie niepodległą Polskę, to co w zamian? Jak się bić? Kto się ma bić? Kogo bić? Jakimi siłami?

Bohdan Urbankowski:

– Troszeczkę mówimy o historii przez analogię. Tak jak mówiliśmy o obronie Warszawy i jej skutkach poprzez analogię do tego, co stało się potem we Wrocławiu, tak tutaj też próbujemy oceniać Solidarność. Przy czym pewna analogia by była. Historia z Solidarnością skończyła się w pierwszym etapie, tak jak Powstanie Warszawskie, a potem narastał jej mit. Dlatego nie zgodzę się z tobą, gdy mówisz, że Solidarność była kompletnie słaba. W 1981 roku też nie było 10 milionów solidaruchów, dlatego że były w tym związku i komuchy, i jeszcze paru innych. Po prostu był to potężny ruch społeczny na zasadzie negacji.

Tak jak dzisiaj się mówi o niestety dość niebezpiecznym zjednoczeniu kilku naszych ugrupowań politycznych przeciwko Rządowi Rzeczypospolitej. Tam czynnikiem wiążącym jest tylko negacja. Po prostu oni wiedzą, że tych nie chcą.

To samo było wtedy. „Nie chcemy komuny!”. Po prostu. „Precz z komuną!”. To były te hasła uliczne.

Jaka była inna możliwość? Znowu musimy myśleć przez analogię do tego, co stało się gdzie indziej. Na pewno był możliwy wariant rumuński i wariant demokratyczny. Wariant rumuński... rzecz gustu.

Maciej Gawlikowski:

– „Czerwoni” wymordowali „czerwonych” i przejęli władzę.

Bohdan Urbankowski:

– Tak. Ale oni mają inne tradycje, sięgające gdzieś tam...

Maciej Gawlikowski:

– Draculi...

Jerzy Wawrowski:

– Włosi mają tradycję sztyletu i jest to znakomita tradycja polityczna.

Bohdan Urbankowski:

– No tak, ale Włosi akurat nie mieli okresu zmiany rządów, żebyśmy mogli zastosować tu analogię.

Maciej Gawlikowski:

– W Rumunii całą siłą sprawczą byli też „czerwoni”. Tam po prostu jeden odłam „czerwonych” zabił Ceaușescu i opanował władzę. Ja bardzo proszę takich pomysłów do Polski w ogóle nie...

Bohdan Urbankowski:

– Tak. Tylko u nas jedyń, którzy mogli się napażać, to znaczy Puławianie z Natolińcykami, czy Moczarowcy ze zwolennikami Zambrowskiego, to oni wszyscy już się strasznie zestarzel. Zauważcie, że w 1968 roku nikt z tych ludzi, z racji pochodzenia, nie wyjechał. Oni siedzą w Polsce i czekają na okazję, tylko niestety przegrywają wyścig z czasem. I tutaj już jest podobne zjawisko. Ruch młodych radykałów w partii. Kwaśniewski...

Głosy z sali:

– Miller

– Cimoszewicz...

Bohdan Urbankowski:

– Tak. Cimoszewicz na pewno. W każdym razie są to zjawiska podobne do tego, co było w 1955 roku, gdy nagle ruszyło na front pokolenie ZMP, też przez ileś czasu blokowane. Ale, sięgając jeszcze dalej w przeszłość, Powstanie Listopadowe. Młodzi, zablokowani w awansach, w możliwości robienia czegoś, podchorążowie.

Maciej Gawlikowski:

– Ale rozważając kwestię „Bić się czy nie bić”, nie mamy na myśli bójek wewnątrz PZPR.

Bohdan Urbankowski:

– Dwie rzeczy chciałbym tutaj podkreślić.

Po pierwsze mitologiczna siła Solidarności była o wiele większa niż organizacyjna. Ludzie żyją mitami, a nie realiami i jeśli o to chodzi, to Solidarność była mocniejsza od PZPR. Partia wykonała jeden manewr. Chciała ich na końcu przestraszyć. Zamordowanie kilku księży przypomina rok 1947. Wtedy mordowano nie tylko księży, ale też paru działaczy PSL, żeby ci inni znali swoje miejsce w szeregu. To samo robi u nas partia właściwie tuż przed Okrągłym Stołem. Czterech księży zostało zamordowanych.

Natomiast czy możliwy był wariant demokratyczny – demokratyczne przejście władzy? Też było niemożliwe, i to z wielu względów. Po pierwsze komuniści wcale nie chcieli [wolnych wyborów], o czym świadczą reguły Okrągłego Stołu. Oni chcieli powtórzyć to, co było w czasach Mikołajczyka. Mamy jakiegoś pajaca i tu Wałęsa jest nawet lepszy od Mikołajczyka, bo mimo wszystko, głupszy...

Maciej Gawlikowski:

– Ale to się nie udało jednak. Ten plan nie wypalił.

Bohdan Urbankowski:

– Myślę, że częściowo wypalił. Natomiast było coś innego. Otóż po stronie Solidarności, i tu się z tobą zgadzam, nie wyłoniła się mocna siła polityczna.

Tu jest pytanie o to, dlaczego nie powstała Polska Partia Socjalistyczna. No wręcz w tamtym czasie prosiło się stworzenie takiej partii. Mało tego. Ta partia niby powstaje – na Krakowskim Przedmieściu. Mnie też tam zapraszali. Jan Józef Lipski, znany mi z Uniwerku, z polonistyki, ze dwa razy pojawił się Ikonowicz i to było bardzo ładne, bo oni się kłócili i coś się działo na tym zebraniu. Ale z reguły nic się

nie działało i myślę, że ta inercja zniszczyła tę partię. Bo w pewnym momencie przychodziłem na zebranie naprawdę organizacji (bo tamto to było takie, że „Może by coś zrobić, a może poczekamy, ci się nie zadeklarowali, tamci się nie zadeklarowali”) i ja patrzę na osoby, które są z największą atencją przyjmowane przez Lipskiego, całowane po rękach (mnie nie całował), posadzone za stołem prezydyjnym. Ja na nie patrzę i pytam: „Słuchaj, one tu przyjechały samochodem, tramwajem, czy może przyleciały na miotłach?”. Ponieważ powiedziałem to mocno scenicznym szeptem, było jasne, że nie mogłem już zrobić kariery w PPS. Ale to było kluczem do tego. Stare autorytety. Powoływanie się jeszcze na Ciołkoszową, na ten odłam londyński, jeszcze gdzieś na tradycję przedwojennego PPS-u, przy czym Daszyńskiego to oni znali tylko ze słyszenia. Wiedzieli, że ktoś taki był i że dobrze jest na początku powiedzieć, że był Daszyński, że PPS niosło ten swój czerwony sztandar dookoła Londynu. I tutaj oni też chcieli sobie ponosić sztandar, ale nic więcej nie robić. Nie zrobili struktur, nie weszli do zakładów pracy. Myślę, że ta inercja, która wtedy była, w gruncie rzeczy pozwoliła tym zagrożonym już zwolennikom Wałęsy jednak utrzymać się przy władzy. Ten bunt młodego pokolenia został skanalizowany, dali im jakieś miejsca w strukturach i na tym się skończyło. Gwiazda został wyautowany zupełnie, ta cała grupa...

Maciej Gawlikowski:

– Gwiazda był cały czas na aucie. Za nim nie stał nikt poza jego żoną. On nie zbudował żadnej struktury nawet w Gdańsku. Nie potrafił gazetki wydrukować.

Bohdan Urbankowski:

– W Gdańsku miał sporo zwolenników, łącznie z moim bratem cioteczonym, więc...

Maciej Gawlikowski:

– Anarchiści go wspierali wtedy, RSA i tak dalej.

Maciej Gawlikowski:

– Solidarność nie ma programu. Solidarność wyszła z jakimś programem samorządnej Rzeczypospolitej, który w międzyczasie wstydliwie schowała, ponieważ był kompletnie bez sensu. Nie miała programu, nie miała liderów politycznych, nie miała swojej elity. Kto miał stawić tu czoła? Kto miał być równorzędnym partnerem w takich rozmowach jak na przykład Okrągły Stół?

Andrzej Anusz:

– Tu trzeba wrócić – jakie były oczekiwania Solidarności, która szła do rozmów Okrągłego Stołu? Ja to pamiętam, bo byłem przy tym też. Podstawowym hasłem to jest legalizacja Solidarności.

Maciej Gawlikowski:

– Związek. Tylko.

Andrzej Anusz:

– To w ogóle było marzenie. Że jak to będzie to, to jest ten kamień milowy. Inne elementy w ogóle nie były brane pod uwagę. I teraz – rejestracja NZS już nie. Komuniści już się na to nie zgodzili. NZS nie przyjął ustaleń, ale też ich nie odrzucił. To jest ten cały paradoks, o którym zaraz jeszcze powiem. I teraz mamy sytuację taką...

Maciej Gawlikowski:

– Też ludzie NZS-u uczestniczyli. Z Kamińskim na czele.

Andrzej Anusz:

– Tak, ale przy głównym stole nikt się nie zdecydował usiąść. Rzeczywiście kilka osób przy podstolikach mniejszych siedziało.

I teraz mamy sytuację taką. Już mamy spór fundamentalny. W Komitecie Obywatelskim, który po 1987 roku się spotykał, wokół którego to wszystko zaczęło się zbierać, doszło do fundamentalnego starcia o formułę i rozszerzenie obecności opozycji przy Okrągłym Stole, a później w wyborach. I tutaj mamy ciekawą sytuację.

Po jednej stronie w tym sporze znalazł się Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski, Adam Strzembosz i Aleksander Hall, którzy mówią: „My musimy maksymalnie poszerzyć to grono Komitetu Obywatelskiego. Między innymi o KPN, o Solidarność, o wszystkie ugrupowania. Idziemy na maksa. Rozszerzamy, uzyskujemy większą reprezentatywność tego przedstawicielstwa i przez to będzie mocniejszy mandat”.

Z drugiej strony mamy grupę, tak naprawdę wtedy decydującą, wokół Wałęsy: Geremek, Kuroń, Michnik, Wujec, Wielowieyski, która lansuje koncepcje Drużyny Lecha. „Budujemy Drużynę Lecha, a nie tam jakiś Moczulski czy Morawiecki będą nam się tu plątać, czy tam jeszcze kto inny”.

Dochodzi do starcia i koncepcja Drużyny Lecha wygrywa. W związku z tym mamy zepchnięcie tych innych ugrupowań na margines.

Ale trzeba pamiętać, że była koncepcja tak zwanego drugiego Okrągłego Stołu. Były rozmowy (z udziałem Mazowieckiego), z Leszkiem Moczulskim, z Szeremietiewem, z kimś z Solidarności Walczącej... Z innymi ugrupowaniami też się spotykali i on tam im przekazywał, co się dzieje. Z drugiej strony Kiszczak szykował drugi „mały Okrągły Stół”. Oni też zakładali, że „Jak tutaj nam się coś nie uda, to musimy mieć jakieś dojsście do tych ugrupowań, które przy tym głównym stole nie są reprezentowane”.

Mirosław Lewandowski:

– Przepraszam, kiedy to miało miejsce?

Andrzej Anusz:

– To był 1988 rok – późna jesień. Równoległe te rozmowy się toczyły. Krzysztof Król z KPN brał w nich udział. Sam to opisywał, ja to gdzieś tam cytowałem.

Maciej Gawlikowski:

– Wtrącę tylko. To była koncepcja Moczulskiego – wejścia do tych rozmów pomiędzy czerwonych a grupę Lecha. Wejścia zwartym blokiem: KPN, SW, LDPN, PPN i ta cała drobnica. Moczulski przeko-

nywał ich wszystkich, że jeżeli się pójdzie, to w każdej chwili można się wycofać z hukiem. Ale jeżeli w to nie wchodzimy, to tracimy pole. I niestety, głównie za sprawą Szeremietiewa i Stańskiego ta koncepcja padła. Moczulski został sam, w związku z czym się z tych rozmów wycofał. Ponieważ miał za sobą tych wszystkich, którzy by powiedzieli „zdrajca”.

Andrzej Anusz:

– Czy te wszystkie ugrupowania przy ostatecznym porozumieniu odegrały jakąś dobrą rolę? Paradoksalnie – tak. W momencie zbliżania się do podpisywania pewnych ustaleń, komuniści straszili, że mają swój „beton”, który nie przyjdzie, nie zaakceptuje tego porozumienia – „Poszliśmy za daleko, za dużo chcecie” i tak dalej. Ale z drugiej strony, nie ma co ukrywać, że nasza strona, ta solidarnościowa przy Okrągłym Stole, traktowała te ugrupowania radykalne podobnie (a NZS – to instrumentalnie już do bólu). I w związku z tym są te zadymy, o których ty Maćku mówiłeś. Po naszej stronie było mówione: „Jak nie my – to jest młodzież z NZS, KPN, SW i inni. Z nimi to będą inne rozmowy”. W związku z tym każdy miał, że tak powiem w cudzysłowie, swoją ekstremę, to generalnie – wbrew pozorom – odegrało pozytywną rolę w tym całym procesie.

Andrzej Anusz:

– Bohdan Urbankowski mówi o PPS. To jest bardzo ciekawy wątek. Chciałbym to rozwinąć. Przecież w sposób naturalny ludzie tacy jak Kuroń, Michnik powinni budować ten PPS. Ale jak zwyciężyła idea Drużyny Lecha, to oni uwierzyli, że zbudują ruch komitetów obywatelskich (tak zwana „partia Solidarność”). Meksykański model uprawiania polityki.

Maciej Gawlikowski:

– Nawet nie partia, tylko taka magma.

Andrzej Anusz:

– Tak. Magma.

Piotr Wójcik:

– Chodziło o Partię Instytucjonalno-Rewolucyjną...

Maciej Gawlikowski:

– W partii przynajmniej są wybory, a w takim ruchu na czele stoją ci, którzy mają autorytet.

Andrzej Anusz:

– I oni przyjęli strategię taką, że nie gramy o kawałek, o PPS, 10 czy 15 procent. My gramy o pulę 50 procent albo jeszcze lepiej. I zagrali. I tutaj doszło już do podziału w ramach obozu Solidarności. To już jest to. Między innymi PC...

Maciej Gawlikowski:

– Wtedy jeszcze nie było PC.

Andrzej Anusz:

– 1989 rok – to już był podział komitetów obywatelskich. To *de facto* była prefiguracja tego podziału w komitecie. Bo i ZChN, i inne ugrupowania... My mówimy – „Nie!”.

Kto odegrał bardzo pozytywną rolę w budowaniu systemu politycznego w Polsce po 1989 roku? – Konfederacja Polski Niepodległej! Ja wiem, że na wszystkich solidarnościowych gremiach była dyskusja – Jak ten system polityczny mamy budować? KPN była tu przykładem. „To jest partia polityczna, która ma już 10 lat. To jest partia polityczna, która się odwołuje do zachodniego systemu funkcjonowania polityki i my tą drogą powinniśmy pójść”. To, że z tych enigmatycznych ruchów Solidarności zaczęły się tworzyć partie polityczne, to trzeba jasno powiedzieć, że prekursorem i wzorem była KPN. Moim zdaniem jest to bardzo ważna, patrząc historycznie, rola KPN-u, że była tym właśnie punktem odniesienia do kształtowania się systemu partyjnego, politycznego, z tego obozu solidarnościowo-opozycyjnego.

Maciej Gawlikowski:

– Ale zaplanowanego, przewidzianego w *Rewolucji bez rewolucji*.

Andrzej Anusz:

– Oczywiście, ale mówimy o 1989 roku.

Maciej Gawlikowski:

– Ja wiem, tylko ja mówię, że 10 lat wcześniej tworzenie polskiego systemu politycznego dokładnie opisał Moczulski.

Andrzej Anusz:

– Jak wyglądał Okrągły Stół? Mamy sytuację taką, że część środowisk solidarnościowych, które siedzą przy Okrągłym Stole i to już wiadać po podziale – Olszewski, Mazowiecki i inni, Drużyna Lecha, mają kompletnie inne podejście do tego co dalej. Olszewski i Mazowiecki traktują to jako pewien element przejścia. Idziemy dalej...

Maciej Gawlikowski:

– W Komitecie Obywatelskim był nawet Macierewicz na początku...

Andrzej Anusz:

– Nie. W 1990 roku został dokooptowany – w momencie podziału Komitetu. W 1989 roku nie był.

Co dalej? Większość tych najbardziej wpływowych działaczy z Drużyny Lecha zaczyna traktować umowy Okrągłego Stołu jako niejako *de facto* akt konstytucyjny powołania nowej Polski. I tu mamy tę fundamentalną mistyfikację, ten cały mit Okrągłego Stołu, że oni tak do tego podchodzą. Geremek wtedy mówi słynne do dziś *pacta sunt servanda* (umów należy dotrzymywać) – „Umówiliśmy się tutaj z towarzyszami na te 35%, chociaż lista krajowa padła – naród powiedział inaczej, czyli suweren powiedział, że nie, ale...”. Czyli „My musimy złamać postanowienia suwerena, bo myśmy się z towarzyszami umówili”. A część Solidarności mówi – „Nie, bo uważamy, że to naród decyduje”. Naród zdecydował, że odrzucamy komunę. Oni już oczywiście myśleli o tym,

że z tą tak zwaną liberalną częścią PZPR będą później frukta władzy konsumować. I tutaj nastąpił podział w obozie opozycji, który miał fundamentalne znaczenie.

PPS – gdyby ci działacze realnie pomogli, byłby bardzo mocną siłą i przyspieszyłby rozpad PZPR.

Maciej Gawlikowski:

– Lipski nie był w stanie charakterologicznie tej roli odegrać...

Andrzej Anusz:

– Ja teraz czytam bardzo fajną biografię Lipskiego. I on naprawdę u wszystkich tych swoich kumpli, z którymi robił KOR i inne ruchy opozycyjne, wcześniej od Klubu Krzywego Koła, u wszystkich, którzy byli wtedy w Solidarności ważni – on był. I prosił „Róbmy PPS!”. A oni powiedzieli – „Nie”. Bo mieli z tyłu głowy „Gramy o całą pulę”.

Jak już jesteśmy przy PPS, to on był strasznie zinfiltrowany. 1988, 1989 rok. Jak poczytałem w IPN, to po prostu jest przerażające...

Maciej Gawlikowski:

– Każda inicjatywa niezależna tego typu kierowana do robotników była natychmiast infiltrowana. To była siła bezpieczeństwa. W Krakowie na przykład wydział robotniczy KPN w pewnym momencie utworzono – rzuciła się bezpieka cywilna i wojskowa i po prostu rozwalili to natychmiast. Ludzi łamali bez precedensu zupełnie.

Andrzej Anusz:

– Tak że PPS nie odbił się. Nie wystartował.

Maciej Gawlikowski:

– Wracając jeszcze do tego bicia się. Zbyszku – kto miałby się bić i jakie byłyby siły możliwe? Bo, jak rozumiem, jesteś tu jedyną osobą, która mówi, że jednak nie rozmowy.

Zbigniew Jackiewicz:

– No nie takie rozmowy. Ja mówię w szerokim pojęciu. Bić się można także słowem. Ale jak patrzymy na to, co się działo przy Okrągłym Stole, że reprezentacja tak zwana solidarnościowa – nie wszyscy powinni być tak nazywani z tej reprezentacji, żeby było jasne – nie wie, gdzie siedzi, nie wie z kim siedzi, nie wie, czy jest fotografowana, czy będzie wódka, czy nie będzie. Jeśli mówimy o kimś takim, kto tak się zachowuje... Ja nie wiem... Porządny negocjator dba o swoją pozycję negocjacyjną. Dzisiaj jeszcze dyskutujemy o tych sprawach. Jeśli ktoś nie umie zapanować nad takimi detalami, to nie panuje też nad meritum. I w związku z tym mamy do czynienia tak naprawdę nie z porozumieniami społecznymi, tylko z dogadywaniem się pewnej grupy interesów, która się zresztą bardzo szybko wyobcowała z jakiegokolwiek pojęcia Solidarności, bo przecież tam większość osób ani organizacyjnie, ani kulturowo z Solidarnością nie miała nic wspólnego.

Maciej Gawlikowski:

– No nie. Aż tak...

Zbigniew Jackiewicz:

– Przepraszam bardzo. A co miał wspólnego Michnik z Solidarnością?

Maciej Gawlikowski:

– Miał dużo więcej niż....

Zbigniew Jackiewicz:

– Proszę mi podać dwie cechy, które go lokują w ruchu Solidarności.

Maciej Gawlikowski:

– To jest jakby oczywiste. Jego działalność...

Zbigniew Jackiewicz:

– Był zdolnym działaczem opozycji w okresie PRL, rewizjonistą komunistycznym. A co to ma wspólnego z Solidarnością?

Maciej Gawlikowski:

– To kto miał rozmawiać? Jaka reprezentacja, na jakiej zasadzie i jaką miałyby mieć za sobą siłę, która powinna według ciebie rozmawiać zamiast Michnika?

Zbigniew Jackiewicz:

– Co do ludzi, to możemy porozmawiać.

Chętnie opowiem o programie. Jeśli ktoś mówi, że w 1989 roku i później nie istniał solidarnościowy program ładu społecznego, koncepcji ustrojowej i tak dalej, to mówi mniej więcej to samo, co ci ludzie, którzy mówią, że był tylko plan Balcerowicza i nic więcej.

Maciej Gawlikowski:

– W 1989 roku nie było programu politycznego Solidarności, żadnego. To mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością. Żadnego.

Zbigniew Jackiewicz:

– Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że oczywiście był.

Maciej Gawlikowski:

– Tylko nieopublikowany...

Zbigniew Jackiewicz:

– Tylko w tej rozgrywce politycznej, która się toczyła... Niedawno zajmowaliśmy się na konferencjach tematem tego, czy były alternatywne programy gospodarcze. Bo przekaz medialny jest taki, że nie było, że był tylko plan Balcerowicza. No były. Tak samo trzeba powiedzieć, że istniała i alternatywa ustrojowa, i ładu społecznego, i ładu stosunku pracy. Kompletnie inna od tej, która była wpisana w tę filozofię postkomunistycznej transformacji ustrojowej realizowanej od 1989 roku. Tylko się to ukrywa, po to, żeby racjonalizować to, co się stało i usprawiedliwiać to, co się stało po 1989 roku.

Maciej Gawlikowski:

– Ja tego programu nie znam. Nie wiem, czy był gdzieś opublikowany. Czy ktoś zna?

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Setka adwokatów, sędziów, w tajności, w latach 80. przygotowała cały system zmiany sądownictwa w Polsce...

Maciej Gawlikowski:

– Tak, Ośrodek Analiz, ale to są zupełnie...

Jerzy Iwaszkiewicz:

–...pod auspicjami Solidarności. Takie rzeczy – gospodarcze, inne – społeczne, nauka – było wszystko przygotowane. Tylko to wszystko zostało zaniechane, bo inne grupy społeczne z opozycjonistami przystąpiły do Okrągłego Stołu. Solidarność była za silna w stosunku do tych grup, w związku z tym zaczęli rugować Solidarność na bok. Czy Geremek był związany z Solidarnością?

Andrzej Anusz:

– Podsumowując. Było pytanie, czy była alternatywa. W moim przekonaniu, dzisiaj patrząc, czy była alternatywa, patrzymy ahistorycznie. Ja uważam, że w 1989 roku realnej alternatywy na wyjście z tego klinczu politycznego nie było.

4 czerwca jest fundamentalną datą. 4 czerwca naród przemówił, pokazał gest i naród jasno powiedział, że nie ma odwrotu – koniec komunizmu. Już nie wrócimy do tego, co było przed 4 czerwca. I to jest jasny przekaz. I do tego doprowadziły częściowo wolne wybory, co do tego nie ma wątpliwości. To był zgniły kompromis i tak dalej. Natomiast naród dostał szansę i naród się wypowiedział.

Kluczowy moment polega na tym, że jest grupa po stronie opozycji, nazwijmy to – doradcy Wałęsy, wokół niego skupieni, którzy byli w stanie tę naturalną decyzję społeczeństwa zafalszować, przekreślić. To jest lista krajowa i tak dalej. I zaczął się ten proces, o którym mówiłem,

to znaczy *pacta sunt servanda* i ten proces zaczął być blokowany. I tu jest fundamentalna istota. Ale to jest coś, co nastąpiło dopiero po 4 czerwca.

Natomiast sam proces dojścia do 4 czerwca... Uważam, że po całej naszej historii, bić się czy nie bić, to był najmniejszy koszt, jaki ponieśliśmy i doszliśmy do tego naprawdę w taki a nie inny sposób.

Jest naturalny zarzut, że Polska miała najpóźniej wolne wybory. Że dopiero w 1991 roku mieliśmy wolne wybory, podczas gdy na Węgrzech to był rok 1990. Tylko pamiętajmy – w Polsce nastąpiło przełamanie. Polska pokazała, że doktryna Breżniewa w rzeczywistości nie działa i po 4 czerwca wszyscy naokoło zobaczyli, że rzeczywiście doktryna Breżniewa nie działa. Że można, że wszyscy mogli pójść. I poszli.

Zbigniew Jackiewicz:

– Ja mam coś, co się nadaje na czas przed przerwą. Bo mówiłem o 8 czerwca (jeśli idzie o to, co się działo z tą komisją porozumiewawczą, która przekreślała i przekłamywała wynik wyborczy). 8 czerwca Jacek Kaczmarski napisał taki wiersz „Obym się mylił”. Ostatnia zwrotka tego wiersza brzmi tak:

*Na razie rośnie sterta wróżb ponurych,
póki ci wszyscy, co za nią się skryli,
szykują nowy plan demokracji,
ręce podnosząc obtudnie do góry
Obym się mylił.*

Uważam, że to ładne poetyckie ujęcie tego, co zaczęło się dziać po 4 czerwca.

Bohdan Urbankowski:

– Mam takie dwie uwagi.

Po pierwsze – władze okazały się lepszymi oszustami (bo to była gra oszustów), lepszymi manipulantom. To, że one się co chwila powoływały na jakiś mityczny beton, jak już mówiliśmy, to jeden z przykładów. Solidarność nie była w stanie tego zrobić.

Po drugie – wydaje mi się, że w partii nastąpił nieco paradoksalny

proces, a mianowicie ortodoksi dogonili dysydentów. Dlatego, że oni nagle zrozumieli, że być może tamci mieli rację. Więc po jednej stronie jest Kiszczak, Ciosek, Reykowski. Po drugiej stronie, oprócz Wałęsy, jest Geremek, jest Kuroń. Co to są za ludzie? Geremek – PZPR. Kuroń – dowodził walterowcami. Więc to byli ludzie niezwykle sprawni socjotechnicznie. Po stronie Solidarności takich nie było i to jedna z przyczyn tego, że to się zaczęło rozłazić.

Żeby skończyć anegdotę. W 1968 roku myśmy strajkowali na Uniwersytecie. Rektor wylazł na balkon, że nie będzie ze wszystkimi rozmawiał, żeby wybrać delegację. No to myśmy włązili na taką stertę lodu pociapanego i wybieraliśmy delegację. W pewnym momencie jakiś znajomy nas szturcha i mówi: „Stary, przestań pieprzyć, bo nasza delegacja już jest na górze”. Ja patrzę, a tam jest kilkoro osób z Wydziału Historycznego, których nikt nie wybierał. Nikt z nas ich nie znał. Po latach powtórzyli ten manewr tak zwani doradcy Solidarności, którzy przyjechali i objęli władzę.

Jerzy Wawrowski:

– My głosowaliśmy, a oni robili historię...

Bohdan Urbankowski:

– Ale my robiliśmy demokrację.

Maciej Gawlikowski:

– Liczy się mądrość, szybkość i refleks jednak.

DYSKUSJA

Andrzej Chyłek:

– Maciek Gawlikowski skrytykował struktury Solidarności (że one prawie nie istniały). Jako działacz związkowy, a w późniejszych latach polityczny, chciałbym trochę inaczej przedstawić ten obraz. Faktem jest, że po roku 1985 ludzie z tak zwanych podziemnych struktur Solidarności zaczęli zastanawiać się, czy jest sens działalności stricte związkowej w takiej sytuacji, jaka zaistniała. Rozpoczęli wtedy rozmowy, w jaki sposób przejść łagodnie do działalności politycznej i uświadamiać ludzi, co z dalszych działań może być potrzebne dla Polski. Akurat u nas to się udało i przybrało postać grupy politycznej „Niezawisłość”, która później podjęła decyzję o przystąpieniu do Konfederacji Polski Niepodległej. To byli ludzie z różnych zakładów pracy Mazowsza, głównie budowlanych, ale nie tylko. I w tych zakładach struktura związkowa cały czas istniała – nie zakończyła działania z chwilą jakichś nieprawidłowych zachowań kierownictwa Solidarności. Pojawiały się różne artykuły. Przypomnę, że takie kultowe, jak Kuronia *Krajobraz po bitwie* i Moczulskiego *Krajobraz przed bitwą* rozpoczęły dyskusję na ten temat...

Maciej Gawlikowski (moderator dyskusji):

– To jest 1987 rok.

Andrzej Chyłek:

– Tak. To spowodowało, że ludzie zaczęli się interesować bardziej tym, co tak zwani wpływowi politycy wtedy mówili. Nie ukrywam, że nie było sentymentu do KPN, bo różne głosy się wtedy rozchodziły w tych strukturach i zanim podjęliśmy decyzję o przystąpieniu do KPN, były rozmowy z Sewerynem Jaworskim, żeby stanął na czele tamtej grupy i żeby powstała partia chrześcijańska, która – gdyby

się zdecydował – byłaby drugą w kolejności (po KPN) oficjalną partią polityczną. Przestraszył się, chłopisko, i stąd później nasza działalność w Konfederacji. Nie wszyscy, ale większość ludzi, którzy działali w naszej strukturze, do KPN przystąpiła. Faktem jest, że w 1987 roku struktury nie były za silne. Żeby je wzmocnić Konfederacja Polski Niepodległej podjęła taką uchwałę, aby odtwarzać struktury Solidarności w zakładach pracy i rejestrować – poza strukturą Solidarności – na nowo komisje zakładowe Solidarności. Wykonałem polecenie partyjne i zarejestrowałem na nowo Związek Zawodowy Solidarność, zgłaszając wniosek do sądu (jako jeden z pierwszych na Mazowszu). Nigdy nie został rozpatrzony, ale prokuratura prowadziła usilne działania nad zgłaszającymi aż do roku 1991, po czym sprawę umorzyła. Mimo nierozpatrzenia tego wniosku nasza struktura związkowa działała. Mieliśmy szczęście, bo od 1985 roku na nowo zaczęły działać samorządy pracownicze. W Mostostalu taki samorząd działał, w 1988 roku zapraszał mnie jako przewodniczącego na posiedzenia, więc formalnie – jako przedstawiciel związkowy – od 1988 roku brałem udział w oficjalnych posiedzeniach z kierownictwem. Nie było więc tak, że tych struktur nie było. Stąd, na hasło zrywu (później), miał kto stanąć na czele i powiedzieć do ludzi: „Idziemy!”.

Maciej Gawlikowski:

– Tak było w Warszawie. Oczywiście masz rację, tak było w dużych zakładach pracy w Warszawie. Natomiast Polska to nie jest tylko Warszawa. Polska jest gdzie indziej, jak pokazały chociażby wyniki ostatnich wyborów. Polska jest gdzie indziej.

Głos z sali:

– Ja mam nadzieję, że kolega nie wykluczył Warszawy z Polski...

Maciej Gawlikowski:

– To jest wisienka na torcie i nie mówię o kolorze wiśni, że czerwony...

Piotr Wójcik:

– Chciałbym się odnieść do kilku wątków przez panów poruszonych. Pierwszy – to zarys kontekstu międzynarodowego i całego splotu wydarzeń, który doprowadził do Okrągłego Stołu. Z większością tego zarysu mógłbym się zgodzić, tylko zabrakło mi takich elementów, jak przegrana przez Rosję Sowiecką wojna w Afganistanie i przegrany wyścig zbrojeń. To jest kluczowe. Impuls gorbaczowski nie przyszedł dlatego, że Gorbaczow wymyślił jakąś nową koncepcję, tylko minimalizował skutki klęski. Padły tutaj takie słowa, że w polskiej opozycji nie było przywództwa. Moim zdaniem to nieprawda.

Maciej Gawlikowski:

– W Solidarności...

Piotr Wójcik:

– Jeżeli przez Solidarność rozumiemy czysty związek zawodowy, to możemy o tym dyskutować, ale jeżeli przez Solidarność rozumiemy szeroki ruch społeczny, to się z tym nie zgadzam. Rozmawiałem z kilkoma osobami (na przykład ze Zdzisławem Najderem czy Janem Olszewskim) o tym czasie, o ich ocenach sytuacji w roku 1985, o tym, co nas czeka i o tym, że komunizm zbliża się do kryzysu (jeśli nie upadku). W Polsce, w ramach polskiej opozycji, byli ludzie, którzy analizowali to i potrafili wyciągać prawidłowe wnioski. To tytułem polemiki.

To, co mi się wydaje tutaj bardzo istotne (bo ciągle mamy tu ten dylemat – „Bić się czy nie bić”), jeżeli mówimy na przykład, dlaczego nie powstała PPS jako siła, to – pomijając już małą atrakcyjność słowa socjalizm dla Polaków wtedy, uważam, że nastąpiło przerwanie pewnej ciągłości kulturowej i ciągłości normalnej działalności politycznej. Oznaczało to, że mało kto w Polsce rozumiał potrzebę ciągłości działalności politycznej i nie rozumiał, czym była Polska Partia Socjalistyczna. Żeby stworzyć taką partię, trzeba by było ludziom wytłumaczyć, że

chodzi nam o inny socjalizm, że chodzi nam o PPS-WRN i nauczyć szeroką publiczność tej historii.

Po drugie, co wydaje mi się kluczowym argumentem, dlaczego PPS nie powstała i dlaczego to kształtowanie się sceny politycznej tak przebiegło, lewica KOR-owska dokonała operacji powrotu do źródeł. Ich koncepcja była taka, że oni stoją na czele, są rewizjonistami, którzy odzyskują swój matecznik i tworzą koncepcję kopuły. O takiej koncepcji mówił Adam Michnik i moim zdaniem ta koncepcja była prostą konsekwencją tego kontraktu, który zawarto w Magdalence. Był taki moment, kiedy odgórnie próbowano rozwiązać komitety obywatelskie. Jak się okazało, że one nie bardzo chcą się rozwiązać, to trzeba było przyspieszyć i je przejąć. Z jednej strony miała powstać partia Solidarność, oczywiście pod światłym przywództwem inżynierów społecznych, a po drugiej stronie partnerem miała być PZPR. I to miało zamknąć polską scenę polityczną. Taka operacja była przeprowadzana. Oni przegrali. Popętnili wiele błędów, między innymi uznali, że już jest dobry czas, żeby pozbyć się Wałęsy jako kukły, która jest im do niczego niepotrzebna. Popętnili wiele błędów. Nie docenili przeciwnika. Ale myślę, że to symboliczne przejście i powrót do źródeł lewicy KOR-owskiej to jest taki pomysł, przez który partia PPS nie mogła powstać.

Ale jest coś ważniejszego. Otóż, wynik wyborów 4 czerwca. *Vox populi* (suweren), zdecydował, że odrzuca komunizm. To już było mówione. Natomiast ograniczanie reprezentacji przy Okrągłym Stole i w Magdalence miało znamiona działania takiego, że PZPR będzie kontrolować sytuację. Podzieli się władzą z wybranymi, żeby nie powiedzieć, z tymi, na których ma największy wpływ, żeby to tak delikatnie nazwać. Myślę, że cała historia różnych komisji badających zawartość archiwów MSW jeszcze przed rozpoczęciem procesów lustracyjnych formalnie w Polsce też tego dowodzi.

Maciej Gawlikowski:

– To trochę mit.

Piotr Wójcik:

– Nie wiem czy mit. Komisja Michnika, Holzera itd. działała. To są fakty, nie mity. Coś ci fachowcy tam robili. Po coś zostali tam wpuszczeni.

Andrzej Anusz:

– Coś tam czyścili.

Maciej Gawlikowski:

– Czyścić to nie, bo to były materiały wyłącznie ewidencyjne.

Piotr Wójcik:

– Zgadzam się też z taką oceną, że opozycja niepodległościowa przegrała trochę na własne życzenie. Nie wykorzystała momentu, który umożliwił wymuszenie na komunistach szerszej reprezentacji. Przebrano walkę z lewicą KOR-owską o sterowanie tym okrętem. To był moment, moim zdaniem, kluczowy.

Filozofia młodych ludzi z NZS była taka – trzeba brać od komunistów co można i strajkować dalej, odbierać więcej. Czyli układ można zawrzeć, bo on uruchamia energię społeczną i wybory, które możemy wygrać. I natychmiast po tych wyborach możemy im odebrać władzę w pełni. Nie ma żadnych paktów, które są poza wolą suwerena. Jest sytuacja, w której po to umawiamy się z komunistami, żeby uzyskać szansę tych wyborów, jakkolwiek ograniczonych, ale jednak – pokazania woli narodu – i odtąd ona nas wiąże w sensie moralnym i politycznym, a nie żadne układy z komunistami. Wynik wyborów 4 czerwca ten układ z Magdalenki przekreślił.

Mirosław Lewandowski:

– Przepraszam, ale przecież Andrzej Anusz o tym mówił (i ja się z tym zgadzam), że Solidarność szła do rozmów z hasłem, żeby zalegalizować Solidarność. A wyborów żądała PZPR.

Piotr Wójcik:

– Ale sytuacja była bardzo dynamiczna.

Mirosław Lewandowski:

– Solidarność traktowała swoją zgodę na wybory jako ustępstwo ze swojej strony, bo szła do negocjacji z założeniem „Nie chcemy tych wyborów!”.

Piotr Wójcik:

– Uważam, że trzeba było wtedy wybrać koncepcję „Bić się!”, w tym znaczeniu, żeby brać to, co dają i walczyć dalej o swoje. Byłem zwolennikiem takiej roli NZS-u, w której on idzie drogą, jaką poszedł węgierski Fidesz.

Maciej Gawlikowski:

– Tylko jedno powiem. Nie ograniczajmy strony solidarnościowej przy Okrągłym Stole do lewicy laickiej. Nie zapominajmy o Kościele, który tym nadzorował, błogosławił i technicznie przeprowadzał.

Jerzy Wawrowski:

– Kilka refleksji. Pierwsza jest taka. Została szeroko przedstawiona ta strona opozycyjno-solidarnościowa uczestnicząca w tym procesie (zróżnicowanie tej strony, podejścia i koncepcje), natomiast druga strona (strona władzy) jawi się w tym panelu jako monolit. Mówię o tym, bo wydaje mi się, że rozpatrywanie całego procesu należałoby zacząć od 13 grudnia, od wprowadzenia stanu wojennego. Dlaczego? Czym był stan wojenny? Wydaje mi się, że lata 1980–1981 to był czas, kiedy obóz władzy – ja nie operuję określeniami „partia”, tylko „obóz władzy” – uświadomił sobie, że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli. Że nie ma inicjatywy strategicznej w tej rozgrywce. Nie wierzę w to, co Jaruzelski mówił – „Będziemy bronić socjalizmu jak niepodległości”. To było tylko hasło. Wydaje mi się, że chodziło o odzyskanie inicjatywy strategicznej w tej rozgrywce. I później już mamy po stronie obozu władzy pewne procesy wskazujące na to, że tam są już przygotowania do zmian, że to nie jest obóz jednolity. Cezura, o której ktoś tu powiedział, mianowicie: do zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki i po zamordowaniu. Wywiad wojskowy, Służba Bezpieczeństwa, aparat

polityczny – już to pokazuje, że tam było wewnętrzne zróżnicowanie interesów.

Druga kwestia, to proces – nazwijmy to hasłowo, zamiany Marksa na kapitał obrotowy – zaczął się już wcześniej. A więc tu też zostały uruchomione pewne interesy. I w kontekście logiki interesów drugiej strony i zróżnicowania, wydaje mi się, że należy patrzeć i na 4 czerwca, i szczególnie na to, co się stało potem. 4 czerwca był pewnego rodzaju przełomem i tu się zgadzam, że do 4 czerwca idzie dobrze i po naszej myśli. A po 4 czerwca, mówiąc też w uproszczeniu i hasłowo, dalszy bieg transformacji determinuje logika procesu zamiany kapitału Marksa na kapitał obrotowy. I tutaj społeczeństwo jest już odstawione na bok, wyłączone z procesu transformacji. My, dogadane elity, konsumujemy zwycięstwo.

Proces, jaki odbył się w Polsce, nie był pełnym procesem rewolucyjnym. Zawsze jest tak w rewolucjach, które znamy (angielska, francuska), że pierwszym zwycięzcą pierwszego buntu rewolucyjnego jest to stronnictwo najbardziej umiarkowane, które ma skłonność do dogadania się z reżimem. Natomiast później idą kolejne segmenty sił rewolucyjnych, które eliminują tych pierwszych zwycięzców. Tak było w rewolucji angielskiej: prezbiterianie, obóz independentów (a jeszcze mieli na zapleczu lewelerów) cisnących...

Piotr Wójcik:

– Ale we francuskiej było inaczej.

Jerzy Wawrowski:

– W rewolucji francuskiej było podobnie. To nie jest tak, że jakobi- ni od razu rządzą. Ale wracając do Okrągłego Stołu. Tutaj, wydaje mi się, że zwyciężyła logika tamtej strony. Oni odnieśli zwycięstwo – my doprowadziliśmy do 4 czerwca, ale oni wygrali transformację.

Następna kwestia wiąże się z moim osobistym wspomnieniem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Leszka Moczulskiego. To się działo między strajkami w 1988 roku a rozmowami Okrągłego Stołu, kiedy już Kiszczak zaproponował Okrągły Stół, a Wałęsa przyjął tę propozycję.

Jakoś w tym okresie działacze grupy politycznej „Niezawisłość” spotkali się na Bródnie (w mieszkaniu Dąbrowskiego) z Leszkiem Moczulskim, który przedstawił nam bieg wydarzeń, który teraz przytoczę.

Po pierwsze, użył takiego sformułowania, że to, co Kiszczak puścił, jeżeli chodzi o Okrągły Stół, to był pierwszy próbny balon i takich balonów się nie łąpie. Wałęsa popełnił błąd, bo podjął grę, którą zaproponował przeciwnik. Bez warunków wstępnych.

Następnie Moczulski przedstawił taką analizę: nad nami ciąży cały czas ten cień Związku Sowieckiego. To jest supermocarstwo, a my tutaj harcujemy sobie. Pamiętam, że Moczulski prognozował, że Związek Sowiecki będzie się rozpadał i w perspektywie od 5 do 10 lat on się po prostu rozpadnie. Uzasadniał to dwoma argumentami. Wskazał na to, że kompleks przemysłowo-wojskowy w Związku Sowieckim coraz bardziej uświadamia sobie, że nie wygra zimnej wojny. Mówił, że jeden antagonizm na poziomie centralnym to kompleks przemysłowo-wojskowy kontra kompleks bezpieczeństwa, kagiebowski, a drugi – to rozpad po tak zwanych szwach. Elity komunistyczne w poszczególnych republikach, widząc osłabienie władzy centralnej będą chciały się emancypować, żeby się umocnić.

Generalnie prognoza dosyć trafna, a zatem zetknąłem się z opinią Leszka Moczulskiego taką, że Okrągły Stół był błędem. Pamiętam nawet takie jego sformułowanie, że za dwa lata oni by nam oddali władzę, tylko za to, że nie będziemy ich wsadzali do więzienia, że czas pracuje na naszą korzyść, że logika procesu osłabiania systemu pracuje na naszą korzyść. I że można było nie wchodzić w tę grę, którą zaproponował Kiszczak.

I jeszcze jedna refleksja. Mówimy o zróżnicowanym stosunku do Okrągłego Stołu osób zaangażowanych wtedy politycznie. Oprócz nich było społeczeństwo. Zaobserwowałem, że sam Okrągły Stół w skali społecznej nie był postrzegany jako jakaś intryga. W skali społecznej zaczął budzić nieufność dopiero wtedy, kiedy Geremek powiedział, wbrew temu, jak społeczeństwo zagłosowało, że *pacta sunt servanda*. Tylko że chodziło o *pacta* nie ze społeczeństwem... Później już sam przebieg transformacji spowodował, że szersze kręgi społeczne zaczęły

na Okrągły Stół patrzeć krytycznie. Ale do 4 czerwca szersze kręgi społeczne nie patrzyły na to krytycznie, w moim przekonaniu.

Maciej Gawlikowski:

– Jedna uwaga. Nie mówmy, że gra czy cwaniactwo to coś złego. Polityka to jest gra i cwaniactwo. To, że przy Okrągłym Stole była gra i cwaniactwo to super. Szkoda tylko, że ze strony opozycyjnej była tak słaba.

Michał Janiszewski:

– Zacznę trochę górnolotnie. Ten dzisiejszy temat jest początkiem pewnej dyskusji. Należymy do pokolenia, któremu udało się po raz drugi doczekać niepodległości. Nie mówię – „odzyskać niepodległość”. Jako ludzie, którzy się do tego trochę przyczynili, mamy obowiązek przyszłym pokoleniom wyjaśnić procesy, które doprowadziły do tego. Bo to nie było tak, że ni z tego, ni z owego na 4 czerwca nam się Polska objawiła. To nie było tak. A tak nam dzisiaj propaganda wielu ośrodków chce ten temat sprzedać. Ja naszym prelegentom czterem przypominę temat – „Okrągły Stół. Koncepcja polityczna, założenia i rezultaty. Realistyczna droga czy niepotrzebna ugoda?”. To jest temat rzucony jako początek. Samozwańcze elity – posłużę się cytatem z Bogusia Urbankowskiego – usiadły przy tym stole. Bo to tak było, że silny dobrał sobie towarzystwo i ogłosił: „My się tu dogadujemy”.

Nie widzę też sprzeczności w tym, co mówi Zbyszek Jackiewicz, że 4 czerwca Solidarność pokazała siłę, a tym co mówi Maciek – o słabości struktur. To są dwie różne rzeczy. 4 czerwca społeczeństwo wyraziło swoje poparcie dla idei, która zawierała się w jednym słowie – Solidarność. To było wyrażenie woli. Jedno słowo, które zamknęło społeczeństwu pewien obraz i tutaj nie ma żadnych wątpliwości. A że towarzystwo, które zebrało się przy Okrągłym Stole bało się tego i boi do dzisiaj (bo to nie jest tak, że te lęki im przeszły)... Już kiedyś rozmawialiśmy o sprawie powstania oddziałów samoobrony terytorialnej. One nie powstają, bo władza do tej pory boi się społeczeństwa. Nie da im broni.

Rzeczy, które tutaj nie padły i są w ogóle mało zbadane – tylko

w dwóch książkach Wojciecha Błasiaka znalazłem sygnały (on też tylko sygnalizuje, ale to są rzeczy warte zbadania). Pierwsze – nie możemy abstrahować od sytuacji gospodarczej. Ona była kompletnie beznadziejna. Obie strony siedzące przy stole szukały ratunku i wyjścia. I teraz pytanie. Jaka była rola Banku Światowego? Jaka była rola Międzynarodowego Funduszu Walutowego? Ci przedstawiciele tu byli. Mamy te sygnały. Oni nie mieli wpływu na sprawy polityczne? Oczywiście, że mieli. Powiedziałbym więcej, że to był dyktat.

Maciej Gawlikowski

– Przez ambasadę Stanów Zjednoczonych.

Michał Janiszewski:

– Pamiętajmy też o tym... Zadam tylko pytanie. Gdzie zaczynał karierę Rosati? Gdzie zaczynał karierę Belka? Oni zaczynali w tych międzynarodowych organizacjach tu. To jest rzecz do zbadania dla historyków. Czy się uda to zbadać – nie wiemy. My trochę możemy o tym powiedzieć i możemy to naświetlić, żeby moja wnuczka nie zadawała mi pytania, że jak to już rach-ciach i już była wolna Polska. To wcale tak nie było.

Maciej Galikowski:

– Wnuczka cię zapyta, czemu nie zostałeś bankierem albo banksterem jak Morawiecki?

Michał Janiszewski:

– No bo wtedy latałem po piwnicach i drukowałem słowo...

Druga rzecz, Leszek Moczulski, w wywiadzie, który przeprowadziłem i który jest na końcu książki *Moloch*, odpowiadając na pytanie, czemu on tę książkę w 1987 roku ściągnął mi z maszyn (wrócił ze Stanów Zjednoczonych, ściągnął mi trzy pozycje książkowe z maszyn i kazał tłuc ulotki). – Dlatego, że w czasie rozmów w Stanach Zjednoczonych on się zorientował, że Stany są gotowe na ugodę z ZSRR, a Solidarność nie będzie walczyć. Zgodzą się na przywrócenie jakiejś Solidarności i na

tym ma być koniec. I on wtedy całe siły KPN-u rzucił w rozdmuchiwanie tego buntu w 1988 roku.

I ostatnia już rzecz – z obecnym tu Andrzejem Anuszem zastanawialiśmy się, dlaczego ówczesna młodzież NZS-u nie stworzyła siły politycznej. Nadchodziła jako siła polityczna, ale nigdy jakoś się nie zorganizowała. Jak się czyta historię NZS-u, to tam tylu było, żeby to rozważyć, na bazie tych młodych ludzi... Ci młodzi ludzie się nie skrzyknęli nie daj Boże, tak jak to poniekąd zrobił Jobbik na Węgrzech.

Maciej Gawlikowski:

– Fidesz. Z Mirkiem Lewandowskim w książce *No future* duży fragment na ten temat napisaliśmy.

Michał Janiszewski:

– No właśnie. I pytanie, czy to nie było zupełnie celowe, zaplanowane?

Mirosław Jerzmanowski:

– Jestem ze Śląska, uczestniczyłem w strajkach górniczych. I zastanawiam się, o jakiej Solidarności my mówimy. Była jedna Solidarność, potem był stan wojenny i potem była druga Solidarność. Stan wojenny był m.in. po to, żeby się pozbyć z Komisji Krajowej niektórych ludzi z zarządu regionów (żeby wyjechali z kraju). Przykładowo wspomnę tu ze Śląska Rozpłochowski. Zostało to zrobione po to, aby skład Komisji Krajowej nowej Solidarności był ugodowy. I żeby przy Okrągłym Stole nie było zbyt dużych problemów.

Jeżeli ktoś mówi, że Solidarność nie była siłą, to jest nieporozumienie. Ja uczestniczyłem w strajkach górniczych. I powiem tak – jeżeli chodzi o Śląsk, to w niektórych komisjach zakładowych przewodniczącymi komisji zakładowych byli członkowie KPN-u. W niektórych zarządach członkami zarządu byli członkowie KPN-u. Myśmy na całym Śląsku mieli ogromny wpływ. Na co? Na to co robi Solidarność. To nie chodzi o to, że myśmy kierowali Solidarnością, bo to by było nadużycie. Ale mieliśmy po prostu wpływ na pewne działania i postępowania.

Bogdan tutaj użył nazwy kopalni „Manifest Lipcowy”. Przecież w tym okresie strajki górnicze były na Śląsku co chwila. Wybuchały, nie tylko ze względów płacowych, bo były podpisywane porozumienia, ale ich nie dotrzymano... Były co chwila. Może sobie państwo przypomną, jak przed Okrągłym Stołem w Rybnickim Okręgu Węglowym, bo tak to się nazywało, wybuchł strajk przed Okrągłym Stołem. Przyjechał Wałęsa, i co? Szkoda, że Andrzeja Andrzejczaka tu nie ma... Po co Wałęsa przyjechał? Przyjechał, żeby zgasić strajk. Bo akurat była sytuacja, że zbliżał się Okrągły Stół. Przyjechał na Śląsk i go chcieli wywieźć na taczkach.

Byłem członkiem zjazdu regionu śląsko-dąbrowskiego Solidarności w Ustroniu Polanie zaraz po stanie wojennym. Alojzy Pietrzyk nie był pewny wygranej. Gdyby nie my i świętej pamięci Tomek Karwowski, który uczestniczył w tym zjeździe, Alojzy Pietrzyk by tego nie wygrał. Już zaczynało się ciśnienie zmierzające do tego, żeby coś z tym górnictwem kombinować.

I ostatnia kwestia. Czyja inicjatywa była powstania związku zawodowego Kontra?

Głos z sali:

– KPN-u

Mirosław Jerzmanowski:

– A dlaczego powstał związek zawodowy Kontra? A gdzie powstał? Na „Zofiówce”, na „XXX-lecia PRL”. A kto go organizował? Bronek Stec, członek KPN. I tak powstała Kontra, ponieważ już przewidywano, że coś się dzieje z górnictwem.

Na sam koniec krótko. Proszę państwa, gdyby ktoś przyjechał na kopalnię i powiedział, że chce stworzyć Polską Partię Socjalistyczną, to by nie wyjechał. Po prostu. „Socjalizm tak, wypaczenia nie”.

Reasumując, uważam, że jeżeli by nie opuściło Polski tylu ludzi, którzy musieli wyjechać, na pewno by się zrodził jakiś ruch polityczny. A jak państwo myślą, dlaczego w pierwszej kadencji klub parlamentarny Solidarność poparł waszą ustawę o Restytucji Niepodległości?

Głos z sali:

– W połowie.

Mirosław Jerzmanowski:

– Poparł dlatego, że to też była pewna praca. Ja uważam, że była to niepotrzebna robota. Należało przeczekać. Natomiast to, co zrobiono, mamy teraz tego skutki.

Mirosław Lewandowski:

– Siedzimy z Maćkiem i próbujemy przygotować książkę o roku 1989. Zobaczymy co z tego wyjdzie. Tu dużo zależy od prezesa, sekretarza, generalnie od Instytutu.

Maciej Gawlikowski:

– I od skarbnika.

Michał Janiszewski:

– Skarbnika nie ma. Prezes pełni taką funkcję.

Maciej Gawlikowski:

– Może w odwrotnej kolejności: Od skarbnika, sekretarza...

Mirosław Lewandowski:

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie, ale sygnalizuję wam to, bo siedzimy na razie z Maćkiem nad tymi dokumentami. Literatura jest olbrzymia. Założenie jest takie, że próbujemy sięgnąć do źródeł i zweryfikować całą tę mitologię Okrągłego Stołu na podstawie dokumentów źródłowych. Dokumenty źródłowe to są głównie notatki czy stenogramy z rozmów. Chcę tu powiedzieć jedną rzecz. Jak zaczęliśmy to badać, to nam to od razu wyszło, że cały Okrągły Stół to był teatr. Te rozmowy nie miały wielkiego znaczenia. Kluczowe były ustalenia, które były dokonywane w węższych gremiach. Jak ktoś ładnie powiedział, nie rozmowy przy Okrągłym Stole decydowały, tylko pod stołem.

Maciej Gawlikowski:

– I to nie Magdalenka, tylko dużo wcześniej.

Mirosław Lewandowski:

– Jedną rzecz to jest Magdalenka. Drugie gremium (węższe niż Magdalenka) nazywało się chyba – „przewodniczący zespołów problemowych”. Magdalenka to było około dwudziestu osób. Ci „przewodniczący zespołów problemowych”, to było kilkanaście osób, ale bliżej dziesięciu. A były jeszcze węższe gremia. Kończyło się tak, że spotykali się Orszulik i dwóch ludzi: dajmy na to Ciosek, a z drugiej strony do pewnego momentu to był Wielowieyski (w 1988 roku), potem Stelmachowski, a potem Mazowiecki, który o dziwo – tak wynika z papierów – odegrał wtedy niezłą rolę.

Ciekawe są źródła. Jeżeli chodzi o Okrągły Stół, to mamy tu stenogramy i jest pełna jasność, ale jak mówię, Okrągły Stół nie miał kluczowego znaczenia. Znaczenie miały te rozmowy pod stołem. Jeżeli chodzi o Magdalenkę, to mamy stenogramy w dwóch wersjach. Jedna jest w IPN, druga – zrobiona przez Dubińskiego, tego esbeka przy Kiszczaku, została wydana w takiej granatowej książce *Okrągły Stół*. Bardzo fajnie jest to porównać. Bo kolega towarzysz Dubiński pewne rzeczy pomija. Na przykład – wszystkie wzmianki, że zarządono przerwę i Kiszczak rozmawia przez telefon z Jaruzelskim. Nie wszyscy mamy świadomość, że tak naprawdę tam za wszystkie sznurki pociągał Jaruzelski.

Cofnijmy się teraz do roku 1988. Tu była dyskusja o przyczynach. Nam się to jawi zupełnie inaczej. Kluczowe znaczenie miała sytuacja międzynarodowa. Reagan, który się zawziął na „czerwonych” (a Polska była elementem, którego używał w grze z Sowietami). Druga rzecz – to sytuacja Gorbaczowa, który miał nóż na gardle. Natomiast jeśli chodzi o Polskę, to tu oczywiście Jaruzelski przez długi czas nie miał zamiaru się z nikim dogadywać. To bardzo wyraźnie widać. Gdy Gorbaczow przejął władzę, to zaczął naciskać na Jaruzelskiego – „Dogadaj się z opozycją!”, to Jaruzelski symulował, że prowadzi jakieś rozmowy. Andrzej Anusz mówił, że w 1986 roku zrobił amnestię, tylko że na po-

czątku 1988 roku mieliśmy z powrotem około stu więźniów politycznych. Zrobił amnestię w 1986 roku, bo mu Gorbaczow kazał. Polecam wam lekturę „Dzienników” Rakowskiego. Rozmowy były prowadzone w cztery oczy (Jaruzelski–Gorbaczow) albo sześcioro oczu (jeszcze z Kiszczakiem), ale to było po prostu - „Ruki pa szwam i wykonać!”. Twierdzi się, że doktryna Gorbaczowa przestała obowiązywać i Jaruzelski miał wolną rękę – to tak nie było! Były strajki kwietniowo–majowe (w 1988 roku), a tymczasem pod koniec maja była wizyta Reagana na Kremlu. I teraz, co się dzieje? Ten kretyn Jaruzelski z drugim kretynem Kiszczakiem wzięli i przyjebali hutnikom w Nowej Hucie. Wyjątkowo brutalna interwencja. Gorbaczow dostał szału – spieszyli mu szczyt na Kremlu! To on ma nóż na gardle, walczy o jakąś forszę od Amerykanów, a tutaj dwa czy trzy tygodnie przed szczytem na Kremlu, Kiszczak z Jaruzelskim montują mu taką robotę w Nowej Hucie?! Zwróćcie uwagę, że wizyta Gorbaczowa w Warszawie w lipcu 1988 roku była niezapowiedziana. On się wściekł i przyjechał do Polski. Nawet Rakowski o niczym nie wiedział. Gorbaczow po prostu wziął tych dwóch generałów i przywołał ich do porządku. I wtedy zaczęła się zupełnie inna gra (po tej wizycie Gorbaczowa). Tutaj mówimy okrągły stół, wybory i tak dalej, a sytuacja wygląda tak, że po wizycie Gorbaczowa, czy nawet jeszcze przed, biorąc pod uwagę sytuację międzynarodową, ekonomiczną i wolę społeczeństwa, niepodległość Polski była już przesądzona.

Wiem, że Wojtek Frazik nie zgadzał się z moim porównaniem wczoraj, gdy mówiłem, że mieszkańcy Pompejów, widzieli, jak wulkan wybucha i nie wiedzieli, że ich los jest już przesądzony. To nie jest determinizm. To jest jak gwiazdy na niebie. Jak dziś przy ognisku popatrzymy na niebo, to będziemy widzieć gwiazdy tak, jak wyglądały dziesiątki lat temu. One dzisiaj już inaczej wyglądają, tylko światło tak długo płynie do Ziemi. Podobnie jest tutaj. W roku 1988 było już pozamiatane. Nie było pytania, czy Polska będzie niepodległa. Pytanie było o to, jak się ten proces dokona, a przede wszystkim, jak będzie wyglądać ta niepodległość – i tu jest, moim zdaniem, kluczowa rola Okrągłego Stołu. Okrągły Stół, 4 czerwca, rząd Mazowieckiego – 15 lat postkomunizmu się wtedy decydowało! Decydował się kształt nie-

podległości, a nie to, czy będzie niepodległość, bo to już było przesądzone moim zdaniem.

I jeszcze jedna rzecz. Rozmowy pod stołem były prowadzone już dawno. W 1982 albo 1983 Chrzanowski negocjował z bezpieką wyjście ludzi z RMP z podziemia. Przełom 1983 i 1984 – jest taka inicjatywa Kiszczaka, żeby „jedenastkę” wypchnąć z Polski. Przy całym szacunku, to kluczową rolę odegrał wówczas Olszewski, żeby ich wypchnąć. Rzecz absolutnie haniebna. A kto wtedy uratował tyłek „jedenastce” (i w sumie też Olszewskiemu)? Adam Michnik. Michnik, który powiedział „nie”. To jest o tyle istotne, że postawa Michnika wtedy tłumaczy, dlaczego on uważał, że ma prawo fraternizować się z Kiszczakiem w roku 1989. Myślał zapewne tak: „Mam prawo, bo to ja miałem jaja. To ja napisałem do Kiszczaka obraźliwy list w 1983 roku. Nikt inny nie miał jaj. Tylko ja. Więc ja teraz mam prawo z Kiszczakiem rozmawiać”. Ja nie bronię Michnika, tylko...

Piotr Wójcik:

– Ale to jest jego legenda...

Mirosław Lewandowski:

– Nie. To prawda. On uważał, że skoro napisał twardy list z więzienia do Kiszczaka, skoro on jeden odmówił wyjazdu z Polski, to ma prawo. Ja uważam, że nie miał prawa, ale tłumaczę, dlaczego on sobie to prawo przypisał. Nie dlatego, że był Żydem i komunistą, albo że jego przyrodni brat był stalinowskim sędzią. Nie. On sobie przypisał to prawo, bo pokazał charakter na przełomie lat 1983 i 1984.

Drugi raz, kiedy Olszewski odegrał znowu bardzo niefajną rolę, to w okresie strajku w Nowej Hucie w maju 1988 roku. I tym razem mu się udało. On „utopił” SW – Kołodzieja razem z Morawieckim (oczywiście Orszulik i Stelmachowski też). Oni ich namówili, żeby z Polski wyjechali. I SW się skończyła w tym momencie. W zasadzie był to gwóźdź do trumny tej organizacji, która później nie odegrała już dużej roli.

Wydaje mi się, że sytuacja, która istniała w latach 1988 i 1989 była

taka, że były cztery podmioty na scenie politycznej (Kościół pomijam): dwa po stronie PZPR i dwa po stronie opozycji. Po stronie PZPR: beton i tak zwani reformatorzy oraz po drugiej stronie: miękka albo grzeczna opozycja (to określenie Siły-Nowickiego bardzo mi się podoba!) i niegrzeczna opozycja. Beton partyjny się nie liczył. Decydowały trzy pozostałe siły – jak dwie sprzymierzą się przeciwko tej trzeciej, to te dwie wygrają. I było pytanie, kto z kim na tego trzeciego? Uwielbiam wypowiedzi Kuronia, bo to jest facet cholernie szczery. Jak czytam materiały bezpieczniackie, to on jest jedynym facetem, który mówi wprost. I on mówił tak: „Jest wielka wspólnota interesów między reformatorami z PZPR, a umiarkowaną (realistyczną – bo on tak to nazywał) opozycją. A radykałów należy wypchnąć”. I to wcale nie było tak, jak mówił Andrzej, że grzeczna Solidarność straszyla reformatorów z PZPR niegrzeczną Solidarnością. To było tak, że to reformatorzy z PZPR straszyla grzeczną Solidarność tymi niegrzecznymi. Solidarność jak rozmawiała z „czerwonymi”, to nie mówiła im: „Ustąpcie, bo za nami są ci niegrzeczni i oni was dopadną”, tylko „czerwoni” mówili do grzecznej Solidarności – „Ustąpcie, dogadajmy się, nie róbmy fiaska Okrągłego Stołu, bo wtedy, to ci radykałowie was dopadną”.

Kończąc, praca na tych materiałach doprowadziła nas do wniosków, że generalnie to, co wyście tu mówili to się wszystko zgadza. Tylko, że są pozornie drobne przesunięcia. Jak je razem zebrać, to wyłania się jednak zupełnie inny obraz tych zmian, niż się powszechnie uważa.

Maciej Gawlikowski:

– Kościół trzymał oczywiście z tymi dwiema siłami zwycięskimi.

Mirosław Jerzmanowski

– Mirek Lewandowski powiedział, że impuls do rozmów przyszedł ze wschodu. W związku z tym chciałbym nawiązać do pierwszej części wypowiedzi Macieja Gawlikowskiego i przypomnieć, że Perzkowski opublikował materiały z posiedzeń plenum KPZR dzięki temu, że miał skaner w 1992 roku w archiwum i nikt z ówczesnych pracowników archiwum nie wiedział do czego służy ten skaner. To

skanował dokumenty i między innymi zeskanował materiały źródłowe z plenum KPZR z 1983 roku i przemówienie ówczesnego generalnego sekretarza, Andropowa, który wtedy w 1983 roku mówił, że system społeczno-gospodarczy socjalistyczny jest niewydolny i należy przygotować się do przemian, które nastąpią. Oni jeszcze wtedy nie zdawali sobie sprawy, jakie to będą przemiany i w którą stronę one pójdą, ale już wtedy zdawali sobie sprawę, że gospodarczo wszystko przegrali. Nie przegrali ze Stanami wyścigu zbrojeń, tylko przegrali z własnym społeczeństwem. Ja od 1988 roku starałem się robić interesy na wschodzie (jak to się nazywa? – pierwotna akumulacja kapitału?). Na własne oczy widziałem w ciągu 4 lat, jak to, że gospodarka między palcami się rozchodzi, zdemoralizowało niemalże całe państwo. I to, moim zdaniem, miało decydujące znaczenie, że tej forsą ze wschodu do naszych władarzy ciągle płynęło.

Andrzej Anusz:

– Kilka faktów, które moim zdaniem mogą rzucić nowe światło na tę całą sytuację.

Po pierwsze, 30 sierpnia 1988 roku władze miały przygotowany scenariusz stanu wyjątkowego. Była przygotowana lista internowanych i to była zupełnie inna lista niż 13 grudnia 1981 roku. To była lista składająca się z młodych ludzi z tzw. nowej opozycji i z radykalnej Solidarności. To nie było tak, że oni już odpuścili i nie szykowali drugiego scenariusza. Był ten scenariusz przygotowany. O tym trzeba pamiętać, bo to był ten moment przełamania. Początek września. Oni zakładali, że październik to jest taki *deadline*. Może na wyrost w tych różnych materiałach jest analiza dotycząca uczelni wyższych. I właśnie październik był terminem ostatecznym, a sierpień to wiadomo, jeszcze studenci na wakacjach. Ale to nie było tak, że to było przesądzone. Ta sytuacja była bardzo dynamiczna i powinniśmy brać to pod uwagę.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Ja to trochę inaczej odczuwam. Wiadomo, że w latach 80. komuniści zauważyli, że system jest niewydolny i nie jest w stanie utrzymać

to wszystko. Szczególnie że Sowieci też się zaczęli sypać, więc nasi zostali bez wsparcia sowieckiego. Stworzyli Okrągły Stół, żeby podzielić się odpowiedzialnością za to, co się stanie. Żeby zrzucić z siebie tę odpowiedzialność, ale jednocześnie oni jako jedyni dobrze się przygotowali programowo, żeby przejąć jak najwięcej i jeszcze żeby zarządzać. Po co Okrągły Stół *de facto* był potrzebny? W mojej ocenie tylko dwa elementy powinny być przy Okrągłym Stole poruszane. Żadnych podstolików, żadnych innych rozmów. Pierwszy element to natychmiastowe zalegalizowanie wszystkich organizacji, które były po stanie wojennym zdelegalizowane. Bezwarunkowo, momentalnie rejestracja. I drugi element, to powinno być natychmiastowe przygotowanie wyborów. I dopiero wybory pokazałyby, kto ma rządzić i kto ma mieć mandaty do rządzenia. Komuniści to genialnie rozegrali, bo co zrobili? Nie ściągnęli nikogo z Solidarności, która była jedyną potęgą w tym czasie w Polsce. Nie było wybranego przedstawiciela z górników, z hutników, rolników indywidualnych, stoczniovców.

Maciej Gawlikowski:

– Byli. TKK zatwierdzała listę. Mieli mandat.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Natomiast wybrano osoby, które nie miały mandatu społeczeństwa. Mamy przykład Michnika, który tam był.

Maciej Gawlikowski:

– Był doradcą przewodniczącego Solidarności.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Ale nie został wskazany przez Solidarność.

Maciej Gawlikowski:

– Solidarność zatwierdziła, KKW zatwierdziła. To są mity.

Jerzy Iwaszkiewicz:

– Okrągły Stół dla niego to był dobry biznes i dobre wsparcie lewaków dla powstania gazety ze znaczkiem Solidarności, jak się okazuje, nielegalnie. Gdyby założył wtedy znaczek KPN-u to by sprzedał trzy tysiące albo pięć tysięcy „Gazety” i by nie miał wielkiego koncernu. Dał znaczek Solidarności i miał 0,5 miliona egzemplarzy. Być może dzisiaj byłby „Dziennik Solidarność” a nie tygodnik, powszechnie znany, tak jak „Gazeta Wyborcza” i być może byłaby to ciekawsza gazeta, gdyby w tym kierunku to poszło. Natomiast cwaniactwo polityków do tego doprowadziło. Ludzie tak to odczytują dzisiaj po 30 latach. A wystarczyło zrobić wybory i zalegalizować.

I na zakończenie – program Solidarności był. W 1997 roku AWS wygrała i zrobiła sześć reform. Czyli to też był program Solidarności, który ewaluował. Bo żadne partie nie miały programu: ani Michnik nie miał programu, ani Kuroń nie miał programu...

Bohdan Urbankowski:

– Kończymy więc kilka konkluzji. Okrągły Stół. Zdemoralizował i znieprawiał polskie życie polityczne po roku 1989, co odczuwamy do dzisiaj. Uczestnicy Okrągłego Stołu, tak zwana opozycja, mieli różnego rodzaju legitymacje, formalne być może, ale demokratycznego mandatu w imieniu Solidarności nie mieli i z programem solidarnościowym ich stanowisko nic nie miało wspólnego. I tak przebiegał proces transformacji, że skończył się czymś, co Timothy Ash opisał w swojej książce *Kłęska Solidarności*. To wstyd dla polskiej socjologii, że ta książka nie jest polskiego autorstwa. Ta książka pokazuje dwie rzeczy. Po pierwsze, że dla kogoś, kto patrzy z zewnątrz i patrzy obiektywnie, solidarnościowy program transformacji był oczywistością i poniósł znaczącą klęskę. Natomiast ci, którzy mienili się być przedstawicielami opozycji solidarnościowej nadużywali tego tytułu i tak naprawdę mentalnie i moralnie byli kryptokomunistami. Dzisiaj już nie są kryptokomunistami, ale są w tej formacji.

Maciej Gawlikowski:

– Kaczyńscy jako kryptokomuniści to dość śmiała sugestia.

Bohdan Urbankowski:

– Jeśli chodzi o Solidarność, to ona mogła odegrać bardzo pozytywną rolę, tylko po roku 1990 uruchomione zostały różne mechanizmy, które siłę programową Solidarności osłabiały. Jeśli chodzi o siłę organizacyjną, to mówienie, że Solidarność była silna tylko w Warszawie, to jest kompletne nieporozumienie, dlatego że siłą tego związku była struktura branżowo-regionalna i to w ten sposób przeprowadzona, że ziemia przemyska to były osobne struktury a ziemia rzeszowska to były osobne struktury. To budowało siłę organizacyjną i terytorialną tego związku wtedy. I tak naprawdę Solidarność była organizacją, która mogła przeprowadzić ten proces transformacji ustrojowej w sposób inny, natomiast ci politycy, którzy wywierali decydujący wpływ, poprowadzili to inaczej.

Michał Janiszewski:

– *Ad vocem* – jest książka Wojtka Błasiaka *Zaprzepaszczone rewolucja* o Solidarności.

Bohdan Urbankowski:

– Podaliśmy sporo szczegółów. Myślę, że jednak ogólny mit Solidarności i mit Okrągłego Stołu nie zmieniły się ani o jotę. Ci co byli przeciwnikami dalej będą przeciwnikami, zwolennicy – zwolennikami. Natomiast to, co mówiono dzisiaj na temat WiN-u jest jednym z kluczy do zrozumienia tego nurtu Solidarności. Oni gdzieś w środku próbują wylawirować, pomijając rolę agentury. Prawdziwa historia jest niemożliwa do napisania, bo musiałaby być zbiorem różnych teorii spiskowych. Historię robi się gdzie indziej. Była kiedyś taka fajna komedia, która przeleciała przez sceny polskie najpierw pod tytułem *Od tytułu*. Zdaje się, że kościół miał zastrzeżenia do tytułu, ale tego nie jestem pewien. Potem ta komedyjka szła pod tytułem *Czego nie widać*. Fajna komedyjka, taka banalna, z trójkątami, czworokątami, ale potem po-

kazana jest ta sama akcja, ale rzeczywiście od tyłu. Aktorzy są zwrócenii w stronę sceny, a tu ta pani nie lubi tej pani, ta myśli o szmince, ta spieszy się na randkę, ta zastanawia się jak wmanewrować koleżankę, żeby to ona weszła na pierwszy plan, a nie tamta. Gdyby ktoś napisał tego rodzaju tragedię a nie komedię, to byłoby to arcydzieło, ale to wymaga pióra Szekspira. Natomiast my wszyscy jesteśmy od strony widowni. Widzimy tylko tych aktorów, ale też nie do końca. Patrzymy od strony widowni. Tu jest ta wielopiętrowość kłamstw. Z jednej strony mamy teatr dla społeczeństwa. Socjologowie już to badali. Społeczeństwo współczesne jest społeczeństwem spektaklu, ale innych społeczeństw nigdy nie było. Odgrywamy role społeczne, jesteśmy małpami przebranymi w komże, pancerze i w co tam jeszcze. To jest bardzo ładne. Natomiast gdzieś z tyłu odbywa się w gruncie rzeczy drugi teatr, gdzie oszuści grają innymi kartami, tyle że oni nie mają tych przebrań, oni nieomal nago występują w stosunku do siebie. Ale oni i tak nie wiedzą, który z nich oszukuje. I to jest następne piętro i można tak w nieskończoność, tak że jeśli państwo macie więcej czasu to sobie te pięterka dobudowujcie, a ja dziękuję.

Andrzej Anusz:

– Bronię 4 czerwca 1989 roku, w tym Okrągłego Stołu. Uważam, że w najnowszej historii Polski jest z tego więcej dobrego niż złego i nawet z perspektywy 30 lat uważam, że warto było ten koszt zapłacić. A jak się zmieniają oceny, no to wystarczy posłuchać Leszka Moczulskiego dzisiaj, co mówi o Okrągłym Stole i Mateusza Morawieckiego, który był wtedy kontestatorem Solidarności Walczącej. Dzisiaj to Morawiecki jest apologetą, jak go przedwczoraj słyszałem, Okrągłego Stołu i tego co się 4 czerwca wydarzyło. Tak że te oceny są zawsze funkcją bieżącej sytuacji politycznej i to też należy brać pod uwagę. Natomiast ja uważam, że cena którą zapłaciliśmy za 4 czerwca, była do zapłacenia. Oczywiście można tu dyskutować, czy za duża czy za mała, ale była do zapłacenia.

Maciej Gawlikowski:

– Zgadzam się z Andrzejem Anuszem. Jeszcze tylko jedna rzecz. Z reguły wtedy, w roku 1988, w 1989 roku, byliśmy związani z opozycją. Z reguły z opozycją radykalniejszą. Weźcie państwo pod uwagę, co wtedy o takich sprawach myślał robotnik z Kłaja, rolnik spod Sułozowej czy chłop kielecki. Naprawdę, poparcie społeczne dla radykałów było bliskie zeru. Partie radykalne, hasła radykalne, ludzie mieli głęboko w nosie. Więc jeśli bierzemy pod uwagę choć trochę opinie ludzi i mówimy o jakimkolwiek szukaniu wsparcia społecznego, to nasze działania ówczesne takiego wsparcia nie miały.

III DZIEŃ (9 CZERWCA 2019 ROKU)

DR ANDRZEJ ANUSZ

**„NIELEGALNA POLITYKA. ZJAWISKO DRUGIEGO OBIEGU
POLITYCZNEGO W PRL (1976–1989)”.
NA CZYM POLEGAŁA WALKA SOLIDARNOŚCI
BEZ UŻYCIA PRZEMOCY?**



W dyskusji „Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku – stan badań i nowe perspektywy” Andrzej Paczkowski stwierdził: „Badania trzeba poszerzać, tworzyć coś, co można by nazwać antropologią

oporu, antropologią protestu, sprzeciwu. Należy podejmować próby odtwarzania motywów, powiązań, przepływu pomysłów i postaw w obrębie jakiejś grupy, pomiędzy grupami – właśnie na podstawie badań typu antropologicznego: rozmów, wywiadów pogłębionych, lektury wspomnień. To może być bardzo użyteczne w badaniach nad oporem i opozycją⁴⁶.

Andrzej Paczkowski postulował sięgnięcie przez naukowców do badań typu antropologicznego.

Według wizji humanistycznej, celem antropologii jest zrozumienie ludzkiego życia, zachowań społecznych i kultury. Zrozumienie to wymaga empatycznego wczucia się w punkt widzenia badanych osób. Tak więc antropolodzy dostarczają jakościowych relacji na temat „siatki znaczeń”, która kształtuje społeczeństwo i jego członków. Taka relacja uważana jest za opowiadającą zarówno o badaczu, jak i o badanych, a opis jest jedną z wielu interpretacji. Antropologia porównywana jest w tej wizji do historii i literatury, kładących nacisk na partykularność i idiograficzność. Metodologie, które wybierają antropolodzy humanistyczni, to również używanie empatii i uczestniczenie w lokalnych czynnościach, by poczuć, jak się tam żyje, wywiady i opowieści o życiu⁴⁷. Taki sens podróży w czasie może zostać również dodatkowo wzmocniony przez naturę osobistego zaangażowania antropologa w społeczeństwo złożone, ponieważ stosunkowo często zdarza się, że uprawia on antropologię „u siebie”. Mimo że społeczeństwo złożone jest dzisiaj wszechobecne i można bez przeszkód analizować je w jakimś odległym kontekście, nierzadko okazuje się, że miejsce badań leży dość blisko domu badacza, tym samym zaś podróż w czasie, o której mowa, łatwo spleść się może z jego własną biografią. Jeśli badanie społeczeństw złożonych jest prowadzone „u siebie”, może to powodować implikacje intelektualne jeszcze innego rodzaju. Czy wiedza tego, który „jest wewnątrz” ma znaczenie dla kształtu uprawianej przez niego antropologii i czy czasami nie pojawia się ryzyko niebezpiecznego bra-

⁴⁶ *Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku*, pod red. T. Kozłowskiego i J. Olszka, tom 1, Warszawa 2011, s. 22–23.

⁴⁷ *Encyklopedia antropologii społeczno-kulturowej*, pod red. A. Boucharda i J. Spencera, Warszawa 2008, s. 370.

ku dystansu? Problem ten stanowi stały przedmiot dyskusji. Prawdą jest jednak również, że dokładnie z tego samego powodu, dla którego społeczeństwo złożone jest w sensie kulturowym „organizacją różnorodności”, to, co znajduje się w zasięgu ręki, niekoniecznie musi okazać się czymś całkowicie znanym⁴⁸.

Antropologia polityczna ze swą stosunkowo krótką historią jest jedną z młodszych subdyscyplin antropologii kulturowej. Odrzucając wcześniejsze podejście genetyczne i typologiczne oraz przypisywane im przez politologów ograniczone zainteresowanie tym co tradycyjne i lokalne, antropologowie podjęli badania nad wewnętrznymi, komplementarnymi i równoległymi strukturami politycznymi oraz opisali ich relację do sformalizowanej władzy. Polityczne znaczenie etniczności i elit w nowo powstających narodach zwróciło uwagę badaczy w stronę nowych ruchów społecznych, przywództwa i współzawodnictwa. W obliczu historycznie uwarunkowanych, szybkich zmian instytucjonalnych osi analiz antropologicznych stały się społeczności, rywalizacja i konflikty⁴⁹.

Badania te wykazały na przykład, w jaki sposób „kapitał symboliczny” może być wykorzystywany jako narzędzie władzy państwa lub nieposłuszeństwa i irredentyzmu⁵⁰. W ramach antropologicznej polityki pojawił się nowy paradygmat badań mikropolitycznych⁵¹.

W dyskusji o stanie badań i nowych dla nich możliwościach Andrzej Friszke mówił: „Ważne, żeby łączyć perspektywę uczestnika zdarzeń z perspektywą dokumentu”⁵².

We wstępie do tej dyskusji redaktorzy publikacji napisali: „Liczymy na prace poświęcone nieznanym dotąd zjawiskom lub ujmujące z nowej perspektywy sprawy już odkryte”⁵³. Mam nadzieję, że choć w części moja książka odpowie na te postulaty i sugestie.

⁴⁸ Tamże, s. 105–106.

⁴⁹ Tamże, s. 105–106.

⁵⁰ Tamże, s. 108.

⁵¹ Tamże, s. 108.

⁵² *Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku*, op. cit., s. 23.

⁵³ Tamże, s. 7.

Ważnym punktem odniesienia w mojej analizie jest metoda badawcza, do której się odwoływałem. Jest to metoda biograficzna w socjologii, której poświęcona jest książka *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów* pod redakcją Kai Kazimierskiej⁵⁴. We wstępie do tego wyboru tekstów różnych autorów autorka napisała: „Pojawiły się nowe okoliczności wyróżniające metodę biograficzną, związane z kwestią zainteresowania biografią w społeczeństwie promującym indywidualizację, co pociąga za sobą specyficzne strategie organizacji biografii retrospektywnej w kategoriach zjawiska społecznego”⁵⁵.

Martin Kohli, opisując metodę biograficzną i analizując źródła do jej badania zwrócił uwagę: „Przykładami takich dokumentów biograficznych mogą być dzienniki, listy, teksty funkcjonalne czy nawet artykuły prasowe. Podstawowym gatunkiem jest jednak autobiografia, która stanowi podstawowy materiał we wszystkich badaniach posługujących się metodą biograficzną (Szczepański 1962/1973, 584). Tak więc właściwą nazwą dla tej metody będzie metoda autobiograficzna.

Chodzi przede wszystkim o uzyskanie dostępu do życia społecznego (1) w tak wyczerpującym stopniu jak to tylko możliwe (2) »od wewnątrz«, tak z perspektywy jego znaczenia i aspektów subiektywnych, oraz (3) jego wymiaru historycznego. (...)

Osobowość ludzka rozpatrywana jako czynnik rozwoju społecznego stanowi podstawę dla wyjaśnienia przyczyn zjawisk społecznych; rozpatrywana jako rezultat rozwoju społecznego znajduje się w zjawiskach społecznych. (...)

Autobiografia jest więc nie tylko metodologicznym modelem hermeneutycznego rozumienia życia jednostek, lecz także szczególnym sposobem wejścia w historyczną czy społeczną rzeczywistość”⁵⁶.

Fritz Schütze zwracał uwagę: „Ogólne historyczne całości są doświadczane, odczuwane, brane pod uwagę, interpretowane i przepra-

⁵⁴ *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*, pod red. K. Kazimierskiej, Kraków 2012.

⁵⁵ Tamże, s. 10.

⁵⁶ M. Kohli, *Biografia: Relacja, Tekst, Metoda* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 127–128.

cowywane przez osoby w nie zaangażowane. Stają się możliwe tylko dzięki spojrzeniu na nie i relacji osób biorących w nich udział czy pozostających pod ich wpływem. Oznacza to, że dzięki sile narracyjnego przypominania narrator jako dysponent biografii ponownie imaginacyjnie zanurza się we wcześniejszych okresach życia i w związanych z nimi sytuacjach społecznych, a wówczas musi poddać się ówczesnej logice działania i doświadczonej perspektywie codziennego świata egzystencji⁵⁷.

W innym miejscu dodawał: „Każda narracja autobiograficzna jest autentyczna, w tym sensie i w takim zakresie, w jakim przyszły informant był sam włączony w procesy społeczne stanowiące temat badań i odpowiednio związane z nim problemy w rozwijającej się historii życia i ma ogromne znaczenie dla procesu badawczego. Uogólnienia w naukach społecznych są pewne tylko wówczas, jeśli opierają się na szczegółowym pierwotnym materiale empirycznym, jaki w sposób doskonały możemy uwzględnić dzięki autobiograficznemu wywiadowi narracyjnemu⁵⁸”.

Gabriele Rosenthal w tekście *Badania biograficzne* stwierdziła: „W tej tradycji zjawiska, na których skupia się pytanie badawcze, są badane z subiektywnej perspektywy jednostki, jak i w ogólnym kontekście jej życia i tworzenia struktur jego procesów. Umożliwia to poznawanie ukrytych i domniemanych reguł tworzenia struktur. Trzeba podkreślić, że historia życia, interpretatywne przedstawienie przeszłości i sposób opowieści o życiu, wszystko to jest tworzone poprzez dialektykę tego, co jednostkowe i tego, co społeczne. Badanie biograficzne pozwala nam zrekonstruować interrelację między doświadczeniem indywidualnym a ramą zbiorową, i kiedy więc rekonstruujemy przypadek indywidualny zawsze mamy na celu stworzenie stwierdzeń ogólnych. Tym samym celem badania biograficznego jest nie tylko zrozumienie przypadków indywidualnych w kontekście indywidualnych historii ży-

⁵⁷ F. Schütze, *Analiza biograficzna ugruntowana empirycznie w autobiograficznym wywiadzie narracyjnym. Jak analizować autobiograficzne wywiady narracyjne* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 176–177.

⁵⁸ Tamże, s. 235.

cia, lecz uzyskanie zrozumienia rzeczywistości społecznych albo wzajemnych relacji między społeczeństwem a historią życia”⁵⁹.

Daniel Bertaux podkreślał: „Tak jak nie możemy zrozumieć opowieści życia, jeśli nie zanurzymy jej w zbiorowym czasie historycznym, tak również nie jesteśmy w stanie zrozumieć żadnej zmiany społecznej, jeśli nie odniesiemy się do przekształcania się modeli kulturowych, mentalności i zachowań w sferze prywatnej, które choć stosunkowo autonomiczne, to przez swoje nagromadzenie przyczyniły się do spowodowania owych przekształceń”⁶⁰.

W innym miejscu stwierdzał: „Analiza przypadków nadaje wartość, jakość wyobraźni socjologicznej, rzeczywistości, która się podczas niej rozwija. Żadna technika nie zastąpi umysłu zorientowanego na zrozumienie kontekstu społeczno-historycznego. Tylko ten umysł może, na podstawie wielokrotnej lektury tej samej narracji i odkrywania wskaźników wewnątrz niej, tworzyć »idee« (wstępne hipotezy), potem zostawić je, by dojrzewały i wreszcie powracać do nich, badać je i udoskonalać, pamiętać o nich, gdy przejdzie do analizy kolejnych narracji, porównywać i zachować tylko najlepsze z nich i wreszcie zebrać je w »model« społecznego przedmiotu badania”⁶¹.

Wolfram Fischer, odnosząc się konkretnie do rzeczywistości, której poświęcił swoje badania stwierdził: „Upadek środkowo i wschodnioeuropejskich państw socjalistycznych/komunistycznych w końcu lat osiemdziesiątych XX wieku jest kolejnym bardzo owocnym obszarem badań biograficznych, a rozpoczynające się badania biograficzne w tych krajach wyglądają bardzo obiecująco”⁶².

Inny badacz zwracał uwagę na perspektywę, z której osoby będące na marginesie społeczeństwa, w przypadku moich badań osoby zaan-

⁵⁹ G. Rosenthal, *Badania biograficzne* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 303–304.

⁶⁰ D. Bertaux, *Analiza pojedynczych przypadków (AU CAS PAR CAS)* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 322.

⁶¹ Tamże, s. 330.

⁶² W. Fischer, *Praca biograficzna i biograficzne strukturyzowanie we współczesnych społeczeństwach* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 563.

gażowane w drugi obieg polityczny, mogły postrzegać ówczesną rzeczywistość: „Ludzie marginalni znają gruntownie więcej niż jedną perspektywę. Często stają się mediatorami między określonymi, zazwyczaj skonfliktowanymi punktami widzenia, a ich wieloperspektywiczność czyni z nich siłę napędową zmiany społecznej”⁶³.

Roswitha Breckner, analizując jakościowe podejścia biograficzne i badania jakościowe stwierdziła: „Cechą wspólną jakościowych podejść biograficznych i badań jakościowych jest ich zorientowanie na przypadki. Wyłanianie się, kształtowanie i zasady konstrukcyjne zjawisk społecznych analizowane są poprzez empiryczne i teoretyczne skupianie się na pojedynczych przypadkach. Jako pojedyncze przypadki można definiować różne całości: wzór działania, trajektorię lub styl życia osoby, wzór interakcji i dyskurs w ramach grupy, orientacje strukturyzujące wewnątrz szerszej zbiorowości, takiej jak społeczeństwo lub nawet »świat zachodni«. Całość definiowana jako (pojedyncze) przypadki traktowane są jako zakorzenione w polu społecznym, reprezentujące je oraz strukturyzujące. Ogólnym tematem badań zorientowanych na przypadki są zatem procesy rozumienia, w których wyłaniają się wzory działania, orientacje i interpretacje. Celem badań jest zrekonstruowanie ze złożoności empirycznych procesów wzorów, które można w sposób teoretyczny określić jako »ogólne« w odniesieniu do ich istotności w określonym polu społecznym. W odniesieniu do podejść ilościowych, istotność wzoru nie zależy od jej liczbowej dystrybucji w danym polu, lecz od jego wpływu strukturyzującego czy też jego potencjału obrazującego w tworzeniu pola społecznego, który wcale nie musi zależeć od częstości występowania tego wzoru. Oparte na przypadkach wzory ukazują również to, jak członkowie społeczeństwa w szczególny sposób reagują na problemy społeczne w ich autentycznych kontekstach życiowych. (...) Skupiają się one na procesach rozumienia w ramach całości życia podmiotu społecznego. Pojęcie czasu życia postrzegane jest jako połączone z czasem społecznym grup oraz czasem historycznym społeczeństwa. (...)

⁶³ B. Trehel, *Tożsamości biograficzne i zbiorowe w wywiadach narracyjnych. Przyczynek lingwistyczny* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 571.

Te procesy rozumienia są szczególnie intensywne w okresach każdej zmiany społecznej, kiedy zinstytucjonalizowane sposoby interpretowania sytuacji i wydarzeń społecznych są podawane w wątpliwość, a nowe muszą dopiero zostać stworzone. (...)

W trakcie pogłębionych analiz pojedyncze przypadki mogą zostać zakryte, zasady generatywne, wokół których tworzą się i zmieniają w szczególnych kontekstach społecznych, orientacje i wzory działania⁶⁴.

Tak obszernie cytując zachodnich specjalistów od metody biograficznej w socjologii, chciałem pokazać teoretyczne i praktyczne walory tej metody analizy, z której korzystałem w swojej książce.

W moich analizach i poszukiwaniach badawczych będę odwoływał się do fundamentalnej książki Stefana Nowaka *Metodologia badań społecznych*⁶⁵.

Stefan Nowak w swojej pracy pisał: „Również w najnowszych dziejach nauk społecznych można znaleźć wiele doniosłych dzieł zrodzonych ze społeczno-praktycznej orientacji badacza”⁶⁶.

I dodawał: „Niekiedy dzieło powstałe ze społecznego zaangażowania jego twórcy podnosi w sposób istotny teoretyczne rozumienie zjawisk społecznych”⁶⁷.

W innym miejscu stwierdzał: „Przejście od socjologii politycznej do działalności politycznej może przebiegać w różnych kierunkach dla różnych ludzi”⁶⁸.

„Badacz, który współtworzy (dane zjawisko społeczne – A.A.) przez fakt istnienia i działania w nim i tym samym przez swoje przeżycia i nastawienia psychiczne, ogląda on pewne przynajmniej fragmenty zjawisk społecznych w sposób bezpośredni w swej własnej introspekcji”.

⁶⁴ R. Breckner, *Podejścia porównawcze zorientowane na przypadki: Perspektywa biograficzna jako możliwość i wyzwanie w badaniach migracji* [w:] *Metoda biograficzna w socjologii*, op. cit., s. 619–621.

⁶⁵ S. Nowak, *Metodologia badań społecznych*, Warszawa 1985.

⁶⁶ Tamże, s. 27.

⁶⁷ Tamże, s. 30.

⁶⁸ Tamże, s. 46.

„Jeżeli badacz uważa siebie samego za »reprezentatywną próbkę« z badanej populacji, może ponadto wprost uogólniać swoje doświadczenie wewnętrzne na innych członków tej populacji”⁶⁹.

„Zjawiska społeczne chcemy obserwować w sposób dość specjalny, a mianowicie widząc, chcemy je zarazem rozumieć – a to oznacza nieuchronne odniesienie tego, co się dzieje na poziomie zbiorowości do przeżyć i zachowań tworzących ją ludzi”⁷⁰.

Istnieją też specjalne sytuacje badawcze, w których właśnie nasze wartościujące nastawienia i oceny są główną przesłanką do budowy pewnych pojęć⁷¹.

„Jeśli badacz sam siebie zalicza do badanej zbiorowości i jego własne doświadczenie wewnętrzne ma dla niego walor bezpośredniej empatii introspekcyjnej o charakterze zasadniczo odmiennym od danych obserwacyjnych znanych w naukach przyrodniczych, jest w stanie stwierdzić na pewno, iż on sam tak a tak myśli i odczuwa, co po pierwsze – wystarczy (jemu) do uzasadnienia twierdzenia jednostkowego na temat treści własnych przeżyć i nastawień, a po drugie – wystarczy (również i jemu) do uzasadnienia zdania szczegółowego, iż takie przeżycia, nastawienia, reakcje na sytuacje zewnętrzne itp. istnieją, zdarzają się przynajmniej czasami, czyli są u ludzi możliwe”⁷².

Mam nadzieję, że w mojej pracy odnajdzie czytelnik nawiązania do twierdzeń czołowego polskiego metodologa nauk społecznych, które przedstawiłem.

W moich poszukiwaniach badawczych będę odwoływał się również do książki Anny Wyki *Badacz społeczny wobec doświadczenia*⁷³, w której autorka stwierdziła, że badacz „analizując przebyte doświadczenie badawcze, musi dokonywać refleksji nad samym sobą jako uczestnikiem badanego zjawiska, jak nad samym zjawiskiem”⁷⁴.

⁶⁹ Tamże, s. 81.

⁷⁰ Tamże, s. 104.

⁷¹ Tamże, s. 141.

⁷² Tamże, s. 281.

⁷³ A. Wyka, *Badacz społeczny wobec doświadczenia*, Warszawa 1993.

⁷⁴ Tamże, s. 56.

Anna Wyka w innym miejscu stwierdza: „Warto zwrócić uwagę, że powyższy model integruje różne źródła wiedzy i różne możliwości poznawcze podmiotu poznającego: łączy działanie z myśleniem, odbieraniem badanej rzeczywistości z refleksją, wiedzę praktyczną wyniesioną z przebytych doświadczeń badawczych z wiedzą teoretyczną (w tym – metodologię).

Badacz staje się elementem badanego »wspólnego świata«, uczestnikiem doświadczającym możliwie wszechstronnie badanej rzeczywistości⁷⁵.

Autorka dodaje: „Całe charakteryzowane tu podejście, nazwane przeze mnie modelem badań poprzez wspólne doświadczenie, wydaje się nadto konieczne dla badania zjawisk zmiennych, stających się, o charakterze żywego procesu społecznego, jak na przykład ruchy społeczne w makro- i mikroskali społecznej⁷⁶.

Luba Jakubowska-Malicka w artykule *Trajektoria autobiografii badacza*⁷⁷ zwraca uwagę na powiązanie pomiędzy biografią badacza a sposobem prowadzenia badań⁷⁸. Stwierdza, że „badacz ukazuje swoje doświadczenia biograficzne konstatujące się wokół przebiegu procesu badawczego⁷⁹. Badaczka proponuje stosowanie nazwy „metoda autobiograficzna” jedynie wówczas, kiedy badacz ukazuje elementy swojej biografii, a nie tylko osób badanych. W innym przypadku powinniśmy mówić o metodzie biograficznej⁸⁰.

Zatem również w naukach społecznych strategiczny dobór przypadku może znacząco przyczynić się do możliwości uogólniania na podstawie studium przypadku⁸¹, tak więc „wszystko, co badacze mogą zrobić, to użycie swego doświadczenia i intuicji do oceny tego, czy dany przy-

⁷⁵ Tamże, s. 59.

⁷⁶ Tamże, s. 67.

⁷⁷ L. Jakubowska-Malicka, *Trajektoria autobiografii badacza*, „Terazniejszość. Człowiek. Edukacja, Kwartalnik myśli społeczno-pedagogicznej”, nr 4(52) 2010.

⁷⁸ Tamże, s. 91.

⁷⁹ Tamże, s. 77.

⁸⁰ Tamże, s. 79.

⁸¹ B. Flyvbjerg, *Pięć mitów o badaniach typu studium przypadku*, „Studia Socjologiczne”, nr 2(177) 2005, s. 49.

padek jest interesujący w kontekście paradygmatycznym i czy są oni w stanie dostarczyć kolektywnie akceptowalnych wyjaśnień wyboru tego przypadku⁸².

Przewaga studium przypadku polega na tym, że może się ono „zbliżyć” do realnie występujących sytuacji i testować poglądy bezpośrednio w odniesieniu do zjawisk, tak jak rozwijają się one w praktyce. Anthony Giddens twierdzi, że wartościowy opis przejawów działalności społecznej zakłada, iż badacze posiadają umiejętności niezbędne do uczestniczenia w tej działalności: „przyjmuję, że jest prawdziwe powiedzenie, iż warunkiem stworzenia opisów działalności społecznej jest zasadnicza możliwość brania w nich udziału. To wymaga »wzajemnej wiedzy«, podzielanej przez obserwatora i uczestników, których działanie konstruuje i rekonstruuje świat społeczny”.

Z tego punktu widzenia zbliżenie do rzeczywistości, które studium przypadku pociąga za sobą oraz proces nabywania wiedzy, któremu badacz podlega, często stwarza warunek wstępny dla zaawansowanego rozumienia⁸³.

Ważnym punktem odniesienia dla moich rozważań jest praca Grahama Gibbsa *Analizowanie danych jakościowych*⁸⁴, w której autor stwierdza: „Głównym założeniem analizy jakościowej jest patrzenie na świat oczyma tych, którzy są przedmiotem analiz”⁸⁵.

Jest to wyjaśnianie zjawisk społecznych z perspektywy wewnętrznej⁸⁶.

Badacze sami stanowią istotną część procesu badawczego – poprzez osobisty udział w badaniu czy też przez znajomość danego obszaru i refleksyjność w poruszaniu się po nim.

Mnóstwo badań jakościowych to studia przypadku lub ich kompilacji i często konkretne przypadki (ich historia i złożoność) stanowią ważny kontekst umożliwiający zrozumienie badanego obszaru⁸⁷.

⁸² Tamże, s. 57.

⁸³ Tamże, s. 59–60.

⁸⁴ G. Gibbs, *Analizowanie danych jakościowych*, Warszawa 2011.

⁸⁵ Tamże, s. 30.

⁸⁶ Tamże, s. 13.

⁸⁷ Tamże, s. 14.

Podejście idiograficzne polega na analizie pojedynczego przypadku (osoby, miejsca, wydarzenia, okoliczności, itd.) w całej jego wyjątkowości.

Stanowisko idiograficzne jest często uznawane za szczególnie atut badań jakościowych i łączone zwłaszcza z biograficznymi oraz narracyjnymi technikami analizy⁸⁸.

Autor w swojej książce wskazuje również na problemy związane z analizą danych jakościowych: „Jeszcze więcej problemów pojawia się w przypadku, kiedy twoje badania dotyczą obszaru mocno kontrowersyjnego, nielegalnego bądź niebezpiecznego, albo też spełniającego wszystkie te kryteria”⁸⁹.

Była to sytuacja, z którą miałem do czynienia w mojej pracy badawczej.

David Silverman, do którego badań również będą się odwoływał, w książce *Interpretacja danych jakościowych*⁹⁰ stwierdzał: „Badania jakościowe pozostają pod wpływem wartości i przekonań politycznych, jakie wyznaje badacz”⁹¹.

Metody stosowane przez badaczy jakościowych są wyrazem powszechnej wiary w to, że mogą one dostarczyć „głębszego” rozumienia zjawisk społecznych, niż można byłoby uzyskać z danych czysto ilościowych⁹².

Niektórzy współcześni badacze podzielają pogląd wczesnych antropologów, że po to, by zrozumieć świat „bezpośrednio”, należy stać się uczestnikiem życia społecznego, a nie jedynie obserwować ludzi z dystansu. Pogląd ten przerodził się później w metodę nazywaną obserwacją uczestniczącą. W rzeczywistości, w bardzo ogólnym sensie, obserwacja uczestnicząca jest czymś więcej niż tylko metodą. Opisuje ona podstawowe źródło pochodzenia wszelkich badań społecznych. W pewnym sensie wszystkie badania społeczne są rodzajem obserwacji uczestniczą-

⁸⁸ Tamże, s. 27.

⁸⁹ Tamże, s. 181.

⁹⁰ D. Silverman, *Interpretacja danych jakościowych*, Warszawa 2009.

⁹¹ Tamże, s. 53.

⁹² Tamże, s. 59.

cej, ponieważ nie możemy badać świata społecznego, nie będąc jego częścią. Z tego punktu widzenia obserwacja uczestnicząca nie jest pojedynczą techniką badawczą, ale sposobem bycia w świecie badaczy⁹³.

Autor przywołuje definicję obserwacji uczestniczącej innego badacza, Normana Denzina, który określa ją jako rodzaj: „Strategii łączącej w badaniach jakościowych jednocześnie analizę dokumentów, wywiady z respondentami i informatorami, bezpośrednie uczestnictwo oraz obserwację i introspekcję”⁹⁴.

W końcowej części książki autor stwierdza: „Co ciekawe, w jakościowej nauce społecznej interesuje nas to, co znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jednakże właśnie dlatego, iż przedmiot naszego zainteresowania znajduje się tak blisko, może zostać on często zapomniany zarówno przez uczestników, jak i badaczy”⁹⁵.

Była to niewątpliwie sytuacja, z którą miałem do czynienia w moich badaniach.

„W rezultacie celem metody interwencji socjologicznej nie jest odtworzenie obiektywnych uwarunkowań sytuacyjnych funkcjonowania ruchu czy praw rządzących tego rodzaju działaniem zbiorowym. Przeciwnie, chodzi o wniknięcia badacza w ruch społeczny i poprzez wzajemne interakcje z jego członkami podjęcie próby odtworzenia (rekonstrukcji – A.A.) subiektywnego sensu, jaki autorzy nadają swojemu działaniu, oraz ukazania im ich aktywności w szerszym kontekście grupowym i sytuacyjnym. Jest to więc wspomagany przez badacza rodzaj autoanalizy członków ruchu społecznego, której celem jest podniesienie ich świadomości w zakresie celów podejmowanych działań zbiorowych, ich uwarunkowań, które stają się narzędziem do głębszego zrozumienia własnej sytuacji i efektywniejszego projektowania swoich działań w przyszłości w dążeniu do realizacji założonego celu”⁹⁶.

⁹³ Tamże, s. 75.

⁹⁴ Tamże, s. 254.

⁹⁵ Tamże, s. 304.

⁹⁶ R. Pyka, *Teoria działania i samotworzenia się społeczeństwa jako nowatorski wkład Alaina Touraine'a do współczesnej socjologii francuskiej i światowej* [w:] A. Touraine, *Samotworzenie się społeczeństwa*, Kraków 2010, s. XXI.

Pierre Ansat określa to podejście mianem indywidualizmu metodologicznego, odnosząc się z całą pewnością do słów Boudana, który stwierdza, że „nie można wyjaśnić w sposób zadowalający zjawisk społecznych, będących przedmiotem zainteresowania socjologa, jeżeli się ich nie uzna za skutek działań indywidualnych” (Boudan 2008)⁹⁷.

Źródła przemian dokonujących się w Polsce po 1989 roku szukać należy również w latach 1976–1989, kiedy to w ówczesnej peerelowskiej rzeczywistości miały miejsce wydarzenia, które stworzyły nową jakość życia społecznego. Polska Rzeczpospolita Ludowa została sygnatariuszem Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach (1975), gdzie deklarowała poszanowanie praw człowieka i podstawowych wolności obywatelskich. Powstała jawna opozycja polityczna wobec komunistycznego systemu, kardynał Karol Wojtyła został wybrany na Papieża Jana Pawła II i odbył w 1979 pierwszą pielgrzymkę do Ojczyzny. Rok później wybuchły strajki, które doprowadziły do powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Zaczęły powstawać inne instytucje społeczeństwa obywatelskiego. Władze wprowadziły stan wojenny.

Wydarzenia w Polsce z lat 1976–1989 stanowią w teorii społeczeństwa obywatelskiego swego rodzaju fenomen. Można go podzielić na okresy: 1976–1981 oraz 1982–1989, przy czym tego drugiego przedziału czasu nie da się opisać w sposób tak jednoznaczny jak pierwszego. Z jednej strony, była to kontynuacja zjawisk z lat 1976–1981, jednak w dużo trudniejszych warunkach zewnętrznych (represje w latach 1982–1986), z drugiej strony, poza skalą represji, nie pojawiły się w tym okresie żadne nowe jakościowo zjawiska hamujące bądź promujące zaczątki społeczeństwa obywatelskiego⁹⁸.

Tak więc lata 1976–1989 dla formowania społeczeństwa obywatelskiego w PRL oraz dla zjawiska drugiego obiegu politycznego stanowią okres, który da się wyróżnić ze względu na dynamikę zachodzących

⁹⁷ Tamże, s. XIII.

⁹⁸ M. Grabowska, T. Szawiel, *Budowanie demokracji. Podziały społeczne, partie polityczne i społeczeństwo obywatelskie w postkomunistycznej Polsce*, Warszawa 2001, s. 150.

wówczas wydarzeń. W sposób szczególny zajmę się w mojej książce tym okresem, który w istotny sposób wywarł wpływ na przemiany, które doprowadziły do przełomu 1989 roku w Polsce oraz w innych państwach Europy Środkowej i Wschodniej.

W tych latach pojawiły się nowe zjawiska społeczne, do których zaliczam zjawisko drugiego obiegu politycznego i to właśnie analiza i opis tego zjawiska społecznego jest tematem książki.

W pracy, mimo iż totalitaryzm miał różne okresy, traktuję go jako okres jednolity, charakteryzujący się przede wszystkim uprzedmiotowieniem społeczeństwa jako całości i wielorakich mniejszych wspólnot poprzez negację wielu podstawowych praw⁹⁹.

Celem książki jest ukazanie w wielu płaszczyznach zjawiska drugiego obiegu politycznego w PRL w latach 1976–1989.

Zamierzeniem było ukazanie tego zjawiska w wielu płaszczyznach i z kilku perspektyw badawczych, to znaczy z perspektywy badacza z zewnątrz opisywanego zjawiska, badacza-uczestnika będącego na pograniczu opisu z zewnątrz-wewnątrz, oraz uczestnika-badacza opisującego zjawisko z jego wnętrza.

Te perspektywy badawcze, które starałem się opisać bardziej szczegółowo w dalszych częściach książki, w moim zamierzeniu miały stanowić wyjątkowy walor pracy. Mam nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu udało mi się tego dokonać.

Jeśli chodzi o zakres tematyczny opisywanego zjawiska obejmującego m.in. działalność opozycji politycznej w PRL w latach 1976–1989, to doczekał się on solidnych opracowań badaczy Instytutu Pamięi Narodowej, m.in. w postaci *Encyklopedii Solidarności* noszącej podtytuł *Opozycja w PRL 1976–1989*, redagowanej zarówno w postaci portalu internetowego, jak i publikowanej w tradycyjnej formie książkowej (opublikowano dwa tomy, dwa kolejne przygotowywane są do druku). Dostępne są liczne monografie i wydawnictwa, a nawet stały program badawczy pt. „Opozycja i opór społeczny w PRL 1956–1989” reali-

⁹⁹ H. Skorowski, SDB, *Człowiek, kultura, świat. Refleksje etyczno-społeczne nad współczesną rzeczywistością*, Warszawa 2002, s. 88.

zowany przez Instytut Pamięci Narodowej. O skali tych badań może świadczyć fakt, że w *Encyklopedii Solidarności*, jak piszą jej redaktorzy: „obecnie prezentujemy prawie 4800 biogramów, ponad 1800 haseł rzeczowych, 150 tysięcy stron prasy podziemnej”¹⁰⁰. Encyklopedia podzielona jest na działy: ludzie, struktury, wydarzenia, kalendarium, prasa. W mojej książce staram się przekraczać te sztywne podziały w opisie prezentowanego przeze mnie zjawiska drugiego obiegu politycznego, mam nadzieję, że skutecznie. W pisaniu książki wykorzystałem materiał z cyklu artykułów mojego autorstwa opublikowanych w kwartalniku „Opinia”, wydawanym przez Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Artykuły te ukazywały się w latach 2014–2018, w kolejnych numerach: 3, 4, 5, 6, 8, 10, 11, 12, 13, 14, 16, 17, 18, 19 i 20. Materiał ten wykorzystany został przeze mnie w nowy sposób, w innej perspektywie badawczej.

Praca składa się z siedmiu elementów, które podzielone są w zależności od potrzeb na rozdziały.

Pierwszy to wstęp, w którym określám główne cele pracy. Ma on charakter systematyzująco-porządkujący.

Pierwsza część, opisująca wybrane elementy drugiego obiegu politycznego z perspektywy badacza z zewnątrz, po wprowadzeniu składa się z pięciu rozdziałów.

Pierwszy opisuje opozycję polityczną jako istotny element drugiego obiegu politycznego w PRL. Drugi przedstawia Konfederację Polski Niepodległej jako pierwszą partię polityczną drugiego obiegu politycznego. Trzeci prezentuje Niezależne Zrzeszenie Studentów jako największą organizację środowiskową drugiego obiegu politycznego. Czwarty rozdział przedstawia stosunek Kościoła katolickiego do organizacji opozycji politycznej i ich programów społecznych i gospodarczych w latach 1976–1989. Piąty rozdział tej części pracy opisuje stanowisko Kościoła katolickiego wobec wydarzeń politycznych w PRL w latach 1982–1989.

Druga część książki, również odnosząca się do wybranych elemen-

¹⁰⁰ Encyklopedia Solidarności.pl

tów drugiego obiegu politycznego, charakteryzuje się inną perspektywą badawczą. Jest to perspektywa badacza-uczestnika. Rozdziały tej części pracy napisane są ze szczególnej pozycji: aktywnego uczestnika drugiego obiegu politycznego, który będąc częścią tego zjawiska stara się opisać jego wybrane elementy w taki sposób, aby przedstawione zjawisko społeczne tworzyło swoistą opozycyjną narrację będącą w sporze z ówczesną totalitarną rzeczywistością. Ta opozycyjna narracja była elementem walki o prawdę. Po 1989 roku jej elementy stały się tworzywem dominującej narracji historycznej.

Po wprowadzeniu do drugiej części książki następują cztery rozdziały. Pierwszy to wywiad z autorem książki o jego aktywności w drugim obiegu politycznym przeprowadzony przez Roberta Spałka, badacza z Instytutu Pamięci Narodowej, którego fragmenty zostały wykorzystane w książce Patryka Pleskota i Roberta Spałka pt. *Pokolenie 82–90. Niezależne Zrzeszenie Studentów na Uniwersytecie Warszawskim we wspomnieniach (1982–1990)*, Warszawa 2011.

Drugi to zapis dyskusji pt. *Wokół Marca 1968* z udziałem Jacka Kuronia, Anatola Lawiny, Jana Józefa Lipskiego, Jana Lityńskiego, Henryka Wujca i Antoniego Zambrowskiego, którą nagrałem i zredagowałem; jej fragmenty ukazały się w podziemnym „Kurierze Akademickim”, którego byłem redaktorem w 1987 roku.

Trzeci rozdział to moja praca roczna w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego poświęcona wydarzeniom czerwca 1976 roku, napisana w 1987 roku na seminarium profesora Jerzego Holzera.

Czwarty rozdział to praca roczna z 1988 roku poświęcona programowi i statutowi Niezależnego Zrzeszenia Studentów z lat 1980–1981.

Trzecia część książki poświęcona jest drugiemu obiegowi wydawniczemu jako podstawowemu elementowi drugiego obiegu politycznego. Po wprowadzeniu składa się z czterech rozdziałów napisanych z perspektywy uczestnika tego zjawiska.

Pierwszy rozdział tej części pracy pt. *Lektury drugiego obiegu: „Zielony kalendarz 1984–1989”* stanowi dziennik lektur drugiego obiegu wydawniczego, który prowadziłem w latach 1984–1989.

Drugi rozdział poświęcony jest prawdopodobnie najmniejszemu

pismu drugiego obiegu „Żeby Polska była Polską”, którego byłem współredaktorem. Po opisie tego wydawnictwa zamieszczone są wszystkie jego numery z lat 1981–1989.

Trzeci rozdział poświęcony jest środowiskowemu pismu „Kurier Akademicki”, którego byłem redaktorem. Na rozdział składa się opis specyfiki tego wydawnictwa i moje artykuły w nim opublikowane pod różnymi pseudonimami.

Czwarty rozdział pt. *Koniec drugiego obiegu: rok 1989. Osobista historia*, poświęcony jest mojej aktywności w ruchu „Wolność Słowa” i prowadzeniu kampanii wyborczej Jacka Kuronia wiosną 1989 roku.

Zadaniem tej pracy było ukazanie w wielu płaszczyznach zjawiska drugiego obiegu politycznego w PRL w latach 1976–1989. Wydarzenia z tych lat w Polsce stanowią w teorii społeczeństwa obywatelskiego swego rodzaju fenomen. W okresie tym pojawiły się nowe zjawiska społeczne, do których zaliczam zjawisko drugiego obiegu politycznego. Zjawisko drugiego obiegu politycznego w moich rozważaniach to druga struktura życia politycznego funkcjonująca nieprzerwanie w latach 1976–1989 w PRL – przybierająca różne formy i formuły działania, mająca charakter adaptacyjny do zmieniających się warunków, zmierzająca do zmiany i odrzucenia ówczesnej rzeczywistości politycznej.

Zamierzeniem było ukazanie tego zjawiska w wielu płaszczyznach i z kilku perspektyw badawczych, to znaczy z perspektywy badacza z zewnątrz opisywanego zjawiska, badacza – uczestnika będącego na pograniczu opisu z zewnątrz – wewnątrz, oraz uczestnika – badacza opisującego zjawisko z jego wnętrza.

Do 1976 roku, kiedy po protestach środowisk głównie inteligentkich przeciwko zmianom w Konstytucji oraz po wydarzeniach czerwca 1976 roku związanych głównie z protestem robotników przeciwko podwyżkom cen, kiedy to zaczęła się kształtować jawna opozycja polityczna wobec systemu, Kościołowi w Polsce przypadała obok religijnej szczególnie funkcja polityczna. Polegała ona na roli politycznej opozycji. Od końca lat 70. Kościół coraz bardziej odchodził od swej politycznej funkcji, a rolę tę przejmował drugi obieg polityczny. Kościół przez cały czas poszerzał sferę wolności, jednocześnie tworząc przestrzeń dla dru-

giego obiegu politycznego. Z jednej strony wspierał powstające instytucje społeczeństwa obywatelskiego, z drugiej coraz bardziej odchodził od swych politycznych funkcji. Proces ten okazał się nieodwracalny, bowiem nawet wprowadzenie stanu wojennego nie było w stanie na trwałe go zahamować.

Zjawisko drugiego obiegu politycznego charakteryzowało się różnorodnością form i formuł działania. Było to ciągle przystosowywanie do zmieniających się warunków politycznych, społecznych i gospodarczych. Wiele środowisk politycznych w kraju nawiązywało do modelu działania paryskiej „Kultury”, to znaczy powiązania sfery polityki z literaturą, co było jedną z najbardziej charakterystycznych cech tego miesięcznika. Charakterystyczne, że Jerzy Giedroyc, spytany w 1986 roku, w czterdziestolecie założenia Instytutu Literackiego, czym dla niego jest „Kultura”: pismem, wydawnictwem czy też ośrodkiem politycznym, wybrał tę trzecią odpowiedź¹⁰¹.

Z czasem czytelnictwo i produkcja zakazanych publikacji stały się głównym sposobem uczestnictwa w drugim obiegu politycznym, zakreślając jego kontur organizacyjny. Były jego niewidzialnym rusztowaniem – nie istniał on tam, gdzie nie było choćby gazetki podziemnej przekazywanej z ręki do ręki. W połowie lat osiemdziesiątych w siatce wydawniczej lokowano największe nadzieje na zmiany. Wspomagała ona proces wyłaniania się liderów i głównych organizatorów drugiego obiegu politycznego. Uformowana między innymi pod wpływem lektur drugiego obiegu grupa liderów okazała się w chwili przełomu na ogół prodemokratyczna, pokojowo nastawiona i umiarkowana. Opoowiedziała się przeważnie za negocjacjami, a nie bardziej rewolucyjną zmianą systemu w 1989 roku¹⁰². Warto w tym miejscu podkreślić, że rola polityków ukształtowanych w drugim obiegu politycznym w polityce okresu 30 lat wolnej Polski była istotna. Dlatego poznanie, w jakich warunkach się kształtowali i funkcjonowali również dla współczesnych analiz może być interesujące.

¹⁰¹ M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny*, op. cit., s. 100.

¹⁰² P. Sowiński, *Zakazana książka*, op. cit., s. 295.

Trzeba podkreślić, że pełne zaangażowanie poszczególnych jednostek w drugim obiegu politycznym w okresie 1976–1989 mogło wynosić od kilkuset do kilkunastu tysięcy osób. Trzeba zauważyć, że grupa ta była środowiskiem zmiennym, jedni odchodzili (z różnych powodów: represje, emigracja, sytuacja życiowa), drudzy dochodzili. Stosunkowo stabilna była grupa liderów drugiego obiegu politycznego. Należy wymienić w tym miejscu Jacka Kuronia, Antoniego Macierewicza, Leszka Moczulskiego, Lecha Wałęsę, Kornela Morawieckiego.

Działania drugiego obiegu politycznego mogły liczyć na wsparcie społeczne, szczególnie było to widoczne w okresie tzw. karnawału Solidarności, tzn. jej legalnego działania w latach 1980–1981. Jednak wsparcie to podlegało wyraźnym wahaniom, o czym świadczy wyraźny spadek tego poparcia w połowie lat 80. To właśnie w tym momencie nowy impuls w działalności niezależnej dały takie inicjatywy (głównie z udziałem ludzi młodych), jak Ruch Wolność i Pokój, Pomarańczowa Alternatywa, Federacja Młodzieży Walczącej i odradzające się Niezależne Zrzeszenie Studentów. Odwoływały się one do konkretnych problemów, np. sprawy odmowy służby wojskowej, sytuacji socjalno-bytowej środowiska akademickiego. Okazało się to decydujące dla sukcesu tych przedsięwzięć.

Jednak podstawową rolę w zwycięstwie drugiego obiegu politycznego odegrał niezależny ruch wydawniczy, który przez cały analizowany przeze mnie okres rozwijał się i stworzył sieć, która połączyła różnorodne inicjatywy wzajemnie je wzmacniając i w efekcie doprowadzając do ostatecznego sukcesu. Drugi obieg polityczny przewyciężył ten pierwszy totalitarny i stworzył podwaliny pod budowę niepodległej i demokratycznej Polski.

Zaprezentowane przeze mnie rozważania nie wyczerpują oczywiście tematu. Przedstawione zagadnienia są moim zdaniem kwestiami najważniejszymi i przedstawionymi z unikatowej perspektywy badawczej.

INDEKS NAZWISK
(sporządził Mirostaw Lewandowski)

A

Abakanowicz Helena: 176
Abraham Roman: 78
Anders Władysław: 17, 18, 83, 126
Andropow Jurij: 255
Andrzejczak Andrzej: 249
Ansart Pierre: 274
Anusz Andrzej: 173, 204, 214, 216,
219, 227–232, 235, 242, 251, 255,
259, 260, 261
Arciszewski Tomasz: 123
Ash Timothy: 257

B

von dem Bach Erich: 40, 41, 103
Baczyński Krzysztof Kamil: 70
Balcerowicz Leszek: 234
„Bartek”, zob. Flame Henryk
Bartoszewski Władysław: 31, 32, 35
Beck Józef: 76–79, 88, 154
Belka Marek: 247
„Benedykt”, zob. Muzyczka Ludwik
Benesz Edward: 66, 121, 159, 160
Beria Ławrientij: 68
Berling Zygmunt: 13–15, 22, 68, 187
Berman Jakub: 189
Bertaux Daniel: 266
Błasiak Wojciech: 247, 258
Borkiewicz Adam: 43, 49, 50

Bór-Komorowski Tadeusz: 16, 17, 21,
23, 26, 33, 35, 39, 45, 48–50, 87,
91, 98, 100, 106, 115, 116
Braun Jerzy: 151
Bieżniew Leonid: 215, 220, 236
Breckner Roswitha: 267, 268
Broński Zdzisław, ps. „Uskok”: 139,
141–145, 152, 161, 165, 166
Bukojemski Leon: 13, 14
„Bury”, zob. Rajs Romuald

C

Chojnacki Jan: 202–205
Ceașescu Nicolae: 224
Celsius: 178
Celt Marek, zob. Chciuk Tadeusz
Chałko Zbigniew: 70
Chciuk Tadeusz: 121
Chmielarz Andrzej: 126
Chruściel Antoni, ps. „Monter”: 48–50,
72
Chrzanowski Wiesław: 216, 253
Churchill Winston: 18, 20, 27, 56, 93,
96
Chyłek Andrzej: 156, 166, 200, 201,
238,
Ciechanowski Jan: 9, 93, 95, 96
Ciepliński Łukasz: 134–137, 146, 170,
174, 181, 195

- Cimoszewicz Włodzimierz: 234
 Ciołkoszowa Lidia: 226
 Ciosek Stanisław: 237, 251
 Czaplicki Józef (właśc. Kurc Izidor):
 171
 Czarnecka Janina: 176
- D**
 Daszyński Ignacy: 226
 Davies Norman: 9, 14, 27, 33, 45, 54,
 56, 57, 110
 Dąbrowski: 77
 Dąbrowski Jan Henryk: 245
 Dekutowski Hieronim, ps. „Zapora”:
 153, 202
 Denzin Norman: 273
 Dirlewanger Oskar: 42, 74, 84, 104
 Dmowski Roman: 190
 Dobrowolski Ryszard: 70
 Dobrzański Henryk, ps. „Hubal”: 166
 Dubiński Krzysztof: 251
 Dürer Albrecht: 205
- F**
 Fałkowski Mateusz: 279
 Fałkowski Wojciech: 35
 Fieldorf Emil August, ps. „Nil”: 76, 88,
 188
 Fieldorf Maria: 125
 „Filip”, zob. Szostak Józef
 Filipek Andrzej: 141
 Fischer Ludwig: 21, 50
 Fischer Wolfram: 266
 Flame Henryk, ps. „Bartek”: 150
 Flyvbjerg Bent: 270
 Frank Hans: 26
 Frasyniuk Władysław: 216
 Frazik Wojciech: 100–102, 110, 113–
 115, 118, 121, 125, 128, 132, 136,
 138, 148, 156–159, 161, 163–168,
 172–175, 180, 181, 184, 198, 200,
 201, 252
- Furdyna Marcin: 10
- G**
 Gajcy Tadeusz: 70
 Gawlikowski Maciej: 91, 160, 163,
 164, 168, 177, 184, 206, 208, 210,
 211, 213, 214, 216, 219, 221–235,
 238–243, 246–248, 250, 251, 254,
 256, 258, 260
 Gehlen Reinhard: 38, 41–43
 Geremek Bronisław: 208, 214, 228,
 231, 235, 237, 245
 Gibbs Graham: 271
 Giedroyc Jerzy: 279
 Glass Henryk: 163
 Gomułka Władysław: 128, 158
 Gorbaczow Michaił: 209, 212, 215,
 221, 240, 250, 251
 Grabowska Mirosława: 274
 Gross Jan Tomasz: 38, 42
 Gwiazda Andrzej: 209, 226
- H**
 Hall Aleksander: 228
 Harriman (William) Averell: 22
 Heller, zob. Iranek-Osmecki Kazimierz
 Hitler Adolf: 11, 15, 21, 27, 28, 33, 36,
 57, 67, 83, 86, 95, 160, 198
 Honecker Erich: 215
 Holzer Jerzy: 242, 277
 „Hubal”, zob. Dobrzański Henryk
- I**
 Ikonowicz Piotr: 225

„Inka”, zob. Siedzikówna Danuta
Iranek-Osmecki Kazimierz, ps. „Heller”: 36, 48, 49, 89
Iwanow Nikołaj: 23, 24, 59, 177
Iwaszkiewicz Jerzy: 81, 112, 235, 255–257

J

Jabłoński Rafał: 39
Jackiewicz Zbigniew: 97–99, 221, 233, 234, 236, 206, 246
Jakubowska-Malicka Luba: 270
Jan Paweł II: 60, 218, 274
Janion Maria: 76
Janiszewski Michał: 246–248, 250, 258
Jarosiński Mariusz: 32
Jaruzelski Wojciech: 207, 208, 215, 219, 220, 222, 243, 251, 252
Jarząbek Marcin: 80, 85, 91, 100, 110
Jaworski Seweryn: 238
Jerzmanowski Mirosław: 248–250

K

Kaczmarczyk Alojzy: 172
Kaczmarski Jacek: 236
Kaczyńscy Jarosław i Lech: 258
Kaczyński Lech: 35, 185, 195
Kamiński Mariusz: 227
Kamiński Mieczysław: 42
Kapitaniak Zygmunt: 128
Karnowscy Jacek i Michał: 206
Karwowski Tomasz: 249
Katarzyna II: 15
Kazimierska Kaia: 264
Kennan Goerge: 54
Kłoczowski Jerzy: 9, 37, 38, 52–55, 95
Kiszczak Czesław: 210, 228, 237, 244, 245, 251–253

Kohli Martin: 264
Kołakowski Jan: 36
Kołodziej Andrzej: 253
Komorowski Krzysztof: 18, 38, 53
Kozłowski Tomasz: 262
Krajewski Krzysztof: 122
Król Krzysztof: 228
Kun Bela: 107
Kunert Andrzej K.: 39, 129
Kuroń Jacek: 228, 229, 237, 238, 254, 257, 277, 278, 280,
Kurtyka Janusz: 185
Kwaśniewski Aleksander: 214, 224
Kwieciński Wincenty: 146, 169, 170
Krzyżanowski Aleksander: 83

L

Laga Krzysztof: 71, 75, 80, 88, 89, 95, 103, 104, 109, 112, 115, 116, 171, 179, 214
Lampe Alfred: 13
Lawina Anatol: 277
Lechowicz Włodzimierz: 128, 158
Lenin Włodzimierz: 155
ks. Levi Virgilio: 218
Lewandowski Mirosław: 2, 9, 12, 14, 75, 78, 91, 99, 110, 113, 115, 148, 156, 164, 166, 175, 194, 198, 200, 201, 203, 228, 242, 243, 248, 250, 251, 253, 254, 281
Lipski Jan Józef: 225, 226, 232, 277
Lisiecki Kazimierz: 202
Lityński Jan: 277
Lubomirski Zdzisław: 137

Ł

Łabuszewski Tomasz: 136
„Łupasza”, zob. Szendzielarz Zygmunt

M

Macierewicz Antoni: 231, 280
Majski Iwan: 55
Majorkiewicz Felicjan: 43
Makuszyński Kornel: 70
Malessa Emilia, ps. „Marcysia”: 152, 164, 168
Maleter Pal: 32
„Marcysia”, zob. Malessa Emilia
Marks Karol: 244
Maślanko Mieczysław (Moses): 175, 176
Matusz Andrzej: 248
Mazowiecki Tadeusz: 101, 208, 228, 231, 251, 252
Mazurkiewicz Jan, ps. „Radosław”: 51, 74, 103, 130, 143, 149, 169
Michałowska Zofia: 176
Michnik Adam: 216, 228, 229, 233, 234, 241, 242, 253, 256, 257
Mikołajczyk Stanisław: 16, 18-21, 26, 57, 93, 96, 106, 117, 121, 125, 142, 159, 188, 225
Miller Leszek: 224
Moczarski Kazimierz: 128, 129, 158
Moczulski Leszek: 10-12, 15, 31, 67, 77, 78, 110, 213, 228, 229, 231, 238, 244, 245, 247, 259, 280
Mołotow Wiaczesław: 22, 32
Monter, zob. Chruściel Antoni
Morawiecki Kornel: 209, 228, 247, 253, 259, 280
Mularczyk Arkadiusz: 198
Musiał Filip: 47, 132, 143
Muszyński Wojciech: 130
Muzyczka Ludwik, ps. „Benedykt”: 9, 12-14, 66, 75, 76, 79, 98, 99, 157, 164, 168, 173, 175

N

Nagy Imre: 32
Napoleon: 96
Ney-Krwawicz Marek: 18
Niepokólczycki Franciszek: 133, 134, 162, 165, 170, 173, 175, 176, 180, „Nil”, zob. Fieldorf Emil August
Nowak Stefan: 268
Nowak-Jeziorański Jan: 9, 29, 53

O

Ogórek Magdalena: 196
Olaszek Jan: 262
Olszewski Jan: 208, 216, 228, 231, 240, 253
Olszewski Mariusz: 92-94, 96, 111, 195,
Okulicki Leopold: 23, 49, 127
Orygens: 178
Ossowska Maria: 222
Ostafin Józef: 172
Ostasz Grzegorz: 132, 137

P

Pabst Friedrich: 34
Paczkowski Andrzej: 261, 262
Pełczyński Tadeusz: 23, 49
Perl Feliks: 139
Philby Kim: 56
Pietrzyk Alojzy: 249
Pilch Adolf: 42
Pilecka Maria: 202, 203,
Pilecki Witold: 188, 195, 199, 202-204
Piłsudski Józef: 10, 75, 76, 82, 137, 139, 140, 142, 154, 155, 192
Piotr I: 15
Piper Franciszek: 197

Pleskot Patryk: 277
Pluta-Czachowski Kazimierz: 13, 75,
79, 91, 99, 168
Pobóg-Malinowski Tadeusz: 9
Poleszak Sławomir: 128, 141
Pomian Andrzej: 9, 14, 121
ks. Popieluszko Jerzy: 243
Przymanowski Janusz: 184
Pułaski Kazimierz: 205
Pużak Kazimierz: 66
Pyka Robert: 273

R

Radosław, zob. Mazurkiewicz Jan
Radziejewski Aleksiej: 24, 25, 90
Rajs Romuald, ps. „Bury”: 199
Rakowski Mieczysław: 136, 207, 252
Reagan Ronald: 251, 252
Rémond René: 52, 53
Retinger Józef Hieronim: 121
Reykowski Janusz: 237
Rodzik Marek: 10
Rohr Guenter: 104
Rola, patrz Żymierski Michał
Roosevelt Franklin Delano: 20, 27, 54,
56, 57, 96
Rosati Dariusz: 247
Rosenthal Gabriele: 265, 266
Rostworowski Stanisław Jan: 135, 136
Rozpłochowski Andrzej: 248
Różański (pierwotnie - Goldberg) Józef:
171, 175
Rybicki Józef: 164, 169, 173
Rzepecki Jan: 75, 126-129, 131, 134,
137, 146, 151, 152, 156-160, 162,
164, 1665, 168-171, 173-175

S

Schmidt Willy: 104
Schütze Fritz: 264, 265
Siedzikówna Danuta, ps. „Inka”: 199
Sieńko Stefan: 146
Sikorski Władysław: 20, 47, 55, 66, 98,
166
Silverman David: 272
Siła-Nowicki Władysław: 254
Skorowski Henryk: 275
Sławek Walery: 77
Sobieraj Maciej: 141
Sojczyński Stanisław, ps. „Warszyc”: 153
Soutou Georges-Henri: 55
Sosnkowski Kazimierz: 17, 18, 39, 88
Sowiński Paweł: 279
Spałek Robert: 277
Spencer Jonathan: 262
Spychalski Marian: 128, 159
Stalin Józef: 11-15, 20-23, 27-30, 32,
35, 37, 46, 47, 52-59, 67, 69, 72,
73, 79, 84-87, 89, 93-96, 100, 101,
106, 107, 119-122, 124, 146, 147,
155, 159, 160, 192
Stański Tadeusz: 216, 229
Stec Bronisław: 249
Stelmachowski Andrzej: 208, 251, 253
Strzelecki Jan: 97
Strzembosz Adam: 228
Strzembosz Tomasz: 74
Sudlitz Anna: 147
Suworow Wiktor: 106
Szawiel Tadeusz: 274
Szczepański Jan: 264
Szczurek-Cergowski Jan: 150
Szendzielarz Zygmunt, ps. „Łupaszka”:
153
Szeremietiew Romuald: 228-229

Szewczuwianiec Andrzej: 211
Szostak Józef, ps. „Filip”: 23, 49, 67,
77–79, 98, 99, 108

Ś

Śmigły-Rydz Edward: 76–79, 88, 111
Świerczewski Karol: 188
Świtoń Kazimierz: 209

T

Tatar Stanisław: 78, 126
Tourain Alain: 273
Towiański Andrzej: 64
Trehel B.: 267
Tumanowicz Walerian: 172, 173

U

Urban Jerzy:
Urbanowski Bohdan: 64, 76, 79, 82,
83, 99, 105, 112, 153, 181, 206,
209–211, 213, 221, 223–226, 229,
236, 237, 246, 257, 258,
„Uskok”, zob. Broński Zdzisław

V

von Vormann Nikolaus: 25, 88

W

von Wächter Otto: 196
Wałęsa Lech: 209, 210, 218, 219, 225,
226, 228, 235, 237, 241, 244, 245,
249, 280
„Warszyc”, zob. Sojczyński Stanisław

Wasilewska Wanda: 13, 15
Wawrowski Jerzy: 104, 105, 109, 111,
177, 179, 181, 224, 237, 243, 244
„Wilk”, zob. Krzyżanowski Aleksander
Wieczorkiewicz Paweł: 14, 15
Wielowieyski Andrzej: 208, 228, 251
Witkacy (Witkiewicz Stanisław Ignacy):
71
Wnuk Rafał: 128
Wojtyła Karol, zob. Jan Paweł II
Wójcik Piotr: 7, 64, 77–80, 85, 91–97,
102, 103, 110, 111, 114–116,
157–159, 164–168, 173, 201, 230,
240, 242–244, 253
Wujec Henryk: 228
Wyka Anna: 269, 270
Wysocki Wiesław: 186, 195, 197, 204,
205

Z

Zachuta Leszek: 125
Zambrowski Antoni: 224, 277
Zapałowski Andrzej: 96, 97
„Zapora”, zob. Dekutowski Hieronim
Zawodny Janusz: 9, 14
Zblewski Zdzisław: 137, 146
Znamierowski Czesław: 222

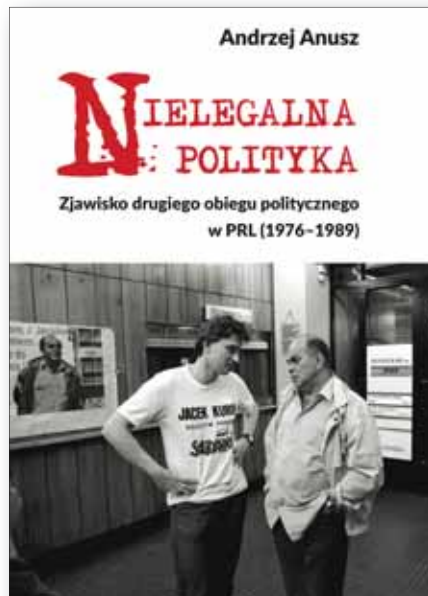
Ż

Żenczykowski Tadeusz: 9, 14, 17, 22,
23, 25, 26
Żiwkow Todor: 215
Żukow Georgij: 22, 30
Żymierski Michał, ps. „Rola”: 33, 39

**„Nielegalna polityka.
Zjawisko drugiego obiegu politycznego PRL
(1976–1989)”**

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Andrzej Anusz wydając swoją książkę, związaną z rokiem początku przemian. Dziękujemy!

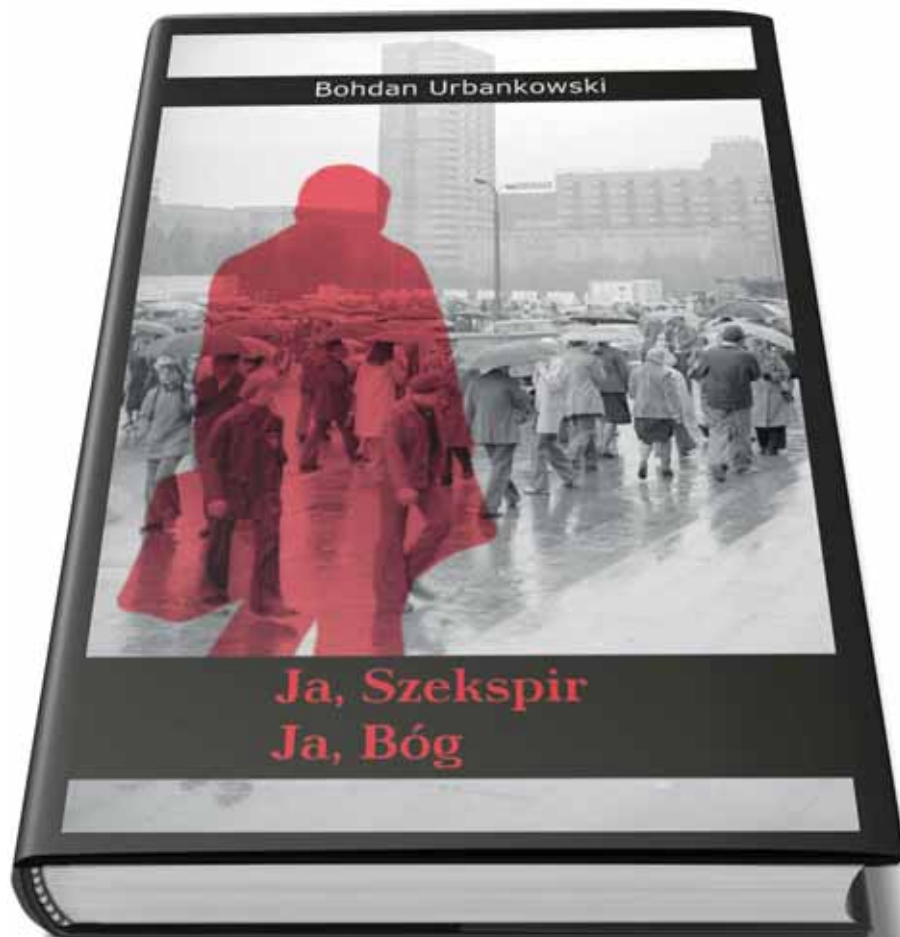
Książka poświęcona jest zjawisku drugiego obiegu politycznego w PRL (1976-1989). Część pierwsza poświęcona jest drugiemu



obiegowi politycznemu (wybrane elementy, perspektywa badacza), część druga – temu samemu tematowi, analizowanemu z perspektywy badacza-uczestnika, część trzecia – drugiemu obiegowi wydawniczemu, jako podstawowemu elementowi drugiego obiegu politycznego (perspektywa uczestnika).

Książka jest bardzo starannie wydana: twarda oprawa, 695 stron, bibliografia, indeks osób, streszczenie w języku angielskim).

Aby kupić książkę należy na niżej podany numer konta przelać 60 złotych (cena za 1 szt. wraz z wysyłką) a w tytule wpisać „Andrzej Anusz”, ilość egzemplarzy oraz adres na który przesyłka ma zostać wysłana. Przesyłka zostanie wysłana w ciągu siedmiu dni roboczych od zaksięgowania przelewu. Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostojy Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251



„Ja, Szekspir. Ja, Bóg”

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Bohdan Urbankowski wydając swoją książkę, związaną z rokiem początku przemian. Dziękujemy!

Cena: 60 zł (w tym koszty wysyłki)

Wpłaty na konto:

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251